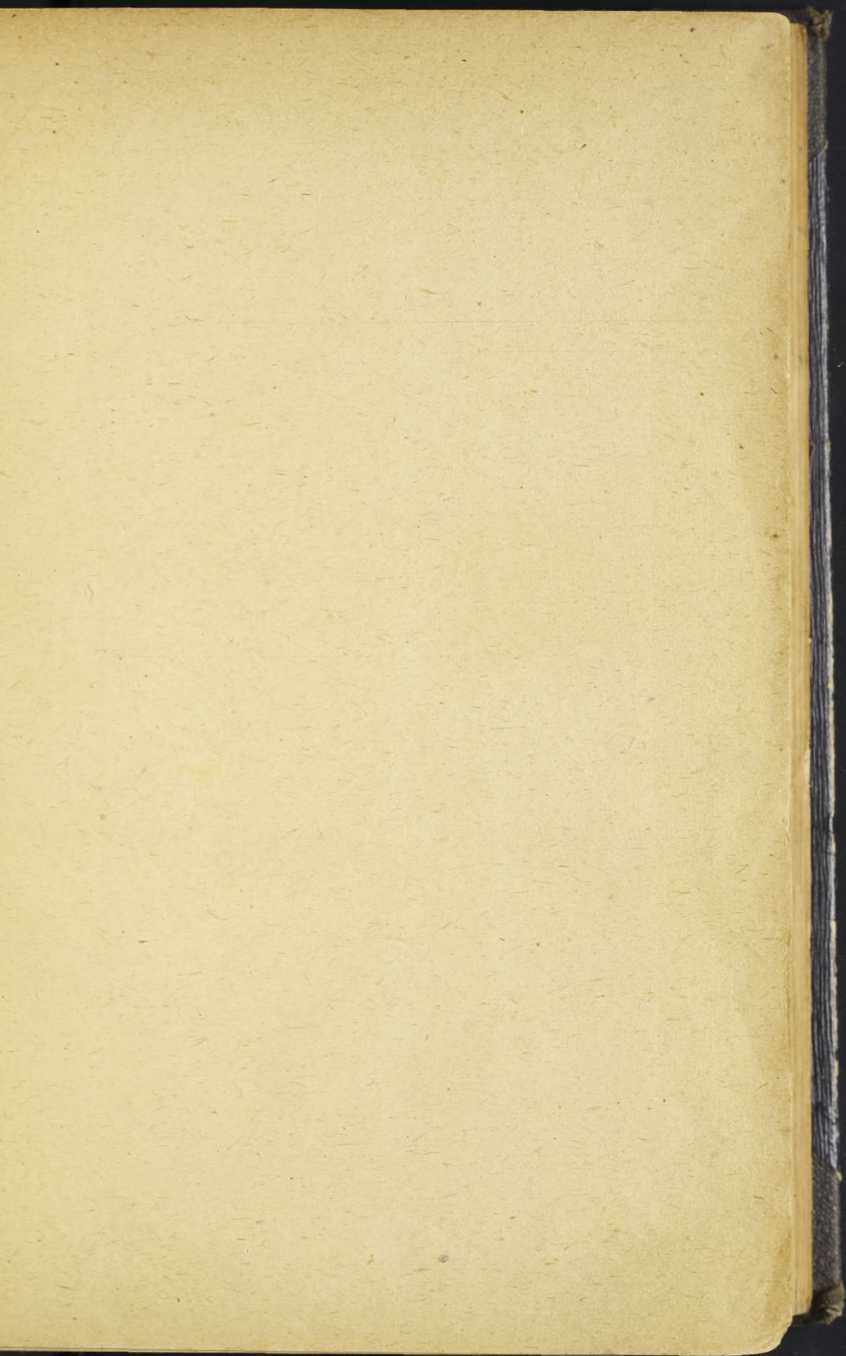
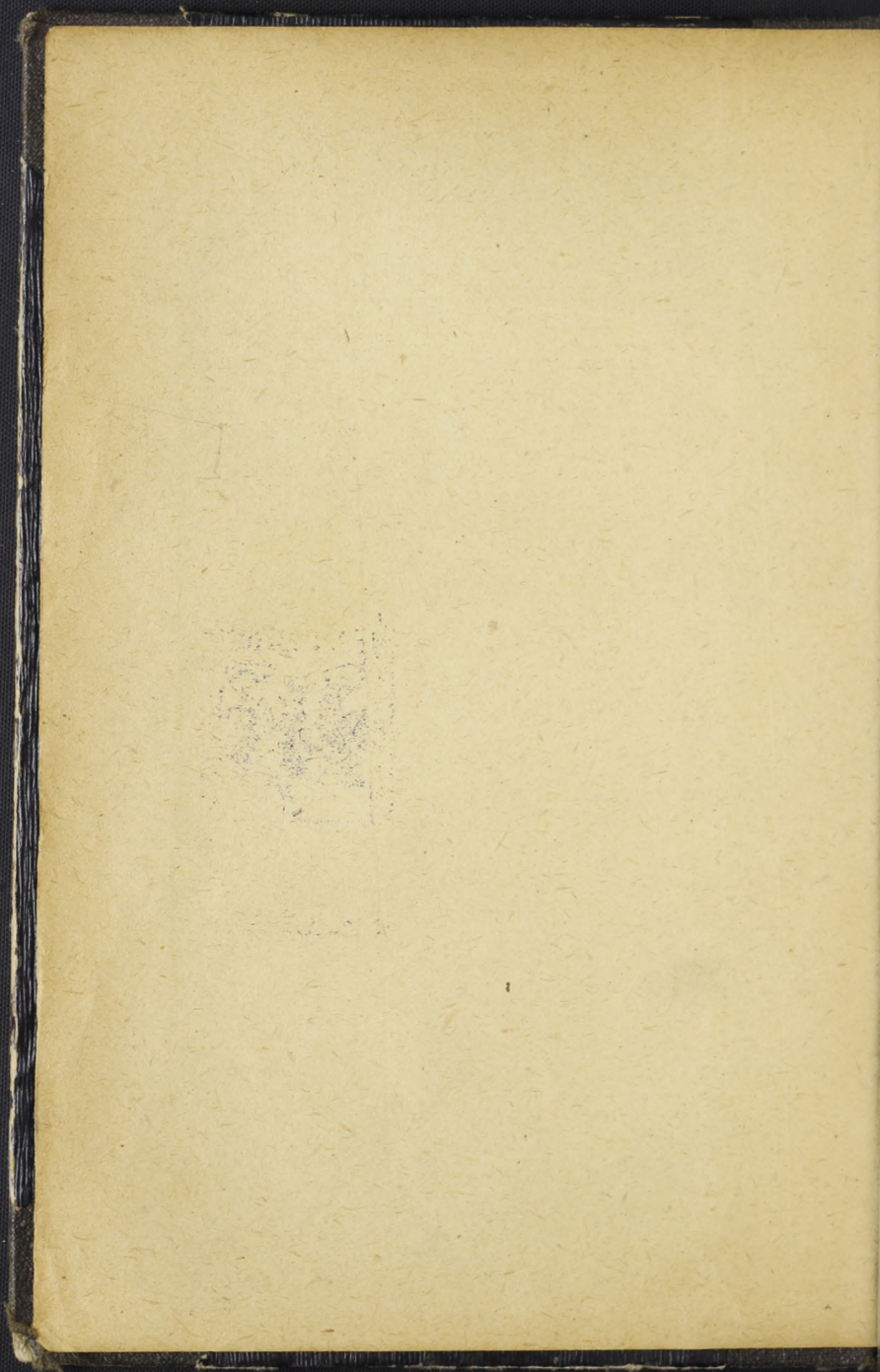


107





PAWEŁ BOURGET.

# KOSMOPOLIS.

POWIEŚĆ

przekład

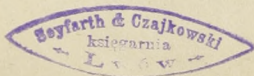
W. P.



WARSZAWA.

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.

1893



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001003642321

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 5 Апрелья 1893 г.



I.126.460

1853 K 53/3

W Drukarni Przeglądu Tygodniowego, Czysta № 4.

## I.

### Dyletant i wierzący.

Sklep był ciasny, przepełniony książkami i papierzyskami, tak że gość mógł się w nim zaledwie poruszać, a jakkolwiek gość ten był stałym klientem, mimo to stary księgarz nie raczył się podnieść z prostego bez poręczy stołka, na jakim siedział, zajęty pisaniem na ruchomym pulpicie. Głowa jego dziwaczna, pokryta kapeluszem pilśniowym niegdyś czarnym i o szerokich skrzydłach, na szmer drzwi otwieranych i zamkniętych, na chwilę się tylko podniosła. Ukazała się twarz chuda i pomarszczona maniaka, z której, poza okularów okrągłych, błyszczało dwoje oczów piwnych, dzikich i złośliwych. Potem znów kapelusz pochylił się nad papierem, który palce ruchliwe, zaopatrzone w brudne paznokcie, pokrywały nierównymi i pełnymi przekreśleń wierszami pisma staroświeckiego; z piersi chudej ale szerokiej, ubranej w kapotę spłowiałą, wydobył się głos zduszony, głos człowieka chorego na suchoty nieuleczalne, brzmiący wyraźnym akcentem włoskim:

— Chwileczkę, panie margrabio... Muza nie czeka...

— Ha! zaczekam, bo nie jestem Muzą... Twórz, Ribalto, spokojnie—odrzekł z uśmiechem gość przyjęty tak bezceremonialnie przez bukinistę. Widocznie przywykł on do dziwactw tego osobliwszego kupca. W Rzymie, gdyż ten obrazek obyczajowy rozegrywał się na parterze, w głębi jednej z najstarszych ulic odwiecznego miasta, o kilka kroków od placu Hiszpańskiego, tak dobrze znanego podróżnym — w tem mieście służącym za punkt zetknięcia się tylu przeznaczeniom zbiegającym się tutaj ze wszystkich stron świata, dziwactwa tego rodzaju zacierają się już przez samą obfitość typów osobliwszych i nadzwyczajnych, które tu się schroniły po życiowym rozbiściu. Spotkacie tu rewolucjonistów w rodzaju tego gburowatego Ribalty, który wśród cichego otoczenia starzyzny, kończy życie burzliwsze o wiele od życia wszystkich awanturników XVI wieku. Człowiek ten, pochodzący z dobrej rodziny korsykańskiej, przybył za młodu do Rzymu około r. 1835 i wstąpił do seminaryum. W chwili gdy miał otrzymać święcenia, zniknął gdzieś i pojawił się dopiero w r. 1849 jako republikanin tak zaciekle, że został zaocznie skazany na śmierć po przywróceniu rządu papieskiego. Był wtedy sekretarzem Mazziniego, z którym pokłócił się z przyczyn nieprzynoszących zaszczytu jego honorowi. Może namiętność, jaką czuł dla



pewnej kobiety, zmarłej później, spowodowała pewne nadużycia pieniężne? Bądź co bądź, stając się coraz zapaleńszym radykałem i socyjalistą, znalazł się w bufcu „tysiaca“ i brał udział w walce pod Mentaną, choć Garibaldi miał niepokonaną do niego odrazę, tym dziwniejszą, że wódz ten w ogóle kochał wszystkich. Po r. 1870 Ribalta powrócił do Rzymu, gdzie otworzył sklep księgarski, jeśli można tak nazwać podobnego rodzaju dziurę. Ale był to księgarz-amator, który wyrzucał za drzwi, kto mu się nie spodobał. Odziedziczywszy mały spadek, sprzedaje on lub nie, stosownie do swego widzimisię, albo potrzeby; dziś żąda od ciebie dwudziestu franków za kiepski sztych, za który zapłacił dziesięć susów, jutro odstąpi za marną cenę książkę kosztowną, której wartość zna doskonale. Zacięty wróg francuzów, nie przebaczył nigdy swemu generałowi dawnemu, że wziął udział w kampanii pod Dijon, nie przebaczył również Wiktorowi Emanuelowi, że zostawił Piusowi IX Watykan. Dom sabaudzki i papieństwo — mawiał poufnie swym głosem chorobliwym — są to dwa jajka, które nam trzeba będzie zjeść w jednej potrawie.

I powie ci o pewnej kolumnie w kościele św. Piotra, w której są schody umieszczone przez Berniniego, i w której doskonale da się ukryć nabój dynamitowy. Jeśli ci się uda wyciągnąć go na słówka i zapytać dla czego trudni się antykwarstwem księgarskiem, to poprosi cię, byś prze-

szedł przez kupę papierów, tek i ksiąg ogromnych, poza któremi mieści się obszerny pokój, raczej szopa, w której tysiące broszur stoi wzdłuż murów.

— Są tu reguły wszystkich klasztorów zniesionych we Włoszech. Napiszę ich historię...

Mówiąc to, przypatruje ci się pilnie. Lęka się czy nie jesteś czasem szpiegiem wysłanym przez króla dla zbadania tajemnic najniebezpieczniejszego jego wroga—jednym z tych szpiegów, których się tak obawia, że nikt nie wie gdzie od lat dwudziestu sypia, gdzie obiaduje, gdzie się ukrywa gdy przez cały tydzień okiennice sklepu na ulicy Borgognona są zamknięte. W epoce zamachu Pasanantego zawdzięcza swej przeszłości zaciętego demokraty i swym zwyczajom tajemniczym, że został przyaresztowany jako członek *Circoli Borsanti*, któremu pewien kapral rokoszaniec, rozstrzelany później nadał nazwisko. Ale policya, przrzucając do góry nogami zakurzone foliały jego bezładnej księgarni, nic nie znalazła, prócz ogromnej ilości śmiesznych ramot wierszowanych, skierowanych przeciw piemontczykom i francuzom, przeciw niemcom i trójprzymierzu, przeciw republikanom włoskim i ministrom, przeciw Cavourowi i Crispiemu, przeciw uniwersytetowi rzymskiemu i inkwizycyi, przeciw mnichom i kapitalistom! Prawdopodobnie nasz klient, przyjęty tak niegrzecznie, zastał go przy pisaniu jednego z takich paszkwiliów. W r. 1867 ten sam dawny garibaldysta za-

mieniał strzały pod Mentaną z żuawami papieskimi, wśród których znajdował się margrabia Montfanon (tak się nazywał gość). Dwadzieścia trzy lata starczyły na to, by z dwóch żołnierzy pełnych zapału zrobić dwóch maniaków, całkiem niegroźnych, z których jeden sprzedawał stare książki drugiemu. Takiej postaci jak ten szlachcic francuzki, który się tu schronił, by umrzeć w pobliżu św. Piotra, gdzieindziej nie spotkacie. Patrząc na jego niezgrabne buty, na jego kurtkę zwyczajną, nieco wytartą, na kapelusz okrągły przykrywający szpakowatą głowę, niktby nie przypuścił, że mamy przed sobą sławnego strojnisia paryzkiego z r. 1864. Ale posłuchajcie jego historyi.

Po śmiertelnej chorobie oddał się pobożności i stał gość kawiarni Angielskiej i wesołych kolacyjek, znalazł się w szeregach żuawów papieskich. Pierwszy pobyt w Rzymie przez ciąg czterech ostatnich lat rządów Piusa IX, był pełen uroku w tem mieście nieporównanem, któremu przeczcucie blizkiego końca państwa świeckiego, niedaleki sobór powszechny, okupacya francuzka, nadawały charakter szczególny. Wszystkie zarodki pobożności drzemiące w szlachcicu w skutek wychowania u jezuitów w Brugelette, poczęły się rozwijać i dojrzewać jako cnoty szlachetne w dniach próby. Dni te nadeszły szybko. Montfanon odbył kampanię francuzką z innymi żuawami a pusty rękaw wiszący z lewej strony, świad-

czy o waleczności, z jaką potykał się pod Patay, w owym wzniosłym ataku gdy bohaterski generał de Sonis rozwinął sztandar Serca Jezusowego. Niegdyś pojedynkował się, oddawał sportowi, grał, kochał, lecz dziś dla dawnych towarzyszków swych hulanek, którzy wypadkiem zjawiają się w Rzymie, jest on tylko człowiekiem pobożnym, żyjącym skromnie, choć zdołał ocalić szczątki wielkiego majątku, odosobiony, poświęcony jałmużnom, czytaniu i gromadzeniu książek i starożytności. W Rzymie wszyscy mniej więcej nabywają tej wady, gdyż samo miasto jest niczem innym jak olbrzymiem muzeum historii i sztuki. Montfanon zbiera dokumenta dla napisania historii stosunków szlachty francuskiej z kościołem. Jego dawne kochanki z owych czasów gdy współzawodniczył z Gramontem-Caderousse i Demidowem, nie poznałyby go teraz a coprawda i on by ich niepoznał. One wszakże nie są tak szczęśliwe jak ten żuaw, mimo swego życia odosobnionego. W jego oczach niebieskich błyszczy śmiech, który świadczy o czystym pochodzeniu galijskiem i który rozjaśnia jego twarz o rysach śmiałych, jedną z tych twarzy feudalnych, jakie widzieć można na portretach rozwieszonych po ścianach pryoratu maltańskiego, w których nawet brzydota jest rasową. Duże wąsy siwiejące, z odcieniem bladawym złota, przykrywają szramę, która nadawałaby tej twarzy, nieco czerwonej, wyraz groźny, gdyby nie oczy, gdzie surowość

mięsza się z łagodną wesołością. Montfanon bowiem, jeżeli jest pod pewnym względem fanatykiem, to pod innymi dobrodusznym i żartobliwym. Gdyby miał władzę, to zapewne kazał by przytrzymać, sądzić i ukarać w ciągu dwudziestu czterech godzin takiego np. Ribaltę za zbrodnię liberalizmu. Nie mając tej władzy, bawi się nim, zwłaszcza że katolicy zwyciężeni i socjaliści niezadowoleni, mają wspólne nienawiści. I tego dnia widzieliśmy z jaką wyrozumiałością zniósł niegrzeczność starego antykwaryusza i przez dziesięć minut patrzył się na niego zupełnie spokojnie. Wreszcie dziki rewolucjonista zdaje się skończył swój wierszyk, gdyż ze złośliwym i cichym uśmiechem, złożył arkusz starannie we czworo i zamknął go w skrzynce drewnianej na klucz, prostując swą postać długą i chorą.

— Czem mogę służyć, panie margrabio? — zapytał.

— Najprzód mógłbyś mi przeczytać swój utwór, stara koszulo czerwona — rzekł Montfanon — choćby jako wynagrodzenie za to, że czekam cierpliwiej niż ambasador. No, kogóż tam znieważasz w tych wierszach? Może Ciccía, lub jego królewską mość?... Nie odpowiadasz?... czy boisz się, żebym nie doniósł o tem do Kwiryntalu?

— *In bocca chiusa, non c'entra mosca* <sup>1)</sup> — odrzekł dawny spiskowiec, zamykając przytem swe usta bezzębne tak mocno, że nie tylko mucha, ale najmniejszy nawet pyłek by się tam nie dostał.

<sup>1)</sup> Do ust zamkniętych mucha się nie dostanie.

— Dobre przysłowie—zawołał margrabia, śmiejąc się—należałoby je wypisać na wszystkich frontach parlamentów nowoczesnych. Ale czy wśród twoich poezyj i przypowieści, znalazłeś czas na napisanie do owego antykwaryusza w Wiedniu, który posiada ostatni egzemplarz trudnej do znalezienia wiadomej ci broszury, z procesu owego bandyty Hafnera?...

— Cierpliwości—mruknął kramarz—napiszę...

— A wyszukałeś mi obiecane dokumenty dotyczące oblężenia Rzymu przez Burbona, te trzy akta urzędowe?...

— Cierpliwości, cierpliwości—odrzekł kramarz i dodał wskazując z zabawną mieszaniną szyderstwa i rozpaczony nieład straszliwy swego sklepu — czy podobna tu do czego trafić?...

— Cierpliwości, cierpliwości—powtórzył Montfanon—od miesiąca śpiewasz mi to samo... Lepiej by było, żebyś zamiast układania kiepskich wierszy zajął się korespondencją i żebyś zamiast kupowania ciągłego, uporządkował to co tu jest... Chociaż—dodał przestając się uśmiechać i z gięstem porywczym — nie powinienem ci wyrzucać twych nabytków, bo przyszedłem tu, żeby o jednym z nich pomówić. Kardynał Guérillot powiedział mi, że wczoraj pokazałeś mu modlitewnik bardzo ciekawy, jakkolwiek w bardzo złym stanie, który znalazłeś w Toskanii. Gdzież on jest?...

— Oto jest — rzekł Ribalta, przeskakując całe stosy ksiąg i usuwając nogą ogromną kupę tek, przyczem wysunął szufladę pełną kurzu z chwiejącej się szafy. Z szuflady tej, z pośrodku trudnej do opisanja mięszaniny najrozmaitszych przedmiotów, starych medali i starych kluczy, pustych okładek i rycin kolorowanych, wyjął dość duży futerał skórzany, stoczony przez robaki, na wierzchu którego widać było herb, na pół zatarty. Otworzył ten futerał i podał Montfano wowi książkę, której oprawa z drzewa, pokryta skórą i okuta, rozpadała się na szczątki. Jedna z zapinek była złamana i gdy margrabia zabrał się do przejrzania książki, przekonał się że i wewnątrz jest bardzo zniszczoną. Pierwotnie szacowne to dzieło zdobiły malatury, które z czasem zupełnie pozamazywano. Pargamin żółkły w wielu miejscach popękał. Jednem słowem był to bezkształtny szczątek, który szlachcic ciekawie i starannie przeglądał, a tymczasem Ribalta odezwał się:

— Sprzedała mi to pewna wdowa w Montalcino w Toskanii... Żądała odemnie wysokiej ceny, ale książka ta, choć trochę uszkodzona, warta jest tego. Są tu miniatury roboty Matteo da Siena, wykonane przezeń dla papieża Piusa II Piccolominiego. Spojrzno pan na tę, przedstawiającą świętego Biagio <sup>1)</sup>, który błogosławi lwów i pantery. Jest ona najlepiej zachowana... a co? nieprawda, że arcydzieło?

<sup>1)</sup> Św. Błażeja.

— Dla czego chcesz mię oszukać, mości Ribalta?—przerwał Montfanon z ruchem niecierpliwości—wiesz dobrze, że te miniatury są dość mierne i nie przypominają w niczem robót Matteo... a przytem jest tu jeszcze jeden dowód... ten modlitewnik nosi datę 1554. O, patrz!

I bardzo zręcznie jedyną swą ręką pokazał cyfrę kramarzowi.

— A ponieważ mam pamięć—dodał, i w swoim czasie zajmowałem się historią Matteo z Sienny, więc nie zapominałem, że on umarł przed r. 1500... Jakkolwiek nie chodziłem do kolegium Machiawella—ciągnął z tą samą porywcznością—powiem ci jednak to samo, coby ci był powiedział kardynał, gdybyś go był nie oszołomił twemi wykrętami, jak to ze mną chciałeś zrobić... Przypatrz się temu podpisowi na pół zatartemu, którego nie umiałeś przeczytać... Ja ci go odcyfruję. Błazej de Mo... potem *c* i kilka liter, których brak, akurat trzech... Jestto więc Monluc, według współczesnej pisowni. *B* jest skreślone charakterem, który mogłeś znaleźć w archiwach Sienny, gdybyś tam był wszedł, *b* małe, ale także takie szerokie i wysokie... A teraz herb...

Zamknął książkę i zdziwionemu kramarzowi pokazał herb na pół zatarty na okładce.

— Czy widzisz tu lwa, który pierwotnie był zapewne złoty i koła, które musiały być czerwone? Jest to herb, jakiego Monluc używał od r. 1554, w którym został obywatelem Sienny za



to, że jej bronił walecznie przeciw okrutnemu margrabiemu de Marignan... Co zaś do futerału, to prawda, na nim wyraźnie widać półksiężyc Piccolominich... ale czegoż to dowodzi? Tego, że po obłęzieniu, gdy trzeba było się cofnąć do Montalcino, Montluc dał swój modlitewnik, zapewne na pamiątkę, komuś z tej rodziny. Potem książka zginęła, może ją skradziono i doprowadzono w końcu do stanu obecnego... Ta książka to jeden więcej dowód, że trochę krwi francuzkiej lało się w służbie Włoch. Ale ci co ją sprzedali, zapomnieli o tem jak o Magenta i Solferino... Wy tu wszyscy pamiętacie tylko o nienawiści. A teraz, kiedy wiesz dla czego pragnę posiąść ten modlitewnik, czy chcesz za niego pięćset franków?...

Antykwaryusz słuchał tych słów z wyrazem najsprzeczniejszych uczuć na twarzy. Żywił on względem Montfanona pewien rodzaj uszanowania połączonego z zawiścią, w skutek czego przykro mu było bardzo, że został schwytyany na gorącym uczynku kłamstwa. Należy tu dodać, że mówiąc o wielkim malarzu Matteo i o wielkim papieżu Piusie II, z powodu tej książki nieszczęśliwej, nie przypuszczał, by margrabia, zwykle bardzo rozsądny i ograniczający swe nabytki ściśle do zakresu historii kościelnej, miał ochotę zakupienia tego modlitewnika. Wysławiał go dla tego, by otoczyć książkę pewnym urokiem legendowym, dla wyzyskania jakiego bogatego amatora. Z drugiej strony, je-

żeli imię Monluca nie go nie obchodziło, to inna rzecz była z bezpośrednią i niegrzeczną przymówką, jaką jego gość wypowiedział odnośnie do wojny z r. 1859. Jest to rana zawsze gotowa do krwawienia się u sąsiadów Francyi z tamtej strony Alp, którzy francuzów nie kochają. Duma garibaldi-dysty nie chciała ustąpić wspaniałomyślności dawnego żuawa. Z porywcznością taką samą, jaką okazywał Montfanon, schwycił książkę i obracając ją w palcach poplamionych atramentem, mruknął:

— Nie oddam jej i za sześćset franków... tak, nawet za sześćset franków jej nie oddam...

— To za wiele — rzekł Montfanon.

— Nie, nie oddam jej — zawołał kramarz, poczem nagle, podając ją margrabiemu, z wyraźną wściekłością krzyczał: — ale panu sprzedam ją za czterysta franków...

— Jakże to? przecież daję panu za nią pięćset — rzekł nabywca zdziwiony — zresztą wiesz dobrze że za za taką rzadkość nie jest to cena zbyt wygórowana...

— Bierz ją pan za czterysta — nalegał Ribalta tonem coraz gniewniejszym — ani jednego susa mniej ni więcej. Tyle mię kosztowała. A dokumenta będziesz pan miał za dwa dni, akta Hafnera w tym jeszcze tygodniu... Ale, czyż ten tam... Burbon, który zrabował Rzym, nie był francuzem? A ten Karol Andegaweński, który spadł nam na kark, by zrobić się królem Obojga Sycylii? A Karol VIII, który wkroczył przez bramę di Popoli?

Wszak wszystko to byli francuzi? A może Oudinot nie był francuzem, co? Poco on się mieszał do naszych spraw? Ho! ho! gdybyśmy obrachowali coście wy nam winni... Czyśmy nie dali wam Mazariniego, Masseny, Bonapartego i tylu innych, którzy zginęli wśród waszych wojsk w Rosyi, Hiszpanii i innych krajach! a w Dijon? A może Garibaldi nie poszedł bić się za was, jak głupiec jaki, choć byliście gotowi zagarnąć jego ojczyznę? Zapłaciliśmy wam za usługi, zapłaciliśmy dobrze... Ale zabierz pan sobie modlitewnik i do widzenia... Zapłacisz mi pan później...

I wypchnął literalnie margrabiego ze sklepu, giestykulując mocno i zrzucając książki na ziemię na wszystkie strony. Montfanon znalazł się na bruku ulicy Burgognona prędzej, nim mógł sięgnąć do kieszeni po pieniądze.

— Waryat! formalny waryat! — mówił do siebie, śmiejąc się. Oddalił się od sklepu krokiem lekkim i wesoło, z kosztowną książką pod pachą. Znając dobrze z doświadczenia te natury południowe, w których oszustwo i rycerstwo się stykają, nie szkodząc sobie wcale, tych Donkiszotów walczących z wiatrakami, rzekł do siebie:

— Ciekawy jestem, ile też zyskał, odegrawszy przedemną rolę gentelmena?

Nigdy się nie dowiedział o tem, ani o tem że Ribalta rzadką książkę kupił razem z mnóstwem papierów, rysunków i starych druków, ogółem za dwadzieścia pięć franków. Zresztą dwa



spotkania, jakie miał przy wyjściu ze sklepu, nie dozwoliły mu rozmyślać długo nad tem zagadnieniem psychologii handlarskiej. Na rogu ulicy zatrzymał się na chwilę, by rzucić okiem na plac Hiszpański, tak przezeń lubiony, jako szczątek Rzymu starożytnego. Wśród poranku pierwszych dni maja, długi plac o brzegach pełnych zakrętów wyglądał przepysznie ze swym ruchem i blaskiem, z szarą barwą swych domów różnorodnych, które go otaczały, z podwójnemi schodami kościoła Św. Trójcy, na których leżeli próżniacy, z wodotryskiem bijącym z fontanny, podobnej do łodzi, wzniesionej na środku—jednego z tych niezliczonych kapryśków fantazyi Berniniego, tego dekoratora pełnego uroku, który powziął myśl żyjącej fontanny, w jakiej strumień wody drżałby wraz z brązem i marmurem. I o tej godzinie i pod tym blaskiem, wodotrysk ten w rzeczy samej był tak żywy jak włóczędzy biegający dokoła, dźwigający na sobie koszyki napełnione różami blademi, jasnymi narcyzami, czerwonymi anemonami, delikatnemi przylaszczkami i ciemnymi bratkami. Boso z czarnym płomieniem w oczach, z prośbą na ustach—przemykali się wśród powozów pędzących szybko, nie tak licznych jak w pełni sezonu, niemniej przeto dość licznych, gdyż wiosna w tym roku bardzo późno się zaczęła i była pełną rozkosznej świeżości. Kwiaciarze ci nagabywali przechodniów śpieszących, jak również tych, którzy zatrzymywali się przy wystawach sklepowych i taki katolik

gorący, jakim był Montfanon znajdował przyjemność w tym obrazie malowniczym pięknego poranku, na najpiękniejszym placu swego miasta ukochanego i chciał uwieńczyć to wrażenie jasną chwilką marzenia o wieczności. W tym celu dość było spojrzeć na prawo, na kolegium Propagandy, na ten rozsądny męczenników, z kąd wychodzą wszystkie misye świata. Przeznaczenie jednak chciało, że namiętny szlachcic nie mógł korzystać w pokoju ani z rzadkości bibliograficznej nabytej tak tanio i którą ścisnął pod pachą, ani z tego wrażenia tak czysto rzymskiego. Nagłe spotkanie przy zakręcie ulicy, na rogu chodnika, zaciemniło pogodny blask jego oczów. Był to powóz, który tuż koło niego przejechał, przepyszenie zaprzężony, pomimo godziny wczesnej, w dwa konie czarne i w którym siedziały dwie kobiety. Jedna z nich była widocznie podwładną, jakaś towarzyszka mająca służyć za ochmistrzynię dla drugiej, młodej panny, wspaniale pięknej, z oczami dużemi i czarnemi, gorejącemi wśród twarzy matowo-błedej, bladej i gorącej i żywej. Profil jej rysunku wschodniego zdradzał wyraźnie typ piękności żydowskiej i nie można było wątpić o pochodzeniu tej istoty, istnego zjawiska, które jak mówi poeta miało „wlec za sobą wszystkie serca“. Ale żartobliwa i dobroduszna twarz margrabiego zachmurzyła się nagle i skrzywiła złośliwie, ścigając wzrokiem tę młodą dziewczynę, która właśnie skręcała na rogu ulicy i za-

mieniła ukłon z jakimś młodym, bardzo eleganckim człowiekiem. Młody ten człowiek znał zapewne doskonale dawnego żuawa papieskiego, gdyż zbliżył się doń poufale i rzekł tonem szyderyczym i w wybornej francuzczyźnie:

— Nareszcie, mam cię, panie margrabio Klau-dyuszu Franciszku de Montfanon!... Ukazała się, widziałeś ją i zostałeś zwyciężony!... Pożerałeś ją oczami, tę boską Fanny Hafner?... Drżyj! Doniosę o tem jego eminencyi kardynałowi Guérillot i, jeżeli będziesz mu źle mówił o jego zachwycającej katechistce, będę świadczył, że widziałem cię zahypnotyzowanego w czasie jej przejazdu, jak trojańczycy przez Helenę. I pewny jestem, że Helena nie miała wcale tego wdzięku nowożytnego, tej duszy w piękności, tego profilu idealnego, tego wejrzenia głębokiego, tych ust marzących i tego uśmiechu!... A! jakże ona jest piękną!... Kiedyż się pan jej przedstawisz?...

— Jeżeli mistrz Julian Dorsenne — odrzekł Montfanon takimże tonem szyderyczym — w swym przyszłym romansie okaże tak mało zmysłu obserwacyjnego, jak to w tej chwili czyni, to żałuję jego wydawcy... Chodź pan!

Rzekłszy to, pociągnął młodzieńca na róg ulicy Borgognona.

— Czy widzisz pan, że powóz zatrzymał się przed domem N-er 13, tam?... i boska Fanny, jak ją nazywasz, wyskoczyła?... Weszła do sklepu tego łotra Ribalty... nie zabawi ona tam

długo, nie... o! widzisz, wychodzi już i odjeżdża w swym powozie... Szkoda, że nie wraca tędy, mielibyśmy przyjemność oglądania jej miny skwaszonej. I wiesz, czego ona szukała?—dodał śmiejąc się wesoło i ukazując swój nabytek—nie będzie go miała, choćby za niego ofiarowała wszystkie miliony, jakie jej uczciwy tatuś zrabował złotym młodzieńcom wiedeńskim... Hel hel—mówił dalej, śmiejąc się—pan de Montfanon wstał wcześniej i nie zmarnował czasu. Ty zaś, panie obserwatorze, zgadnij, com usunął z muzeum tej kiepskiej aktorki, która już z tego przedmiotu nie zrobi sobie zabawki...

Mówiąc to, pokazał książkę swemu towarzyszowi, patrząc nań z zabawnym grymasem tryumfu.

— Nie chcę oglądać pańskiej książki—odrzekł Dorsenne. — Nie chcę! nie chcę! — dodał, widząc że Montfanon rusza ramionami — jako powieściopisarz i obserwator—sameś mię pan tak nazwał—wiem już co to jest... Może się założymy? Jest to modlitewnik z herbem marszałka Monluca. Książkę tę odkrył kardynał Guérillot. Czy tak? Mówił o niej panie Hafner i myślał, że rozbroi pańską niechęć do niej, gdy powie panu o tem, iż do książki tej zapaliła się i chce ją nabyć. Czy nie tak? I pan, szkaradny człowieku, uprzędziles biedną panienkę, zabierając te szpargały. Może nie tak? Nie jestem nawet pewny, czy panu istotnie zależy co na tej książce, gdy tymczasem ona!..

Przedwczoraj przepędziliśmy razem wieczór u hrabiny Steno i z radością opowiadała, że będzie miała tę książkę, na której się modlił ten wielki wojownik, ten wielkiej wiary człowiek. Wypowiedziała mi całą masę przekonań heroiczych. Zdawało mi się, że słyszę pana, słowo honoru dał! Miała wczoraj pójść i kupić te szpargały, ale sklep był zamknięty, zauważyłem to przechodząc a zapewne i pan tam chodziłeś... Czy nie tak? A teraz, gdy panu opowiedział pańską historję od początku do końca, czy nie zechcesz mi wytłumaczyć, dla czego pan, który jesteś wcieloną prawością, żywisz antypatyę zawziętą, prawie dziecinną, racz wybaczyć wyrażenie, ku niewinnemu dziewczęciu, które nigdy nie spekulowało na giełdzie, które jest tak miłosiernem jak wszystkie razem zakony i które gotowe jest zostać tak samo pobożnem jak pan? Gdyby nie ojciec, który nie chce słyszeć o jej nawróceniu przed ślubem, byłaby już katoliczką i choć w tej chwili jest protestantką, jednak tylko do naszego kościoła chodzi... Ale gdy zostanie katoliczką zupełną i będzie miała za patronkę świętą Klaudynę i świętą Franciszkę, tak jak pan masz za patrona świętego Klaudyusza i św. Franciszka, musisz złożyć broń, stary spiskowcze i uznać szczerłość uczuć religijnych tego dziecka, które ci nie złego nie uczyniło...

— Jakto nie złego?—przerwał Montfanon—jest to bardzo naturalnem, że taki sceptyk jak pan, nie rozumie tego, co ona zrobiła i co robi ciągle



nie mnie osobiście, ale mym ideom. Jeżeli ktoś, jak pan, ćwiczył się w łamańcach umysłowych w cyrku Sainte-Beuva i Renana, nie dziw że zachwyca się tem, iż katolicyzm, ta wielka bardzo idea, służy za elegancką zabawkę tej dziewczynie, córce rozbójnika giełdowego, marzącego o małżeństwie arystokratycznym. Pańskie szyderstwo winno znaleźć pokarm w tej okoliczności, że nawet mój przyjaciel, świątobliwy kardynał Guéillot, został oszukany przez tę intrygantkę... Ale ja, mój panie, com przystępował do stołu Pańskiego obok takiego Sonis rano przed bitwą, nie pozwolę, by używano za narzędzie do kariery światowej tego, co jest wiarą wielkiego bohatera, co jest moją wiarą. Nie pozwolę, by oszukiwano starca, którego szanuję i którego objaśnię o wszystkim, dając panu na to słowo... Co się zaś tyczy tej relikwii—dodał wskazując na książkę—może się to panu wydać dziecinne, ale nie chciałem, by ją wmięszano w tę komedię bezwstydną. Tak, nie wmięszają jej. Nie będą pokazywać ze słowami pustemi, z oczami przymkniętymi i miną świętoszkowatą, tego brewiarza, na którym modlił się znakomity wojownik, tak panie, ten wielkiej wiary człowiek, któryby was po prostu powiesił na pierwszej lepszej gałęzi: pana, ja i Ribalta, i byłby to z jego strony czyn bardzo chwalebny... Nic mi nie uczynił—powtarzał, rozogniając się coraz bardziej a twarz czerwona zapaliła mu się gniewem—ależ ona jest

kwintesencją tego, co najbardziej nienawidzę — ludzi takich jak ona i jej ojciec! Ci awanturnicy kosmopolityczni, grający rolę wielkich panów z milionami zrabowanymi na giełdzie są wcielaniem nowożytnego świata w to, co on ma najnienawistniejszego! Najprzód nie znają oni ojczyzny. Któż bo to jest ten baron Justus Hafner? Czy to jest Niemiec, czy Austriak, czy Włoch? Czy masz pan pod tym względem jakie dane?... Nie mają przytem religii... Nazwisko, fizjonomia ojca i córki — wszystko mówi, że to Żydzi, a oni tymczasem są protestantami w tej chwili, jak się to słusznie zauważył, a później mogą zostać prawosławnymi, mahometanami — czemkolwiek bądź i zawsze tylko na jakiś czas. Nie mają rodziny. Gdzież bo ten jegomość się wychował? Co robił jego ojciec, matka, bracia i siostry? Gdzie rósł? Gdzie są jego tradycje, przeszłość — wszystko to, co stanowi jednostkę moralną?... Darmobyś pan szukał! Wszystko jest ciemnem w tej osobistości, z wyjątkiem jednej rzeczy: gdyby byli sędziowie w Wiedniu, w czasie procesu Banku Austro-dalmackiego w r. 1880, ten człowiek siedziałby dziś w więzieniu a nie w Rzymie... To fakt! Iluż to ludzi on zrujnował, ja coś wiem o tem. Mój biedny kuzyn de Saint-Rémy, który pozostawał przy jego królewskiej mości hrabi Chambordzie, utracił tam cały swój majątek a zarazem i posag córki. Ludzie odbierali sobie życie i działał się okropności. Niejaki Schroeder

stracił zmysły po tym krachu i zabił się, zamordowawszy wprzód żonę i dwoje dzieci. A pan baron wyszedł z tego obronną ręką! Dziesięć lat upłynęło zaledwie od tego czasu i o wszystkim zapomniano! Gdy przybył ażeby osiąść w Rzymie, wszystkie drzwi przed nim się otwarły, ręce mu podawano... Tak samo byłoby w Madrycie, Londynie, w Paryżu zresztą, gdyż cała Europa od r. 1789 jedno warta! Odwiedzają go, przyjmują u siebie! I pan chcesz, żebym ja wierzył w pobożność jego córki?... Nie, po tysiąc razy nie, a nawet ty sam, Dorsenne, z twą manią paradoksów i sofizmatów, masz duszę zbyt prawą, by ci ludzie nie budzili w tobie obrzydzenia, tak samo jak we mnie...

— Wcale nie— odrzekł autor, wysłuchawszy tyrady margrabiego z widocznem zaciekawieniem, ale nienniej przeto z uśmiechem niedowierzania— wcale nie.. Nazwałeś mię pan skoczkiem, nie gniewam się o to, bo wiem, że mię pan kochasz. Zresztą, wprzód nimbym wydał wyrok w sprawie finansowej, musiałbym rzecz zbadać. Hafner był uwolniony z pod oskarżenia. To mi wystarcza, a nawet choćby był ostatnim oszustem, to jego córka będzie zawsze aniołem. Nakoniec co się tyczy kosmopolityzmu, jaki mu zarzucasz, jest to rzecz, która mię najbardziej w nim interesuje. Widzisz jak nasze mózgi inaczej są utworzone... Znaczy to, że nie straciłem nadarmo mego pół-roku czasu w Rzymie, skoro poznałem tego czło-

wieka. Nie patrz pan na mnie, jako na jednego z właścicieli cyrku wujaszka Beuve i tego biedaka „pana“ Renanal...

Mówiąc to, wziął za ramię margrabięgo.

— Przysięgam panu, że mówię poważnie. Nic mię tak nie interesuje jak ta zmiana środka, te istoty, które przeszły różne formy istnienia. To moje muzeum ci ludzie — i pan chcesz, bym poświęcił jeden z moich najpiękniejszych okazów? Zresztą, rób jakie chcesz zarzuty baronowi Hafnerowi nazywaj go złodziejem i samolubem, intrygantem i oszustem, jak ci się żywnie podoba, ale co się tyczy istoty „pozbawionej korzeni“, która nie wie gdzie żyli jej ojcowie, to odpowiem ci jak Bonhomet mego kolegi pana Villiers de l'Isle-Adam, który, przybywszy do nieba, usłyszał takie słowa Pana Boga: „Czy zawsze jesteś zdrowym panie Bonhomet? — „Tak samo, jak Ty, Panie“. Bo o co idzie? Pan, panie de Montfanon, urodziłeś się w Burgundyi, pochodzisz ze starej rodziny burgundzkiej, spokrewnionej z całą szlachtą burgundzką, posiadasz dobra w Burgundyi i masz winnice w Burgundyi... czego ci wiesz... I mimo to osiadłeś w Rzymie od dwudziestu czterech lat, w tem „Kosmopolis“, które przeklinaasz..

— Najprzód — odparł dawny żołnierz papieski, ukazując swą ręką obciętą — mnie nie można brać w rachubę. Ja nie żyję, ja umieram...

Twarz mu się znowu rozogniła i ukazało się dno tej inteligencji ciasnej, niekiedy ślepej, ale dumnej.

— A przytem mój Rzym niema nic wspólnego z Rzymem pana Hafnera, ani z twoim, bo jak się zdaje, przyjechałeś tu dla robienia studyów porównawczych w zakresie teratologii moralnej. Rzym dla mnie to nie *Kosmopolis*, jakieś pan go nazwał, ale *Metropolis*, miasto-matka. Zapominasz pan, że jestem katolikiem od pierwszego technienia, i jestem tu u siebie, w ojczyźnie mej duszy. Siedzę tu także dla tego, że jestem monarchistą, że wierzę w starą Francję, jak ty wierzysz w świat nowożytny i że służę tej starej Francji jak mogę, co wprawdzie nie przydaje się na nic, ale ja pełnię swój obowiązek. Jestem tu przedstawicielem św. Ludwika, jest to placówka, na której stoję po dawnemu, jak na wojnie i robię co mogę... O! ta stara Francya, jakże się odczuwa tutaj jej wielkość i jej udział w chrześcijaństwie! Chciałbym, by ta to właśnie struna odzywała się w autorze tak wymownym jak pan, a nie te nieustanne paradoksy i sofizmaty. Ale to niema żadnej wartości dla was, coście powstali wczoraj a z czego się pyszacie... — dodał tonem bolesnym — nie ma wartości, że wasza historia powiązana jest niemi webowemi z każdym kątem tego miasta! Czy bije ci serce na widok „salamandry“ Franciszka I-go i lilij, wyrzeźbionych na fasadzie kościoła św. Ludwika? Może nawet nie wiesz o tem, dla czego ta ulica nazywa się Borgognona i że o kilka kroków ztąd stoi nasz kościół pod wezwaniem św. Klaudyusza burgundzkiego? Czy by-

łeś w kościele św. Mikołaja lotaryńskiego? Wszak pochodzisz z Vosges. A znasz św. Iwona bretońskiego?... Ale (tu głos jego stał się weselszym) wzięłeś mię na kawał, jak wy tam mówicie w swym żargonie ulicznym, bym ci wszystko powiedział co wiem o tym zbrodniarzu Hafnerze. Wszystko mi jedno, powiedziałem co czuję, z serca... Lecz zostaniesz ukarany, bo cię zaprowadzę do dawnej Francyi. Zjesz ze mną śniadanie w południe, a tymczasem obejrzymy kościoły, o których ci mówiłem. Przez godzinę będziemy żyli w czasach z przed stu pięćdziesięciu laty, w świecie, w którym nie było kosmopolitów, ani dyletantów, ani szlachty giełdowej. Był to świat stary, ale rzeński, czego dowodzi to, że się zstarał, a więc trwa długo, gdy tymczasem wasza społeczność, spłodzona przez rewolucyę, do czego doszła w ciągu stu lat we Francyi, we Włoszech, w Anglii, dzięki temu obrzydliwemu Gladstone'owi, który z dumy podobny jest do nowego Nabuchodonozora... Społeczność ta, jak pewne państwo, że przytoczę tu jedyne zręczne zdanie tego rozpustnika Diderota, sparszywiła wprzód, nim dojrzała! No cóż, idziesz ze mną?

— Chętniebym to uczynił — odrzekł pisarz — gdyż mylisz się pan, sądząc, że nie kocham twojej starej Francyi, co mi jednak nie przeszkadza. że wolę nową. Wszak można lubić wino bordoskie i szampańskie... Ale nie mam czasu. Muszę dziś rano obejrzeć wystawę w pałacu Castagna...

— Nie pójdziesz tam! — zawołał gorączkowo Montfanon, przyciem twarz mu się skrzywiła i wewnętrzne oburzenie musiał znów wylać w tyradach głoszonych przed kimś kogo kochał, tak jak kochał Dorsenne'a — wszak nie poszedłbyś patrzeć na to jak mordują w r. 93 króla? Cóż u dyabła! Czyż może być coś tragiczniejszego niż to wystawienie na sprzedaż publiczną starego mieszkania papieża Urbana VI, następcy Sykstusa piętego... Jest to początek konania tej drugiej wielkiej idei, jaką przedstawiała szlachta rzymska... Wiem, wiem... zasłużyli na to, bo nie dali się za bić co do jednego na schodach Watykanu, gdy włosi wzięli miasto. My byśmy to byli zrobili, choć nie mieliśmy papieży wśród naszych dziadów stryjecznych, gdybyśmy nie byli zajęci gdzieindziej, inną walką... Czyż to nie budzi współczucia, gdy się widzi młotek komornika uderzający w pałac, w którym leżą całe stulecia dziejów! O, gdybym się urodził księciem Ardea, gdybym odziedziczył krew, dom, tytuły Castagnów i gdybym wiedział, że nie zostawię po sobie z tego, co nagromadzili moi ojcowie, przysięgam ci, Dorsenne, iż umarłbym z żalu. I wyobraź sobie, że ten chłopiec nieszczęśliwy jest dzieckiem zepsutem, od lat dwudziestu otoczonym przez pochlebców, niemającym krewnych, przyjaciół, doradców, że przegrał swą ojczyznę na giełdzie do bandytów takich jak jegomość pan Hafner, że wszystkie skarby nagromadzone przez szereg papieży, kardyna-

łów, wojowników, dyplomatów — zubożyli brudnych giełdziarzy i geszefciarzy niegodnych... no! przyznasz sam, że jest to sprawa tak oplakana, iż nie wypada się do niej mięszać nawet w charakterze widza.. Chodźmy, zaprowadzę cię do św. Klaudyusza...

— Powtarzam panu, że ktoś na mnie czeka — odrzekł Dorsenne, wrywając ramię, które despotyczny przyjaciel już schwycił — jest to nawet zabawne, że spotkałem pana na ulicy, wobec tego co uczynić zamierzam. Ale nie straciłem czasu, zachwycają się zawsze kontrastami. Czy zechcesz pan wysłuchać listy osób, które na mnie czekają? Potrwa to niedługo, byleś mi pan nie przeszkadzał. Oburzać się pan będziesz później... Ho! ho! nie chcesz pan, bym przeżywał Rzym *Kosmopolis*, a cóż powiesz o towarzystwie, w którym mam zwiedzić stary pałac Urbana VII?... Będzie tam najprzód twa piękna nieprzyjaciółka Fanny Hafuer wraz ze swym ojcem jako przedstawicielem Niemiec po trochu Austrii i Włoch a nawet Holandyi, bo zdaje się, że matka barona pochodziła z Rotterdamu. Nie przeryważe mi pan. Będzie hrabina Steno, jako reprezentantka Wenecyi i jej zachwycająca córka Alba, przedstawicielka małego kącika Rosyi, gdyż wieś niesie, że hrabina miała ten kącik, nie po nieboszczyku Steno, ale po Andrzeju Werekiewie, wiez pan, tym, co to się zabił w Paryżu przed pięciu czy sześciu laty, rzucając się w uurty Sekwany z mostu Zgody.



Będzie malarz, Lincoln Maitland, jako przedstawiciel Ameryki. Jest on obecnie kochankiem pani Steno, którą odbił hrabiemu Gorskiemu, gdy ten jechał do Polski. Będzie żona tego malarza, Lidya Maitland i jej brat, Florentyn Chapron, jako przedstawiciele poczęści Ameryki a nawet Afryki. Dziadek ich bowiem był tym sławnym pułkownikiem Chapron, o którym jest mowa w „Memoriale“, a który po roku 1815 został plantatorem w Alabamie. Ten stary mruk był pozbawiony przesądów i z jakąś mulatką miał syna, którego przyznał za swego i któremu zostawił ogromną podcibno ilość dolarów. Od niego idzie Lidya i Florentyn. Nie przeszkadzajże pan, już kończę. Będzie jako przedstawicielka Anglii, katoliczka i zamężna za polakiem, pani Gorska, żona Bolesława, wreszcie Paryż wcieli się w osobę sługi pańskiego. Chciałbym pana zabrać z sobą, jeśliby bowiem połączył się z towarzystwem stary pan feudalny... nicby już niebrakowało... Idziesz pan?...

— Znowu pan chcesz kłopotać moją starą, siwą głowę? — odrzekł Montfanon. — I ten człowiek nieszczęśliwy posiada talent — zawołał, mówiąc o Dorsennie, jak gdyby go nie było — napisał kilka kartek o wyspie Rhodos, godnych Chateaubrianda i otrzymał od Boga najpiękniejszy dar: poezycę, inteligencyę, zmysł historyczny. I oto, w jakim towarzystwie znajduje przyjemność!... Ale raz na zawsze racz mi wytłomaczyć, jaką przyjemność może mieć człowiek twej miary wśród

tej cyganeryi międzynarodowej, mniej lub więcej ożłoczonej, wśród której niema nikogo, coby był na swem miejscu, w swem otoczeniu właściwie, w swej tradycyi. Już nie chcę mówić o tym oszucie Hafnerze i jego córce, prowincjonalnej aktorce, ponieważ patrzysz na nią, choć jesteś powieściopisarzem krytycznym, oczami monsignora Guérilota. Ale ta hrabina Steno, mająca co najmniej ze czterdzieści lat, i dorosłą przy sobie córkę, czyż nie powinna siedzieć cicho w swym pałacu w Wenecyi i żyć uczciwie porządnie, zamiast trzymać tu pewien rodzaj salonu przechodniego, w którym ukazują się wszyscy włóczędzy europejscy, i brać kochanka po kochanku, polaka po rosyjanie, amerykanina po polaku? A ten Maitland, dla czego nie jest posłuszny jednemu dobremu uczuciu, jakie ma jego kraj, to jest wstrętowi do rasy czarnej, dzięki czemu nie znajdziesz nawet dwóch z pomiędzy jego współrodaków, którzyby to uczynili, co on uczynił, żeniąc się z kobietą-mieszkańcem, choćby nawet posiadała dziesięć milionów więcej i z pół tuzina marszałków Bonapartego w prozapii? A ta młoda kobieta, jeżeli jest oszukiwana, jakże to okropne i o wiele okropniejsze, jeśli o tem nie wie. I ta pani Gorska, ta istota uczciwa, gdyż myślę, że jest taką i prawdziwie pobożną, która przez dwa lata nie spostrzegła, iż jej mąż jest kochankiem hrabiny i która zapewne nie widzi teraz, że przyszła kolej na

Maitland! I ta Alba Steno, to dziecko dwudzie-  
stoletnie, które włączą wśród tych miłostek brud-  
nych!... A Florentyn Chapron dla czego nie  
położy końca cudzołóstwu męża swej siostry? Znam  
go dobrze. Był u mnie z powodu pomnika, jaki  
kazał wzniesić w kościele św. Ludwika na pa-  
miątkę jakiegoś swego krewniaka. Szanuje zmar-  
łych i to mi się podobało. To jedna więcej ofiara  
w tej ponurej komedyi, w jakiej pan bierzesz udział,  
pan, który wiesz wszystko...

— Ale przepraszam, przepraszam — przerwał Dor-  
senne — tu nie o to idzie, człowieku surowy...  
Mówisz, mówisz ciągle, a zapominasz o swem py-  
taniu... Chcę panu odpowiedzieć, jaką przyjemność  
znajduję w tej mozaice ludzkiej, którą ci pokaza-  
łem i nie mówmy o moralności wtedy, gdy idzie  
tylko o badanie. Nie wdaję się wcale w sądy  
o życiu, wolę mu się przypatrywać i badać i wśród  
scen, jakie ono daje, nie znam wynowniejszej,  
dziwniejszej i nowożytniejszej niż ta, gdy się  
znajdujesz w salonie, przy obiedzie, w towarzy-  
stwie, do którego teraz idę. Jesteś w gronie osób  
mówiących jednym językiem, ubranych przez je-  
dnego krawca, czytających jeden i ten sam dzien-  
nik i przekonanych, że mają te same zasady i te  
same uczucia... Tylko te osoby przybyły z roz-  
maitych okolic świata i z rozmaitych trady-  
cyj historycznych. Studyujesz je, znając z góry  
ich pochodzenie i ich nabyki dziedziczne i po-

woli, pod pokostem kosmopolitycznym, odnajdujesz rasę, nieprzepartą, niezniszczoną!... W pani domu bardzo wykwintnej, bardzo ucywilizowanej i bardzo uprzejmej, jaką jest pani Steno, znajdujesz spadkobierczynię dożów, patrycyuszkę piętnastego wieku, z przymiotami fizyologicznymi królowej mórz, z energią w żądzach i czystością w niemoralności nieporównanej, gdy tymczasem w takiej Florentynie Chapron lub w Lidy widzisz niewolnika pierwotnego, murzyna zahypnotyzowanego przez białego, istotę niezdatną do swobody, urobioną przez całe wieki niewoli. W pani Gorskij znów pod pokrywką uśmiechającej się uprzejmości, widzisz fanatyzm prawdy, który zrodził purytanów angielskich, a w Lincolnie Maitlandzie, po za nadczułością artysty spostrzegasz skwatera tęgiego i szorstkiego. Te odcienia ras dają się załedwie dostrzedz w człowieku ucywilizowanym, który mówi płynnie trzema czy czterema językami, który mieszkał w Paryżu, w Nicei, we Florencyi, tutaj, żył tem życiem wykwintnem, tak pospolitem powierzchownie i tak jednostajnem. Ale ilekroć namiętność zagra w duszy, gdy człowiek dotknięty jest do żywego, wtedy okazują się różnice charakteru, nieomal gatunków zoologicznych, o tyle godniejsze podziwu, o ile ludzie stawieni sobie do oczów pochodzą z dalszych stron. Rozgrywają się wówczas dramaty, toczą się w jednym z kątów salonu istne walki rasowe... Dla tego to — kończył pisarz z uśmiechem — prze-

pędziłem sześć miesięcy w Rzymie, nie widząc wcale rzymian, zajęty wyłącznie obserwowaniem tego małego klanu, który tak silnie pana oburza. Poraz może dwudziesty odbywam takie studia i będę je zapewne jeszcze ze dwadzieścia razy odbywał, gdyż tego rodzaju klany, będące wynikiem przypadku, przedstawiają zawsze różnice... Czy teraz raczysz mię pan usprawiedliwić, pan co mi także kłopotcesz głowę i każesz dyskutować tutaj na ulicy, jak bohaterowi romansu... A więc chodźmy, lub do widzenia...

Montfanon, słuchając tej mówki, miał minę nieoszacowaną. W swej pobożnej samotności, w której konał powoli, jak sam mówił, największą przyjemność dla niego stanowiły rozprawy. Ale przynosił do nich zapach człowieka czującego gorąco i gdy napotykał na pół ironiczny dyletantyzm Dersenne'a, tracił pewność siebie, zwłaszcza że mieli oni obaj pewne teczne wspólne, mianowicie co do dziedziczności i co do ras. Ale ta wspólność doktryn drażniła starego szlachcica i miała zarazem dlań wielki powab. Wymowna jego twarz przybrała pewien wyraz niesmaku. Mlasnął językiem z niezadowoleniem, którego ukryć nie mógł, i rzekł:

— Jeszcze jedno pytanie?... A jakież będzie rezultat tego wszystkiego, jaki cel?... Do czego pana doprowadzą w końcu te wszystkie obserwacje?..

— Do czego mię mają doprowadzić? — Do tego, że zrozumieć wszystko, jakem to już powiedział.

— A potem?

— Tu niema żadnego potem... myśl nie zna żadnych „potem“ — odrzekł młody człowiek — jest to rozpusta tak dobra jak każda inna, i ja jej się oddaję...

— Ale... przecież wśród tych ludzi, którym się przypatrujesz — rzekł Montfanon po chwilowem milezeniu — są tacy, których kochasz i tacy, których niecierpisz, którymi gardzisz i tacy wreszcie których szanujesz? Czyż nie przyszło ci na myśl, że z twoją inteligencją niepospolitą masz względem nich pewne obowiązki, że możesz im dopomódz do tego, by wartość swą podnieśli?..

— Ba! odparł Dorsenne — to jest inna kwestya i rozprawiać o niej będziemy gdzieindziej, gdyż teraz nie chcę się spóźnić... Dowidzenia!

— Dowidzenia — rzekł margrabia, rozstając się z widoczną niechęcią ze swym towarzyszem i do dał nagle —: nie wiem za co pana tak lubię, gdyż w gruncie rzeczy, jesteś także wcieleniem jednego z występków umysłowych, który mię wstrętem napawa, wcieleniem tego dyletantyzmu, tak modnego wśród uczniów „pana“ Kenana, a co bądź jak bądź jest objawem upadku. Mam wszakże nadzieję, że się z tego wyleczysz. Jesteś jeszcze tak młody!..

I przybierając znowu swój ton żartobliwy i szyderczy zawołał:

— Baw się więc dobrze na tych schodach dowolnego upadku... przytem o mało nie zapomniałem, że chciałem ci dać zlecenie do jednego z figurantów waszej koteryi. Może powiesz Gorskiemu, żem wytropił książkę, o którą mię prosił przed swym wyjazdem, dotyczącą szlachty jego kraju...

— Ależ Gorski od trzech miesięcy bawi w Warszawie w interesach rodzinnych. Wszak opowiadałem panu, że podróż ta pozbawiła go kochanki.

— Jakto — zawołał Montfanon — on bawi w Warszawie? Przecież ja go dziś rano widziałem tak jak pana teraz widzę. Przejeżdżał dorożką koło fontanny Trytona. Gdybym się nie śpieszył do tego jakobina Ribalty dla ocalenia Montluca byłbym go zaczepił. Ale obaj nie mieliśmy czasu.

— Czy tylko pan pewny jesteś, że Gorski jest w Rzymie, Bolesław Gorski?... pytał z niedowierzaniem Dorsenne.

— Cóż w tem jest dziwnego! — odparł Montfanon ciągle tym samym tonem drwiącym. Jest to przecież bardzo naturalne, że nie chciał pozostać długo zdala od miasta, w którym mieszka jego żona i metresa wczorajsza, dzisiejsza i jutrzejsza. Sądzę, że twoi słowianie i anglo-sasi nie mają także przesądów i że dzielą się sensacyami we-

neckiem z dyletantyzmem całkiem nowożytnym... Byłoby to zupełnie po kosmopolitycznemu.. No, jeszcze raz do widzenia. Zakomunikuj mu moją wiadomość, jeśli go zobaczysz, a przytem..

Tu twarz jego przybrała znowu wyraz dziecinnej radości, ilekroć mógł dokuczyć komuś, kogo nie lubił.

— A przytem nie zapomnij powiedzieć pannie Hafner, że córka jej ojca nie będzie miała nigdy, przenigdy tej książki! Jest to rzecz nie dla kiepskich aktorek i intrygantek, to... Błażej de Montluc, pan de Montluc, bohater Sienny i Rabastensu!

I śmiejąc się jak student uciekający ze szkoły, ścisnął książkę pod pachą i powtarzał: „Nie będzie jej miała, słyszysz pan — i powiedz jej o tem, że nigdy jej mieć nie będzie!”

---



## II.

### Początek dramatu.

— Oto człowiek inteligentny, który nigdy nie wątpi o swych zasadach — rzekł do siebie Dorsenne, gdy się rozstał z margrabią. Podobny jest do socyalistów silnie wierzących i nie pomalu mię to zadziwia. A to mi dopiero nagadał! jakąż ta stara, zużyta maszyna posiada świeżość duszy!

I przez jakiś czas ścigał wzrokiem, pełnym zazdrości i litości zarazem, kalekę z pod Patay kierującego się ku ulicy Propagandy. Kalectwo to czyniło wydatniejszą wysokość i chudość figury Montfanona, który szedł wyprostowany tym krokiem szybkim, właściwym maniakom. Pędzą oni za swą myślą i wcale nie patrzą na to co ich otacza. Jednakże staranność, z jaką unikał strony oświeconej przez słońce, zdradzała instykt starego rzymianina, który zna niebezpieczeństwo pierwszych blasków wiosennych pod tem niebem błękitnem i zdradzieckiem. Na chwilę Montfanon zatrzymał się, by jednemu z licznych żebraków, w których obfituje plac Hiszpański, dać

jałmużnę tym godniejszą szacunku, że przy jednej ręce obciążonej modlitewnikiem, niemało musiał ponieść trudu, by sięgnąć do kieszeni. Dorsenne na tyle znał dobrze tę osobistość oryginalną, że wiedział, iż nigdy szlachcic nie odmówi temu, kto go poprosi o wsparcie. Dzięki temu systemowi, nieprzyjaciel pięknej Fanny Hafner zawsze znajdował się w potrzebie, mimo swych czterdziestu tysięcy franków dochodu i życia oszczędnego. Samo kupno kosztowne relikwii po Montlucu świadczyło, że ta antypatya do uroczej córki barona Justusa stała się pewnego rodzaju namiętnością. W innych okolicznościach, powieściopisarz rozkoszujący się tego rodzaju obserwacjami, byłby sztychował z tego nowego objawu ducha, łatwego zresztą do pojęcia. Był to raczej instykt niewyrozumowany, czego Montfanon wcale nie podejrzewał. Stary rokoszaniu nie byłby pod tym względem konsekwentnym, gdyby w przedmiocie ras nie żywił w sobie stronniczości inkwizytora, i samo podejrzenie pochodzenia żydowskiego usposobiło go źle przeciw Fanny. Ale był on przytem wielką prawością, jak mu to powiedział Dorsenne — i, gdyby młoda dziewczyna była żydówką otwartą, wyznającą swą religią gorliwie, byłby ją szanował, unikając z nią zetknięcia i nigdyby o niej nie mówił z taką goryczą. Istotnym powodem jego antypatyi było to, że kochał kardynała Guérillot, tak jak zawsze to czynił namiętnie i zazdrośnie, i nie mógł darować pannie Hafner

że weszła w poufały stosunek z tym prałatem, pomimo że Montfanon napróżno ostrzegał dawnego biskupa klermonckiego o niej, uważając ją za najniebezpieczniejszą intrygantkę. Napróżno od kilku miesięcy dawała ona dowody czystości swych zamiarów i napróżno kardynał mówił o tem straszliwemu margrabiemu; uparty ten człowiek nie chciał wierzyć i każdy dobry uczynek nieprzyjaciółki wzmagał w nim nienawiść, budząc współcześnie niezadowolenie z samego siebie, gdyż w gruncie rzeczy czuł, że jest niesprawiedliwym.

Dorsenne nie zrobił jeszcze nawet kilku kroków w kierunku pałacu Castagna, gdy zapomniał już o pannie Hafner i o uprzedzeniach Montfanowa, zastanawiając się tylko nad jedną wiadomością jaką usłyszał od tego ostatniego, to jest, że Bolesław Gorski powrócił. Widocznie była to wiadomość niespodziewana i wzbudziła w autorze bardzo poważne myśli, gdyż nie rzucił nawet wzrokiem na wystawę księgarni francuzkiej na rogu Corso, by zobaczyć czy tak pożądaný napis „czternasty tysiąc“, znajduje się nakoniec na złotej okładce ostatniej jego pracy p. t. „Sielanka wielkoświatowa“, która ukazała się w jesieni i której powodzeniu półroczna jego nieobecność w Paryżu, zdawa od wszelkich koteryj, bardzo wiele zaszkodziła. Dalej, nie starał się weale przekonać, czy kuracya, jakiej używał na wzór lorda Byrona przeciw otyłości, nie zaszkodziła jego

kształtom eleganckim, któremi, dzięki próżności młodzieńczej, pysznił się bardzo, choć okna wystaw są bardzo liczne na drodze, którą szedł z placu Hiszpańskiego do pałacu Castagna. Pałac ten wznosi swe mury posępne nad brzegiem Tybru, na końcu Via Giulia, odpowiadając niejako wspaniałemu pałacowi Sacchetti, temu arcydziełu Sangallego. Nie oddawał się przytem zwykłej swej przyjemności, tej psrej mozaice wspomnień, jakie budzi przechadzka po ulicach Rzymu w pamięci każdego, który wiele o mieście tem czytał. A przecież w ciągu dwudziestu minut, jakich potrzebował na dojście do miejsca schadzki, postępował obok budynków, w których drzemały całe stulecia dziejów. Więc najprzód obszerny pałac Borgezów, fortepiau Borgezów, jak nazywano ten gmach w skutek formy podobnej do tego instrumentu, pomnik przepychu, w którym w dwa lata później rozegrały się sceny o wiele smutniejsze od tych, jakich widowiskiem był pałac Castagna, ruina niezasłużona, niepodobna całkiem do tej, którą spowodował hulaka kosmopolityczny Ardea. Czyż nie drżało echo całego Rzymu papieskiego w tym gmachu imponującym, ochrzczonym nazwą arcykapłana, który ukończył świętego Piotra i wypisał na frontonie obok imion apostolskich swe dumne: *Paulus V Burghesius Romanus*? Dorsenne nie rzucił nawet okiem na gmach wspaniały, nie zauważył także w die sięć minut później fasady kościoła św. Ludwika,

tego przedmiotu czei Montfanona. Jeżeli powieściopisarz nie żywił dla tej relikwii starej Francyi pietyzmu margrabiego, niemniej przeto wstępował tu zwykle, by oddać cześć literacką grobowi pani de Beaumont, temu *Quia non sunt* napisu, jaki Chateaubriand wyrył na głazie tej słodkiej umarłej, raczej przez próżność, niż przez czułość. Po raz pierwszy Dorsenne zapomniał o tem, zapomniał także rozkoszować się widokiem wodotrysku rococo na placu Navone, tego placu na którym Domicyan miał swój cyrk i który przypomina przepych okrutny Rzymu cesarskiego, jak o dwa kroki dalej, statua obłuczona Mene-lausa, wznosząca się na rogu pałacu Braschi, przypomina podbój moralny Rzymu przez artystów heleńskich — jak znów o dwa kroki dalej, wielka arterya ulicy Wiktora Emanuela zdradza usiłowanie odrodzenia Rzymu dzisiejszego — jak jeszcze o dwa kroki gmach pałacu Farnezych przypomina wielkość sztuki nowożytnej i tragedye monarchij współczesnych. Czyż myśl Michała Anioła nie zdaje się być odcisniętą na ciemnych ciosach tego olbrzymiego sarkofagu, który stał się schroniskiem ostatniego króla Neapolu? Ale na to, by się oddawać temu urokowi dyletantyzmu historycznego, którym dyszą miasta przeszłości, trzeba mieć duszę swobodną a choć Julian chwalił się nie bez pewnej zresztą słuszności, że jest wyższym nad wzruszenia, choć admirował czyjeś tam zdanie, że nie ma takich

zmarwień, którychby godzina czytania nie rozproszyła, nie miał jednak zwykłego spokoju umysłu w czasie tej przechadzki pieszej, która go wiodła do „mózżajki ludzkiej“, jak się malowniczo wyraził, i ciągle zastanawiał się nad kwestyą następującą:

Więc Bolesław Gorski powrócił? A wszak przed dwoma dniami widziałem jego żonę, która go się nie spodziewała wcześniej jak za miesiąc. Jednakże Montfanon jest przytomny... Więc Bolesław Gorski powrócił!... I to w chwili gdy pani Steno szaleje za Maitlandem, gdyż w istocie ona za nim szaleje. Przedwczoraj, w czasie obiadu, patrzała nań tak, że aż to było nieprzyzwoitem. Gorski przeczuwał to już w zimie. Gdy amerykańin miał robić portret Alby poraz pierwszy, polak temu przeszkodził. Dobry sobie jest ten Montfanon, który utrzymuje, że ci dwaj ludzie mogą się podzielić łupem... Gdy Bolesław odjeżdżał do Warszawy, Maitland i hrabina zaledwie się znali ze sobą, a teraz!... Jeżeli więc tak prędko powrócił, to znaczy, że wie, iż go kto inny zastąpił. Ktoś go ostrzegł, jakiś nieprzyjaciel hrabiny, może jaki kolega Maitlanda. Między dobrymi kolegami dzieją się niekiedy takie rzeczy. Niech sobie Gorski, który strzela z pistoletu jak Casal, zabija Maitlanda, będzie o jednego fałszywego Velasqueza mniej na świecie i obchodzi mnie to tyle akurat, co mój pierwszy artykuł literacki. Niech się mści na swej kochance za zdradę, to mi także wszystko jedno, gdyż ta Katarzyna Sto-

no jest zanadto wielką łotrzyką... Ale moja biedna przyjaciółka, moja śliczna Alba, co się z nią stanie, jeżeli będzie skandal, jeżeli krew zbryzga szaleństwa jej okropnej matki? Wszak ona chwilami ma pewne podejrzenia i to ją tak truje... Hm! Gorski powrócił!... I nie napisał do mnie o tem, do mnie, z którym tak często korespondował wczasie swej podróży, do mnie, któremu się zwierzał ostatniej jesieni ze swej zazdrości, pod pozorem że znam kobiety a w rzeczy samej przez próżność, że mi daje temat do powieści... Jego milczenie i powrót to już nie powieść ale dramat, a po takim słowianinie, tak na wskrós słowiańskim jak on, wszystkiego spodziewać się można. Będę wiedział zaraz czego się trzymać, gdyż z pewnością zajdzie on do pałacu Castagna. Uprze się towarzyszyć żonie dla tego, żeby zobaczyć o jeden dzień wcześniej swą dawną kochankę. Dawną kochankę?... nie. Ta sytuacja dyabło jest niejasna... i wolalbym go widzieć nad Wisłą, to byłoby przyjemszem!.. Biedna, śliczna Alba!...

Ten mały monolog wewnętrzny nie różnił się w niczem od tego, jakiby wygłosił w okolicznościach podobnych pierwszy lepszy młodzieniec zajęty panną, której matka źle się prowadzi. Jest to sytuacja wzruszająca, ale pospolita i wcale nie wymagała, żeby powieściopisarz studyował ją aż w Rzymie przez całą zimę i wiosnę, ze szkodą swej literackiej karyery. Jeżeli to zainteresowanie się przekraczało granice studyów, to Dor-

senne mógł bardzo łatwo zapobiedz temu, by jego „biedna przyjaciółka“, jak ją nazywał, nie padła ofiarą złego prowadzenia się matki, która mimo lat nie zmądrzała dotąd. Dla czego nie zażądał jej ręki? Posiadał on dziedziczny majątek, zwiększony znacznie przez powodzenie literackie. Od chwili wydania pierwszej książki, która zjednała mu rozgłos, książki p. t. „Studia nad kobietą“, ogłoszonej w r. 1879, żaden z jego piętnastu romansów lub zbiorów nowel nie przeszedł niepostrzeżenie. Znakomitość osobista w ostateczności mogła się zdobić jeszcze znakomitością imienia rodzinnego, gdyż dziad jego był spokrewniony z dzielnym generałem Dorsennem, którego miejsce na czele gwardyi, Napoleon mógł powierzyć jednemu tylko Friantowi. To zdaje się wystarcza. A chociaż następcy bohatera cesarstwa nigdy nie uznawali tego pokrewieństwa, Julian jednak wierzył w nie; gdy odpowiadał na komplementa co do swych prac, mówił zwykle z dobrą wiarą: „w moim wieku, mój dziad stryjeczny, pułkownik gwardyi, więcej daleko zdziałał“. Ta pretensya wątpliwa nie była konieczną, by hrabina Steno, która przez swe miłostki upadła dość nisko, przyjąć go mogła za zięcia. Co do wzbudzenia miłości w pannie, to ze swą twarzą piękną, inteligentną i pełną bystrości, ze swą postawą wytworną, którą zachować zdołał mimo trzydziestu pięciu lat, nie powinien był o tem wątpić. Nie myślał jednak wcale o tego rodzaju projektach,



gdyż wchodząc na schody pałacu niegdyś zamieszkiwanego przez Urbana VII, prowadził dalej monolog zaczęty na drodze, ten rodzaj kopii mimowolnej, która instynktownie kreśli się na mózgu człowieka, oddanego namiętnie literaturze. Przybiera ona niekiedy kształty zupełnie wykończono i jest to najgodniejszy uwagi objaw profesyjny, najtrudniejszy do pojęcia dla ludzi niewykształconych, którzy myślą mimochodem i którzy nie ulegają, na szczęście dla nich samych, nieustannej niewoli wyrazów zbyt ściśtych i myśli ściśle określonych.

— Tak, biedna, śliczna Alba! — powtarzał sobie — co za nieszczęście, że to małżeństwo z bratem hrabiny Gorską nie przyszło do skutku przed czterema miesiącami!... To wejście w rodzinę żony kochanka matki, byłoby zapewne trochę niemoralnem, ale może byłaby nie dowiedziała się o istocie rzeczy, a wygodna kombinacja, przez którą taż matka byłaby ją związała przyjaźnią z tąż żoną, w celu zaślepienia ich obojga, możeby miała dobry skutek. Alba byłaby dzisiaj lady Ardraban, wcielilaby się w to silne życie angielskie, które wzbudza moralne pragnienia, jak powietrze górkie podbudza krew, zamiast że teraz wydadzą ją za jakiego głupca tu lub gdzieindziej. Potem możeby go oszukiwała jak matka oszukiwała nieboszczyka Steno, może ze mną przez wzgląd na naszą poufalszą terazniejszą, piękną i czystą... co zresztą byłoby bardzo smutne... Ale nie myślmy

o tem! Jest to przyszłość, o której nic nie wiemy, gdy tymczasem terażniejszość istnieje i ma swo prawa.. Hrabiance zawdzięczam me najsubtelniejsze wrażenia rzymskie, to widzenie jej młodości niezbyt szczęśliwej wsiól blasków tak wielkiej przeszłości. Z takich wrażeń należy korzystać, zwiedzić ten pałac na licytaacyę wystawiony z tem ubóstwionem dzieckiem, nad którym wisi groza dramatu. Czegóż wymaga logika, jakby się pytał mój przyjaciel Beyle? Oto tego, że winienem się cieszyć, iż hrabina Steno jest rozpustnicą, gdyż w przeciwnym razie dom nie miałby tej barwy i nigdybym nie zykał zaufania córki; cieszyć się, że Ardea był hulaką i szaleńcem, że stracił majątek na giełdzie i że syndykat jego wierzycieli, pod prezydencją pana Ancona, zasekwestrował jego pałac. W przeciwnym bowiem razie nie wchodziłbym na stopnie tych schodów papieskich i nie patrzyłbym na te szczątki grobowców greckich, wmurowanych w ściany, i na tę mocną zieloność ogrodu. Co zaś do Gorskiego, to mógł on powrócić dla trzydziestu sześciu innych powodów i Montfanon na racyę, Katarzyna jest zbyt zręczną, by nie miała ich obu oszukać, jego i malarza. Przekona ona Maitlanda, że przyjmuje Gorskiego ze względu na jego żonę i dla przeszkodzenia, by ta poczciwa kobieta nie została zrujnowana przez karty. Opowie Bolesławowi, że mięliży nią i Maitlandem toczą się tylko rozprawy platoniczne o zasługach Rafaela w porównaniu z Peruginem... A ja byłbym większym

głupcem od obu tych głupców, gdybym na miejscu nie stał na czas. Nie codzień można widzieć lieytacyę majątku prawnuka papieskiego!

Ten dalszy ciąg refleksyi malował lepiej niż pierwszy istotnego Dorsenne'a i ten rodzaj dyletanizmu wyrozumowanego, z którego się wypowiedał przed Montfanonem a jaki go czynił często niezrozumiałym dla najbliższych nawet przyjaciół. Ten młody człowiek o wielkich, czarnych oczach, szeroko rozwartych na twarzy, o rysach delikatnych, z cerą oliwkową mnicha hiszpańskiego, trawionego przez ascetyzm, miał zawsze tylko jedną namiętność, zbyt wyjątkową, by nie miała zwieść zwykłych obserwatorów i rozwiniętą w sposób tak szczególny, że mogła przybierać w oczach najżyczliwszych pozory obrażające, lub też kształty egoizmu wstrętnego i głębokiego zepsucia. Dorsenne wyznał to sam otwarcie, że pragnie zrozumieć wszystko dla zrozumienia, jak gracz gra dla gry, skąpiec zbija pieniądze, karyerowiec robi karierę. Posiadał on pragnienie, smak, może manię idei, która stanowi istotę filozofów i uczonych. Ale był to filozof przyczepiony przez karyks natury do artysty a przez majątek i wychowanie do człowieka światowego i wojażera. Nie wystarczały mu wcale spekulacye oderwane metafizyków, jak mu nie wystarczało ciągle tworzenie, błyskotliwe i proste opowiadacza, który bawiąc się swą werwą, jak mu wreszcie nie wystarczały żądze zwierzęce człowieka uży-

wającego życia i rzucającego się w wir występku. Wytworzył sobie częścią instynktownie, częścią z metody, pewien rodzaj kompromisu między swymi sprzecznymi dążnościami i kompromis ten sformułował on nieco pedantycznie, mówiąc, że jedynym celem jego życia jest „uduchowienie żądań cielesnych“. Mówiąc jasniej, chciał on spróbować w życiu ludzkim wszystkich wrażeń, jakie to życie dać może, a po ich szkosztowaniu przelać je w myśl. Sądził, słusznie lub nie, że w dwóch pisarzach, których najbardziej cenił, w Goethem i Stendhalu, znajdują się także same zasady. Studya więc jego nieustanne, od czternastu blisko lat, jak zaczął żyć i pisać, polegały na przypatrywaniu się różnym sferom, które spotkać zdołał. Ale sferom tym przypatrywał się nigdy im się nie oddając, zawsze z tą myślą w głębi swego mózgu, że gdzieindziej istnieją inne obyczaje, godne zbadania, inne charaktery godne widzenia, inne osoby godne obserwacji, inne żywe wrażenia. Chwilą, w której miał je porzucić, przychodziła wtedy, gdy kończył każdą swą książkę w ten sposób komponowaną, przekonany że doświadczenie uczuciowe lub społeczne, raz opisane i wytłumaczone, nie zasługuje na to, by się dalej zajmować. Tym sposobem objawia się luzność formy i różnorodność atmosfery, że tak powiemy, stanowiące cechę jego dzieł. Weźcie np. jego pierwszy zbiorek obrazków, te „Studia nad kobietą“, które go uczyły głośnym. Jest to

utwór człowieka sentymentalnego, który źle trafił ze swą miłością i który tracił czas, biorąc ze strony poważnej, w skutek romantyczności usposobienia, uczucia nierządnie otwartych lub skrytych. Obok tego, książka p. t. „Bez Boga”, ta opowieść dramatyczna sumienia uczonego, świadczy o częstem uczęszczaniu do Muzeum, do Sorbony i Kolegium francuzkiego, podczas gdy „Pan prezes” maluje nam obraz bardzo wierny świata politycznego współczesnego, obraz, który mógł nakreślić tylko człowiek bywający stale w pałacu Burbońskim i redakcyach dzienników. Wszak pewnego poranku rozeszła się pogłoska po Paryżu, że Dorsenne jest kandydatem na deputowanego — którym jednak nie został — dla rozgłosu, jak mówili jego wrodzy, dla kaprysu, jak twierdzili przyjaciele, a w rzeczy zaś samej dla tego tylko, by doznać specjalnych wrażeń człowieka czynu Z drugiej strony, dwa tomy podróży dość pretensjonalnie zatytułowanych: „Tourisme” i „Portrety cudzoziemców”, wreszcie „Sielanka wielkoświatowa”, która się rozgrywa między Florencją i Londynem, Świętym Maurycym i Bayreutem, zdradza długi pobyt za granicami Francji przez wiwisekcyę włochów, anglików i niemców, wreszcie znajomość dokładną choć zbyteczną języków, historyi i literatury, która nie kwadruje wcale z *l'odor di femina*, bijącym ze wszystkich tych kartek. Sprzeczności owe należą do rzędu tych, które zdradzają duszę obdarowaną przymiotami dziwnie skomplikowanemi,

rzządzoną przez wolę dość stałą i trzeba to wyznać, posiadającą uczuciowość nader ograniczoną. To ostatnie zdanie może się wydać niewłaściwem wobec nadzwyczajnej, prawie chorobliwej subtelności niektórych dzieł Dorsenne'a. Jednakże tak jest w istocie. Nie miał on serca. Ale za to był bardzo nerwowy, i jeżeli serce jest koniecznem by poświęcić się nawet na śmierć, to nerwy i chorobliwe rozdrażnienie wystarczają temu, kto chce malować namiętności ludzkie, a nadewszystko miłość wraz z jej radościami i boleścią. Jakkolwiek Julian cieszył się zaledwie pół-sławą, to jednak powodzenie, jakiego doznał dość wcześnie, było powodem, że miał w swem życiu kilka przygód miłosnych. Mówiono atoli, że posiadał ich znacznie więcej, z powodu że zawsze znajdował bardzo wiele upodobania w rozmowie z kobietami. W każdym z kół, które napotykał w swej włości czędde sentymentalnej, starał się odnaleźć kobietę, któraby ześrodkowywała w sobie wszystkie wdzięki całego koła. Tym sposobem związał niezliczone stosunki poufałe. Niektóre z nich miały charakter wyraźnie cudzołóżezy, większość jednak zachowywała cechę platoniczną. Były i takie które zawierały się w granicach prostej przyjaźni, lub też jej form, jak to np. teraz było z panną Steno. W tem wszystkim była raczej miłość własna niż zapał. Każda kobieta, kochanka czy przyjaciółka, była zawsze dla niego przedmiotem ciekawości, czasem przedmiotem rozkoszy zmysłowej,

której pragnął z nią zaznać, to znów prostym modelem dla rysunku. Ale ponieważ starał się o to zawsze, by model ten nie mógł być poznany po znakach zewnętrznych, przeto nie widział winy w tem, że korzysta ze swego uroku pisarza znanego, by portretować otaczające go kobiety. Nawet nie przypuszczał, by mogło być coś złego w tym epikureizmie umysłowym, opartym na ciągłym nadużywaniu własnej i innych duszy. Odczuwał słusność, czego dowodziła obrona przed Montfanonem Fanny Hafner; był zdolnym do podziwu, jak świadczył jego szacunek dla szlachetnych przymiotów tegoż Montfanona: do litości nawet, gdyż nie byłby się interesował ciosem, który w skutek powrotu hrabiego Gorskiego spadnie na niewinną Albę Steno. Ale nagła przemiana, jaka się odbyła w jego umyśle, jedyne pragnienie dostania się na szerokie schody pałacu Castagna, była rzeczą zwyczajną u niego w podobnych okolicznościach. Nadużycie refleksyi psuło ciągle w nim uczuciowość wrodzoną, i zmartwiwszy się naprawdę z początku tą wieścią nieoczekiwaną, tym powrotem do Rzymu kochanka, oszukiwanego przez panią Steno, oddając się przez kwadrans bolesnemu niepokojowi z powodu niebezpieczeństwa, jakie ten powrót może wywołać dla Alby, zapomniał o tem wszystkim wprzód, nim zobaczył młodą dziewczynę. I zamiast się śpieszyć, co byłoby naturalnem, żeby wiedzieć przynajmniej czego się trzymać, stanął przy oknie i pisał ołów-

kiem w drobnym notatniku, który wydobyl z kieszeni, charakterem pewnym, ścisłym i czystym, takim jakim chciał, żeby był jego umysł i sztuka, następujące wyrazy nieco zabarwione czułością:

— „25 kwietnia 1890 r. Pałac Castagna.  
„Przepyszne schody zbudowane przez Baltazara  
„Peruzziego, tak długie i szerokie, z podwójnymi  
„kolumnami co każde dziesięć stopni, jak schody  
„w Santa Colomba pod Sienną. Korzystaj przede-  
„wszystkiem z widoku na ogród wewnętrzny,  
„tak zamknięty, tak ściśniony, tak porysowany  
„przez czerwone kępki kwiatów, suchą regularność  
„krzewów zielonych, linie puste alei wyspanych  
„piaskiem i szarych, iż wydaje się jakby to były  
„rysy twarzy ludzkiej. Pomysł ogrodu łacińskiego  
„go w przeciwieństwie do ogrodu germańskiego  
„lub anglo saskiego; ostatni szanuje nieokreślo-  
„ność natury, drugi cały uszeregowany, regularny,  
„nie mający w sobie nic dzikości i rządzący na-  
„wet kwiatami. Poddanie wszystkich składowych  
„części życia pojęciu jasnej całości, jest cechą  
„stałą geniuszu łacińskiego, tak odnośnie do kę-  
„py drzew jak i do narodu a nawet religii. Ka-  
„tolicyzm. Zupełnie odwrotnie rzeczy się mają  
„w rasach Północy. Głębokość tego zdania: lasy  
„nauczyły człowieka wolności...“



Zaledwie skończył pisać te słowa i zamykał notatnik, który nazywał swą spiżarnią lub ordynarniej swą spluwaczką, gdy dźwięk głosu, znanego mu doskonale, zmusił go do odwrócenia głowy. Nie słyszał wstępującej na schody osoby, która pozwoliła mu pisać, a która była jednym z aktorów jego „trupy“, że użyjemy znów własnego jego wyrażenia, jedną z osób należących do wycieczki dzisiejszej, uorganizowanej przedwczoraj u pani Steno, tą samą właśnie, którą fanatyczny margrabia potępiał najbardziej. Był to ojciec pięknej Fanny Hafner, baron Justus w swej własnej osobie. Dawny korsarz na rynkach Berlina i Wiednia, osławiony założyciel Banku austro-dalmackiego, był małym człowieczkiem, bardzo szczupłym, z oczami niebieskimi tak przenikliwymi, że trudno było wejście ich wytrzymać, z twarzą cery nieskreślonej i wyrazem jakby zamazanym. Zachowanie się jego zawsze jednako grzeczne, ubranie zawsze pełne prostoty i staranne, mowa wstrzemięzliwa i poważna, nadawały mu ten rodzaj dystynkcyi nieokreślonej, która zastępuje wyższość u tyłu starych dyplomatów. Ale awanturnik niebezpieczny zdradzał się przez wzrok, którego Hafner nie zdołał ostro nie obojętną uprzejmością. Pod pozorami człowieka światowego, za jakiego się uważał, dawała się dostrzedz pomimo wszystko w pewnych odcieniach niedających się opisać, w gorączkowym i niespokojnym wejrzeniu, dziwne czyniącem wra-

zenie w człowieku tak bogatym—przeszłość zagadkowa i ciemna, walka tajemnicza, chciwość, rachunek zimny i energia niepokonana. Fanatyk Montfanon, który tak niesłusznie czepiał się córki, co do ojca miał zupełną racją—mniej więcej zupełną, gdyż więcej jest odcieni a za to mniej stanowczości nawet w typie tak pełnym, jakim jest geszefciarz międzynarodowy, osobistość niemająca ani religii, ani rodziny, ani ojczyzny. Ale był to skutek pochodzenia. Syn żyda berlińskiego i matki holenderki, protestantki, Justus Hafner został zapisany w księgi stanu cywilnego jako należący do wyznania matki. Tylko nieszczęściem stracił tę matkę w dzieciństwie i wychowany został tak, iż jedynym jego bóstwem był pieniąż. Od ojca, podrzędnego jubilera, bardzo pracowitego i zręcznego, nauczył się handlu drogiemi kamieniami, do czego wkrótce potem dołączył koronki, obrazy, stare materye, obicia, meble rzadkie. Nieomylność wzroku, cierpliwość Niemca, złączona z cierpliwością żyda i holenderki, pozwoliły mu wkrótce zebrać znaczny kapitał, zwiększony przez spadek po ojcu. W dwudziestym siódmym roku życia, Justus posiadał najmniej pięćkroć sto tysięcy marek. Dwie nierozsądne operacye giełdowe, chęć zyskania pierwszego miliona, zrujnowały zbyt śmiałego faktora, tak że zmuszony był rozpocząć znowu odbudowanie swej fortuny przy pomocy handlu brylantami i klejnotami. Pojechał do Paryża i tutaj to, w małym i ubogiem miesz-

kaniu na ulicy Montmartre, w ciągu trzech lat zdołał zebrać nowy kapitał. Kapitałem tym obracał teraz tak zręcznie, że w r. 1870, w epoce wojny, odzyskał wszystko, co stracił. Zawieszenie broni zastało go w Anglii, gdzie ożenił się z córką agenta handlowego z Wiednia, który przybył do Londynu, w celu urządzenia wielkiego przedsiębiorstwa dostarczania żywności dla armij wojujących. Olbrzymie zyski, jakie mieli w tym roku teść i zięć, wzbudziły w nich myśl założenia banku, z głównem siedliskiem w Wiedniu i z filią w Berlinie. Justus Hafner, namiętny wielbiciel Bismarcka, założył prócz tego wielki dziennik. Ale podwójne „zadanie“ tego organu; zraziło wielkiego męża stanu; odmówił on pomocy dawnemu jubilerowi, gdy ten zamierzał wystąpić na scenę polityczną, do czego wzdychał od dzieciństwa. Był to zawód okrutny, tym razem tylko moralny, w życiu pracowitem tego człowieka, który, widząc że nie ma żadnej przyszłości w Prusach, wyniósł się ostatecznie do Wiednia. Założenie Banku austro-dalmackiego, reklamowanego w sposób niezwykły, pozwoliło mu urzeczywistnić choć jedno marzenie. Majątek jego, choć nierównający się z fortuną potężnych finansistów epoki, podniósł się z szybkością prawie bajeczną do cyfry dość wysokiej, która mu pozwoliła od r. 1879 na to zbyt kowne życie, jakie wymaga najmniej pięciukróć stu tysięcy franków dochodu rocznego. Wbrew zwyczajom giełdjarzy tego

gatunku, Hafner potrafił i zdołał zrealizować tę fortunę dość wcześnie i zabezpieczyć w zupełności swe olbrzymie zyski. Czuł się więc spokojnym, gdy nagle piorun weń uderzył w formie procesu w r. 1880, który o mało nie zrujnował nazawsze tego tak mozolnie zbudowanego gmachu. Bank austro-dalmacki runął z rozgłosem nadzwyczajnym wśród niezliczonych spustoszeń publicznych i prywatnych, oraz takich skandalów, jak samobójstwo rodziny Schroederów. Wytoczono śledztwo przeciw wszystkim założycielom, w liczbie których znajdował się Justus Hafner. Należał on do rzędu tych, których uwolniono od odpowiedzialności, ale z tak poważnemi zarzutami przeciw jego moralności finansowej i wśród tak wielkiego oburzenia publicznego, że wyniósł się z Austrii do Włoch, z Wiednia do Rzymu. Tutaj, nie dbając wcale o to co o nim mówią, zajął się urzeczywistnieniem trzeciego celu swego życia, uzyskaniem stanowiska w wielkim świecie. Po epoce chciwości, nastąpiła epoka próżności, jak to zwykle bywa u tego rodzaju ludzi. Owodwiaszy, zajął się sprawą małżeństwa swej córki, z siłą woli i rozmysłem podobnym do dawniejszych jego usiłowań i ten *struggle for high life* umiał pokryć pozorami wyszukanej uprzejmości i szlachetną postawą, jaką potrafił wyrobić w sobie. Jakim sposobem wśród tylu walk i chciwości zdołał przetworzyć się z pierwotnego jubilera i giełdźiarza podejrzanego na barona, ozdo-

bionego licznymi orderami, mieszkującego w pałacu wspomniałym, ojca pięknej córki, przyjemnego salonowca, grzecznego pana, eleganckiego sportsmena?—Jest to tajemnica tych natur stworzonych do zwycięstw społecznych, jak Napoleon był stworzony do wojny a Talleyrand do dyplomacyi. Pytanie to Dorsenne zadawał sobie ciągle i nie mógł znaleźć na nie odpowiedzi. Jakkolwiek pochlebiał sobie, że obserwuje barona z ciekawością wyłącznie naukową, mimo to nie mógł się oprzeć pewnemu uczuciu antypaty, ilekroć spotkał straszliwe oczy tego niebezpiecznego człowieka. I dziś rano, na tym skrócie schodów było mu bardzo nieprzyjemnie, że widział go jak pisał swe notatki niewinne, jakkolwiek baron przybrał lekki odcień słodkiej ironii światowca, ironii wielkiego pana protegującego artystę, co czuć było w słowach, jakimi przemówił do Dorsenne'a:

— Nie zważaj pan na mnie, kochany mistrzu—mówił. Studyujesz naturę i bardzo dobrze czynisz... Widzę, że nowa pańska powieść osnutą będzie na losach tego biednego księcia Arlea... Zmiłuj się, nie bądź dlań zbyt surowym, jak również i dla nas...

Powieściopisarz nie mógł powstrzymać lekkiego rumieńca w obec tego dobrotliwego żartu. Dotknął on go bardzo, gdyż po części miał w sobie dużo prawdy. Czyż bowiem zdołałby wytłomaczyć ten rodzaj alchemii literackiej, dzięki której miał prawo twierdzić, że nigdy nikogo nie por-

tretował, choć ani jednego wiersza nie było w jego piętnastu tomach, któryby nie był skreślony według żywych wzorów? To też odrzekł z pewnem niezadowoleniem:

— Mylisz się pan, panie baronie. Nie portretuję nikogo i nie mam zwyczaju pisać książek, patrząc przez dziurkę od klucza....

— Wszyscy autorzy tak mówią—odparł baron, ruszając ramionami z udaną dobrodusnością, którą stale teraz przybierał—i mają rację... W każdym razie jest to bardzo szczęśliwie, żeś pan musiał zrobić kilka notatek, gdyż obaj spóźniliśmy się na schadzkę, na której są panie... Jest już kwadrans na dwunastą a mieliśmy być punktualnie o jedenastej... Mogę się wprawdzie usprawiedliwić, czekałem na moją córkę...

— I cóż! nie ma jej? zapytał Dorsenne.

— Nie ma—odrzekł Hafner—w ostatniej chwili zdecydowała się inaczej... Dziś rano doznała drobnego niepowodzenia, nie udało jej się nabyć jakiejś tam starej książki. Ktoś bardzo złośliwy dowiedział się, że ma na nią ochotę i kupił ją wprzód, ale sędzę, że rzecz cała skończy się na tem, iż będzie musiała za tę fantazyę zapłacić dwadzieścia pięć luidorów więcej... Ale nie jest to istotną przyczyną. Prawdziwym powodem jest to, że córka moja zbyt jest wrażliwą i tę licytację ruchomości starej rodziny uważa za coś nadzwyczaj smutnego... Zresztą nie nalegałem na nią wcale. Cóżby to było, gdyby była znała

nieboszczkę księżnę Nicolette, matkę Peppina, gdym poraz pierwszy zwiedzał Rzym koło r. 1875? Gdybyś pan wiedział co to był za salon i jaką ta księżna była prawdziwą księżną!.. Pochodziła ona z rodu Condolmierich, potomków Eugeniusza IV, papieża z XV wieku...

— Jak też to próżność ogłupia ludzi nawet najbystrzejszych!—pomyślał sobie Julian, idąc za baronem—myśli, że ja uwierzę temu, że on był przyjmowany przez tę kobietę, „najczarniejszą z czarnych“, najtrudniejszą w wyborze gości swego salonu... Ale przytem, jakże to życie jest skomplikowane! Tego nie chcą widzieć wszyscy Montfanoni razem! Ta dziewczyna odczuwa instynktownie to samo, co ten szuan margrabia czuje przez doktrynę; ten smutny koniec szlachectwa, w obec tego ojca, w którymu widać zawsze trochę dawnego, jubilera, a który mówi o papieżach średniowiecznych, jakby o jakich rabinach... Piętnasty wiek!.. Muszę się zapytać tego starego lisa, dopóki jesteście sami, czy wie co o powrocie Bolesława Gorskiego. Jest on oddany pani Steno. Musi coś wiedzieć o czynach i zamiarach polaka...

\* Ta to właśnie przyjaźń Hafnera dla hrabiny, która u niego zasięgała rady w sprawach majątkowych, winna była powstrzymać Dorsenne'a, od tego rodzaju pytań, zwłaszcza że wiedział, iż ten człowiek go nie lubił. Baron jednym słówkiem, powtórzonem zdradziecko, mógł mu bardzo wiele

zaszkodzić w obec matki Alby. Ale powieściopisarz, jak wszyscy obserwatorowie z powołania, posiadał zdolność analizy w bardzo ograniczonym zakresie. Jego inteligencja [przenikliwa nigdy nie zdołała go uchronić od drobnych błędów języka, będących wielkimi błędami postępowania na marnej szachownicy świata. Na szczęście jedynem jego pragnieniem było używanie przyjemności i sztuka. Gdyby nie to, byłby sobie dobrowolnie narobił mnóstwo nieprzyjaciół, którzy mogli mu szkodzić w życiu. Skorzystał więc z chwili gdy baron wszedł na pierwsze piętro, oddychając ciężko, i gdzie agent licytacyi, stojąc za kratą, sprawdził bilety wejścia, i rzekł do swego towarzysza:

— Czy widziałeś pan Gorskigo po powrocie?

— Jakto! Bolesław powrócił?—zapytał Justus Hafner, nie objawiając przytem wcale zdziwienia, gdyż dodał spokojnie:—sądziłem, że jeszcze ciągle bawi w Polsce...

— Ja go także nie widziałem—odrzekł Dorsenne.

Żałował już, że rozpoczął tę rozmowę. Najrozu-  
mniej jest nie mówić pierwszemu lepszemu o pew-  
nych nowinach. Ale nieświadomość co do tego po-  
wrotu, jaką okazał najlepszy przyjaciel hrabiny  
Steno, którą widywał prawie codziennie, zbyt  
silnie zadziwiła młodego człowieka, tak że nie  
mógł się powstrzymać i rzekł: ktoś spotkał go  
dzisiaj rano, ktoś, którego prawdziwość jest mi  
znana...



Potem zapytał:

— Czy ten powrót nagły, nie budzi w panu obawy?...

— Obawy?— odrzekł baron— a to z jakiego powodu?

Mówiąc to, patrzył na autora z tym samym wyrazem obojętnym, jaki miał zawsze, ale dla tych, którzy go znali, sama ta obojętność była oznaką silnego wzruszenia. Obaj panowie, rozmawiając znaleźli się w pierwszej sali wystawy „przedmiotów sztuki należących do apartamentów J. O. księcia Ardea“— jak brzmiał katalog, a baron nie włożył na nos, jak to zwykle czynił przy najmniejszym okazie starej sztuki, swych złotych binokli. Szedł on wolno, krokiem miarowym, jak ostrożny policyant, wśród popiersi i figur tej pierwszej sali, zwanej w katalogu „Marmurową“, nie patrząc wzrokiem dawnego kupca na gobeliny zawieszane na ścianach, co świadczyło, że wiadomość powieściopisarza uważał za bardzo ważną. Ten za dużo już powiedział, by mógł przerwać rozmowę:

— Hm... proszę pana... ja nie mam tak długoletnich stosunków z panią Steno, jak pan, a jednak zadrzałem o nią, gdy mi powiedziano o tym powrocie. Ona nie wie, jak Gorski jest zazdrosny i do czego jest zdolny...

— Zazdrosny? Z jakiego tytułu?— przerwał Hafner.— Nie pierwszy to raz słyszę imię tego biednego Bolesława wymawiane obok hrabiny... Przy-

znają się, że tego dzikusa nigdy nie traktowałem poważnie i nie przypuszczałem, byś pan, bywając tak często w jej salonie, jej przyjaciel, miał pod tym względem jakie wątpliwości. Uspokój się pan... Gorski jest zakochany w swej pięknej żonie i czyni mu to zaszczyt. Hrabina Katarzyna jest doskonałością w swym rodzaju, włoszką z krwi i kości, wylaną na zewnątrz. Interesuje się nim, tak samo jak panem, jak Maitlandem, jak mną — z wylaniem naturalnem; panem, dla tego, że piszesz tak piękne książki, Maitlandem, gdyż maluje jak wasi najznakomitsi mistrze, Bolesławem, z powodu zmartwienia, jakiego doznał po utracie swego pierworodnego dziecka, mną, gdyż jestem ojcem młodej panny.. To kobieta nietylko doskonała, ale wyższa, niezwykła...

Słowa te wygłosił ze spokojem tak niezakłóconym, że Dorsenne stracił pewność siebie i został mocno podrażniony. Pewnym był, że Hafner nie wierzył temu co mówił, wiedział przecież, dzięki niedyskretnym zwierzeniom Gerskiego, czego się trzymać co do obyczajów wenezyanki i znał doskonały wzrok barona, przed którym nic się ukryć nie mogło. W każdym innym razie byłby podziwiał politykę starego wyjadacza, wywiezionego w unikaniu najłżejszych nawet podejrzeń, udającego że nie słyszał nawet o tem, o czem doskonale wiedział. W tej chwili jednak powieściopisarz uważał tę ostrożność za tem niewłaściwszą, iż kazała mu odgrywać rolę dość zwy-

kłą ale nieszlachetną: oszczercy obgadującego kobietę, u której przedwczoraj był na obiedzie. Przyśpieszył więc kroku, jak mu tylko grzeczność na to pozwoliła, nie chcąc zostawać sam na sam z baronem i pragnąc jak najprędzej połączyć się z osobami swej koteryi, które już tu były. W ten sposób wyszli z tej pierwszej sali i dostali się do drugiej, zwanej „Porcelanową“, potem do trzeciej z „freskami Perina del Vaga“, z powodu plafonu, na którym mistrz wymalował kopię swego obrazu: „Jowisz piorunujący Tytanów“, i nakoniec do czwartej zwanej „Arazzi“, z powodu przepysznie udekorowanych ścian. Zwiedzających było niewiele dla zbyt późnej pory, a wybór jej świadczył o nienawiści pana Ancony do biednego księcia, lub też o niegodnej zręczności syndykatu nabywców. Wszystkie skarby pałacu miały być sprzedane za połowę tej ceny, jakaby można było otrzymać kilka miesięcy wcześniej lub później. Ta mała liczba zwiedzających gubiła się wśród mnóstwa mebli, materyj, przedmiotów sztuki wszelkiego rodzaju, napełniających te sale obszernie. Było to zadziwiające nagromadzenie pięciuset lat potęgi i zbytku, gdzie arcydzieła godne wielkich Medyceuszów, wykonane w ich epoce, współubiegały się z błyskotkami z XVIII wieku i bronzami pierwszego Cesarstwa, lub z drobiazgami srebrnymi zamówionymi wczoraj w Londynie. Baron Justus nie mógł już wytrzymać. Nadział nakoniec swe sławne okulary i przemówił

do Dorsenne'a pokazując mu, to ciekawy fotel, to cyzelowanie na cyferblacie zegara, to haft na jakiej materji. Jedno spojrzenie mu wystarczyło do wydania sądu zwykle trafnego. Gdyby powieściopisarz był w tej chwili zdolny do czynienia spostrzeżeń, byłby może zauważył w dokładnej znajomości bankiera, ślad głębokich studyów nad katalogiem i jakieś projekta ukryte.

— Tu są prawdziwe skarby — mówił on — spójrz pan na te dwa naczynia z pokrywami okrągłemi, z tłem różowem i płaskorzeźbą złożoną; takich sztuk nie robią już teraz w Chinach. Stracono ich sekret... A ta para figurek ze starej saskiej porcelany przyozdobiona kwiatami!.. A ten płaszcz tu w witrynie... jakże przepyszny!.. Wart on jest tego, co należał do Piusa II i który skradziono w Pienza. O mało żem go nie kupił w swoim czasie za tysiąc pięćset franków. Wart on jest piętnaście, dwadzieścia tysięcy, może i więcej. O! mamy znów fajanse mauro-hiszańskie. Przywiózł je z Hiszpanii kardynał Castagna, który za Urbana VII wysłany został do Madrytu i gdzie zastępował Piusa V, jako ojciec chrzestny infantki Izabelli. Ach, co tu bogactw?... Ależ pan pędzisz jak wiatr — dodał — i może to lepiej, gdyż siedziałbym tu długo, a kawaler Fossati, przedsiębiorca, któremu okrutni wierzyciele Peppina powierzyli sprzedaż, wszędzie ma szpiegów. Jeżeliś zatrzymał się przy jakim przedmiocie i jeżeli jesteś znany jako *solider Mann*, jak mówią w Niem-

czech, zaraz cię tu zapisują. Muszę nawet już znajdować się na liście... Tyle razy mię już namawiał do kupna... ho! ho! to bardzo zręczny człowiek. Ale... otóż widzę nasze damy. Powinniśmy się byli domysleć, że one są tam.

I śmiejąc się, ale z kogo? z Fossatiego, czy z siebie, czy też ze swego towarzysza, wskazał mu kartkę przyklepioną na drzwiach pokoju przechodniego z tym napisem: „Salon kufarów małżeńskich“. W rzeczy samej, koło ścian stało tu z piętnaście skrzyń drewnianych, malowanych i rzeźbionych, tych *cassoni* tak modnych dawniej w możliwych rodzajach włoskich, w których zamykano wyprawy ślubne. Świadczyły one herbami na nich wyrytymi, jak liczne pokrewieństwa i związki miał ród Castagnów. i jak ostatni z prawnuków Urbana VII, obecny książę Ardea, kompromitował swem bankructwem całą magnaterję włoską. Trzy młode kobiety bardzo wykwintne, zajęte były oglądaniem tych skrzyń, i Dorsenne rozpoznał najprzód jasną blondynkę, wysoką Albę Steno, panią Gorską po rosłej postawie, jasnych włosach i energicznym profilu angielskiej z podbródkiem dość silnym, wreszcie śliczną panią Maitland z cerą jakby złoconą, w której odrobina krwi czarnej przyćmiła jej twarzyczkę delikatną. Florentyn Chapron, szwagier malarza, sam jeden towarzyszył tym trzem paniom. Hrabina Steno i Lincoln Maitland byli nieobecni i słychać było melodyjny głos Alby, która odczytywała napisy wy-

ryte na tarczach tych kufrow, niegdyś otwieranych z dreszczem czulej ciekawosci przez mlode dziewczeta i rozmarzone tak samo jak ona, tylko bedace w innym polozeniu:

— Patrz, Maud — mowila do pani Gorskiej — oto dab Della Roverow, a tu gwiazda Altierich...

— A ja widze kolumne Colonnow — odrzekla pani Gorska.

— A ty, Lidyo? — spytala panna Steno pani Maitland.

— Ja, znalazlam pszczoły Barberinich.

— A ja lilie Farnesich — odezwal sie Florentyn Chapron, który podniosl sie pierwszy, spozrzeglszy nowo przybylych. Powital ich wesoło ze swym dobrym usmiechem, który zdawal sie rozjasniac niebieskawe bialka jego oczow i ukazwal rzęd zębów białych.

— Nie spodziewalismy sie juz panow — rzekl. — Wszyscy nie dotrzy mali slowa. Lincoln jest w natechnieniu i nie chce opuscic swej pracowni. Zdaje sie, ze panna Hafner jeszcze wczoraj sie wymowila. Hrabina Steno chora na migrene. Nie liczyliśmy juz wcale na barona, który, jak wiadomo, nigdy sie nie spoznia...

— Ja bylam pewna, ze pan Dorsenne sie stawi na slowie — odezwala sie Alba, patrzac na mlodego czlowieka swem wejrzeniem jasnem i blykitnem — spodziewalam sie tylko, ze spotkamy go na schodach i ze powie nam ze zdziwieniem: jakto!

nie jestem punktualny? Nie tłumacz się pan i odpowiadaj na pytania z historii rzymskiej, które chcemy ci zadawać... Przechodzimy tu prawdziwy jej kurs w obec tych starych gratów... Co to za herb?—spytała młodego człowieka, zmuszając go do schylenia się nad ozdobą jednego z kufrów. Nie wiesz pan? To herb Caraffów, sławny mężu. A czy był papież w ich rodzie? Znów pan nie wiesz? Paweł IV, panie autorze... Jeżeli pan kiedy odwiedzi nas w Wenecyi, dopiero panu naopowiadam o dożach...

Słowa te wygłosiła z takim wdziękiem, była widocznie tak wesoła, co jej się, niestety! rzadko zdarzało, że Dorsenne zajęty nią silnie, uczuł ścisnienie serca. Nieobecność jednoczesna pani Steno i Lincolna Maitlanda mogła być wprawdzie przypadkową, ale młody człowiek przekonany był że hrabina kocha Lincolna i nie wątpił, że jest jego metresą, w skutek czego ta podwójna nieobecność musiała mu się wydać mocno podejrzaną. Myśl podobna w obec niewinnej wesołości młodej dziewczyny sprawiła mu przykrość. Wesołość ta przybierała cechę tragiczną, jeżeli było prawdą, że drugi kochanek hrabiny wrócił niespodziewanie, ostrzeżony przez denuncyację. To też Dorsenne z prawdziwym wzruszeniem zapytał się pani Gorskiej:

— Jakże się miewa Bolesław?

— Przypuszczam, że dobrze—odrzekła młoda kobieta—nie dostałam jeszcze dziś listu... Wszak

to wasze przysłówie: niema wiadomości, więc dobre wiadomości?

Baron Hafner w chwili gdy Maud Gorska wyrzekła te słowa, stał nieco z boku. Mimowoli Dorsenne spojrział na niego, a on, także mimowoli, choć zawsze był panem siebie, spojrział na Dorsenne'a. Teraz już nie można było czynić przypuszczeń. Powrót Bolesława Gorskiego do Rzymu, bez wiedzy żony, dla każdego, kto znał jego stosunki z panią Steno i niestałość tej ostatniej, stanowił wypadek zbyt ważne pociągający następstwa, by obu nie przyszła do głowy ta sama myśl, czy nie możnaby jeszcze zapobiedz nieszczęściu? Każdy z nich, w tych okolicznościach jak zwykle się przytrafia w ważnych zdarzeniach życia, okazał odrębność swego charakteru. Na twarzy Hafnera nie zadrzał żaden muskuł. Szło mu o oddanie przysługi kobiecie będącej w niebezpieczeństwie, kobiecie, dla której czuł przyjaźń, o ile w ogólności zdolny on był do przyjaźni. Kobieta ta była podwaliną jego położenia światowego w Rzymie a nawet była czemś więcej. Cały jego plan małżeństwa Fanny, dotąd trzymany w tajemnicy, ale blizki już urzeczywistnienia, opierał się na pani Steno. Ale sądził, że nie może oddać tej przysługi wprzód, aż przepędzi półgodziny w salach pałacu Castagna i zabrał się do użycia tego czasu jak najkorzystniej, odnośnie do zamierzonych zakupów, jeżeli nie w innych celach. Zwrócił się do pani Gor-



skiej i rzekł grzecznie, ale z pewnym naciskiem, jak to zwykł był czynić:

— Hrabino, jeżeli pozwolisz sobie dać radę, to nie zatrzymuj się przy tych kuferkach, choć one są bardzo ciekawe... Najprzód dla tego, jakiem to powiedział przed chwilą Dorsenne'owi, że kawaler Fossati, przedsiębiorca sprzedaży, ma wszędzie swą policyę... Zatrzymanie się czterech pań zostało już zauważone, bądź pani pewna, tak że gdyby pani przyszła ochota nabyć który z tych gratów, będzie on o tem wiedział i urządzi się tak, iż będziesz pani musiała dwa a może trzy razy tyle zapłacić... Zresztą mamy jeszcze do obejrzenia tyle bogactw, zwłaszcza tekę z dwunastu rysunkami najznakomitszych mistrzów, o czem Ardea nie wiedział, a które Fossati znalazł, czy państwo uwierzycie?—steżone przez robaństwo w szafce na strychu...

— Jest to wiadomość pożądana dla pańskich zbiorów—zawołał Florentyn—i dla mego szwagra.

— Więc chodźmy — rzekła pani Gorska, ze zwykłą jej dobrocią — co najmniej dwa kufry podobają mi się bardzo i chciałabym je nabyć. Powiedziałam to już tak głośno, że zapewne pański kawaler Fossati wie o tem, jeżeli w istocie urządził tak piękny system szpiegostwa... Ale czterdzieści lub pięćdziesiąt liwrów więcej, nie warte są kłamstwa... a nawet i czterdzieści tysięcy...

— Hafner powie ci, że mówisz jeszcze zbyt głośno—rzekła Alba, śmiejąc się—i doda swe zwykłe zdanie, że nigdy nie będziesz dyplomatką.

I zwracając się do Dorsenne'a, oraz cofając się za milczącą Lidyę Maitland w ten sposób by mogła zostać w tyle z młodym człowiekiem, do-  
dała:

— Ale ja chcę zostać dyplomatką, by się dowiedzieć czy masz pan jakie zmartwienie.

Ruchliwa jej twarzyczka zmieniła nagle wyraz, patrząc na Juliana, i mówiła z widocznym niepokojem:

— Tak, nigdy pana nie widziałam tak zamysłonym, jak dzisiaj. Czyś pan chory? może złe wiadomości otrzymałeś pan z Paryża? Co panu jest?

— Ja, zamysłony?—odparł Dorsenne—ale zdaje się pani, nic mi nie jest, zapewniam panią.

Było to kłamstwo bardzo niezręczne i bardzo widoczne i jeżeli kto zasłużył na przycinki i pogardę barona Hafnera, to z pewnością powieściopisarz. Zaledwie bowiem pani Gorska odezwała się, że nie wie nic o mężu, a już z szybkością człowieka wyobraźni, widział w myśli hrabinę Steno i Maitlanda schwytych w tej właśnie chwili na schadzce, widział wyzwanie a może zabójstwo, jako konieczne następstwo. A gdy Alba nie przestawała śmiać się swym śmiechem dźwięcznym, wrażenie smutnego losu tego dziecka odbiło się tak wyraźnie na jego twarzy, że

ta powlekła się posępną chmurą. Rozczulił się przytem, przekonawszy się z jej pytań, jak dalece żywi ona dla niego przyjaźń prawdziwą. Atoli usiłowanie ukrycia tego wzruszenia spowodowało, że głos jego przybrał ton nadzwyczaj suchy, tak że młoda dziewczyna rzekła:

— Rozgniewałam pana memi pytaniami?

— Wcale nie—odrzekł, nie mogąc na razie znaleźć słodszeo wyrazu. Nie był zdolny w tej chwili do rozmowy i tonem poufałości na pół żartobliwej, na pół sentymentalnej, dodał:

— Tylko cała ta wystawa wydaje mi się bardzo smutną. Ale nie traćmy sposobności i obejrzyjmy ją przy pomocy tak nieporównanego *cicerone*...

Uśmiechnął się i zmusił ją do przyspieszenia kroku i połączenia się zresztą towarzystwa, któremu wśród wspaniałości tych apartamentów prawie pustych, przewodniczył Hafner. Oglądanie trwało dalej i słychać było kolejno, to głos przytłumiony barona, robiącego uwagi nad urządzeniem całej wystawy, to dźwięczny głosik kobiet, zadających pytania.

— Czy widzicie państwo—mówił dawny handlarz starzyzną, zmieniony w wykształconego amatora—czy widzicie, że od chwili gdyśmy się znaleźli w salonach przyjęć, ten szarlatan Fossati usunął wszystkie cacka... Fotele zapraszają nieomal, by na nich usiąść. Znane one są dobrze. Odrysowano je w jednym z „Przeglądów“ sztuki

dekoracyjnej, wychodzącym w Paryżu... Czyż patrząc na tę salę stołową, zastawioną talerzami i naczyniami ze srebra i złota, nie można sądzić, że uroczystość zaraz się rozpocznie?

— Baronie—odezwała się pani Gorska—spojrzno pan na tę tkaninę... wszak prawda, że ona pochodzi z XVIII wieku?

— Baronie—pytała pani Maitland—ta filiżanka z przykrywą jest ze starej wiedeńskiej porcelany, a może z Capodimonte?...

— Baronie—mówił Florentyn Chapron—czy ta teka z herbami jest robotą florencką czy też medyolańską?...

I binokle poruszały się na małym, ruchliwym i garbatym nosie barona, drobne oczy przymykały się, usta wydymał i odpowiadał tak trafnie, jak gdyby zbadał drobiazgowo wszystkie szczegóły katalogu—i zaraz potem następowało podziękowanie i znów inne pytania, wśród których nie słychać było tylko głosów Alby Steno i Dorsenne'a. W innych okolicznościach byłby się starał ten ostatni rozproszyć wzrastający smutek młodej dziewczyny, która nie odzywała się teraz wcale, od chwili gdy odepchnął jej zaniepokojenie przyjacielskie. W gruncie rzeczy nie przywiązywał on do tego wielkiej wagi. Te przejścia z nadzwyczajnej wesołości do nagłego smutku były tak zwykłe u hrabianki, zwłaszcza w obec niego! Jakkolwiek było to niezaprzeczoną oznaką uczucia bardzo żywego, młody człowiek jednak

usiłował widzieć w tem tylko oznakę nerwowości a zresztą zbyt był zajęty czem innym. Zastanawiał się nad tem, czy na wszelki wypadek, w obec tego co powiedziała pani Gorska, nie byłoby dobrem uprzedzić Lincolna Maitlanda o tajemniczym powrocie jego iywala. Może dramat jeszcze się nie rozegrał i jeżeli osoby zagrożone będą wiedziały o stanie rzeczy, może się on wcale nie rozegrać. Hafner bezwątpienia ostrzeże hrabinę Steno. Ale kiedy ją zobaczy? Gdy tymczasem on, Dorsenne, może zaraz powiedzieć o wejściu na scenę Gorskiego szwagrowi Maitlanda, Florentynowi Chapron, którego widział w tej chwili jak spoglądał swym pięknym i czułym wzrokiem wiernego niewolnika, na wszystkie przedmioty tej wystawy książęcej. Krok to byłby nadzwyczajnie niewłaściwy, ale Julianowi takim się nie wydawał. Pozostawał on pod wpływem tego dręczącego uczucia oczekiwania, które pozabawia zimnej krwi ludzi nerwowych a zwłaszcza pisarzy, przywykłych już przez samo swe zajęcie do tego, że niezdolni są rozróżnić rzeczy możliwych od rzeczywistych. Prócz tego stosunki między Florentynem Chapronem i Lincolnem Maitlandem miały cechę osobliwszą i zbyt w swym czasie zainteresowały one powieściopisarza, by teraz, w chwili nadzwyczajnych obaw, nie przypomniały mu się w zupełności. Wiedział on, że Florentyn, oddany w młodości do jezuitów w Beaumont w Anglii, przez ojca chcącego uchronić go

od upokorzeń, jakie byłby znosił w Ameryce z powodu swej krwi, zaprzyjaźnił się mocno z Lincolnem, wychowywanym także w tej szkole. Wiedział, że ta przyjaźń dla kolegi szkolnego zmieniła się w entuzjazm dla artysty, gdy talent począł się objawiać w dawnym przyjacielu. Wiedział, że małżeństwo, oddające majątek Lidy na usługi rozwoju tego talentu, było owocem tego entuzjazmu w chwili gdy Maitland, zrujnowany złym zarządem matki, i zbyt mało jeszcze znany, by mógł żyć z pensji, był pogrążony w rozpacz. Wyjątkowy charakter tego małżeństwa byłby zadziwił nawet człowieka mniej troszczącego się o osobliwości moralne, niż Dorsenne. Zauważył on dobrze milezenie i usunięcie na drugi plan tej siostry i uważał ją wprost za ofiarę. Sądził, że cześć dla chwały szwagra zaślepiła Florentego tak dalece, że był pierwszym czynnikiem tej ofiary.

— Dramat za dramat — rzekł do siebie po długiej walce wewnętrznej w chwili gdy oglądanie miało się ku końcowi — wolę, żeby się on rozegrał w tej, niż w tamtej rodzinie. Wyrzuciłbym sobie całe życie, gdybym nie zrobił wszystkiego co mogę...

Znajdowano się właśnie w ostatniej sali i baron Hafner kończył zawiązywanie swemi dłońmi i ruchliwymi palcami tasiemki albumu z rysunkami, które przyniósł jeden z oficyalistów sprzedaży, gdy postanowienie to dojrzało ostatecznie

w umyśle młodego człowieka. Alba Steno, ciągle milcząca, spojrzała znów na niego wzrokiem zdradzającym walkę wewnętrzną między miłością dla niego a obrażoną dumą. Chciała zapewne, w chwili gdy się mieli rozłączyć, zapytać go według poufałego i słodkiego zwyczaju, kiedy się znów zobaczą. Nie dostrzegł tego, jak nie dostrzegł wejrzenia barona, który mu zdawał się mówić, by był bardzo ostrożny, jak nie słyszał słów pani Gorskiej, która nakoniec zauważywszy smutek Alby, widziała jego przyczynę a może dawno już odgadła w sercu—jak nie zaobserwował zachowania się pani Maitland, której źrenice ciskały niekiedy blaski zdradliwe—wszystkiego tego Dorsenne nie dostrzegł, tylko wziął pod ramię Florentyna i rzekł dość głośno:

— Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie o maleńkim portrecie, który zauważyłem w sąsiedniej sali...

I gdy się obadwaj znaleźli przed płótnem, które posłużyło za pretekst do tej rozmowy na osobności, rzekł cicho:

— Dowiedziałem się dziś rano o nowinie bardzo dziwnej. Wyobraź pan sobie, że Bolesław Gorski jest w Rzymie i jego żona nic o tem nie wie...

— W istocie jest to dość dziwne—odrzekł zwagier Maitlanda i po chwili dodał spokojnie: czy jesteś pan tego pewnym?...

— Jak najpewniejszy — odparł Dorsenne. Jeden z moich przyjaciół, margrabia Montfanon, spotkał go dziś rano.

Zapanowało znowu milczenie i Julian uczuł, że ramię, które trzymał, zadrżało. Potem skierowali się ku reszcie towarzystwa i Florentyn rzekł głośno:

— Jest to bardzo ładny obraz, tylko nieszczęściem zepsuty przez pociąganie go werniksem:

— Miałem rację! — pomyślał Julian — zrozumiał mię...



### III.

#### Bolesław Gorski.

Nie upłynęło dziesięciu nawet minut po rozmowie Dorsenne'a z Florentynem Chapron, gdy nieroztropny powieściopisarz zadał sobie pytanie, czy nie byłoby rozsądniej nie mieszać się wcale do sprawy, dla której jego wdanie się było całkiem bezużytecznem. Obawa nieuniknionego dramatu, która nim owładnęła zrazu w skutek rozmowy z Montfanonem i w skutek przekonania się, że pani Gorska nie wie o powrocie swego męża — ta przerażająca i nieprzeparta wizya ukrytego pokoju, nagle zbroczonego krwią, znikła przez najprostszy zbieg okoliczności. Całe towarzystwo udzielało sobie nawzajem wrażeń, wyniesionych ze smutnych i pysznych salonów Castagna i schodziło po szerokich pięknych schodach z kolumnami, przez okna których uśmiechał się pod słońcem pałacem, wśród ciemnej zieleni i błyszczących kwiatów, mały ogród, który Dorsenne porównał do twarzy ludzkiej. Młody człowiek postępował nieco przodem, obok Alby Steno, którą usiłował

teraz naprózno rozweselić i spędzić chmury z jej twarzyczki. Nagle, na ostatnim zakręcie szerokich i długich schodów, łagodnie się zniżających, twarzyczka ta rozjaśniła się zdumieniem przyjemnem. Hrabianka wydała lekki okrzyk i zawołała:

— Otóż, moja mama!

I Julian spostrzegł tę panią Steno, którą przed chwilą widział w myśli w przystępie nierozumnego niepokoju, napadniętą, sponiewieraną, zabita przez kochanka zdradzonego. Stała ona na mozaice szarej i czarnej przedsiönka, ubrana w wytworną i zręczną toaletę poranną z kurtu angielskiego. Jej złociste włosy ukryte były pod wielkim kapeluszem z kwiatami, owiniętym w białą woalkę, palce bawiły się rączką srebrną i cyzelowaną parasolki białej i w odblasku tej białości, ze swą śliczną cerą jasną a oczami błękitnymi, w których drżała namiętność i inteligencya, z zębami śnieżnej białości ukazującemi się przy uśmiechu, z figurą zgrabną, mimo zbytnej wydatności biustu, wydawała się tak młodą, tak rześką, tak mało dotkniętą przez czas, że niktby nie przypuścił, że jest matką tej dorosłej córki, która już stała przy niej i mówiła:

— Co za nieroztropność! Byłaś tak cierpiąca dziś rano i wyszłaś na takie słońce. I dla czego?

— Dla tego, żeby cię zabrać i zawieźć do domu — odrzekła hrabina wesoło. — Wstydziłam się leżeć w łóżku, wstałam i przyjechałam tutaj, Dzień

dobry, panie Dorsenne. Spodziewam się, żeś pan wszystko obejrzał tam, na górze. Na tej historii Ardei można osnuć cały romans. Opowiem ją panu później... Dzień dobry, Maud. Jakżeś grzeczna, żeś nieco rozruszała tego leniwca Albę! Inaczejby wyglądała, gdyby codziennie rano pochodziła trochę... Dzień dobry, panie Florentynie. Dzień dobry, Lidyo. A mistrza nie ma?... ach, stary mój przyjacielu, cóżes zrobił z Fanny?...

Rozdzielając dokoła te proste powitania, zdołała nadać im tyle wdzięcznych odcieni, uśmiech różny dla każdego — pełen czułości dla córki, inteligenty dla autora, wdzięczny dla pani Gorskiej, przyjaźnie zdziwiony dla Chaprona i pani Maitland, familiarny i poufny dla „starego przyjaciela“, jak nazwała barona; była tak widoczną duszą tego małego towarzystwa, że jej obecność sama wzbudziła niejako ożywienie we wszystkich oczach. Wszyscy zaczęli jej razem odpowiadać i ona też każdemu odpowiadała idąc ku powozom, które czekały na dziedzińcu tak obszernym, że mogło się na nim pomieścić dwadzieścia karet. I powozy te jeden po drugim podjeżdżały: mały Hafnera, obszerny pani Gorskiej, wiktorya pani Maitland. Konie uderzały kopytami, zaprzęgi błyszcząły. Lokaje i woźnice w liberyach strojnych, szwajcar pałacu Castagna w długim surducie, na guzikach którego widać było herby tego rodu, w kapeluszu ugalonowanym, stał w takiej postawie wspaniałej, że Julianowi odrazu wydała się

śmieszna myśl o dramacie pełnym namiętności i krwi wobec takich ludzi. Został on na końcu i patrząc na ten odjazd, znowu doznał tego uczucia, tak zwykłego u tych wszystkich, którzy znają odwrotną stronę przepychu światowego i którzy widzą w nim nędzę moralną i głupotę — uczucia wesołości szyderskiej i wyrozumiącej zarazem.

— Byłeś głupcem, przyjacielu Dorsenne — mówił do siebie, siadając demokratycznie do fiakra otwartego, zwanego w Rzymie „baryłką“ — obawiałeś się awantury tragicznej dla tej kobiety, która tak włada sobą — jestto to samo, jakbyś miał ochotę rzucić się do wody dla wyratowania rekina. Jeżeli na jej ustach nie spoczywał pocałunek Maitlanda a w oczach cały ogień przed chwilą użytej rozkoszy, no! to ja nie znam się na tem!... Wracała ze schadzki. Widziałem to w jej ubraniu wygodnem, w rumieńcach jej policzków, w tych małych trzewieczkach, które tak łatwo zdjąć można. A z jakąż maestryą kłamał córkę, panią Gorską. panią Maitland jakże szybko wzięła na wędkę! Oto, dla czego nie lubię teatru. Gdzie znaleźć artystkę, któraby potrafiła takim tonem zadać pytanie: „a mistrza niema?“

Zaczął się śmiać głośno, a że mózg jego musiał wymyślać sytuacje charakterystyczne, więc myśl wolna od wszelkiej obawy, puściła się nową drogą, przyczem używał wyrażeń familijnych zamiast kosmopolitycznych, pochodzenia niemieckiego, dla określenia głupstwa w postępowaniu.

— Piękną, jakby powiedział Napier, zrobiłem *schlemyladę*, mówiąc Florentynowi o powrocie nagłym Gorskiego. Lepiej było poprostu powiedzieć mu, że Maitland jest kochankiem hrabiny... Chciałbym być jednak przy rozmowie obu szwagrów. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybym się dowiedział, że ten murzyn do nabycia, jest powiernikiem swego pana. Jest to przedmiot godny pendzla, i nigdy jak należy nieodmalowany, ta przyjaźń namiętna takiego Tatteta dla Musseta, takiego Eckermanna dla Goethego, takiego Asselineau dla Baudelaire'a, to zupełne zatopienie się admirującego w admirowanym. Florentyn osądził, że gieniusz jego wielkiego malarza potrzebuje majątku, więc oddał mu majątek siostry. Jeżeli osądzi, że gieniusz ten potrzebuje dla swego rozwoju miłości, to postara się o nią natychmiast... Słowo honoru daję! patrzył przed chwilą na hrabinę z wdzięcznością. A zresztą, dla czego by nie miał tak patrzeć! Lincoln jest kolorystą pierwszorzędnym, jakkolwiek rzucił się na drogę naśladownictwa przez schlebianie modzie. Ale to już leży w jego krwi. Młoda pani Maitland jest tak głupia jak stołowe nogi, a pani Steno należy do rzędu kobiet nadzwyczajnych, stworzonych jakby na to, by ożywić siłę twórczą artysty. Portret Alby jest arcydziełem... Jakbym słyszał rozmowę, toczącą się teraz: wiesz, polak powrócił. — Jaki polak?... a ten, twej hrabiny. — Jakto, i ty wierysz tym oszczerstwom?... Wspaniale będzie wy-

glądał Maitland, wygłaszając to zdanie nieuniknione... A! ileż komedyj na tym świecie! Masz tobie, ten dorożkarz także zrobił schlemyladę. Mówiłem mu: jedź na ulicę Sistina, około Trójcy św. a on jedzie przez plac Barberini. To moja wina. Nic nie widzę, gdy poczynam oddawać się moim myślom. Przypatrzmyż się przynajmniej Trytonowi Berinniego, jak pryska wodą. Jakże genialny to był rzeźbiarz, choć zawsze fałszował naturę. I oddaj się tu potem sztukom pięknym!..

Te uwagi bezładne, w czasie których powieściopisarz znowu przejechał trzecią część Rzymu, streszczały się ostatecznie w pewnym optymistycznym poglądzie na świat i życie, gdy dorożka zatrzymała się na miejscu wskazanem. Była to trzeciorzędna restauracja ze znakiem na wskróś toskańskim: *Trattoria al Marzocco*. I ten Marzocco, lew symboliczny Florencyi, był wyobrażony po nad drzwiami, opierającym łapę na tarczy zdobnej w lilie narodowe. Wygląd tego znaku nie usprawiedliwiał zupełnie wyboru, jaki zrobił wykwintny Dorsenne, jedząc tu zawsze, ilekroć nie był gdzie zaproszony na obiad. Ale dyletantyzm jego znajdował przyjemność w takich nagłych skokach z jednej sfery do drugiej, a jego moc Egisto Brancadori, właściciel *Marzocco*, należał do rzędu tych bezwiednych komików, jakich Dorsenne napróżno szukał w życiu rzeczywistem, i których nazywał „thebainami“, przypominając sobie króla Leara. „Chcę jeszcze słówko powiedzieć

temu uczonemu Thebainowi“, woła, niewiadomo dla czego, król oszalały, gdy spotkał biednego Toma błędzącego wśród pustkowie. Należy tu dodać, że jeżeli przyjaciele paryzcy Dorsenne'a, panowie Casal, Machault i de Vardes, ci zwykli goście przy stole klubu, nie sądzili zbyt surowo tego Thebaina osiedlonego we Florencyi, to dla tego że był on wybórnym kucharzem i skromna restauracya miała swoją sławę. Przytem tak paradoksalnego obserwatora, jakim był Julian, bawiła ona wybórnice. Mawiał on często:

— Któżby się ośmielił napisać kiedykolwiek prawdziwą historyę? Taką np.: papież Pius IX prosił cesarza Napoleona III, by mu dał trochę wojska dla osłony jego państwa; ten ostatni zgodził się na to i okupacya miała dwa rezultaty: nienawiść połowy Włoch do Francyi i założenie *Marzocco* przez Egista Brancadori, zwanego Thebain lub doktor.

Był to żart powieściopisarza, który utrzymywał, że wyleczył się z kataru żołądka we Włoszech, dzięki uczonej i zdrowej kuchni rzeczzonego Egista. W rzeczy zaś samej Brancadori był dawniej kucharzem u wielkiego pana ruskiego, jednego z Werekiewów, kuzyna prawdziwego ojca pięknej Alby Steno. Ten Werekiew miał w Rzymie sławę z powodu swych wykwintnych obiadów i zmarł nagle w r. 1866. Kilku bywających stale w jego domu, za radą pewnego oficera francuzkiego z armii okupacyjnej, znudzonego jedzeniem

klubów, hoteli i restauracyj, złączyło się razem i postanowiło zużytkować kucharza nieboszczyka Werekiewa. Założyli oni wraz z nim, w niewielkim lokalu, małą garkuchnię, którą śmiało mogli byli zatytułować restauracją klubu kuchennego. Dając najmniej szesnaście potraw za siedem franków na głowę, mieli przez cztery lata stół wykwintny, przy którym zasiadali wszyscy podróżnicy znakomitsi, którzy bawili w Rzymie. Rok 1870 rozproszył to małe towarzystwo łakomeców, i koło zamknięte zmieniło się w restaurację, mało znaną i to tylko przez artystów i dyplomatów, których sprowadzała tu tradycya dawnej chwały i talentów „doktora“. Bardzo często wszystkie trzy niewielkie salki zakładu były przepełnione koło godziny ósmej białemi krawatami, białemi kamizelkami i frakami. Dla kosmopolity Dorsenne'a, przedstawiało to wszystko wielką rozrywkę; w jednym kącie siedziało tu poselstwo angielskie, w innem ruskie, gdzieindziej dwaj *attachés* niemieccy, dwaj sekretarze francuzcy przy stolicy apostolskiej, dwaj inni przy Kwirynalu. Najwięcej jednak zajmowała powieściopisarza rozmowa „doktora“ samego, genialnego Brancadori, który nie umiał ani czytać, ani pisać. Pamiętał on wszystkich swych gości dawnych i gdy miał do kogo zaufanie, stawał na progu swej kuchni, której czystość czyniła go niesłychanie dumnym, opowiadał anegdoty rzymskie z czasów swej młodości. Jego ruchy człowieka niewy-



kształconego, tak odpowiednie do charakteru opowiadania, twarz ruchliwa i sposób wymawiania toskański, to narzecze delikatne, które zamienia w *h* każde twarde *c* między dwoma samogłoskami, nadawało pewien wdzięk jego opowiadaniu, którem zachwycać się musiał każdy lubujący się w plotkach miejscowych. Zwłaszcza rano, gdy jeszcze nie było nikogo w restauracyi, porzucał on chętnie rądle dla gawędy i Dorsenne, dając adres Marzocco dorożkarzowi w chwili opuszczenia pałacu Castagna, miał nadzieję, że stary kucharz naszkicuje mu według siebie historię upadku Ardei. Jakoż w rzeczy samej Brancadori stał przed kontoarem, gdzie tronowała jego siostrzenica, signorina Sabatina z piękną twarzą florencką, z brodą nieco za długą, czołem trochę za szerokim, nosem zbyt krótkim, ustach zmysłowych, oczach dużych czarnych, cerą śniadą, włosami obfitymi, przypominająca uderzająco typ ulubiony starszego Ghirlandajo.

-- Wuju—zawołała dziewczyna ujrawszy Dorsenne'a—gdzieś podział list, który przyniesiono dla księcia?...

We Włoszech każdy cudzoziemiec jest księciem lub hrabią i głęboka prostota zwyczajów nadaje temu tytułowi pewną uprzejmość, całkiem pozbawioną obrachunku. Niema kraju pod słońcem, w którymby panowała prawdziwsza i uprzejmiej-sza familiarność między różnemi sferami społecznymi, i Brancadori dał jej zaraz dowód, nazy-

wajac *caro lei*, to jest „mój drogi“ tego, któremu siostrzenica nadała tytuł książęcy, i zawołał szukając po kieszeniach kurtki wełnianej, jaką nosił na urzędowym fartuchu:

— *A testa bianca spesso cervello manca.* <sup>1)</sup> Włożyłem go do kieszeni ubrania, żeby o nim nie zapomnieć... Zmieniłem ubranie, bo mi było za gorąco i list zostawiłem w mieszkaniu...

— Poślesz pan po niego po śniadaniu—odrzekł Dorsenne.

— Nie—odparła młoda dziewczyna—pójdę po niego, to blisko ztąd. Szwajcar pałacu, w którym mieszka Jego Ekscelencya, przyniósł go tutaj sam i nalegał, by go zaraz oddać...

— A więc poszukaj go pani—odrzekł Julian, uśmiechając się na to uszlachcenie jego domu i osoby—poczekał tutaj i pomówię z doktorem, dopóki mi nie zapisze recepty dzisiejszej, to jest tego co jest na śniadanie. Zgadnij, Brancadori, zkąd powracam?—spytał, pewny, że tym sposobem, podbudzając ciekawość kucharza, zmusi go do gawędy — wracam z pałacu Castagna, który ze wszystkim co w sobie zawiera, wystawiono na licytację...

— Ach *per Bacco!* zawołał toskańczyk z widoczną boleścią na swej starej, pargaminowej twarzy, wypieczonej na ogniu czterdziestu fajerek—jeżeli to nieboszczyk książę Urban widzi

<sup>1)</sup> Głowa biała często traci przytomność.

na tamtym świecie, to przysięgam panu, że mu serce pęka... Poraz ostatni, gdy tu był na obiedzie, jest temu z dziesięć lat, było to w sam święty Józef, tak do mnie powiedział: „Egisto, zrobisz mi ciastka owocowe, takie same jakieśmy to niegdyś jadali z panem d'Epinay, panem Clairni, Fortuny i tym biedakiem Henrykiem Regnault“. Był taki zadowolony! Poczem rzekł znów do mnie: „Egisto, mogę już umrzeć. Mam tylko jednego syna, ale zostawiam mu sześć milionów i pałac. Gdyby to był Gigi, byłbym trochę niespokojny, ale Peppino...“ Gigi, to był drugi syn, starszy, który umarł, trochę hulaka—który tu co, dzień przychodził za czasów owych panów, dzielny chłopiec, ale powiadam urwis, no!... Trzeba go było słyszeć jak opowiadał swą bytność u Piusa IX, kiedy nawrócił pewnego anglika. Tak, Ekscelencyo, on go nawrócił, pożyczając mu przez pomyłkę książkę do nabożeństwa, zamiast romansu. Anglik ten wziął książkę, przeczytał ją, potem przeczytał drugą, trzecią i został katolikiem. Gigi, który nie był bardzo dobrze widziany w Watykanie, pobiegł tam pochwalić się tym czynem zaszczytnym przed Ojcem Świętym... „Widzisz, mój synu,—rzekł Pius IX—że Pan Bóg, Pan nasz, posługuje się nieraz różnemi środkami!“... O, ten przynajmniej byłby zjadł, bawiąc się wybornie, te swoje miliony, ale Peppino!... Wszystko zabrały podpisy. Przecież to był książkę Ardea i to nazwisko warte było miliony. Grał

na giełdzie, tracił, odgrywał się, znów tracił i ciągle tylko podpisywał i podpisywał... Ja także podpisuję lecz i ile razy robił ten ruch...oto taki jak ja robię teraz moim ołówkiem, tylko że ja nie umiem podpisać swego nazwiska—to zawsze dyabli brali sto lub dwakroć sto tysięcy franków... A teraz musi opuścić swój dom i lepiej zrobi, gdy nawet Rzym opuści... Cóżby on tu robił, Ekscelencyo, pytam się pana?

I potrząsając głową, dodał:

— Powinien odbudować majątek zagranicą... W Toskanii to my sobie tak mówimy: że ten co trwoni złoto rękami, musi go potem szukać nogami... A i otóż i Sabatina. Zwinna ona jest jak kotka.

Ruchy nieocenione pocziwca, przysłowia, to wspomnienie uroczystości św. Józefa, zdanie lubiącego żartować Piusa IX, powtórzone tonem starego papieża, oryginalny rysunek dziedzica Castagnów podpisującego ciągle, to prostackie wyjaśnienie jego ruiny, bardzo zresztą prawdziwe—zabawiło szczerze Dorsenne'a. Znał na tyle język włoski, że mógł ocenić odcienia językowe tego człowieka gminu. Ale czyż pochodząc z Florencyi należy się do gminu? Śmiał się więc jeszcze w najlepsze, gdy madonna wyrwana ze starych fresków, jak niekiedy nazywał młodą dziewczynę, wręczyła mu kopertę, której adres natychmiast zmienił jego uśmiech w skrzywienie przykre.

Odepchnął ręką jadłospis, który mu podał stary kucharz i rzekł opryskliwie:

— Wątpię, czy będę jadł śniadanie...

Poczem otworzywszy list, zawołał:

— Tak, nie mogę... do widzenia!...

I wybiegł widocznie wzburzony i z takim pośpiechem, że wujaszek i siostrzenica spojrzeli na siebie z uśmiechem. Ci prawdziwi południowcy nie mogli przypuścić, by taki piękny młody człowiek, jak Dorsenne, miał inne troski niż sercowe.

— *Chi ha l'amor nel petto*—rzekła signorina Sabatina.

— *Ha lo spron nei fianchi*—odpowiedział wuj.

Te naiwne przysłowia, które porównują do ostrogi kłującej konia, uczucia jakich doznajemy przy miłości, nie mogły się stosować do Dorsenne'a. Z drugiej jednak strony miały one pewną słusność i powieściopisarz biegnąc ulicą Sistina, jasno oblaną przez słońce, które zwiększało jego nastrój nerwowy, mówił do siebie:

— Nie, co do tego, to nie! nie chcę się mieszać do tej sprawy i powiem mu to głośno i stanowczo...

I brał znów list, którego czytanie wzbudziło w nim taki niepokój, o wiele silniejszy od tych, jakich doznawał rano. Nie omylił się wcale poznając na kopercie pismo Bolesława Gorskiego, który w słowach następujących, przerażających

tajemniczością w tego rodzaju okolicznościach, pisał:

„Wiem, że jesteś tak dalece moim przyjacielem, „drogi Julianie, i mam tyle szacunku dla twego „charakteru rycerskiego i tak na wskrós francuzkiego, że postanowiłem udać się do ciebie w je- „dnej z najtragiczniejszych okoliczności mego „życia. Potrzebuję się z tobą zobaczyć „natych- „miast“ i oczekuję cię w twym domu. Takż sam „list posyłam do klubu myśliwskiego i do księ- „garza na Corso, oraz do twego antykwaryusza. „Gdziekolwiek cię znajdzie moje wezwanie, rzucaj „wszystko i przybywaj. Ocalisz mi więcej niż „życie. Z powodów, które ci wyłożę, powrót mój „zachowuję w tajemnicy. „Nikt, ale to nikt, prócz „ciebie, o tem nie wie. Nie mam potrzeby więcej „pisać do takiego jak ty przyjaciela i ściskam „cię serdecznie.

*B. G.*“

— Doskonały sobie jest! wołał Dorsenne, gniotąc ten list ze wzrastającym gniewem. Ściska mię serdecznie!... Jestem jego przyjacielem!... Jestem rycerski, francuzki, jedyną osobą, którą szanuje!... Zapewne chce mi dać jakieś polecenie, arcy nieprzyjemne! Chce mię wpakować w jakiś kłopot, jeżeli mię już w niego nie wpakował!... Znam ich, tych jegomościów... Tu idzie o śmierć i życie, czy nie tak? Oddaj mi przysługę!... Za-

kłócą ci twoje przyzwyczajenia, kradną ci czas, mieszają cię do dramatów, a gdy im powiesz: nie!... to cię oskarżają o egoizm i zdradę!... Ale to moja wina, po co słuchałem jego zwierzeń? Czyż nie wiem o tem oddawna, że człowiek, który ci opowiada o miłostkach i którego tyle znasz co ja Gorskiego, należy do motłochu, jest kiepskim aktorem i szaleńcem a stosunki z nim są niemożliwe... Bawił mnie z początku opowiadaniem szczegółów o swej miłostce, „nie wymieniając osoby“, jak to zwykle bywa. Bawił mnie dalej przez swe zabiegi, by mi ją wymienić, nie narażając tego co ludzie nazywają honorem w wielkim świecie. I kobiety wierzą temu honorowi i tej dyskrecyi!... Zresztą był to jedyny sposób wolnego wstępu w każdej chwili do pani Steno i zbliżenia się do Alby... Zdaje mi się, że drogo zapłacę me umizgi rzymskie... Zobaczą to zaraz. Jeżeli Gorski jest Polakiem to ja jestem lotaryńczykiem. Jest przecież o nas przysłowie i potomek kasztelanów nie zmusi mię ani do jednego kroku, ani do jednego ruchu, któryby mi się nie podobał.

W takim usposobieniu i z takim postanowieniem Julian wszedł w bramę swego domu. Jeżeli ten dom nie był pałacem, jak go nazywała signorina Sabatina, nie był także pospolitemi koszarami nowożytnymi, jakie dziś mnożą się w Rzymie nowym, podobnie jak w Paryżu współczesnym, jak wreszcie w Berlinie i na pewnych uli-

cach Londynu, zabudowanych w ostatnich czasach w okolicach Hyde Parku. Był to stary budynek, wzniesiony na placu św. Trójcy, przy rogu ulicy Sistina i Gregoriana. Jakkolwiek zamieniony na prosty pensjonat mieszczański, dom ten, ma swe przezwisko, zaznaczone w niektórych przewodnikach i jak wszystkie kąty starego Rzymu, zachował ślady wspaniałej legendy artystycznej. Mała kolumnada przedsiönka, nadała mu nazwisko *tempietto*, albo małej świątynki, i wiele osób znanych w świecie literackim mieszkało tutaj, począwszy od pejzażysty Klaudyusza Lorrain, a skończywszy na poecie Franciszku Coppée. O dwa kroki ztąd, prawie naprzeciwko, mieszkał Poussin, a jeden z największych liryków angielskich nowożytnych, Keats zmarł w pobliżu, ten sam John Keats, którego grób znajduje się w Rzymie na cmentarzu, i na którym wznosi się piramida Cestjusza, z tym melancholijnym napisem skreślonym przez niego samego:

*Here lies one whose name was writ on water...*

Zawsze, ilekroć Dorsenne wracał do siebie, powtarzał sobie przekład tych słów, przez siebie dokonany:

*Tu leży ten, którego imię na wodzie pisano...*  
albo też powtarzał, jeżeli to było wieczorem, ustęp z „Zeznań poufnych“, słodki i smutny jak tło obrazu Leonarda:

„Niebo się pokryło chmurą nikłą i różową...”



Tym razem jednak wszedł do domu w sposób o wiele prozaiczniejszy. Zwrócił się do stróża z tonem męża zazdrosnego lub dłużnika ściganego przez wierzycieli:

— Dla czego dałeś komuś klucz, Tomino?

— Kiedy pan hrabia Gorski powiedział, że Wasza Eksceleneya prosiła go, by tu zaczekał— odrzekł stary stróż z lekliwością tym zabawniejszą, że posiadał olbrzymie wąsy szpakowate i brodę siwą, która zeń czyniła zupełną karykaturę nieboszczyka króla Wiktora Emanuela. Służył on w r. 1859 pod królem *Galantuomo* i jako stary weteran z pod Solferino miał go w czci wielkiej. Jego duże oczy, zawsze przerażone, drżały pod brwiami grenadyera przy najniższym kłopotcie i mówił: Tak, Wasza Eksceleneya prosiła go, by zaczekał.

Dorsenne już biegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie i mówił do siebie głośno:

— Coraz lepiej!... familiarność przekracza wszelkie granice i tym lepiej. Udam tak wielkie zdziwienie i niezadowolenie, że będę w stanie odmówić temu człowiekowi niegrzeczemu we wszystkim, czego odemnie zażąda.

I wzmacniając się w gniewie, powieściopisarz uzbierał się z góry przeciw słabości, do której przyznawał się w duchu, a która pochodziła w nim nie ze słabej woli, ale z nader żywego obejmowania przyczyn i powodów, któremi kierowały się osoby mające z nim do czynienia. Miał się przeko-

nać znowu, otworzywszy za ledwie drzwi, że najlepszym środkiem na gniew jest ciekawość. Ta ostatnia obudziła się w nim natychmiast, spostrzegłszy w jakich dziwnych warunkach polak podróżował: torba podróżna, płaszcz i kapelusz leżały na stole w przedpokoju, jeszcze pełne kurzu pociągów. Widocznie wprost z Warszawy przyjechał na plac św. Trójcy. Jakiejże namiętności był on łupem? Dorsenne jednak nie miał czasu nad tem się zastanawiać i za ledwie zdołał przybrać postawę surową, która miała położyć koniec poufałości obcego gościa, gdy na odgłos drzwi otwieranych, Bolesław pobiegł naprzeciw niemu i schwycił ręce gospodarza, którego dom naszedł. Ścisnął go za te ręce i patrzył nań rozgorączkowanymi oczami, oczami, które nie spały oddawna, i szeptał ciągnąc go za sobą do maleńkiego saloniku:

— Jesteś więc, Julianie, jesteś nakonieci!... Dziękuję ci, żeś przybiegł zaraz na me wezwanie!.. Pozwól, niech patrzę na ciebie, niech będę pewnym, że mam przyjaciela przy sobie, kogoś, komu mogę wierzyć, z kim mówić mogę, na kim oprzeć się będę mógł... Gdybym był dłużej samotnym, przysięgam ci, byłbym zważywał..

Jakkolwiek kochanek pani Steno należał do tej rasy nerwowej, która wyraża swe uczucia najszczerze przez nieustanny potok słów i ruchów, jednakże twarz jego nosiła znamiona wzru-

szenia bardzo głębokiego. Julian, który go widział przed odjazdem, przed trzema miesiącami, promieniejącego pięknnością prawie świetną, zdziwił się, widząc go teraz tak zmienionym. Był to zawsze ten sam Bolesław Gorski, sławny ze swej męskiej piękności, to godne podziwu zwierzę ludzkie tak wykwintne i tak silne, na którem znać było całe stulecie życia arystokratycznego. Hrabiowie Gorscy należą do tego starożytnego domu Łodziów, od którego pochodzi tyle znakomitych rodzin polskich: Opaleńscy z Opalenic, Buńscy z Bnina, Ponińscy z Ponina i wiele innych. Teraz twarz jego schudła pod długą brodą ciemno-blond z odcieniem ryżawym. i niezmiernie zmęczenie malowało się w oczach na pół przymkniętych, w zmarszczkach czoła, w nosie jakby zaostrzonym, w cerze nakoniec, której szlachetna bladość zmieniła się w barwę ziemistą. Ślady kurzu podróznego na twarzy zwiększały jeszcze te znamiona. Jednakże wrodzona elegancja tej twarzy i ciała nadawała pewien wdzięk nawet znużeniu. Bolesław, w sile swej dojrzałości trzydziesto - cztero letniej, przedstawiał jeden z tych typów męskich tak doskonałych, że stawiają czoło najcięższym próbom. Nadużycia wzruszeń. rozpusta nawet, zdają się takich ludzi zdobić nowym tylko urokiem. i w otoczeniu umysłem tego pokoju autorskiego, wśród tych książek, fotografij, rycin, obrazów, rzeźb, widok tej postaci strawionej przez ostre cierpienia namię-

tności, miał pewną poezję w sobie, którą Dorsenne mimowoli odczuwał. Atmosfera przesiąknięta tytoniem ruskim i dymek błękitny unoszący się po pokoju, świadczył, w jaki sposób kochanek zdradzony oszukiwał swą niecierpliwość, a stojąca na biurku popielniczka staro-grecka, z bachantką namalowaną czerwono na tle czarnem, którą Julian bardzo się pysznił, dźwigała na sobie szczątki trzydziestu najmniej papierosów, prawie zaraz po zapaleniu rzucanych. Mundsztuki w nich były pogryzione z nerwowością, którą czytać można było na całej postaci młodego człowieka, przyczem powtarzał tonem straszliwie ponurym:

— Tak, oszaleję!...

— Uspokój się, kochany Bolesławie, proszę cię— odrzekł Dorsenne.

Gdzież się podział jego gniew, jaki nim owładnął na schodach? Ale czyż można gniewać się na człowieka, tak widocznie nieprzytomnego? Więc też Julian mówił dalej, jak gdyby mówił do dziecka chorego:

— Usiądźno i bądź spokojniejszym. Wszak jestem tutaj i miałeś rację, licząc na mą przyjaźń... Mów, wytłómacz o co ci idzie. Jeżeli chcesz, bym ci poradził, jestem gotów; może ci w czem usłużyć? Ach, mój Boże, jakże ty wyglądasz...

— Prawda?— odrzekł Bolesław z pewną dumą szyderezą. Zadowolony był, że miał widza swych

cierpień, które rozwijał przed nim z pewną różnicą tajoną, choć one były prawdziwe.

— Prawda, że widać jak cierpię? Ale tu to nic nie znaczy — dodał, wskazując na twarz rucchem zniechęconym.

Poczem przetarł ręką czoło i oczy, i jak gdyby chciał jakąś wizję zakląć, odezwał się:

— Ale masz słusność. Potrzebuję spokoju, gdyż inaczej, zginąłem.

Po chwilowem milczeniu, w czasie którego zdawał się zbierać myśli i odzyskiwać wolę, gdyż głos jego stał się stanowczym i krótkim, rzekł

— Wszak wiesz, że o mojej obecności tutaj nikt nie wie, nawet moja żona?

— Wiem — odrzekł Dorsenne — przed chwilą widziałem się z hrabiną. Dziś rano oglądaliśmy pałac Castagna z nią, Hafnerem, panią Maitland i Florentynem Chapron.

Przez chwilę milczał i rozmyślił się, że lepiej powiedzieć wszystko.

— Była tam także pani Steno i Alba.

— I nikt więcej? — zapytał Bolesław z wejrzeniem tak przenikliwym, że powieściopisarz musiał użyć całej siły, by je wytrzymać i odrzekł:

— Nie, nikt więcej.

Zapanowało milczenie. Dorsenne przekonał się po tych pytaniach, że dalsza rozmowa może przybrać formy bardzo nieprzyjemne. Gorski leżał teraz raczej, niż siedział na kanapie w ciasnym pokoiku, w całej swej postawie, w skupieniu

ciała w sobie, podobnym był do zwierzęcia, które za chwilę się rzuci. Widocznie przybył do Juliana w szalonej żądzy dowiedzenia się o wszystkim, która dla zazdrości jest tem, czem pragnienie w pewnych mękach. Gdy się wypije tę kroplę wody gorzkiej pewności, to przynajmniej nie będzie się powoli konało. Będzie się ściagało tę pewność boso po gorącym bruku, czując jego żar. Przyczyny, które zdecydowały Bolesława do wybrania powieściopisarza francuzkiego na to, by zeń wydobyć pewne wiadomości, były rozmaitej natury i mówiły, że koci wyraz twarzy polaka malował do pewnego stopnia jego charakter. Znał on Dorsenne'a lepiej, niż on sam siebie. Wiedział, że jest roztargniony i nerwowy z jednej strony, z drugiej dość przezorny. Jeżeli więc istnieje stosunek miłosny między Maitlandem i panią Steno, to Julian z pewnością go odgadł i zaatakowany w odpowiedni sposób, zdradzi się niezawodnie. Prócz tego, Bolesław, którego natura gwałtowna, podstępna i próżna, była bardzo złożoną, był namiętym wielbicielem talentu powieściopisarza, i ukazywanie się przed nim w postaci gwałtownego i rozpasanego kochanka, miało dla niego urok nieprzeparty. Należał on do rzędu tych ludzi, którzy każą się fotografować na łożu śmierci, tyle przywiązują wagi do swej osoby — co nie przeszkadza im w danym razie umrzeć naprawdę i niekiedy nawet mężnie! Byłby się zapewne oburzył, z najlepszą wiarą, gdyby autor „Sielanki świato-

wej“ był go sportretował w książce, jego i jego miłostki z hrabiną Steno, a jednak zbliżył się tej zimy do pisarza i wybrał go za swego powiernika w gorętszej niejako żądzy wywarcia nań wrażenia. Marzył, że go natchnie jaką kreacją, podobną do siebie, niewiedząc że ulega poprostu potrzebie wywnętrzenia się, jaką czujemy gwałtownie w pewnych kryzysach moralnych. Tak, wszystko było w Gorskim skomplikowanem, gdyż nie zadawał się tem, iż zdradza swą żonę z głęboką hipokryzyą, ale postarał się, by ta kobieta szlachetna i pełna ufności zawiązała przyjaźń z córką jego kochanki. Udawał, że ją zdradza ze smutkiem i zawsze okazywał jej przywiązanie nieco bolejące ale pełne szacunku. Czynił to szczerze, ale żeby przypuszczać taką anomalię, trzeba było być Dorsennem. To rzadkie uczucie, ta chęć, by rozumiano najnieprawdopodobniejsze błędy jego serca, zmusiły młodego hrabiego do przywiązania się do kogoś, któryby był zarazem powiernikiem pewnym i współnikiem moralnym. Szło teraz o to, by zrobić zeń, co nie było tak łatwym, swego szpiega.

— Widzisz — zawołał nagle — o jakie nędzne głupstwa pytać się muszę, jak nisko upadłem ja, który zawsze brzydziłem się szpiegostwem, jako okropnem poniżeniem. Pytałem ci się nieszczerze, choć jesteś moim przyjacielem!... Te dwa ruchy, jakie zrobiłem przed tobą w ciągu dwóch minut, to cała historia! Chciałem używać z tobą wy-

biegów, potem wstyd mię ogarnął... Namiętność mną owłada, dręczy mię. Gotów jestem dopuścić się nawet podłości. Boję się tego, tak, boję się samego siebie! Ale ja tyle cierpię. Rozumiesz to! A więc posłuchaj? — mówił, obrzucając znowu Dorsenne'a wzrokiem, przed badawczością którego nie ujdzie żaden ruch, żadne drgnienie powiek, u tego, na którego się patrzy — i powiedz, czy w którymkolwiek ze swoich romansów wymyśliłeś takie położenie, jak moje... Przypominasz sobie zapewne trwogę śmiertelną, w jakiej żyłem tej zimy, z powodu pobytu szwagra u mnie i tego ciągłego niebezpieczeństwa, ażeby nie uwiadomił o wszystkim mej biednej Maud przez głupotę, przez cnotę brytańską, przez antypatyę wreszcie... Przypominasz sobie także, jak wiele mię kosztowała ta podróż do Polski, po tak długich miesiącach obawy? Interesa i choroba ciotki, na którą zapadła właśnie w chwili, gdy oswobodziłem się od Ardrahana, wzbudziły we mnie smutne przeczucia... Wierzyłem w nie zawsze, a teraz, jak w grze, przeczuwałem, że następuje dla mnie serya czarnych. I nie myliłem się. Pierwszy list, jaki otrzymałem (domyślasz się od kogo), przekonał mię, że w Rzymie dzieje się coś takiego, co grozi najdroższym moim sprawom, tej miłości, której wszystko poświęciłem, do której szedłem, depcząc najszlachetniejsze serce... Czyżby Katarzyna przestała mię kochać? Gdy człowiek dwa lata życia zamknął w jednej na-



miętności, to związany jest z nią niemi zbyt silnemi! Nie będę cię nudził opowiadaniem o pierwszych tygodniach mego pobytu w Polsce, tygodniach użytych na bieganie tu i tam, na odwiedzinach krewnych, na poradach prawnych, na doglądaniu chorej, na wykonywaniu wreszcie obowiązków względem mego syna, któremu połowa tego majątku przypada. I wśród tego wszystkiego dręczyła mię nieustannie myśl, że nie pisze do mnie jak dawniej, że nie kocha mię już wcale!... Ach, gdybym ci mógł okazać te listy! Masz wielki talent, Julianie, ale nigdy nie równie pięknego nie napisałeś.....

Umilkł, jak gdyby to, o czem teraz miał mówić, kosztować go miało bardzo wiele i Dorsenne odezwał się:

— Zmiana tonu w korespondencji nie tłumaczy jednak gorączki, w jakiej cię widzę...

— Zapewne — odrzekł Gorski — ale tu nie idzie o samą zmianę tonu. Skarżyłem się na to i po raz pierwszy skarga moja nie znalazła oddźwięku. Zagroziłem, że pisać przestanę. Nie odpowiedziała na to wcale. Napisałem jej, prosząc o przebaczenie... tak, byłem na tyle nikizemny. Otrzymałem list tak chłodny, że ze swej strony napisałem, wprost zrywając stosunki. Nowe milczenie... Zrozumiesz więc teraz wrażenie, jakie w takich okolicznościach wywarł na mnie inny list, niepodpisany wcale, jaki otrzymałem przed dwoma tygodniami. Byłem sam, gdy przyszedł pewnego

poranku. Na kopercie były znaki pocztowe z Rzymu. Nie poznałem pisma, otworzyłem i znalazłem, dwa arkusze papieru, na którym były litery drukowane, wycięte z jakiegoś dziennika francuzkiego. Pod tem, jakim już powiedział, żadnego podpisu. Był to anonim.

— Nie trzeba go było czytać! — zauważył Dorsenne.

— Ba! przeczytałem go. Zaczynał się od opisu nadzwyczaj dokładnego mego położenia. Myśl, że jestem na łasce czyjejś niedyskrecyi, zrobiła mi wielką przykrość. Ale co tę dokładność wstępu czyniło istotnie piekielną, to okoliczność, że był on niejako gwarancją, iż koniec będzie równie dokładny i prawdziwy. A końcem tym było szczegółowe, nieubłagane opowiadanie o miłości, jaką Steno zawiązała podczas mej nieobecności, i z kim? — z człowiekiem, którego najmniej się pod tym względem obawiałem, z tym bazgraczem, który miał robić portret Alby, czemu nie przeszkadzałem. Pięknie mi się za to wywdzięczył! Z takim człowiekiem, który się poniżył do małżeństwa dla pieniędzy i który udaje artystę, z tym amerykańcem, z Lincolnem Maitland wejść w stosunki miłosne... nie! to za wiele...

Jakkolwiek nienawiść dziecinna i niesprawiedliwa zazdrośnika (ta nienawiść poniżająca nas, gdy chcemy innych poniżyć) zalała falą gorzka serce Gorskigo i zatrzała koniec jego opowiadania, mimo to nie przestał śledzić pilnie Dorsenne'a.

Podniósł się wpół na kanapie i, wsparty na rękach, wyciągnął głowę wymawiając imię swego rywala, może dla tego, by lepiej się przypatrzeć powieściopisarzowi. Ten ostatni, na szczęście, był oburzony wiadomością o liście anonimowym i powtarzał ze zdziwieniem, które pokrywało wszystko doskonale:

— Co za niegodziwość! coza niegodziwość!..

— Zaczekaj — odrzekł Bolesław — to dopiero początek... Nazajutrz otrzymałem nowy list, napisany i wysłany w takich samych warunkach a na trzeci dzień znów list. Mam ich dwanaście, czy słyszysz? Dwanaście mam w swym pugilaresie i wszystkie zdradzają doskonałą znajomość koterii, w której żyjemy, co mię z początku do szaleństwa doprowadzało. Przyznasz sam, że to była męczarnia? Współcześnie otrzymywałem listy od mej biednej żony i wszystko się zgadzało ze sobą w sposób straszliwy! List bezimienny mówił mi: „Dzisiaj mają schadzkę między godziną drugą a czwartą“ a Maud pisała mi: „Dziś nie mogłam wyjść, jakeśmy się z panią Steno umówiły, gdyż dostała migreny“. A ten portret Alby, o którym mi donoszono? Listy anonimowe opowiadały mi wszystkie przejścia, długie, wygodne seanse, a żona mi pisała: „Wczoraj oglądałyśmy portret Alby. Malarz przerabia to, co dotąd zrobił“. Na koniec nie mogłem wytrzymać! Ze wstrętną dokładnością szczegółów, listy bezimienne podały mi nawet adres miejsca, w którym schadzki się odby-

wały!... Pojechałem. Powiedziałem sobie: jeżeli doniosę żonie o mym powrocie, dowiedzą się o tem i wymkną mi się. Chciałem ich złapać, chciałem... nie wiem już, czego chciałem!... Nie mogłem dłużej znosić tej niepewności. Wsiadłem do pociągu, nie zatrzymywałem się nigdzie, ani w dzień ani w nocy. Służącego zostawiłem wczoraj we Florencyi i dziś rano stanąłem w Rzymie... Cały plan ułożyłem sobie w drodze. Wezmę mieszkanie naprzeciwko ich mieszkania, na tej samej ulicy, może nawet w tym samym domu. Będę ich szpiegował dzień, dwa dni, cały tydzień a potem... Czy uwierzysz? Jadąc w dorożce przyjrzałem się sobie i przestraszyłem się. Trzymałem rękę na cynglu tego oto rewolweru — wyciągnął broń z kieszeni i rzucił ją na kanapę, jak gdyby odpychał od siebie pokusę — i ujrzałem się tak wyraźnie, jak ciebie teraz widzę, zabijającym te dwie istoty, gdybym ich schwytał na gorącym uczynku... współcześnie zobaczyłem mego syna i żonę... Między mną i morderstwem, całą odległość stanowiła może ta ulica... I uczułem, że trzeba natychmiast uciekać, uciekać od tej ulicy, od tych przestępców, jeżeli są nimi istotnie, uciec przed sobą samym! Przypomniałem sobie ciebie i przybiegłem, by zawołać: przyjacielu, oto, do czego doszedłem, utopię się, zginę, ratujecie mnie!...

— Ależ znalazłeś sam ten ratunek — odrzekł Dorsenne — jest nim twój syn i żona. Zobacz ich najprzód i jeżeli nie mogę ci przyrzec, że nie bę-

dziesz cierpieć, to przynajmniej ta myśl straszna nie będzie ci przychodziła do głowy...

Mówiąc to, wskazał ręką na broń, której lufa błyszczała pod blaskiem słonecznym, wdzierającym się przez okno. Potem, ponieważ bardzo żywe współczucie, jakim go przejęło opowiadanie Bolesława, nie zatarło w nim autora, tak samo jak wzruszenie nie zatarło w opowiadającym przebiegłości i próżności — dodał:

— I tem bardziej nie przyjdzie ci ta myśl do głowy, że będziesz mógł sprawdzić *de visu*, co warte są listy bezimienne. Dwanaście listów w ciągu dwóch tygodni i do tego listów pisanych w ten sposób, przy pomocy wycinków, Bóg wie ilu gazet, to trochę za wiele! I oskarżają nas, że opisujemy niezwykle, niebywałe nieraz charaktery w naszych książkach!... Jeżeli chcesz, to poszukamy na wspólnkę tego, kto się dopuścił tej pięknej, drobniutkiej ohydy! To coś w rodzaju Judasza, Rodina, Jaga, a może Jagi.... Ale w tej chwili nie ma czasu do robienia przypuszczeń... Czy jesteś pewny swego służącego? Tak?... to dobrze. Poślij mu więc telegram, a w tym telegramie kopię telegramu adresowanego do pani Gorskiej, z rozkazem, by go wysłał dziś wieczorem. Zapowiesz swe przybycie na jutro, przyczem zrób aluzję do listu pisanego jakoby z Warszawy, który niby zaginął. Siądziesz dziś wieczór na pociąg do Florencyi, z kąd odjedziesz sam w nocy. Zjawisz się znowu w Rzymie jutro rano i tym ra-

zem publicznie. Tym sposobem unikniesz nieszczęścia zostania zbrodniarzem, gdyż jestem pewny, że nikogobyś na gorącym uczynku nie złapał, ale co ważniejsza, **nie** obudzisz podejrzeń w pani Gorskiej. A więc dobrze?

I Dorsenne wstał, chcąc przygotować na stole papier i pióro.

— Dalej, napisz zaraz telegram i podziękuj swemu dobremu duchowi, że cię zaprowadził do przyjaciela, którego rzemiosło polega na rozwiązywaniu sytuacji nierozwiązalnych napozór...

— Masz rację — rzekł Bolesław, wzięwszy do ręki pióro — to jedyne zbawienie, to sama mądrość..

Poczem rzuciwszy pióro na stół, zawołał:

— Nie mogę... nie, nie mogę, dopóki te wątpliwości mam, dopóty nie mogę... Wszystko to jest straszne, sam to widzę... Mówisz mi o żonie, ale zapominasz o tem, że ona mię kocha i na pierwszy rzut oka wyczyta na mej twarzy wszystko, tak samo jak ty wyczytałeś... Nie zwracasz uwagi na to, ile usiłowań musiałem przedsięwziąć, by tych podejrzeń przez dwa lata nie wzbudzić. Byłem szczęśliwy a łatwo oszukiwać, gdy się szczęście ukrywa... Dziś zaś w ciągu pięciu minut ona zauważy zmianę we mnie; będzie szukała jej przyczyny i znajdzie ją... nie, nie, nie mogę. Co innego, wymyśl co innego...

— Ja już nic innego nie wymyślę — odrzekł Julian — na świecie nie ma takiego opium, któ-

reby uspiło w tobie wątpliwości, rozbudzone przez listy bezimiennie. Nie można przecież zażywać ufności w pigułkach, jak się to robi z morfiną. I powiem ci, że jeżeli nie pójdziesz za moją radą, to pani Gorska bardzo szybko o wszystkim się dowie. Może nawet już wie. Chcesz, żebym ci powiedział com najprzód ukrył przed tobą, gdyż wydawałeś mi się zbyt wzburzonym? Wszak przyjazd z dworca kolejowego nie zabrał ci wiele czasu i prawdopodobnie z powozu nie wyjrzałeś nawet dwa razy. A przecież był ktoś, co cię widział. Kto? — Montfanon. I powiedział mi o tym dziś rano prawie na schodach pałacu Castagna. Gdybym z paru słów, wyrzeczonych przez twą żonę, nie był zrozumiał, że ona nie wie o twej obecności w Rzymie, byłbym cię zdradził... A teraz widzisz, w jakim jesteś położeniu!...

Mówił wzruszony prawdziwie, tak dalece zaniepokoiła go oczywistość niebezpieczeństwa, jakie mógł wywołać upór Gorskiego. Ten ostatni, który znów pograżył się w myśli, spoglądał dzioko dokoła. Widocznie, wzburzenie swego towarzysza uważał za chwilę stosowną dla wymierzenia stanowczego ciosu. Zerwał się tak gwałtownie, że Dorsenne się cofnął. Chwytał tego ostatniego za ręce, ale tak silnie, że najmniejsze drgnienie nie mogło ujść jego uwagi.

— Nie, Julianie, masz sposób przyniesienia ulgi... — rzekł głosem chrapliwym, jak gdyby zduszonym przez niepokój.

— Jaki? — zapytał powieściopisarz.

-- Jaki? Jesteś człowiekiem uczciwym, jesteś wielkim artystą, jesteś moim przyjacielem i to przyjacielem złączonym ze mną świętymi węzłami, prawie towarzyszem broni, jako wnuk bohatera, który przelewał swą krew obok mego dziada pod Somo-Sierra!... Daj mi słowo honoru, że jesteś pewny, iż pani Steno nie jest kochanką Maitlanda, żeś tego nigdy nawet nie przypuścił, nie słyszał o tem, a uwierzę ci i będę posłuszny. Ha! — zawołał, ściskając mocniej ręce pisarza — widzisz, że się wahasz?

— Nie — odrzekł Julian, wrywając się z tych objęć dzikich — nie waham się wcale... Żałuję cię tylko. Gdybym ci dał takie słowo, to już po pięciu minutach nie miałoby ono dla ciebie żadnej wartości... Byłbyś przekonany, że skłamałem, dla zapobieżenia nieszczęściu..

— Wahasz się — przerwał Bolesław i powtórzył ten wyraz dwukrotnie.

Poczem wybuchając straszonym śmiechem, tyle w nim było dzikości, zawołał:

— A więc to prawda! Zresztą, wolę to — świadomość ta jest okropną, ale cierpię mniej... Świadomość!... jak gdybym nie wiedział, że miała przedemną kochanków... jak gdyby w rysach twarzy Alby nie było napisane, że jest córką Werekiewa... przecież najmniej ze dwadzieścia razy słyszałem, wprzód nim ją poznałem, że była metresą Branciforte'a, San-Giobbe'a, Strabana i dzie-



sięciu innych. Wprzód czy potem, to wszystko jedno... Wszak byłem pewny, wchodząc tutaj, do tych drzwi honoru, że będę wiedział prawdę, dotknę się jej, jak się oto tego dotykam...

Schwycił stojącą na stole główkę marmurową i obejmował ją drżącymi palcami.

— Widzisz, że przyjmuję po mężku tę wiadomość. Możesz mi wszystko powiedzieć. Kto wie? Niesmak, to najlepszy chirurg. Słucham cię, nie oszczędzaj mię wcale.

— Mylisz się — odrzekł Dorsenne — to, com ci powiedział, nie ma tego znaczenia. Byłem i jestem przekonany, że w ciągu kwadransa, może w ciągu godziny, może jutro lub pojutrze, będziesz mię uważał za kłamcę lub głupca. Ale ponieważ w ten sposób tłumaczysz sobie moje milczenie, obowiązkiem moim jest mówić i mówię... Daję ci słowo honoru, że nigdy mi nawet przez myśl nie przeszło podejrywać panią Steno o stosunek miłosny z Maitlandem, lub że ich obejście wzajemnie zmieniło się na chwilę od czasu twej nieobecności. Daję ci słowo honoru, że nikt — rozumiesz — nikt mi nie mówił o tem. A teraz rób sobie jak chcesz. Powiedziałem ci wszystko, co miałem powiedzieć...

Powieściopisarz wygłosił te słowa z energią gorączkową, mającą źródło w okrutnym przymusie, jaki zadawał swemu sumieniowi. Ale śmiech Gorskiego zadziwił go tem bardziej, że w teje

chwili swobodna ręka zazdrośnika sięgnęła z wolą lub mimowoli ku rewolwerowi, który błyszczał ciągle nieruchomie na kanapie. Znów Julianowi zdawało się, że katastrofa bliska, nieunikniona, bezpośrednio nastąpić musi. Jeżeli mówił, jeżeli przysięgał kłamliwie poraz pierwszy i ostatni zapewne w swem życiu, to dla tego tylko, by ocalić życie kilku osobom. Wolałby, byłoby to dla niego pewną ulgą, gdyby jego straszny gość odpowiedział mu przez jedno z tych obraźliwych zaprzeczeń, które zmusiłoby go do wypoliczkowania Gorskiego, taki był zirytowany tem, że gwałtem prawie zeń wyciągnięto słowo honoru... Tymczasem ujrzał, jak kochanek pani Steno zwrócił się do niego z niewypowiedzianym wyrazem wdzięczności. Wargi Bolesława drżały, ręce złożył jak do modlitwy, dwie łzy potoczyły się po jego pomarszczonej twarzy. Poczem zawołał:

— Ach, mój przyjacielu, ileżeś mi dobrego wyrządził! z jakiejże męczarni mię wyleczyłeś! Teraz jestem uratowany! tobie wierzę, wierzę ci. Należysz do ich koteryi, widzujesz ich prawie codziennie... Gdyby cokolwiek było między nimi, wiedziałbyś przecie, słyszałbyś o tem.. Dziękuję ci, daj mi rękę, niech ją uścisknę... Zapomnij o tem, com ci przed chwilą powiedział, o tych oskarżeniach, o których mówiłem w przystępie gorączki. Wiem, że są fałszywe. I pozwól, żebym cię uściskał tak samo, jakbym cię uściskał, gdybyś

mię wyratował z toni... O! mój przyjacielu, mój jedyny przyjacielu!...

I rzucił się, żeby przycisnąć do piersi powieściopisarza, który mu nieustannie powtarzał:

— Uspokój się, błagam cię, uspokój się!

I w głębi duszy Dorsenne, ten człowiek dzielny i prawy, mówił sobie:

— Wszak nie mogłem inaczej postąpić, ale mi przykro!...

**Blizkie niebezpieczeństwo.**

— Nie, nie mogłem inaczej postąpić—powtórzał sobie Doisenne wieczorem tegoż dnia. Całe po południe przepędził z Gorskim. Zmusił go do zjedzenia śniadania, do położenia się spać. Czuwał nad nim. Odprowadził go w zamkniętym powozie na stację drogi żelaznej Portonaccio, pierwszego przystanku na drodze do Florencyi. Jednem słowem starał się wszelkiemi siłami, by nawet na chwilę nie zostawić samym tego człowieka, którego gorączkę raczej uspił, ale jej nie wyleczył, kosztem, niestety! własnego spokoju. Pozostawszy bowiem sam po powrocie do domu na placu Trójcy, gdzie mnóstwo szczegółów świadczyło o niedawnych odwiedzinach, ciężar słowa honoru danego fałszywie, zaczynał przygniatać powieściopisarza, zwłaszcza że powoli począł sobie zdawać sprawę z taktyki Bolesława. Zwykła mu, spóźniona nieco przenikliwość, pozwoliła teraz przejrzeć dokładnie całą ich rozmowę. Spostrzegł, że ani jeden wyraz w mowie Gorskiego, choćby wyraz ten miał pozór

najwyższej egzaltacji, nie był wymówiony napróżno. Powoli, słówko za słówkiem, zwierzenie za zwierzeniem, Dorsenne został przyparty tak do muru, że albo musiał oskarżyć kobietę, albo skłamać, czego żadne męzkie sumienie darować sobie nie może.

— Tym to jest przykrzejsze—mówił do siebie—że to na nic się nie przyda. Skoro tylko istnieje na świecie osoba, na tyle przewrotna, że pisała te listy bezimienne, to osoba ta nie zatrzyma się na połowie drogi. Znajdzie ona prędko sposób podniecenia znowu tego szaleńca... Ale, czy tylko w rzeczy samej istnieją listy tego rodzaju? Gorski jest człowiekiem namiętnym, przewidującym i retorem na wielką skalę, bardzo więc być może, iż sam osnuł ten romans czarny, dla tego tylko, by mógł mi zadać takie, jakie mi zadawał, pytania. Ale nie! są dwa fakta niewątpliwe, najprzód stan jego zazdrości do ostatnich granic doprowadzonej a potem jego powrót niespodziewany. Jak jedno tak i drugie każe przypuszczać, że był ostrzeżony. Ale kto go ostrzegł?... Mówił o dwunastu listach bezimiennych. Przypuszczamy, że otrzymał w istocie jeden lub dwa, ale tych dwóch któż jest autorem?

Cały bezpośredni rozwój dramatu, do którego Julian został wnięszany, polegał na odpowiedzi na to pytanie. Niełatwo wszakże było znaleźć tę odpowiedź. Włosi mają przysłowie, niepozbacone głębszej myśli, które właśnie w tej chwili

przypomniał sobie pisarz francuzki. Śmiał się z niego szczerze, gdy je usłyszał z ust Egista Brancadori. Powtórzył je sobie teraz i zrozumiał jego znaczenie: *Chi non sa fingersi amico, nonse sa essere nemico...* kto nie potrafi udąć przyjaźni, nie potrafi być nieprzyjacielem... W tej drobnej koteryi, w której żyła hrabina Steno, Gorsey i Lincoln Maitland, kto może być takim hipokrytą i kto tak nienawidzi, że aż poszedł za radą tego przysłowia? Gdyż tylko denuncyacya naprawdę ścisła, zaopatrzona w fakta, mogła dotknąć do żywego zazdrość Bolesława, a taka znów denuncyacya każe przypuszczać, że ten, kto ją pisał, zna wszystkich członków towarzystwa doskonale.

— To przecież nie może być sama pani Steno—myślał Julian—nie chciałyby sobie robić zabawki ze wzruszeń kochanka, opowiadając mu wszystko?... Wprawdzie znam takie wypadki. Ale robiły to paryżanki nierządne, a nie ta kochanka przepyszna, ta dogaressa XVI wieku, znaleziona w Wenecyi w naszych czasach, jak cekin owoczesny, który zachował cały swój blask pierwotny. O niej więc nie mam co myśleć, jak również o pani Gorskiej, tem wcieleniu prawdy, która nawet wtedy nie chce się zniżyć do kłamstwa, gdy pragnie nabyć jakiś gracik stary, gorąco pożądany. Z tego powodu łatwo ją też oszukać. Co za ironia!... Nie myślmymy także o Florentym. Dałby się zabić w potrzebie, jak mameluk u drzwi

pokoju, w którym jego szwagier igra ze swą hrabiną... Sam amerykanin także nie. Wprawdzie i takie przypadki się zdarzały. Kochanek, znudzony kochanką i denuncyjujący się sam przed tym, do kogo to należy, żeby raz uwolnić się od pańszczyzny miłosnej. Ale był to człowiek wycieńczony i nie miał nic wspólnego z tym żbikiem, który ma talent do malarstwa, jak słoń ma trąbę; gieniusz przyczepiony do nieponia. Cóż znowu za ironia!... Wszak ożenił się ze swą murzynką dla pieniędzy i to wystarcza! Ale była to nieczemność popełniona raz na zawsze, oswabdzająca go od handlu i pozwalająca mu malować tak jak chce i co chce. Pozwala się kochać pani Steno, bo jest ona dyabelnie piękna pomimo swych czterdziestu lat, i jest prawdziwą wielką damą mimo wszystko, a on wzdycha do tego by być wielkim panem. To mu pochlebia. Nie ma on za grosz nawet delikatności moralnej w sercu. Ale nie jest też zużyty... O jego żonie także nie ma co myśleć. Jest to prawdziwa niewolnica, którą unicestwia sama obecność białego tak dalece, że nie śmie patrzeć w oczy swemu murzynowi mężowi... Hafner także nie. Przebiegły lis zdolny jest do wszystkiego przez chytróść, nawet do dobrego. Ale na coby mu się przydało łotrostwo całkiem niepotrzebne i niebezpieczne? Nie, to nie on!... Fanny znów jest świętą, wcieleniem starej legendy złotej, choć

Montfanon inuego jest zdania. Przebiegłem wszystkich znajomych naszego koła... A! o mało nie zapomniałem Alby... ale jej przecież posądzać o to niepodobna... nie! A dla czego?

Dorsenne, rozbierając te pytania, miał się położyć do łóżka. Ze zwyczaju wziął książkę, leżącą na stole dla przeczytania kilku kartek, nim zaśnie. Leżało tu więc kilka książek, z których czerpał nieustannie zasady swej doktryny; były to „Pamiętniki“ Goethego; tomik korespondencji George Sanda, w którym znajdowały się listy do Flauberta; „Rozprawa o metodzie“ Descartes'a i szkice Burekharta o „Odrodzeniu“. Ale spoczywając na poduszce, gdy przerzucił jedną z tych książek, zamknął ją, nie przeczytawszy nawet dwudziestu wierszy. Zgasił lampę, lecz nie mógł zasnąć. Dziwne podejrzenie, które przebiegło mu przez głowę, miało w sobie jakąś potworność trudną do połączenia z obrazem młodej panny. Co za podejrzenie i jaka panna! Ulubiona przyjaciółka jego przez całą zimę, dla której przedłużał swój pobyt w Rzymie, bo była ona najwdzięczniejszem zjawiskiem delikatności i smutku na tem tle tragicznej i uroczystej przeszłości! Nikomuby zapewne nawet na chwilę jedną nie przyszła do głowy taka myśl, bez wstępu. Tymczasem Dorsenne zaczął grzebać się w tem brzydkim przypuszczeniu, rozwijać je, uzasadniać. Nikt może nie cierpiał więcej nad niego z powodu tej potworności moralnej, jaką



nadużycie pracy literackiej wytwarza w niektórych pisarzach. Są oni do tego stopnia przyzwyczajeni do kombinacji charakterów sztucznych w swych kreacjach fantastycznych, że ciągle tak samo postępują odnośnie do osób, które znają dobrze. Mają drogiego przyjaciela, którego widzą codziennie, który nie im nie ukrywa i przed którym z niczem się nie kryją. Jeżeli ci o nim mówią w odstępie rocznym czasu, zdziwisz się, spostrzegłszy, że choć go ciągle kochają, rysują przed tobą dwa portrety całkiem różne z tą samą szczerością i prawdomównością. Mają kochankę i kobieta ta widzi w nich ze zdziwieniem zmianę postępowania, choć sama pozostała taką jaką była—i to w ciągu dni kilku. Pochodzi to stąd, że rozwinęli w sobie w bardzo znacznym stopniu imaginację i obserwacja jest dla nich tylko źródłem twórczości. Ta choroba tkwiła w Julianie od czasów jego młodości. Rzadko się ona objawiła z taką w nim siłą, jak z powodu tej ujmującej Alby Steno, która może o nim marzyła, nawet w tej chwili, gdy wśród ciszy nocenej, starał się przekonać siebie, że ona jest zdolną do tego matkobójstwa listownego.

— Z tem wszystkiem—powtarzał z pewną rozkoszą, gdyż tacy ludzie poświęcający się wyłącznie pracy umysłowej lubią kruszyć najdroższe bożyszcza moralne lub uczuciowe, jak gdyby dla okazania swej siły—z tem wszystkiem, nie nie rozumiem jej stosunków z matką. Gdy przyby-

łem do Rzymu w listopadzie i gdy miałem być przedstawionym hrabinie, cóż mi wszyscy mówili? Pani Steno jest w związku powszechnie znanym z mężem najlepszej przyjaciółki swej córki, a ta ostatnia martwi się tem śmiertelnie. Poszedłem do ich domu i ujrzałem to dziecko. Była owego wieczoru smutną. Widocznie odczuwała tę sytuację i czytałem to w jej sercu... Otóż trwa to już pół roku. Spotykaliśmy się prawie codziennie, niekiedy dwa razy na dzień. Jest ona tak opuszczoną, że bardzo niewiele posunąłem się naprzód od chwili, gdym ją pierwszy raz ujrzał. Widziałem, jak patrzała na matkę, dziś rano na przykład z oczami pełnymi miłości i uwielbienia. Widziałem jak cierpiała, słysząc niektóre zdania tej matki, bladła nawet. Widziałem jak całowała Maude Gorską, tak jak się całuje przyjaciółkę, której się szczerze i głęboko żałuje, i widziałam jak grała w *tennis* z tą samą przyjaciółką wesoło, prawie jak dziecko. Widziałem, że nie mogła znieść obecności Maitlanda w jednym ze sobą pokoju, a jednak potem sama zażądała, by robił jej portret... Albo więc jest ona niewinną, albo hipokrytką, albo może dręczy ją wątpliwość, zgaduje wszystko i nic nie może odgadnąć, wierzy i nie wierzy swej matce... W każdym razie jest ona dziwnie niewyraźną ze swemi oczami koloru wody. A może jest to natura dwuznaczna, złożona z rosyjanina i włoszki... Byłoby to pewnem rozwiązaniem zagadki, że jako dziewczyna

nadzwyczajnej energii wewnętrznej, wiedząc o miłostkach matki, nienawidząc obu kochanków, postanowiła sobie rzucić ich na siebie... Bądź co bądź dla młodej dziewczyny byłby to czyn olbrzymi... zwłaszcza, że wszystko co wielkie nie stanowi istoty życia miłosnych namiętności. Ileż to razy w dziale różnaitości dzienników widzimy, że wyraz niepodobieństwo nie istnieje dla serc rozkochanych... Pójdę jutro wieczorem do hrabiny i zabawię się studyowaniem Alby... Jeżeli jest niewinną, zabawka moja będzie nieszkodliwą, a jeżeli nie jest winną? I znów przed twarzą madonny zawołam: co za szkoda!... Tyle razy to już mówiłem!...

Tego rodzaju mizantropię można wygłaszać, w obec własnego serca, ale zostawia ona pewną troskę za sobą, zwłaszcza jeżeli jest oparta wyłącznie na paradoksach i fantazyi. Zawsze się odczuwa oszczerstwa, boleje się nad potwornością pewnych podejrzeń, choćby one były tylko przypuszczeniami nieokreślonymi. To też Dorsenne, gdy się nazajutrz zbudził ze snu, zawstydził się sam przed sobą, że w sprawie listów bezimiennych do Gorskiego zbudował taki romans kryminalny około ujmującej i wdzięcznej postaci swej przyjaciółki. Szczyściem dla jego nerwów, które byłyby się jeszcze bardziej rozdrażniły przy rozpoznawaniu tej zagadki: „Jeżeli więc nikt z towarzystwa hrabiny nie pisał tych listów, to w takim razie, gdzie szukać ich autora?” — otrzymał

przy wyjściu z łóżka grubą paczkę korekt, z napisem: „bardzo pilne“. Przygotowywał do wydania publicznego zbiór swych artykułów, rozrzuconych po różnych dziennikach, pod tytułem, który mu się bardzo podobał: „Pył myśli“. Dorsenne był to dzielny robotnik literacki, mimo że takie tytuły wyszukiwał i pomimo życia światowego i oddanego namiętnościom, co rzadko bardzo się przytrafia. Zwykle tytuły zbyt wyszukane pokrywają w księgarni towar lichy i drobny, co zaś do powieściopisarzy i autorów dramatycznych, którzy uważają że żyją dla pisania i szukają natchnienia nie w regularności swych przyzwyczajzeń, to zwykle dzieła ich z góry przeznaczone są na bezpłodność. Znany lub głośny, bogaty lub biedny, artysta powinien być przede wszystkim robotnikiem i praktykować cnotę pilności cierpliwej, sumienności wykonania, oddania się pracy. Dorsenne, gdy siadał do swego „warsztatu“—tak nazywał metaforycznie swe biurko—oddawał się wyłącznie swej pracy. Zamykał drzwi, nie otwierał ani listów ani telegramów, i przez dziesięć godzin siedział, nie jedząc nic, prócz dwóch jajek i kawy czarnej. Tak samo dziś robił, przeglądając wspomnienia swych dwudziestu pięciu lat, wykreślając tu wyraz, tam zdanie, gdzieindziej pisząc na nowo całą kartkę, tu niezadowolony, tam uśmiechający się do swej myśli. I pióro przesuwawało się po papierze, niosąc ze sobą całą wrażliwość tego potwora moralnego,

który zapomniał zupełnie o pani Steno, o Gorskim, o Maitlandzie, o hrabiance oszkalowanej, aż do chwili, gdy noc zbudziła go z tego upojenia literackiego. Potem przeliczył szpalty i przekonał się że ich było dwanaście.

— Tyle, ile jest listów Gorskiego—rzekł śmiejąc się głośno. Czuł teraz przebiegającą mu po nerwach tę radość lekką, znaną wszystkim pisarzom z Bożej łaski, gdy dokonali pracy, którą uważają za dobrą.

— Zarobiłem na wieczór, dodał ciągle głośno. Trzeba się ubrać i iść do pani Steno. Zjem dobry obiad u doktora, przejdę się pół godziny po ulicach. Noc zapowiada się pięknie. Dowiem się czy są jakie wiadomości o wojewodzie—(tak nazywał Gorskiego gdy był w wesołym usposobieniu) i zabawię się naśladowaniem mego patrona Hamleta, gdy zastawiał potrzask na swego stryja. Będę mówił głośno o listach bezimennych. Jeżeli autor listów pisanych do Bolesława będzie tam, zabawię się wybornie. Byle tylko tym autorem nie była Alba. Byłoby to bardzo smutnem...

Biła godzina dziesiąta wieczorem, gdy młody człowiek, zgodnie z programem, przybył przed bramę dużego domu, który pani Steno zajmowała na ulicy Dwudziestego września, na rogu ulicy Porta Salara. Był to obszerny budynek nowoczesny, rozdzielony na dwie odrębne części: na lewo był dom zajęty przez różnych mieszkańców,

na prawo zaś pałacyk w stylu tych, jakie widać w okolicach parku Monceau. Ta willa Steno, jak brzmiał napis złoty wyryty na marmurze czarnym nad bramą, zawierała w sobie całą historię majątku hrabiny—majątku, który głos powszechny oceniał od dwudziestu do trzydziestu milionów. W rzeczy zaś samej miała ona dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków dochodu rocznego. Ale ponieważ w r. 1873 hrabia Michał Steno, jej mąż, umarł, zostawiając tylko długi, pałac w Wenecyi na pół zrujnowany, kawałek ziemi wypuszczony w dzierżawę i mocno obciążoną hipotekę, dochód ten usprawiedliwiał w zupełności nazwę „kobiety wyższej“, jaką przyjaciele nadawali matce Alby. Przyjaciele ci dodawali: „była metresą Hafnera, który płacił jej radami jak ma zarządzać majątkiem...“ szkaradne oszczerstwo i tem kłamliwsze, że jeszcze przed poznaniem barona zaczęła ona się z bogacać. Stało się to w ten sposób: w końcu 1873 r. gdy młoda wdowa, schroniwszy się do swego wspólnego i zrujnowanego pałacu na Wielkim kanale, ucierała się jak mogła z wierzycielami, jeden z najznacześniejszych bankierów rzymskich zgłosił się do niej z propozycją interesu bardzo korzystnego. Szło o obszerne place, które sukcesorka Stenów posiadała w Rzymie na przedmieściach między Porta Salara i Porta Pia, rodzaj miasteczka na pół opuszczonego, które nieboszczyk kardynał Steno, wuj hrabiego Michała, zaczął

zakładać. Po jego śmierci, place zostały wynajęte częściowo przekupniom i ogrodnikom i warte były w ogólności po czterdzieści centimów za metr kwadratowy. Bankier ofiarował po cztery franki, pod pozorem, że chce tam założyć fabrykę. Stanowiło to dość poważną sumę, którą można było otrzymać zaraz. Hrabina zażądała dwadzieścia cztery godzin namysłu i po tym przeciągu czasu odmówiła, przez co w sferach przemysłowych uzyskała raz na zawsze jak najlepszą opinię. W r. 1882, mniej więcej w dziesięć lat potem, sprzedała te same place po dziewięćdziesiąt franków za metr. Zrozumiała ona, rzucając okiem na plan Rzymu i zastanawiając się nad Włochami nowoczesnemi, że najprzód nowi rządcy miasta wiecznego postarają się wszelkimi siłami o jego przebudowanie, a potem, że część zamknięta między Kwirynałem i dwoma bramami Salara i Pia, będzie główną osią tego rozwoju i że o wiele znaczniejsze otrzyma korzyści, <sup>gdy</sup> <sub>gdy</sub> będzie umiała czekać. Czekala więc, zajmując się pilnie administracją swych posiadłości, jak najsurowszy intendent, ulepszając je, pozbawiając się wielu rzeczy zbytekownych, zatykając dziury, co jej przynosiło znaczne zyski. Tym sposobem w r. 1875 sprzedała Galeryi narodowej cztery obrazki Carpaccio, odkryte w jednym z jej dworów wiejskich za sto dwadzieścia tysięcy franków. Jednem słowem, odnośnie do swych stosunków materialnych, była ona czynną i praktyczną, jak

znów w stosunkach miłosnych była lekką i odważną, a nawet rozpustną. Pogłoska, że zdradziła Steno z Werekiewem w Petersburgu, gdzie dyplomata był wysłany w pierwszych latach swego małżeństwa, znalazła potwierdzenie w płochem zachowaniu się, gdy została wdową. W Rzymie, gdzie przemieszkiwała pewną część roku po sprzedaży swych placów, z których zachowała sobie tyle, że mogła wybudować pałacyk i kamienicę, nie przestała afszować się, tak samo, jak w Wenecyi i zarządzać swym majątkiem z jednakową zawsze zręcznością. Umieściwszy pieniądze bardzo korzystnie w *Aqua Marcia*, zyskała pięciokrotnie na tej operacyi. I co jeszcze bardziej dowodziło zdrowego umysłu w tej kobiecie, wyjątkowo uzdolnionej, gdy nie szło o miłość, to, że na zyskach tych umiała poprzestać w chwili właśnie, gdy arystokracja rzymska, ogarnięta gorączką giełdową, poczęła spekulować na wartościach podniesionych do najwyższego kursu. Spędzenie wieczoru w pałacu Steno, przepędziwszy wczorajszy poranek w pałacu Castagna, było to zrealizowaniem jednego z tych wrażeń sprzecznych, które Dorsenne tak lubił, gdyż biedny Ardea został zrujnowany, chcąc zrobić w kilka lat później to samo, co hrabina Katarzyna zrobiła w chwili odpowiedniej. On także spodziewał się zarobić na placach, tylko że place te on nabył po siedemdziesiąt franków za metr, a w r. 1890 nie warte były i dwudziestu pięciu nawet. Ra-



chował on także, iż Rzym się powiększy i na tych placach, zapłaconych tak drogo, zaczął budować ulice całe, wyobrażając sobie, że kiedyś, jak księżę Bedford i Westminster w Londynie, zostanie właścicielem ogromnej dzielnicy miasta. Niestety! przedsiębiorcy go okradli; domy wykończone stały pustkami; począł grać na giełdzie dla zaspokojenia swych długów, stracił, poczem znów zaciągał długi dla zapłacenia różnicy. Jego podpisy, jak to mówił prostacko gospodarz Marzocco, kursowały po świecie pod najrozmaitszemi formami, zapowiadając zły koniec, nieuniknioną katastrofę. Rezultatem tego było, że na wszystkich murach Rzymu, nawet na ulicy, przy której stała willa Steno, dwudziestego września, afisze różnokolorowe zapowiedziały licytację, pod kierunkiem kawalera Fossati, zbiorów i mebli w pałacu Castagna.

— Przewidywać, to móz — rzekł do siebie Dorsenne, dzwoniąc do drzwi pani Steno i streszczając w myśli nieprzepartą asocjacyję myśli, która mu przypomniła pałac księcia rzymskiego, zrujnowanego, w obec willi tryumfującej wenecyjanki — oto alfa i omega prawdziwa... mają oni tu zwyczaj kładzenia tych liter na wszelkich cackach. Powinni także dodać ten komentarz...

To porównanie losów pani Steno z losami dzieciów Castagna spowodowało, że niestały powieściopisarz zapomniał prawie zupełnie o swym projekcie czynienia poszukiwań, co do autora listów

anonimowych. Porównanie to zresztą samo mu się narzuciło, gdy wszedł do sali, w której hrabina co wieczór przyjmowała. Ardea znajdował się tutaj wśród grupy, złożonej z Alby Steno, pani Maitland, Fanny Hafner i bogacza barona, który, stojąc sam jeden oparty o konsolę, wyglądał na dobrotliwego i czcigodnego starca, zamierzającego błogosławić zgromadzoną przed sobą młodzież. Julian nie zdziwił się wcale, widząc tak mało osób w tym obszernym salonie, zapełnionym starą brokatelą, cackami, kwiatami, meblami stylowymi, kanapami zaopatrzonemi w niezliczoną ilość poduszek. Przez całą zimę obserwował on, z sumiennością tapicera, znamionującą nowoczesnych powieściopisarzy, ten salon podobny do setek innych w Wiedniu, Madrycie, Florencyi, Berlinie, wszędzie nakoniec, gdzie pani domu, z usposobieniem mniej lub więcej kosmopolitycznem, stara się o urzeczywistnienie ideału elegancyi paryzkiej. W czasie długich wieczorów bawił się odszukiwaniem w tych ozdobach, prawie międzynarodowych, rysów miejscowych, tego, co odróżniało ten salon od wszystkich innych. Żadna istota ludzka nie zdoła się uwolnić ani od swych zwyczajów, ani zmienić charakteru swego pisma. Powieściopisarz zauważył więc, że salon ten miał na sobie jedną datę, to jest datę ostatniej podróży hrabiny do Paryża. Widać to było w materyi i jedwabiu wielkich firanek. Ton ogólny, w którym przeważała barwa zielona, za-

stosowana przez samolubstwo blondynki o cerze jasnej, miał odcień zbyt gorący, zdradzający Włochy. Widać było także Włochy w plafonie malowanym i we fryzach biegnących dokoła, jak również w kilku obrazach rozrzuconych tu i owdzie, a jakich nie spotyka się na licytacyach w pałacu Drouot i u amatorów paryzkich. Były tu dwa obrazki Moretta di Brescia, malowane według drugiej jego manieri, zwanej manierą srebrną, z powodu soczystości, lekkości i przejrzystości kolorytu. Była to „Uczta u Faryzeusza“ i „Jezus nad brzegiem rzeki“, które to obrazy pochodziły widocznie z jakiegoś starego pałacu i od starego jakiegoś rodu. Dorsenne znał to wszystko i wiedział, dla jakich powodów znalazł tak pusty w tej porze roku ten salon, zwykle podczas zimy niezmiernie ożywiony i w którym widział przesuwający się prawdziwy karnawał chwilowych gości—wielkich panów, artystów, polityków ruskich, austriackich, angielskich i francuzkich—istny bigos. Hrabina nie posiadała w Rzymie tego stanowiska, jakie winien jej być dać majątek i imię. Jako pochodząca z domu Navagero, łączyła ona w swym herbie, z gwiazdą wielkiego doży Michała, złoty krzyż owego Sebastjana Navagero, który pierwszy dostał się na mury Lepantu. Ale pewien rys charakteru przeszkadzał jej w tem zawsze. Nie znosiła ona nudów i przymusu, a przytem nie była próżną. Była ona pozytywną i namiętą, jak w ogóle ludzie

robiący majątek, w których wszelkie kombinacje obmyślane służą tylko dla zapewnienia sobie możliwości używania rozkoszy tego świata. Nigdy np. pani Steno nie umiała krępować się dla kogoś, co jej się nie podobał, chyba, że miała na celu swe miłości. Nigdy nie rozwijała dyplomacyi przy zmianach tych miłostek, choć te były bardzo liczne przed pojawieniem się Gorskiego, któremu była wierną przez dwa lata; rzecz trudna do uwierzenia! Nigdy, chyba w obec otoczenia bezpośredniego, nie zachowywała ostrożności, gdy szło o zbliżenie się do przedmiotu swej żądz. Prócz tego nie miała w Rzymie nikogo, ktoby ją poparł, z pośrodku tych wielkich rodów, do których należała i nie złączyła się z żadną z tych dwóch koteryj, na które od r. 1870 dzieli się towarzystwo tego miasta. Mając umysł zbyt nowoczesny i obyczaje bardzo wątpliwe, nie mogła łączyć się ze światem czarnym i nie była przyjmowaną przez godną czei kobietę, która króluje w Kwirynale i która umiała stworzyć około siebie atmosferę tak szlachetnie podniosłą. Przyczyny te byłyby wywołały pewien rodzaj pół ostracyzmu, gdyby hrabina nie była tego z góry przewidziała i nie otworzyła sobie salonu, będącego nieco na uboczu i rekrutującego się prawie wyłącznie z cudzoziemców. Ciągłe przewijanie się nowych twarzy, niespodzianki, przyjemność stosunków bez obowiązków, wszystko w tym świecie ruchliwym sprzyjało żądzy rozrywki, która

w tej naturze potężnej, popędliwej i prawie po mężku niemoralnej, występowała wyraźnie na każdym niemal kroku. Jeżeli więc Julian zatrzymał się zdziwiony na chwilę na progu sali, to nie dla tego, że zobaczył ją znowu pustą w końcu sezonu, ale dla tego, że spostrzegł w tem kółku poufnem owego Peppino Ardea, którego nie spotykał nigdzie przez całą zimę. I w rzeczy samej, była to chwila dziwnie wybrana, by się pokazywać w nowych miejscach, gdy młotek komornika podniesiony był już nad tem wszystkim, co stanowiło dumę i splendor jego nazwiska. A przytem prawnuk Urbana VII, siedząc między wzniosłą Fanny Hafner ubraną w blado-niebieską suknię i śliczną Albą Steno w ognistej czerwieni, wprost pani Maitland przepysznie wyglądającej, w ciemno-zielonej toalecie, w żadnym razie nie wyglądał na człowieka dotkniętego przeciwnościami. Półcień umiejętnie rzucały przez lampy stojące wysoko i nisko, oświecał delikatnym odbłaskiem jego profil dumny i mężki, który nie stracił na swym pańskim, uprzejmym wyglądzie. Były to dwa główne rysy tej twarzy, nieregularnej i uderzającej, w której widać było opieszałość, połączoną z dobrodusnością. Oczy bardzo czarne, bardzo błyszczące i ruchliwe, zdawały się w jednym spojrzeniu łączyć pogardę z uśmiechem, podczas gdy usta, pokryte ciemnymi wąsami, nosiły wyraz lekceważenia i łakomstwa, rys niesmaku i zmysłowości. Broda wygolona miała od-

cień niebieskawy i nadawała całej twarzy wyraz siły, której zaprzeczała figura nieco wątpa i widocznie nerwowa. Potomek Castagnów ubrany był z tą wyszukaną anglomanią właściwą niektórym włochom, ale która odbija nieco rażąco, tak jak salon hrabiny. Castagna miał zbyt wiele pierścionków na palcach, bukiet zbyt duży w butonierce, a zwłaszcza miał za wiele ruchów i był za zbyt żywy, by można wahać się, przy cerze śniadej, co do narodowości. On to pierwszy z całego towarzystwa spostrzegł Juliusza i rzekł a raczej krzyknął poufale:

— Patrzcie, to Dorsenne! Myślałem, żeś pan wyjechał. Nie widziano cię w klubie od dwóch tygodni...

— Pracował nad nowem arcydziełem — odrzekł Hafner — nad powieścią, której akcja toczy się w świecie rzymskim, jestem tego pewny... Strzeż się, mój książę i wy, panie, rozbróćcie portrecistę....

— Co do mnie — zawołał Ardea, śmiejąc się głośno — gotów mu jestem dać wiadomości o sobie, jeżeli ich zażąda... A nawet za darmo dam mu ilustracye do jego romansu, złożone z fotografij, które niegdyś miałem pasyę zbierać... Oto, widzi pani — zawołał, zwracając się do Fanny — w jaki sposób można się zrujnować. Miałem ma-  
nię niespodzianek. Jest to zabawka bardzo niewinna, prawda? To mię kosztowało trzydzieści tysięcy franków na rok, przez cztery lata...

Dorsenne wiedział, że Peppino Ardea i jego przyjaciele umówili się żartować z klęski, jaka dotknęła ród Castagnów w osobie ostatniego i jedynego potomka. Nie spodziewał się jednak takiego lekceważenia. Był tak tem zdziwiony, że pomiął milczeniem docinek barona, czego w innym razie nie byłby uczynił. Dawny założyciel Banku austro-dalmackiego zawsze okazywał pewną głęboką odrazę do powieściopisarza. Ludzie jego pokroju, głębocy cynicy i wyrachowani, lekają się i gardzą zarazem pewnym rodzajem literatury. Zdaje im się bowiem, że zdradza ona prawdy bardzo niebezpieczne w druku, a zbyt nieznaczące wobec zasad, które sami w praktyce wyznają. Prócz tego miał on za wiele taktu, by nie czuł odrazy instynktownej, jaką wzbudzał w Julianie. Dla Hafnera atoli każda siła społeczna była oszacowana, zarówno powodzenie literackie jak wszystko inne. To też przeląkł się dziś tak samo, jak wczoraj na schodach pałacu Castagna, czy nie posunął się zadaleko, i kładąc poufale na ramieniu powieściopisarza rękę o palcach długich i giętkich, które niejako pieściły to co obejmowały, rzekł:

— Co najbardziej w nim podziwiam, to że pozwala przekomarzać się z sobą takim, jak my profanom, nie gniewając się o to wcale. Pierwszy to autor sławny tak pełen prostoty. Ale on też jest czemś więcej niż autorem, on jest człowiekiem światowym...

— Czy hrabiny niema? — spytał Dorsenne, zwracając się do Alby Steno, nie odpowiadając wcale na mimowoli obrażającą grzeczność barona, ani na żartobliwą ofiarę księcia. Nieobecność pani Steno znów wzbudziła w nim trwogę, którą młoda dziewczyna rozproszyła, odpowiadając:

— Mama jest na tarasie. My zaś obawialiśmy się, by dla Fanny nie było za chłodno...

Była to odpowiedź bardzo naturalna, którą hrabianka wypowiedziała nader prosto, bawiąc się wielkim wachlarzem z piór białych delikatnych i ufryzowanych. Każdy ich ruch unosił, niby aureolę, jej jasne włosy, które miała spiętrzone nad czołem nieco wysoko. Julian znał ją zbyt dobrze, by nie miał spostrzedz, że jej głos, ruchy, wejrzenie, cała postawa wreszcie zdradzała zdenerwowanie doprowadzone w tej chwili aż do cierpienia. Czy była jeszcze pod wrażeniem dąsania się wczorajszego, czy też uległa znów jednemu z tych przejść niewytłomaczonych, które doprowadziły Dorsenne'a w rozmyślaniach nocy dzisiejszej do takich dziwnych podejrzeń? Podejrzenia te znów w nim powstały wraz z uczuciem, że ze wszystkich osób tu obecnych, Alba była jedyną, której wygląd zdradzać się zdawał świadomość przygotowującego się dramatu. Postanowił więc zbadać zaraz zagadkę, oraz odszukać klucz do tej żyjącej tajemnicy. Jakże mu się tego wieczoru wydawała piękną, z temi dwoma wrażeniami, odmalowanemi na twarzy, które jej na-



dawały wygląd prawie tragiczny! Kąty ust obniżyły się nieco, wargę górną, krótką z natury, odsłoniła zęby ściśnięte, i przy twarzy bladej te usta miały gorycz niewysłowienie bolesną. Z jakiego powodu? Nie była to chwila odpowiednia do takich badań. Młody człowiek musiał iść przywitać się najprzód z panią Steno na tarasie, który zakończył niby raj rozkoszy rzymskich, salon umeblowany na wzór paryzki. Krzewy drżały tu w wielkich wazonach z terrakoty ozdobionych płaskorzeźbami. Na balustradzie białe popiersia, a w głębi rozłożyste sosny willi Bonaparte rysowały swe czarne sylwetki na tle nieba z błękitnego aksamitu, wyłoczonego wielkimi gwiazdami. Mglisty zapach akacyj, który przychodził tu z sąsiedniego ogrodu, unosił się w powietrzu, które miało miękkość jedwabistą, lekką, pieściwą i ciepłą. Ta atmosfera słodka, prawie rozkoszna, świadczyła o kłamstwie hrabianki, która widocznie chciała usprawiedliwić to sam na sam matki z Maitlandem. Kochankowie w rzeczy samej znajdowali się tu obok siebie, wśród woni, tajemnicy i samotności tego cichego i ciemnego tarasu. Dorsenne, który przybywał z jasno oświeconego salonu, musiał chwilę czasu stracić, nim zdołał rozróżnić w zmroku sylwetkę hrabiny. Ubrana całkiem białą, leżała na szeslongu słomianym, opatrzonym w miękkie poduszki jedwabne. Pałała cygarete, której mały punkcik ognisty, przy każdym pociągnięciu, jaśniał silniej i pomimo chłodu

nocnego ukazywał jej piękną szyję długą i giętką, ozdobioną koliaż z pereł, nagaż wraz z ramionami przepysznymi, które błyszczały bransoletami z po za wielkich i szerokich rękawów. Julian, zbliżając się, poznał wśród woni roślinnej tej nocy wiosennej, zapach drażniący tytoniu Wirginia, którego używała pani Steno od chwili, gdy się zakochała w Maitlandzie, kiedy dawniej paliła papierosy ruskie, do których przyzwyczał ją Gorski. Po tych drobnych rysach można poznać kobiety zakochane miłością głęboką, nienasycenie zmysłową, jedyną do jakiej wenezyanka była zdolną. Ich żądza namiętna oddawania się zupełnego sprawia, że przyjmują najmniejsze nawet zwycięzaje człowieka, którego kochają. Tym tylko sposobem można wytłomaczyć tę zmianę gustów, idei, nawet przyzwyczajzeń, tak że w ciągu sześciu, nawet trzech miesięcy, stają się innymi osobami. Obok cienia pełnego wdzięku i lekkości, siedział Maitland na krześle zbyt niskiem, tak że cała wysokość jego figury gdzieś ginęła. Ale jego szerokie barki, doskonale rysujące się we fraku wieczorowym, świadczyły, że wprzód nim poświęcił się „*the Art*“ (trzeba go było słyszeć jak wymawiał ten wyraz po amerykańsku) — oddawał się ćwiczeniom fizycznym, jak tego wymaga wychowanie angielskie. Ilekroć też była mowa o nim, zaraz na myśli stawała ta jego rozrosłość postaci. Ponad szerokimi barkami unosiła się twarz szeroka i nieco czerwona, przecięta na połowę szeroko-

kiemi wąsami rudemi, które w szerokim śmiechu odkrywały szeroki rząd białych moenych zębów. Szerokie pierścienie błyszczały na jego szerokich palcach. Przedstawiał on typ wręcz przeciwny Bolesławowi Gorskiemu. Jeżeli prawnuk kasztelanów polskich przypominał niebezpieczną przebiegłość kota, zręcznej i pięknej pantery, to Maitland mógł być porównany do tęgiego i potężnego buldoga, do jednego z tych dogów legendy o szczękach i mięśniach tak silnych, że mogły zdusić lwa. Malarza widać w nim było tylko w oczach i rękach, co było darem fizycznym takim samym jak krtań u tenora. Ale ten talent prawie anormalny został rozwinięty, ukształcony, zapłodniony dzięki sile woli; rys znamieny w anglosasach Nowego świata, gdy zakochają się w Europie, zamiast coby ją mieli nienawidzić. W tej chwili jednak ta siła woli zajęta była oddychaniem wonią tej cudnej róży białej, jaką była pani Steno—róży, trochę zanadto rozkwitłej, która w jesieni czterdziestki zaczynała już więdnąć. Ale jakże ona była jeszcze rozkoszną! To też Maitland widocznie nie troszczył się wcale tem, że jego żona znajdowała się w pokoju sąsiednim, którego drzwi rozwarte rzucały blask, półcieniem pokrywający zarysy tarasu rozkosznego! Trzymał swą kochankę za rękę i puścił ją, gdy spostrzegł Dorsenne'a, który umyślnie potracił z trzaskiem wielkie krzesło, zbliżając się do pary i rzekł bardzo głośno z wesołym śmiechem:

— Byłbym złym kochankiem zeszłowiecznym, gdyż w nocy nic nie widzę. Gdyby cygareto pani nie służyło mi za przewodnika, byłbym wlaźł na balustradę.

— Ach, to pan, panie Dorsenne — odrzekła p. Steno sucho, wbrew swej zwykłej uprzejmości, z czego powieściopisarz wyciągnął podwójny wniosek, raz że był *Terzo Incomodo* komedyi klasycznej, potem że Hafner uwiadomił hrabinę o jego wczorajszych słowach.

— Tym gorzej — pomyślał sobie — ostrzegłem ją... Gdy się zastanowi, będzie mi wdzięczną. Co prawda, teraz nie jest pora do zastanawiania się...

Szepnąwszy te słowa po cichu i do siebie, począł głośno mówić o pogodzie, o tem, że jutro może być deszcz, o doskonałym humorze księcia Ardea... Wypowiedziawszy nakoniec kilka takich banalnych zdań, by we właściwej chwili cofnąć się z tarasu i zostawić kochanków ze sobą, tak by to nie wyglądało umyślnie, zapytał zwracając się do Maitlanda i stojąc ciągle, by mu łatwiej się było usunąć:

— Kiedy będzie można zobaczyć portret, jaki pan robisz? kiedy będzie on skończony?...

— Skończony! — zawołała hrabina, nazywając przytem swego przyjaciela imieniem zdrobniałem — czyż pan nie wiesz, że Linco znowu całą głowę zamazał?

— Całą! nie! — odrzekł malarz — ale to prawda, że profil trzeba przerobić... Czy przypomi-

nasz sobie, panie Dorsenne, te dwa płótna Piotra della Francesca, znajdujące się we Florencyi: „Księżę Fryderyk Urbino i jego żona Battista Sforza“?... Są one w tej samej sali, co i pejzaż Boticellego... Rysowane to jest tak (i zrobił ruch palcem)... i to właśnie jest dobrze, ach! jak dobrze... Tej linii koniecznej, tego profilu, zawierającego w sobie wszelkie profile, szukam i szukam... Ten malarz, widzisz pan, Fra Carnevale i Melozzo, niema równego sobie we Włoszech...

— A Tycyan i Rafael? — wtrąciła pani Steno.

— A Sieneńczycy, a Lorenzetti, którymi się dawniej zachwycaliś? Pisałeś mi pan o nich z powodu mego artykułu o twojej wystawie w r. 1886. Nie przypominasz pan sobie? — pytał powieściopisarz.

— Rafael? — odparł Maitland — w rezultacie chcecie państwo, żebym wam powiedział, co to był Rafael? Był to wspaniały przedsiębiorca. A Tycyan? Wspaniały tapicer... Sieneńczycy, prawda, lubiłem ich (dodał, zwracając się do Dorsenne'a), przepędziłem trzy miesiące na kopiowaniu Simona Martini, tego Guido Riccio, który pędzi na koniu między dwoma twierdzami po szarej przestrzeni, na której niema ani jednego drzewa, ani domu, tylko lance i baszty. Ba! czy sobie przypominam Lorenzettię? Przedewszystkiem freski w San Francesco, przedstawiające św. Franciszka, w chwili, gdy składa przepisy swego zakonu papieżowi. Jest to najlepsze jego dzieło...

Jest tam kardynał, który przykłada palec do ust, oto tak!... (nowy giest). Niepodobało mi się to, bo widzisz pan, wygląda na anegdotę. Jest to reporterka na murze. No! reporterka na wielką skalę! Ale co do treści, to ta, fiut! (i gwizdnął ustami)—gdy tymczasem Piotr della Francesca, Carnevale, Melozzo, (tu zatrzymał się, żeby wyrazić myśl bardzo skomplikowaną, jaka powstała w jego głowie i skończył wykrzyknikiem)... to jest malarstwem!...

— Jednakże „Assunta“ Tycyana i „Przemienienie“ Rafaela—rzekła hrabina i dodała po włosku, z akcentem zapалу: *ah! che bellezza!*...

— Nie przywiązuaj do tego wagi, pani hrabino—rzekł Dorsenne, śmiejąc się coraz bardziej—jest to opinia artysty... Ja naprzykład, wydrukowałem przed dziesięciu laty, że Wiktor Hugo był dyletantem, a Alfred de Musset mieszcuchem. Mimo to mają się oni dobrze, tak jak ja. Ale, ponieważ nie pochodzę ani od dożów, ani od „Pilgrini Fathers“, ja, biedny gallo-rzymianin wyrodniały lękam się, ze względu na katar, wilgoci i chcę prosić o pozwolenie wycofania się ztąd...

Poczem przestępując próg salonu szeptał:

— Rafael przedsiębiorca, Tycyan tapicer, Lorenzetti reporter! A dogarressa, słuchająca tej rozmowy z powagą, ona, której ideałem winna być dobra Madonna. No! no.... Co do Gorskigo, gdyby nie to, że mi cały dzień wczoraj zajął, sądziłbym, że marzę, tak tu nikt o nim nie mówi...

A ten Ardea, który szydzi ze swej ruiny. Jak na włocha, to wcale nieźle. Ale za dużo o tem mówi i to się przykrzy!...

Idąc ku grupie zebranej w kącie salonu, tuż pod obrazem Morettego, usłyszał, jak księżę opowiada o kawalerze Fossati, który zajął się jego licytacją:

— Ileż pan myślisz na tem wszystkim zarobić—zapytałem go się w końcu?—Och, odrzekł, bardzo niewiele... Ale tu trochę, tam trochę, tak że razem coś to będzie stanowiło. A z jaką miną dodał: *e già il moschino e conte* i już komar staje się hrabią!... Ten komar, to on. Tak go nazywano, gdy handlował starzyzną na drodze do Umbryi. Jeszcze kilka sprzedaży takich, jak twoja, mój księżę, i syn mój, z hrabiów Fossati, będzie miał pół miliona, zapisze się do klubu i będzie panu mówił: ty, grając z panem w *goffo*... Oto, co znaczyło to *già!*... Słowo honoru, nigdy się tak wybornie nie bawiłem, jak teraz, gdy nie mam ani jednego grosza...

— Jesteś księżę optymistą—rzekł Hafner--i cokolwiekbądź powie nasz przyjaciel Dorsenne, w życiu trzeba być optymistą...

— Znowu, ojcze, rozpoczynasz atak...—zauważyła Fanny tonem pełnego uszanowania wyrzutu.

— Nie atakuję go wcale—odpowiedział baron—ale jego zasady, a zwłaszcza zasady jego szkoły... Tak, tak...

Wypowiedział to z naciskiem, może dlatego, że chciał zmienić rozmowę, którą Ardea prowadził ciągle o swej ruinie, a może dlatego, że uważał świat za wybornie urządzone, kiedy takie sprawy na nim, jak Bank austro-dalmacki są możliwe. Dla tego też w rzeczy samej czuł głęboką odrazę do smutku i pesymizmu, wprawdzie nieco sztucznego, jakim były przesiąknięte dzieła Juliana.

— Słuchając pana, panie Ardea—mówił dalej— i widząc, jak się ku nam zbliża ten wielki pi-sarz, pomyślałem sobie o tej modzie, jaka dziś panuje, modzie patrzenia na świat czarno...

— Czy panu ten świat wydaje się wesołym?— zapytała nagle Alba.

— Wybornie! — zawołał Hafner — przekonany byłem, że mówiąc przeciw pesymizmowi, wywołałam opozycję hrabianki... Wesołym? nie — ciągnął dalej — ale gdy sobie pomyślę o nieszczęściach, jakieby nas wszystkich tutaj zebranych naprzykład spotkać mogły, widzę, że ten świat nie jest znów tak bardzo złym... Przypuśćmy, że żyjemy w innych czasach. Pani, hrabianko, przed stu pięćdziesięciu laty gdybyś mieszkała w Wenecyi, byłabyś wystawioną każdego dnia na denuncyację przed Radą dziesięciu, a co za tem idzie, na więzienie... Pan, panie Dorsenne, mógłbyś być obitym, jak pan de Voltaire, przez jakiego zazdrosnego, lub obrażonego magnata. Książę Ardea mógłby być zamordowany i zrabowany



przy każdej zmianie papieża. Ja zaś, jako protestant, mógłbym być wypędzonym z Francyi, prześladowanym w Austrii, niepokojonym we Włoszech, spalonym w Hiszpanii..

Nie powiedział, coby się działo z panią Maitland przed zniesieniem niewolnictwa. Wiedział, że ta bardzo piękna i bardzo wykwiwna kobieta, podzielała najgorsze przesady swych współrodaków amerykańców przeciw krwi czarnej i że wszelkimi siłami starała się ukryć te oznaki pochodzenia swego, tak dalece, że nigdy nie zdejmowała rękawiczek. Należy dodać, że pochodzenie to zdradzała nieco jej płeć, nieco przyćmiona, włosy trochę kędzierzawe i lekki odcień niebieskawicy białek ocznych. Udawała, że nie rozumiała milczenia barona, ale zajęła się z miną roztargnioną gładzeniem fałdów swej sukni zielonej, a Dorsenne rzekł:

— Jest to rozumowanie bardzo piękne i bardzo szczegółowe, ma tylko jedną wadę, że jest pozbawione nieco sensu... Wątpię bardzo, czy mógłbyś pan sobie wyobrazić, czem byłbyś w owej epoce... Zawsze się to mówi: gdybym żył przed stu laty, a zapomina się, że przed stu laty byłoby się czemś innem, nie miałyby się ani tych samych idei, ani tych pragnień, ani tych potrzeb. Jest to samo, jakbyś pan sobie wyobrażał, że będąc wężem, lub ptakiem, jednakiemi byłyby myśli pańskie...

— Jedno tylko można sobie wyobrazić, to jest to, coby było, gdybyśmy się byli wcale nie rodzili?...—rzekła Alba Steno.

Słowa te wygłosiła takim tonem dziwnym, że rozmowa, rozpoczęta przez Hafnera, urwała się odrazu. Słowa, pełne myśli, wywołują zawsze ten skutek w tych pogawędkach leniwców, którzy nie przywiązują żadnej wagi do zdań przez siebie wygłaszanych. I jakkolwiek jest to paradoksem potępiać życie wśród zbytku, zwłaszcza gdy się ma zaledwie lat dwadzieścia, hrabianka jednak była widocznie szczerą. Jakież źródło było tej szczerości; czy w sercu jej młodem, zranionem głęboko? Dorsenne zadał sobie to pytanie może sam jeden, gdyż rozmowa zmieniła się natychmiast. Lidya Maitland, wskazując wachlarzem rękawy Alby, która oddalona była od niej o dwa krzesła, spytała się z pewną delikatną, jakkolwiek może mimowolną, ironią.

— To z muszlinu jedwabnego, prawda?

— Tak — odrzekła hrabianka i wstała, pochylając się i wyciągając ramię dla zadośćuczynienia ciekawości swej pięknej sąsiadki. Ramię to było wątle, nerwowe, pokryte puszką jasnym, przebijającym się przez delikatną materię czerwoną, którą spinał węzeł ze wstążek tego samego koloru na szczupłych barkach i przy rękach. I słychać było, jak Ardea, przechylając się ku Fanny, piękniejszej dziś niż zwykle, zarumienionej nieco, spytał:

— Wszak pani była wczoraj w mym pałacu?

— Niel—odrzekła.

— Spytaj jej się księżę, dlaczego nie była? — zawołał Hafner.

— Ależ, mój ojczel!—szepnęła Fanny z proźbą w swych czarnych oczach, której Ardea uległ i mówił:

— Szkoda. Wszystko tam jest dość pospolite, ale mogła panią zainteresować kaplica. W gruncie rzeczy jej jednej żałuję najbardziej, gdyż moi przodkowie tam się modlili, a dziś jest ona prostym numerem w katalogu!.. Nawet relikwiarz mi zabrali, relikwiarz, pochodzący od Ugolina z Sienny!.. Odkupię go, choćbym niewiem wiele miał zapłacić!.. Ojciec pani chwali mą odwagę, a jednakże nie mogę się rozstać bez zgryzot z tym przedmiotem!..

— Ona żałuje całego pałacu!.. — rzekł baron.

— Mój ojczel!..—zawołała znów Fanny.

— No, no, uspokój się, nie zdradzę cię — odrzekł Hafner, a Alba, korzystając z tego, że stała, wyszła z małego kółka rozmawiających. Podeszła ku stołowi, zastawionemu na drugim końcu salonu przyrzadami do herbaty w najczystszyim stylu angielskim, i odezwała się do Juliana, który szedł za nią:

— Czy chcesz pan, bym przygotowała wodę sodową i pańską wódkę, panie Dorsenne?

— Co pani jest, hrabianko? — spytał młody człowiek półgłosem, gdy się znaleźli oboje obok wielkiej tacy, na której kryształ rzunięty szklanek i przedmioty srebrne błyszczały blaskiem jasnym i nowym na tle szarem salonu.

— Tak — nalegał — co pani jest? czy ciągle pani gniewasz się na mnie?

— Na pana? — zapytała — ależ nigdy się nie gniewałam... o cóżbym się gniewała? Nigdy mi pan nie złego nie zrobiłeś...

— Więc ktoś pani coś złego zrobił? — dopytywał się Julian.

Widział on, że mówiła szczerze i że nie pamiętała wczorajszego nieporozumienia.

— Nie oszukasz pani takiego przyjaciela, jak ja — mówił dalej. — Widząc, jak się pani wachlujesz, byłem pewny, że się nudzisz. Znam przecie panią dobrze...

— Nie nudzę się wcale — odrzekła ze zmarszczeniem niecierpliwem swych długich i miękkich brwi, które rzucały cień złocisty na jej policzki — ale nie mogę znieść pewnych kłamstw. Oto wszystko...

— A któż to skłamał? — spytał Dorsenne.

— Czyż nie słyszałeś pan, jak Ardea mówił przed chwilą o swej kaplicy, on, co tak samo wierzy w Pana Boga, jak Hafner, o którym nikt nie wie, czy jest żydem, czy chrześciani-  
nem?... Nie widziałeś pan, jak ta biedna Fanny spoglądała na niego? Czyż nakoniec nie zauwa-

żyłeś, z jakim taktem baron zrobił aluzję do delikatności, która nie pozwoliła jego córce zwiedzenia z nami pałacu Castagna? Czyż ta kome-dya tych dwóch ludzi nie wzbudza w panu żad-nych myśli?...

— To dlatego Peppino jest tutaj? — zawołał Julian—a więc istnieje projekt małżeństwa między dziedziczką milionów papy Hafnera i prawnikiem papieża Urbana VII... będę miał piękny przedmiot do rozmowy z jednym z moich znajomych...

Przypomniał sobie Montfanona, a śmiał się szczerze, myśląc o wrażeniu, jakie ta wiadomość wywrze na margrabiego.

— Nie dziw mi się, hrabianko, ale przecież z całej tej historii smucić się nie mogę. Fanny zaślubi Peppina? I dlaczegożby nie? Wszak sama pani mówiłaś mi, że jest ona na pół kato-liczką i że ojciec czeka z chrztem tylko na jej małżeństwo. Będzie więc szczęśliwą. Ardea ocali piękny pałac, który wczoraj widzieliśmy, a baron ukoronuje swą karierę, oddając zrujnowanemu na giełdzie paniczykowi, w kształcie posagu to, co zabrał innym. Być zięciem takiego bandyty pie-niężnego, to znaczy pomścić się za akcyonaryu-szów...

— Cicho pan bądź — rzekła Alba głosem po-sępnym—to, co pan mówisz, przykrość mi spra-wia. Że Ardea pozbył się wszelkich skrupułów i chce sprzedać swe imię księcia rzymskiego jak można najdrożej i komukolwiekbądź, jest mi zu-

pełnie obojętnem, zwłaszcza, że nam, weneccyanom, szlachta rzymska w niczem imponować nie może. My wszyscy mieliśmy już dożów w rodzie, kiedy ojcowie tych tam panów trudnili się rozbojami po wsiach, oczekując, aż jaki biedny mnich z ich rodu zostanie papieżem. Obojętnem także jest dla mnie, że pan baron Hafner umieszcza swą córkę tak dobrze, jak niegdyś umieszczał swe klejnoty w młodości... Ale mi o nią idzie, pan jej nie znasz... nie wiesz, co to za ujmująca osoba, jaka entuzjastka, a współcześnie pełna prostoty i szczerości. Nigdy ona nie będzie wiedziała o tem, że ojciec ją przehandlował, że ojciec ten jest złodziejem, że chce mieć wnuków, którzy zarazem będą wnukami papieżkiemi, że nakoniec ten Pepino nie kocha jej, że pragnie tylko jej posagu, że będzie miał mniej więcej dla niej takie same uczucia, jakie ma mąż dla tej tam...

Mówiąc to, wskazała oczami panią Maitland i dodała:

— Jest to o wiele okropniejsze, niż się zdaje...

Ostatnie słowa wyrzekła tonem zagadkowym, jakby przestraszyła się słów własnych.

— Tak—odezwał się Julian—będzie to bardzo smutnem, tylko, czy czasem pani nie przesadzasz? Życia tak obrachować nie można... Może książe i baron mają tylko projekta, dotąd mgliste...

— Projekta mgliste!... — zawołała Alba, poruszając swemi wątlami ramionami. Taki Hafner niema nigdy projektów mglistych... A gdybym

panu powiedziała, że jestem pewną, czy słyszysz pan? pewną, że on ma w ręku większą część długów księcia, że każe sprzedawać pałac przez Ankone, dlatego, żeby pieniądze mu oddać ..

— To niemożliwe! — zawołał Dorsenne. — Wszak sama pani widziałaś wczoraj, że rozmyślał nad tem, czy kupić, lub nie, niektóre przedmioty...

— Nie wymagaj pan, bym więcej powiedziała — rzekła Alba, przecierając kilkakrotnie czoło i oczy ręką, na której nie błyszczał żaden pierścień, ręką bardzo wątlą i białą, której ruchy zdradzały nadzwyczajną nerwowość — już panu i tak zbyt wiele powiedziałam... Nic mi do tego, a biedna Fanny jest moją, niezbyt dawną, przyjaciółką, jakkolwiek bardzo czułą i tkliwą... Myślę, że zaprzepaści swe życie, a niema nikogo, ktoby zawołał: oszukują cię!... Lituję się nad nią, ale... to jest dzieciństwo!...

Jest to zawsze rzeczą niezmiernie przykrą, gdy młoda osoba spostrzega wszystkie ciemne strony życia i traci już w dwudziestym roku życia naturalną swobodę. Te objawy przedwczesnego rozczarowania spostrzegł już kilkakrotnie Dorsenne w Albie Steno, a nawet stanowiło to główny powód jego ku tej ciekawej naturze kobiecej, mimo to w tej chwili zdumiał się widokiem tego braku wszelkich złudzeń, odnośnie do projektów ojca Fanny. Zkąd się o nich dowiedziała? Prawdopodobnie od samej pani Steno; może baron i hrabina mówili przy młodej dziewczynie zbyt

otwarcie, by mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości, a może odgadła wszystko sama ze słów, jakie słyszała. Widząc ją stojącą z ustami pełnymi goryczy, z oczami w dal patrzącymi, szarpaną przez głuchoe oburzenie, Dorsenne nabierał znowu przekonania, które zresztą oddawna już żywił, że Alba jest niezmiernie przenikliwą. Nie wątpił, że rozumiała dobrze postępowanie matki. Zdawało mu się, że podsuwając ogień lampki srebrnej pod wielki herbatnik, rzucała wzrokiem w kierunku tarasu, gdzie w cieniu błyszczała biała suknia hrabiny. Nagle szalona myśl, która go wczoraj tak wzburzyła, znowu mu się przypominała, wraz z projektem naśladowania, jak mówił, Hamleta, to jest odegrania w salonie pani Steno roli księcia duńskiego przed swym stryjem. Z roz-targnienia, z miną obojętną, jaką zwykle miewał, podchwycił ostatnie zdanie Alby i rzekł:

— Bądź pani spokojną, Ardea ma wielu nie-przyjaciół, a Hafner jeszcze więcej. Znajdzie się zawsze ktoś, co zdradzi ich układy, jeżeli są jakie układy, dotyczące pięknej Fanny... List bezimienny tak łatwo napisać...

Nie skończył zdania i urwał nagle przerażony, jak ten, który mierzył ze strzelby, myśląc, że jest nienabitą, gdy nagle strzał się rozlega. Wy-rzekł to raczej przez przyzwyczajenie, przez sceptycyzm i nie przypuszczał, że słowa jego wywołają na dumną i ruchliwą twarz Alby chmurę bólu niewypowiedzianego. Usta jej przybrały wy-



raz niesmaku, w oczach zajaśniała wzgarda ponura, a ręce, zajęte przygotowywaniem herbaty, drżały coraz bardziej i rzekła tonem tak wzruszonym, że Dorsenne żałował już, iż zaczął tę grę okrutnej ciekawości.

— O! nie życz jej pan tego! Byłoby to gorzem od dzisiejszej nieświadomości. Teraz przynajmniej nie wie o niczem i gdyby jakiś nędznik zrobił to, o czem pan mówisz, to i tak pewności nie nabędzie... Jak pan możesz się uśmiechać na takie przypuszczenie... Biedna, dobra Fanny. Spodziewam się, że nie otrzyma listu bezimiennego... To jest rzecz nikczemna i tyle złego robi!..

— Daruj mi pani, żem cię podrażnił — odrzekł Dorsenne.

Dotknął się niemal palcem krwawej rany serca i zrozumiał ze zdziwieniem, że nie tylko Alba Steno nie pisała listów bezimiennych do Gorskiego, ale przeciwnie, sama je otrzymywała. Ale od kogo? Któż był tym tajemniczym denuncyantem, który w tak bezecny sposób uwiadomił córkę pani Steno, że ta ma kochanka? Myśląc o tem, Julian czuł dreszcz przebiegający mu po ciele i dodał:

— Jeżeli się uśmiechnął, to dlatego, że uważam pannę Hafner za osobę aż nadto rozumną, by nie umiała w sposób właściwy zachować się wobec takich ostrzeżeń. Listu bezimiennego nie należy nawet czytać. Jeżeli jest ktoś tak niegodny, że używa tego rodzaju broni, to nie zasługuje na tyle zaszczytu, by nawet spojrzano na jego pismo...

— Masz pan słuszność!—odrzekła Alba.— W jej oczach, nagle szeroko rozwartych, zajaśniał blask prawdziwej wdzięczności, która przekonała ostatecznie Juliana, że teraz dobrze widzi. Wygłosił zdanie, którego ona łaknęła. W obec tego uczuł wstyd i litość—wstyd, gdyż w myśli znieważył tę nieszczęśliwą istotę; litość, gdyż jeżeli napisano jej o matce, to musiała doznać straszliwej boleści. I nie mogła nawet pokazać tego haniebnego listu matce, która często mówiła: „wychowuję moją córkę według zasad angielskich, w najzupełniejszej niepodległości“... Szczęśliwe wyniki dała ta niepodległość, kiedy pozwoliła, że to biedne dziecko otrzymywało tego rodzaju listy! Wczoraj zapewne po południu, lub dziś rano, musiała dostać ten list straszliwy, gdyż w czasie wizyty w pałacu Castagna była wesołą i dąsającą się dziecinnie, gdy teraz wieczór nie była już dzieckiem cierpiącym, ale kobietą. Dorsenne mówił dalej:

— Pani wiesz dobrze, że my, pisarze, jesteśmy ciągle wystawieni na tego rodzaju bezceństwo. Niech tylko jaka książka zyska powodzenie, niech sztuka się podoba, niech jaki artykuł chwala, a zaraz zazdrośni poczynają obrzucać obelgami nas, lub tych, których kochamy, zawsze bezimiennie... W takich razach, powtarzam pani, palę te pisma, nie czytając ich i jeżeli kiedykolwiek coś podobnego się pani przytrafi, wierz mi, hrabianko, trzymaj się przepisów twego przyjaciela Dor-

senne'a. Gdyż jest on pani przyjacielem, wszak prawda? prawdziwym przyjacielem?...

— Ale—zawołała żywo Alba—zkażże pan przepuszczasz, że ja mogę otrzymywać listy bezimienne? Nie jestem ani sławną, ani piękną, ani bogatą i nikt niczego mi nie zazdrości...

A widząc, że Dorsenne patrzy na nią z żalem, że za dużo powiedział, gdyż znowu unikała bezpośredniej odpowiedzi, zmusiła swe smutne usta do uśmiechu i dodała:

— Jeżeli pan jesteś naprawdę moim przyjacielem, to zamiast tracić czas na dawaniu mi rad, które, zdaje się, nigdy mi się na nic nie przydadzą, chyba, że zostanę sławną autorką, pomóż mi pan lepiej przygotować herbatę. Dobrze? już musiała naciągnąć...

I swemi delikatnemi palcami podniosła przykrywkę herbatnika i rzekła:

— Idź pan spytać się mistres Maitland i Fanny, czy będą piły herbatę... Ardea pije tylko grog, a baron wody mineralne... Trzeba nawet zadzwonić, żeby mu przynieśli szklankę Vichy... masz tobie... spóźniłam się przez pana. Mamy widzieć nowych gości, a herbata jeszcze niegotowa... ależ!—zawołała—to Maud!...

Zaledwie to wyrzekła, gdy zaraz ze zdziwieniem, które wydobyło jej z piersi głuchy okrzyk, dodała:

— I jej mąż!...

Podwoje sali w rzeczy samej roztworzyły się i na progu ukazała się Maud Gorska, zawsze

piękna tą pięknnością angielską, siłą i rozrośłą, promieniejąca szczęściem, w sukni z krepy chińskiej czarnej, w rzuty oranżowe, przy których ślicznie uwydatniała się jej cera świeża i rzeźwa. Za nią szedł Bolesław. Ale nie był to już podróżny, który przed trzydziestu sześciu godzinami wysiadł na placu św. Trójcy, szalony z niepokoju, dyszący zazdrością, zabrudzony pyłem wagonu, z włosami rozwianymi, brwiami zakurzonymi, rękami czarnymi. Był to nieco zmizerniały, nieco znużony, hrabia Gorski, wykwiśnięty, jakiego Dorsenne znał dotąd, zręczny, ubrany we frak wieczorowy, z paru konwaliaami w butonierce, z twarzą uśmiechniętą i piękną. Dla powieściopisarza, wiedzącego o wszystkim, ten uśmiech chłodny miał w sobie coś o wiele straszliwszego, niż gniew wczorajszy. Zrozumiał to doskonale po uściśnięciu ręki polaka. Noc i dzień zastanowienia zburzyły jego dzieło, i jeżeli Bolesław odegrał komedię dla uspienia nieufności swej żony i dla zmuszenia jej do tej wizyty wieczornej, to dlatego, że postanowił nie radzić się nikogo i samemu śledztwo prowadzić. Udało mu się to doskonale i jego ukośne wejrzenie dostrzegło z pewnością białą suknię pani Steno na tarasie, podczas, gdy szczęśliwa Maud tłumaczyła ten powrót niespodziewany ze zwykłą sobie szlachetną szczerością:

— Tak to zwykle bywa, gdy się donosi ojcu, niezbyt rozsądnemu, wiadomości złe... Napisałam

mu, że Łukasz miał kiedyś tam gorączkę. Odpowiada mi i zapytuje się, co to takiego. Nie otrzymuję jego listu... a on przestrasza się i przybywa...

— Uwiadomię mamę — rzekła Alba i w istocie pobiegła na taras, ale nie tak prędko, jakby tego pragnął Dorsenne.—Miał on poczucie niebezpieczeństwa tak silne, że się nawet nie uśmiechnął, jakby to był zrobił w innych okolicznościach, w obec powodzenia kłamstwa dość niezręcznego, jakie razem z Bolesławem wczoraj wymyślili i o którym hrabia mówił z zarożumieniem: „Maud będzie tak szczęśliwa gdy mnie zobaczy, że uwierzy wszystkiemu“. Była to scena tak prosta i tak zarazem tragiczna—tą tragicznością światową, przy której zdarzenia tem są okropniejsze, że odbywają się cicho, spokojnie, wśród zdań konwencyonalnych i otoczenia świątecznego! Dwaj przynajmniej widzowie, oprócz Juliana, rozumieli znaczenie chwili: Ardea i Hafner. Obaj oni bowiem doskonale wiedzieli o stosunkach obecnych pani Steno i Maitlanda, jak również o jej stosunku dawniejszym z Gorskim. Powieściopisarz, wielki pan i spekulant, pomimo różnicy położenia i lat, mieli dość doświadczenia w tego rodzaju sprawach. Wiedzieli oni, że kobieta odważna zdolną jest zachować nadzwyczajną przytomność umysłu w chwili, gdy zostaje schwyconą na gorącym uczynku, jak to teraz było z weneçyanką. Później wszyscy trzej mówili, że nawet nie wyobrażali sobie godniejszej podziwu zimnej krwi, pyszniejszej pogo-

dy, jak ta, którą pani Steno w tym momencie stanowczym okazała. Zjawiała się na progu drzwi szklanych zdziwiona i uradowana, w miarę, jak wymagają tego konwenanse. Jej cera blondynki, którą najmniejsze wzruszenie winno było zarumienić, zachowała swą zwykłą, rozkosznie różową barwę. Jej długie powieki, pełne wdzięku orientalnego, nie zadrgały i nie przyćmiły oczów błękitnych, które ciągle jednakowo błyszcząły. Z uśmiechem, odkrywającym piękne zęby, podobne do pereł, otaczających jej szyję, ze szmaragdami wpiętymi we włosy, z szerokimi plecami, wystającymi z po za wycięcia białego gorsetu, z kibicią pełną i cienką, z przepysznyimi rękami, z których zdjęła rękawiczki, przez wzgląd na pieściotliwe pocałunki Maitlanda i na których także błyszcząły szmaragdy, z ruchami pełnymi dumnej pewności, wyglądała w istocie na kobietę z przeszłych stuleci, na siostrę tych świetnych księżniczek, które malarze weneccy wywołują z grobów pod portykami marmurów, między apostołami i męczennikami. Zbliżyła się wprost do Maud Gorskiej, którą ucałowała czule, poczem uściskawszy Bolesława za rękę, rzekła swym głosem dzwicznym, w którym drżał ton kontraltu, następstwo pieściwego dyalektu lagun:

— Ach, cóż za śliczna niespodzianka!... I nie mogliście przyjść do nas na obiad?... Proszę, usiądźcie oboje i opowiedzcie mi odyseję podróżnika...

I zwracając się do Maitlanda, który wszedł z nią do salonu z potężnym i bezczelnym spokojem olbrzyma i człowieka kochanego:

— Bądź tak grzeczny, mój mały Linco, i poszukaj mi wachlarza i rękawiczek, które zostawiłam na szeslongu...

W tejże chwili Dorsenne, który lękał się spotkania z oczami Gorskigo (nie byłby wytrzymał jego wejrzenia), znalazł się znowu przy Albie Steno. Twarz młodej dziewczyny, niedawno tak smutna, jakby strachem przejęta, rozjaśniła się teraz zupełnie. Zdawało się, że olbrzymi kamień spadł z piersi pięknej hrabianki.

— Biedne dziecko—pomyślał powieściopisarz—nie może uwierzyć, by jej matka mogła zachować taki spokój, gdyby była winną. Zachowanie się hrabiny, to odpowiedź na list bezimienny. Więc wszystko jej napisano?... Mój Boże, ale kto to może być? Co wyniknie z dramatu w ten sposób zawiązanego?...

I pogiążył się w głęboką zadumę, mimo gwaru rozmowy, do której się wcale nie mieszał. Gdyby był obserwował, zamiast rozmyślać, byłby dostrzegł autora listów anonimowych tak wyraźnie, jak wyraźną była odwaga pani Steno w stawieniu czoła niebezpieczeństwu — jak wyraźną była ślepa ufność pani Gorskigoj—jak pogardliwym był spokój Maitlanda, w obec swego rywala i wściekłość powstrzymywana tegoż rywala, jak zręczność Hafner podtrzymywał rozmowę, jak Ardea

usilnie nadskakiwał bogatej Fanny i jak ta była tem wzruszona, jak wreszcie Alba jaśniała radością. Wszystkie te twarze, przy zjawieniu się Bolesława, wyrażały różne uczucia. Jedna tylko przez kilka chwil zdradzała radość zbrodni i pragnienie nienawiści, nakoniec nasycone. Ale ponieważ twarz ta należała do pani Maitland, do tej istoty cichej i uważanej za głupią i nie niezna- czącą, Dorsenne nie zwrócił na nią takiej uwagi, jak na innych świadków tego zjawienia się pio- runowego zdradzonego kochanka. Wszystkie na- rody mają w swych językach przenośnie, dla ozna- czenia stanu ducha, podobnego do wód drzemią- cych. Wody spokojne płyną głęboko — mówią anglicy; wody spokojnie znoszą mosty — mówią włosi. Te różne przysłowia nie byłyby trafne, gdyby o nich nie zapominano w praktyce; a fa- chowiec analizujący serca kobiece zupełnie o nich nie pamiętał tego wieczoru.



V.

**Hrabina Steno.**

Dla kobiety nie tak odważnej jak hrabina, niezdolnej do stawienia czoła wypadkom, tego rodzaju wieczór byłby zapowiedzią nocy bezsennej, w której przerażona wyobraźnia wyczerpuje z góry wszelkie szanse niebezpieczeństw prawdopodobnych. Takie napady trwogi zmuszają w końcu do przebiegłości, do kłamstwa upartego, co wywołuje oburzenie w mężczyznach, którzy nie pojmują, że hipokryzja jest jedyną bronią istot słabych. Ale hrabina Steno nie rozumiała, co to jest słabość i trwoga. Była to kobieta energiczna i czynna i czuła się na wysokości wszelkich niebezpieczeństw i uważała wyraz „niepokój“ za całkiem niemający znaczenia. To też w nocy, po owym wieczorze, spała wybornie, jak gdyby Gorski nie zjawił się wcale z zemstą w sercu, z groźbą w oczach. Nazajutrz rano, koło godziny dziesiątej, zeszła do małego salonu a raczej gabinetu, przytykającego do jej sypialni, w zamiarze sprawdzenia kilku rachunków przyniesionych przez jednego z jej oficyalistów. Wstała o godzinie siód-

mej rano, według zwyczaju, wykąpała się w wodzie zimnej jak lód, w której zimą i latem, podniecała codziennie swą krew przepyszną rzeźwą blondynki. Zjadła śniadanie angielskie, gdyż utrzymywała, że tylko temu zawdzięcza zdrowy stan swego żołądka, złożone z jaj, mięsa zimnego i herbaty. Ubrała się ze starannością pięknej kobiety, zaszła do córki dla dowiedzenia się jak spała, napisała pięć listów — gdyż jej salon kosmopolityczny zmuszał ją do pańszczyzny ogromnej korespondencyi, przebiegającej między Kairem i New-Yorkiem, między Petersburgiem i Bombajem, między Monachium, Londynem i Maderą, zwłaszcza że o ile była niestała w miłości, o tyle wierną w przyjaźni. Charakter jej pisma duży i szeroki, elegancki w wyuczonej poprawności, pokrywał kartki za kartkami, a o dawnym kochanku myślała w ten sposób: „Mam schadzkę u Maitlanda o godzinie jedenastej. Ardea będzie tu o dziesiątą dla pogadania o swem małżeństwie. Mam sprawdzić rachunki Finoliego. Może Gorskiemu przyjdzie myśl zajrzenia tu dziś rano...”

Takimi są osoby, u których wrażenia miłości czysto fizycznej orgarniają wszystko. Oddają się ale też i cofają się zaraz. Hrabina czuła do kochanka zdradzonego raczej litość niż strach. Zdecydowana była powiedzieć mu: „nie kocham cię już“ — otwarcie, szczerze, bezwzględnie i dać mu do wyboru albo ostateczne zerwanie, albo przyjaźń stałą. Pragnęła tylko, by ta rozmowa

odbyła się popołudniu, gdy będzie wolną — ale pragnienie to nie przeszkadzało jej, ze zwykłym spokojem, zając się rachunkami intendenta. Intendent ten stał wyprostowany z twarzą szeroką, brązową o potężnych kościach policzkowych i wargach obwisłych, które Bonifaccio daje zawsze swym faryzeuszom i bogatym niegodziwcom. Zarządzał on siedmiuset hektarami ziemi w Piove, niedaleko Padwy, posiadłością, którą najbardziej ceniła pan Steno. Podniosła ona dochody, osuszając lagunę bezpłodną i ziejącą gorączkami, której dno, leżąc o jeden metr pod powierzchnią morza, było nadzwyczajnie żyzne i zastanawiała się właśnie nad możliwymi operacyami w przyszłości, z tą znajomością szczegółową i dokładną rolnictwa, która stanowi główny rys arystokracji włoskiej i jest zasadniczym źródłem jej żywotności. Każda szlachta trwa mocno, nawet bez przywilejów prawnych, gdy jest rolniczą i trzyma się tradycyj historycznych.

— A więc oceniasz pan zbiór jedwabiu na pięćdziesiąt kilo kokonów?...

-- Tak, ekscelencyo — odrzekł intendent.

— Sto uncyj żółtego jedwabiu, sto razy pięćdziesiąt, czyni pięć tysięcy — mówiła hrabina — po cztery franki pięćdziesiąt?...

— Może po pięć, ekscelencyo — odezwał się intendent.

— Liczmy dwadzieścia dwa tysiące pięćset — odezwała się hrabina — tyleż japońskiego... to nam pokryje wydatki hodowli...

— Tak, ekscelencyo. Co zaś do wina...

— Sądzę, według tego, coś mi pan powiedział o winnicy, to należy sprzedać jak najprędzej agentowi Kaufmana wszystko co zostało ze zbioru przeszłorocznego, ale nie taniej, jak po sześć franków... Wiesz, że trzeba, żeby beczki były wyreparowane i gotowe na sierpień... Gdybyśmy tym razem chybili, w pierwszym roku fabrykacyi wina nową maszyną, to byłoby bardzo głupio...

— Tak, ekscelencyo. A konie?

— Zdaje mi się, że to jest sposobność, z której korzystać należy. Trzeba, żebyś pan siadł na pociąg pośpieszny do Florencyi, dziś jeszcze o godzinie drugiej. Będziesz w Weronie jutro rano. Interes załatwisz, a konie tegoż wieczoru winny być w Piove... No, skończyliśmy w sam raz.

Wyrzekła to, porządkując papiery intendenta. Włożyła je sama do koperty i oddała mu do ręki. Słuch miała nadzwyczajnie bystry i słyszała, że ktoś otworzył drzwi do przedpokoju. Zdawało się, że gruby intendencja zabrał w swym wielkim portfelu, wszelkie kłopoty pieniężne tej nadzwyczajnej kobiety. Gdy bowiem skończyła rozmowę, a raczej monolog, przyjęła nowego przybywającego, którym był książę Ardea, z uśmiechem najswobodniejszym i najmiłym. Do służącego zawołała:

— Chcę z księciem pomówić. Gdyby kto przyszedł, nie przyjmij, ale też i nie odmawiaj. Kartę mi przynieś...

Poczem zwracając się do młodego człowieka, rzekła:

— A więc, *Simpaticone*? (było to słodkie przezwisko, jakie mu dawała) — jakże się skończył dla ciebie wczorajszy wieczór?

— Nie będziesz pani wierzyła — odrzekł Pepino Ardea, śmiejąc się — ja, który już nic nie mam, nawet łóżka!... Poszedłem do klubu i grałem... Trzymałem bank i poraz pierwszy w mem życiu wygrałem...

Był tak wesoły, opowiadając swój krok nierozsądny, tak błaznował ze swej ruiny, że hrabina patrzyła nań prawdziwie zdziwiona, tak jak on na nią patrzył, gdy wszedł. Znali się nawzajem tak niewiele i tak źle zdawali sobie sprawę z odrębności swych charakterów, iż oboje dziwili się sobie, widząc taki spokój wzajemny. Ardea nie mógł zrozumieć tego, że hrabina wcale nie była zaniepokojona powrotem Gorskiego i następstwami, jakie z niego wyniknąć mogą. Hrabina dziwiła się, że wśród upadku majątkowego, widzi tego osobliwszego chłopca tak zabawnie wesołym. Ubrał się dziś rano tak starannie, jak gdyby nie szło w tej chwili o całą może jego przyszłość, i jego garnitur w kratki pięknie skrajany, kolor koszuli, krawata, trzewiki żółte, kwiatek w dziurce od guzika, wszystko składało się na to, że wyglądał jak ładna i niepoprawna lalka płochości umysłowej. Zapłacił tak drogo za swą nieopatrność, że hrabina żałować go poczęła; obudziło się w niej

uczucie, jakie mają istoty silne wobec istot bezbronych; chciała dlań działać, pomódz temu dziecku, pomimo jego woli, i odrazu rozpoczęła rozmowę o małżeństwie z Fanny Hafner. Ze swym zdrowym zmysłem, z instynktem urządzania wszystkiego, pani Steno widziała w tym związku tyle dla wszystkich korzyści, że chciała go przyprowadzić do skutku jak najprędzej, jak gdyby szło o jej własny interes. Małżeństwo to odpowiadało zamiarom barona, który mówił jej o niem jeszcze miesiąc temu. Odpowiadało ono Fanny, która pragnęła przejść na katolicyzm za zgodą ojca; odpowiadało księciu, który odrazu wydobywał się ze wszystkich swoich kłopotów i odpowiadało nakoniec nazwisku Castagna. Jakkolwiek Peppino był jego jedynym w tej chwili przedstawicielem, i jakkolwiek, w skutek starej tradycyi rodu, nosił on tytuł odmienny od tytułu rodowego papieża Urbana VII, ta sprzedaż przez licytację słynnego pałacu wywołała istny skandal i w prasie i w opinii, której należało zatkać usta. Hrabina zapomniała, że brała udział bez protestowania w podziemnych działaniach tej subhastacyi. Czyż Hafner nie powiedział jej dawniej, że zakupił za marno pieniądze mnóstwo weksli księcia? Czyż nie znała dobrze barona i czyż nie była pewną, że pan Noe Ancona, wierzyciel nieubłagany, który wystawił na sprzedaż pałac, był tylko parawanem, po za którym Hafner się ukrywał? Czyż sama w przystępie gniewu na barona nie zdradzała przed

Albą tego planu bardzo prostego. Pograżyc Ardeę w ostatecznym upadku i potem dopiero ofiarować mu ratunek w formie związku z Fanny, a współcześnie wykonać wyborną operację! Gdyż majątki księcia, raz mając wolną hipotekę, odzyskają natychmiast swą istotną wartość i nierozsądny spekulant będzie znów tak bogatym, jak dawniej, a może bogatszym. Czyż więc nie było koniecznością pokonanie ostatniego wahania się młodego człowieka, w obec tego zbawczego małżeństwa?

Po chwilowem milczeniu i bez żadnego wstępu, rzekła:

— No... pomówmy teraz o interesach... Siedziałeś pan wczoraj przy obiedzie obok mej młodej przyjaciółki, miałaś cały wieczór dla jej zbadania.. Odpowiedz mi szczerze: czy nie będzie ona piękną księżniczką rzymską, gdy ukleśnie w sukni ślubnej przed grobowcem Apostołów? Czy nie widzisz jej w białej toalecie i w welonie, jak wysiada przed wspaniałemi schodami św. Piotra, z powozu zaprzężonego w przepyszne konie, jakie jej podaruje ojciec? Zamknij pan oczy i wyobraź to sobie... Czy będzie piękną? Czy będzie nią?...

— Bardzo piękną—odrzekł Ardea, uśmiechając się do kuszącego zjawiska, jakie pani Steno wywołała—jakkolwiek nie jest blondynką. A pani wiesz, że dla mnie kobieta nie blondynka.. Ach, hrabino! co za szkoda, że w Wenecyi, przed

pięciu laty, pewnego wieczoru... Czy pani pamiętasz?...

— Zawsześ pan jednakowy! — zawołała, śmiejąc się głośno swym śmiechem dźwięcznym i czystym — przyszedłeś pan do mnie dziś rano, żeby porozmawiać o małżeństwie, niespodziewanem dla ciebie z twoją opinią gracza, hulaki i utracjusza, małżeństwie, które zadośćczyni wszelkim, najbardziej wygórowanym warunkom. Wszystko w niem jest: piękność, młodość, inteligencya, majątek, a nawet, rzecz trudna do uwierzenia, jeżeli umiem patrzeć na mą przyjaciółkę, początek miłości, bardzo żywej miłości... I o mało, żeś pan się mnie nie oświadczył... No, no!

I podała mu rączkę, okrytą błyszczącemi szmaragdami, którą ucałował:

— Przebaczam panu, ale musisz odpowiedzieć: tak lub nie... Czy mam cię oświadczyć? Jeżeli tak, to koło drugiej godziny pojedę do pałacu Savorelli i pomówię z przyjacielem Hafnerem. On znów pomówi z córką i będziesz miał ich odpowiedź dziś wieczorem, lub jutro. No, cóż: tak, czy nie?

— Dziś wieczorem!... jutro!...—zawołał książe, potrząsając głową z ruchem wysoce zabawnym—ależ tak prędko nie mogę się zdecydować. To zasadzka! Przyszedłem tu na pogawędkę, po to, by się pani poradzić...

— Względem czego?—zapytała pani Steno z żywością prawie niecierpliwą—co ja panu mogę po-



wiedzieć takiego, czego byś pan nie wiedział? Czy w ciągu dwudziestu czterech godzin, czterdziestu ośmiu, w pół roku, zmieni się cokolwiek, proszę ja pana? Trzeba rzeczy widzieć takimi, jakimi one są. Czy jutro, pojutrze i tam dalej, będziesz pan mniej zrujnowany?...

— Nie, ale...

— Tu niema żadnego „ale“ — zawołała, nie pozwalając mu mówić, jak swemu intendentowi. Despotyzmu, wrodzonego osobom silnym, nie zdołała stłumić w sobie, gdy szło o postanowienia, co do których raz już powzięła decyzję—jedynym zarzutem poważnym, jaki zrobiłaś, gdy ci mówiła o tem małżeństwie przed sześciu miesiącami, było to, że Fanny nie jest katoliczką. Dziś wiem, że pragnie ona się nawrócić. O tem więc niema co mówić...

— Nie, ale...

— Co do Hafnera—ciągnęła hrabina—powiesz mi, że jest on moim przyjacielem, że więc jestem stronną, ale sama ta stronność świadczy, że mam swoje zdanie... To właśnie teść najlepszy dla ciebie... Nie potrząsaj głową... Odzyska on wszystko, co się tylko da odzyskać z twego majątku... Zostałeś zrabowany, mój biedny Peppino, jak w lesie... Sameś mi to opowiadał... Zostań zięciem barona, a będziesz mi nowe wiadomości opowiadał o tych tam rabusiach. Wiem... wiem... Są tam jakieś początki baronostwa niejasne, jest jakiś proces przed dziesięciu laty ze wszystkimi

*pettegolezzi*, do których dał powód. Ale to wszystko jest drobnostką. Baron dorabiał się ciężko. Pochodzi on z rodziny żydowskiej — jak widzisz, powiadam ci wszystko — ale ochrzczonej od dwóch pokoleń, tak że historia o zmianie religii w chwili, gdy począł mieszkać we Włoszech, jest oszczerstwem, tak samo, jak i reszta. Miał proces, ale wyszedł zeń uniewiniony. Przecież niecheesz uchodzić za sprawiedliwszego od samej sprawiedliwości, co?

— Nie, ale...

— Czegoż więc chcesz? Na co czekasz? Chcesz, by w końcu wszystko przepadło, tak jak twój majątek?...

— Ej! pozwólże mi pani odetchnąć, odpocząć, ochłoniąć — rzekł Ardea i wziął w rzeczy samej wachlarz hrabiny z biurka. — Ja, com nigdy nie wiedział rano, co będę robił wieczorem, com zawsze żył, jak w podróży, idąc za fantazją moją, mam w ciągu pięciu minut zdecydować się co do nałożenia na siebie więzów na całe życie!...

— Chciałabym wiedzieć, czego pan ostatecznie chcesz — odezwała się hrabina. Jest to bardzo przyjemną rzeczą podróżować i kierować się fantazją, ale gdy idzie o życie, to te dzieciństwa są bardzo niebezpieczne. Ja znam tylko jedno: mieć cel i iść do niego prosto. Pański cel jest bardzo wyraźny: wydobyć się z kłopotów. Droga niemniej jest wyraźną: ożenić się z panną, która ma pięć milionów posagu. Tak, czy nie,

chcesz się pan z nią ożenić?... Ach — zawołała nagle, zmieniając przedmiot rozmowy—ani chwili czasu nie będę dziś rano miała, a mam wizytę o godzinie jedenastej.

Spojrzała na zegar, stojący na stole, którego wskazówka była na wpół do jedenastej. Usłyszała otwierające się drzwi. Służący stał już przed nią i podawał jej na tacy kartę. Wzięła tę kartę, obejrzała, zmarszczyła swe śliczne jasne brwi, znów spojrzała na zegar, zawahała się, wreszcie rzekła:

— Poproś, by ten pan poczekał w małym salonie okrągłym i powiedz, że zaraz przychodzę.

Poczem zwracając się do Ardei, rzekła:

— Może pan myślisz, żeś się wywinął? Wcale nie. Zabraniam panu wychodzić ztąd, dopóki nie powrócę. Za kwadrans będę tu... Może pan chcesz dzienników? tu są... może książek, tytoniu? wszystko tu jest. Pudełko to pełne jest cygar... Za kwadrans wrócę i muszę mieć pańską odpowiedź. Rozumiesz pan, muszę ją mieć...

I na progu, z uśmiechem, używając wyrażenia w narzeczu Włoch północnych, rzekła:

— *Ciao, simpaticone...*

Jest to zepsutem *schiaivo* i znaczy „sługa“.

— Co za kobieta!—zawołał do siebie Peppino Ardea, gdy drzwi zamknęły się i znikła jasna suknia hrabiny—a! co za szkoda, że przed pięciu laty w Wenecyi, nie byłem wolny!... Kto wie? gdybym się był ośmielił wtedy, gdy mnie odpro-

wadziła do mego pałacu w gondoli?... Właśnie porzuciła była San Giobbe'a, a Bolesław jeszcze się nie zjawił. Byłaby mi radziła, kierowała mną. Grałbym na giełdzie tak, jak ona, według rad Hafnera, ale nie jako jego zięć! Nie byłbym skuty więzami małżeńskimi... a ona miałaby lepszy tytoń...

Właśnie zapalił cygaro Virginia, dar Maitlanda. Rzucił je, skrzywiwszy się jak dziecko ze psute, narażając na zatlenie się delikatną matę, pokrywającą marmur posadzki i przeszedł do przedpokoju, dla wydobycia z bocznej kieszeni swego letniego okrycia, w które rozsądnie ubrał się, wychodząc o godzinie ósmej rano, swej cygarnicy. Zapaliwszy cygaretkę, wydobytą z tej cygarnicy, napełnioną tak zwanym tytoniem egipskim, zmieszaniem z opium i saletrą, którego moda kazała mu używać zamiast prawdziwego tytoniu amerykańskiego, rzucił machinalnie wzrokiem na tacę, którą służący postawił tutaj wychodząc z pokoju. Leżała tam jeszcze karta nieznanego gościa, dla którego pani Steno go opuściła. Ardea przeczytał na bilecie ze zdziwieniem nadzwyczajnem te słowa: „Bolesław hr. Gorski“...

— Ona jest godniejszą podziwu, niż myślałem — szepnął, wchodząc do kancelaryi pustej. — Choćby chciała, to teraz nie wyjdę, muszę ją zobaczyć po tej rozmowie!...

W rzeczy samej był to Bolesław, którego hrabina zastała w salonie okrągłym. Miejsce to umyślnie wybrała dla burzliwej rozmowy, jaką przewidywała. Był to pokój odosobniony, po za salonem się znajdował i odpowiadał tarasowi. Stanowił on wraz z pokojem stołowym cały parter, a raczej antresolę pałacu. Apartament pani Steno, oraz mały salonik, w którym został Pepino, był na pierwszym piętrze, jak również pokoje hrabianki i jej guwernantki, niemki, Fräulein Weber, w tej chwili będącej w podróży.

Hrabina nie omyliła się. Pierwsze spojrzenie, jakie rzuciła wczoraj na Gorskiego, przekonało ją, że wszystko on odgadł, że wie wszystko. Nie mogła zresztą o tem wątpić, gdyż Hafner zawiadomił ją o słowach Dorsenne'a, co do skrytego pobytu polaka w Rzymie.

Nie myliła się również co do zamiarów Bolesława i jedno na niego wejrzenie przekonało ją, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Gdy mężczyzna był kochankiem kobiety, kochankiem, który, jak Gorski, przez dwa lata żył z nią w nieustannie powtarzanych aktach miłosnych, to kobieta zachowuje względem niego pewien instynkt fizyologiczny, nieomal zwierzęcy. Każdy ruch jego, ton mowy, westchnienie, zarumienienie się, lub bladeść, są dla niej znakami, które tłumaczy sobie zawsze prawdziwie. I dlaczego temu instynktowi odgadującemu towarzyszy zupełne zapomnienie dawnych pieścizot? Jest to jeden z objawów

tej zagadki nierozwiązalnej i smutnej, jaką jest narodzenie się i śmierć miłości. Pani Steno zresztą nie miała pociągu do tego rodzaju rozmyślań. Jak wszystkie natury rzeźkie i proste, spostrzegą tylko fakt i, nie szukając przyczyn, przyjmowała go w zupełności. To też wczoraj zauważyła, że obecność dawnego kochanka nie budzi w niej tej zmysłowej strony, która ją czyniła tak słabą dla niego przez dwa przeszło lata, tak uległą wszelkim jego kaprysom. Była teraz tak nieczułą, jak marmur płaskorzeźby Mino da Fiesole, umieszczonej w murze tuż nad poręczą fotelu, na którym usiadła.

Gorski, pomimo napadu wściekłości, któremu w tej chwili podlegał i który go czynił zdolnym do najszkaradniejszego nawet gwałtu, odgadł niejako tę zupełną nieczułość. Bardzo często, w ciągu długiego ich związku, przybywał na schadzkę rano, o tejże samej godzinie, i widywał ją w takiejże toalecie, zawsze tak zgrabną, tak młodą w swej dojrzałości, tak chciwą na pocałunki, drżącą z żądy. Teraz w jej oczach błękitnych, w uśmiechu, w całej osobie, było coś wdzięcznego i nieprzystępnego zarazem, coś, co budzi w kochanku opuszczonym chęć zdeptania, bicia, dręczenia kobiety, która się tak uśmiecha. Niech przynajmniej i ona dozna boleści. A przytem była ona tak piękna w blasku porannym, złagodzo-  
nym przez zapuszczone stopy, że budziła w nim także żądzę schwycenia jej w swe ramiona z jej,

lub mimo jej woli. Uczuł, wchodząc do pokoju, silny zapach ambry, jakiej używała w kąpeli i ten zapach wzbudził w nim dawną żądzę, tym bardziej, że służący oświadczył mu pierwotnie, że pani Steno ma gościa, więc przypuszczał, że tym gościem był Maitland. To uczucie namiętne, ale dotąd trzymane na wodzy, drżało w prostym powitaniu, z jakim ją przyjął. W pewnych chwilach słowa są niczem, ale ton mowy wszystko znaczy. A dla hrabiny ton jego wydawał się w tej chwili strasznym:

— Przeszkadzam ci — rzekł, kłaniając się i biorąc koniec paluszka u ręki, którą doń wyciągnęła wchodząc. — Wybacz mi, myślałem żeś sama. Może wyznaczysz mi inny czas rozmowy, którą pragnąłbym mieć z tobą...

— Ależ nie, nie! — odrzekła, nie pozwalając mu kończyć zdania — jest u mnie Peppino Ardea, który zaczeka na mnie, a raczej na nas... Znasz mię przytem, wiesz, że wszelkie sprawy lubię załatwiać odrazu. Gdy mam coś komu powiedzieć, to mówię odrazu. Raz, dwa, trzy... To jest najlepiej. Czekać zawsze jest źle...

— Bardzo się cieszę, że tak patrzysz na rzeczy — odrzekł Bolesław z szyderstwem, które wykrzywiło jego twarz piękną w śmiech dzikiej niewiści.

Wesołość spokojna i pełna prostoty, jaką okazywała, raniła mu serce i powoli, tracąc panowanie nad sobą, mówił:

— W rzeczy samej idzie o pewne wyjaśnienia, których zdaje mi się, mam prawo żądać i których żądam...

— Owszem, żądaj, mój drogi — odrzekła hrabina, patrząc mu prosto w oczy i nie spuszczać swego wzroku dumnego, w którym jego słowa rozkazujące, zapaliły płomień.

Jeżeli wczoraj była godną podziwu, stawiając czoło powrotowi swego dawnego kochanka w chwili, gdy bawiła się sam na sam z nowym, to dziś była o wiele godniejsza tegoż podziwu, gdy nie dodawało jej odwagi otoczenie przyjaciół. Nie była pewną, czy szalenie, przed którym teraz stała, nie jest uzbrojony i wiedziała, że może ją zabić, a ona nie zdoła mu się obronić. Ale scenę tę trzeba było raz odegrać wcześniej czy później, i odgrywała ją bez trwogi. Nie kłamała wcale, gdy przed chwilą mówiła do Pepina Ardea: „Moją zasadą jest mieć cel wytknięty i iść do niego śmiało“... Chciała zerwać stanowczo z Bolesławem, dla czegożby więc miała się wahać co do środków? On tymczasem milczał, jakby szukał słów odpowiednich, wreszcie rzekł:

— Czy pozwolisz mi cofnąć się o trzy miesiące wstecz, choć czas ten bądź co bądź może jest zbyt długim dla pamięci kobiecej! Nie wiem czy sobie przypominasz nasze ostatnie widzenie się? Przepraszam, chciałem powiedzieć przedostatnie, bośmy się widzieli wczoraj wieczorem. Zgodzisz się zapewne na to, że sposób, w jakiśmy się roz-



stali wtedy, nie zapowiadał wcale tego, w jakim znów się ujrzelśmy...

— Zgadzam się na to—odrzekła hrabina znowym błyskiem dumy zranionej — choć nie lubię, gdy kto w ten sposób do mnie przemawia. Poraz to drugi odzywasz się do mnie, jak oskarżyciel, i wobec tego sądzę, że dalsza rozmowa jest zbyteczną...

— Katarzyno!...

Tea krzyk Gorskiego, w którym guiew wzrastał, zdecydował hrabinę do przyśpieszenia rozwiązania tego dramatu, w którym każde słowo mogło być nowym wybuchem uniesienia.

— Cóż takiego? — zapytała, zakładając rękę z ruchem tak rozkazującym, że wstrzymał groźbę. — Posłuchaj mię, Bolesławie. Już od dziesięciu minut rozmawiamy i nicśmy sobie nie powiedzieli, gdyż brak nam wzajemnie odwagi do postawienia kwestyi jasno, tak jak ją czujemy i widzimy. Zamiast pisania do mnie listów, jakżeś to robił, a na które odpowiadać nie mogłam, zamiast wracać do Rzymu jak złoczyńca, potajemnie, zamiast przychodzić do mnie wczoraj wieczorem z groźbą na twarzy, zamiast przystępować do mnie dziś rano z uroczystością sędziego, lepiej było zapytać mię po prostu, szczerze jak ten, którego niegdyś kochałam, bardzo kochałam... Czyż dla tego, że byłeś moim kochankiem, mamy się dziś nienawidzić?...

— Byłem kochankiem?... — podchwycił Gorski. — A więc nie kochasz mię już? Ach, wie-

działem o tem, odgadłem to zaraz, w pierwszym tygodniu mej przekłętej nieobecności!... Ale nigdybym nie uwierzył, że mi to powiesz kiedyś, tak jak teraz, tym głosem spokojnym, który jest bluźnierstwem okropnem dla całej naszej przeszłości. Nie, nie uwierzyłbym temu, nawet teraz słysząc, nie wierzę... Nie, to za wiele, to jest niegodne...

— A dla czego? — zawołała hrabina, podnosząc czoło z wyrazem dumy — tylko kłamstwo jest niegodnem w miłości... Wiem ja, że wy, mężczyźni, nieprzyzwyczajeni jesteście spotykać kobiety prawdziwe, takie, które mają szacunek i cześć dla swych uczuć. Ja mam ten szacunek i tę cześć. Powtarzam ci, Bolesławie, że cię bardzo kochałam. Nie ukrywałam tego nigdy przed tobą, oddawałam ci się zupełnie. Postępowałam z tobą uczciwie... i postępuję tak samo, zrzekając się ciebie i ofiarując w zamian przyjaźń stałą, przyjaźń człowieka dla człowieka, gotową na każde twe żądanie dać dowód swej szczerości...

— Przyjaźń ze mną, ze mną, ze mną? — zawołał Bolesław. — Czyż nie dość okazałem cierpliwości, słuchając tego co mi mówisz? Widziałem jak kłamiesz i jak współcześnie potępiasz kłamstwo słowami!... I dla czegoż nie żądasz jeszcze, bym został przyjacielem tego, który mię zastąpił?... To tak?... Bierzesz mię za ślepego i przypuszczasz, iż nie widziałem wczoraj przy tobie tego Maitlanda, i że nie spostrzegłem na pierwszy rzut oka, jaką on rolę gra wobec

ciebie? Czyż więc nie rozumiesz tego, że musiałem mieć bardzo ważne przyczyny, żem powrócił w ten sposób? Czyż nie wiesz, że nie żartuję się z człowieka, który cię tak kochał, jak ja cię kocham? To nie prawda, nie postępowałaś ze mną uczciwie, skoro znalazłaś kochanka, tego człowieka, będąc jeszcze moją metresą. Nie miałaś do tego żadnego prawa, tak, nie miałaś! I jeszcze takiego człowieka! Gdyby to był Ardea, Dorsenne, ktokolwiek bądź, byłem się nie wstydził go za ciebie?... Ale to bydlę, ten głupiec, który nie ma nic za sobą, ani piękności, ani urodzenia, ani elegancyi, ani inteligencyi, ani talentu, bo on nie ma talentu nawet za grosz jeden!... Nie ma... chyba tylko postawę atlety!... To tak samo, jakbyś mię oszukiwała z lokajem... nie, to zanadto ohydne. Katarzyno, przysięgnij mi, że to nieprawda! Powiedz mi, że mię już nie kochasz, poddam się temu, pójdę sobie, przyjmę wszystko, wszystko, tylko mi przysięgnij, że tego człowieka nie kochasz... Przysięgnij, przysięgnij!...

Mówiąc to, chwycił ją za rękę tak gwałtownie, że krzyknęła i wyrwała mu się, wołając:

— Puść mię, boli mnie!

I dodała:

— Jesteś szaleńcem i to jedno cię tylko tłumaczy... Nie mam ci na co przysięgać. Potem co ci powiedziałam, nie ci do tego co czuję, co myślę i co robię... Wierz lub nie wierz, obojętne mi to.

Teraz oburzenie kobiety, dotkniętej w człowieku, którego kochała, wzięło górę:

— Ostrzegam cię, że nie pozwolę na to, byś mi coś podobnego mówił o mych przyjaciółkach... Obraziłeś mię ciężko i tego ci nie przebaczę... Zamiast przyjaźni, którą ci tak uczciwie ofiarowałam, stosunek nasz odtąd będzie towarzyski... Sam tego chciałeś... Staraj się, by i ten stosunek nie został zerwany... Bądź przyzwoity, przynajmniej co do formy. Pamiętaj, że masz żonę, a ja że mam córkę i że dla nich powinniśmy uniknąć następstw tego zerwania... Bóg mi świadkiem, że chciałam postąpić inaczej...

— Żona! córka! — zawołał młody człowiek z goryczą — to właśnie pora o nich wspominać i stawiać je między tobą i moją zemstą sprawiedliwą! Nie wstydziałaś się ich wprzód, wtedy gdyś kochała się we mnie!... Było to wówczas wygodnem dla ciebie, by one żyły ze sobą w przyjaźni. I ja na to pozwoliłem, zgodziłem się na tę nikizemność... a dziś chcesz się zasłonić temi dwoma niewinnemi. Nie, tak nie będzie! nie porzucisz mię tak łatwo! Ponieważ na tym tylko punkcie mogę ci zaszkodzić, więc ci zaszkodzę. Trzymam cię i będę cię trzymał. Albo wyrzucisz tego człowieka za drzwi, albo na nie zważać nie będę. Moja żona dowie się o wszystkim! Ha! tem lepiej. Już od dość dawna kłamstwo mię dusi... I twoja córka się dowie i osądzi cię wcześniej...

Mówiąc to, postąpił ku niej z gestem tak groźnym, że cofnąć się musiała. Jeszcze chwila, a ten człowiek spełni swą groźbę. Uderzy ją, potłucze wszystko dokoła niej, wywoła straszliwy skandal. Potrzebowała wyciągnąć rękę, by nacisnąć guzik dzwonka elektrycznego i nacisnęła go, a Gorski mówił dalej z uśmiechem pogardliwym:

— Tak, zawołaj lokaj, żeby cię bronili. Nie ci innego nie pozostaje...

— Mylisz się — odrzekła — nie boję się wcale. Powtarzam ci, że jesteś szaleńcem i chcę ci tego dowieść, budząc cię do rzeczywistości, nie... Poproś panny Alby, żeby zeszła — rzekła do służącego, który na głos dzwonka nadbiegł.

Te parę słów była to kropla zimnej wody, która rozbija szalony wybuch pary. Znalazła jedyny sposób zakończenia tej strasznej sceny. Gdyż, pomimo groźby przed chwilą wypowiedzianej, wiedziała dobrze, że Gorski cofnie się przed młodą dziewczyną, przyjaciółką jego żony, której czułość i wrażliwość znał doskonale. Gorski był zdolny do najniebezpieczniejszego szaleństwa w przystępie namiętności rozdrażnionej przez próżność; miał jednak w sobie wiele rycerskości, która wobec Alby musiała powstrzymać wszelkie jego wybuchy. Co do moralności tej kombinacji obrony, mieszającej córkę do sprawy zerwania z kochankiem mściwym, hrabina nie pomyślała o tem wcale. Mówiła często: „to moja koleżanka, moja przyjaciółka“... I w rzeczy samej tak myślała

Chęć oparcia się na niej w tej chwili krytycznej była rzeczą dla niej tak naturalną, jak podawanie ramienia swemu dziecku, gdy razem pływały w lecie na Lido i gdy zanadto oddaliła się od lądu. Wśród oburzenia, w jakim znajdował się Gorski, to nagłe odwołanie się do Alby niewinnej, musiało mu się wydawać i wydawało się ostatnim stopniem cynizmu. Przez cały ten, krótki zresztą, czas, który upłynął od wyjścia służącego i przybycia córki, przechadzał się po pokaju wzdłuż i wszerz, ścigany przez zuchwały wzrok swej dawniej kochanki i powtarzał te słowa:

— Gardzę tobą... gardzę tobą!... och, jak gardzę tobą!...

Poczem usłyszawszy, że drzwi się otwierają, zawołał:

— Będziemy jeszcze o tem mówili, łaskawa pani...

— Jak się panu podoba — odrzekła Katarzyna Steno i zwracając się do córki, dodała: — wiesz, że powóz na nas czeka o godzinie jedenastej, i że teraz jest już kwadrans na dwunastą? Czy jesteś gotową?...

— Jak widzisz — odpowiedziała młoda dziewczyna, ukazując ręce w rękawiczkach koloru szarego, które kończyła zapinać; na głowie miała szeroki kapelusz z czarnej koronki, która tworzyła niby wielką aureolę ciemną i przejrzystą koło jej włosów złocistych. Jej piersi małe były

ściśnięte gorsetem bardzo obcisłym, który Maitland wybrał do portretu, z materyi ciemno-błękitnej, kończącej się przy szyi i rękach wstążkami aksamitnymi ciemniejszego odcienia. Biały blask kołnierzyka i mankietów męzkich nadawał tej wątłej postaci wdzięk młodzieńczy, niemal dziecienny. Widocznie zeszała wskutek wezwania matki z pośpiechem i uśmiechem, ale spostrzegłszy wyraz twarzy Gorskiego i błysk gorączkowy źrenic hrabiny, uczuła to, co nazywała nieco dziwnie, ale prawdziwie, „ukłóciem w serce“, niby ukłócie szpilki w bok lewy. Spała wybornie po wieczorze wczorajszym, na którym zdawało jej się, że znajdzie w zachowaniu się matki, odnośnie do hrabiego polskiego i malarza amerykańskiego, niezbity dowód jej niewinności. Ona tak podziwiała tę matkę, uważała ją za tak inteligentną, tak piękną, dobrą, że wątpić o niej, było męczarnią dla niej nie do wytrzymania! A przecież przez całe miesiące wątpiła! Okropna rozmowa o hrabinie, jaką słyszała na jednym z balów między dwoma kobietami, które nie wiedziały, że Alba po za niemi się znajduje, była powodem tego zwątpienia, które raz wzmagało się w niej, to znów słabło, w miarę tego, jak spostrzegała oznaki mniej lub więcej znaczące, czy to w spokojności pani Steno, jak wczoraj, lub w wzburzeniu, jak dzisiaj. Było to wrażenie bardzo szybkie, niespodziewane, istne ukłócie szpilki, które pozostawia za sobą ślad maleńki, drobną kro-

pelkę krwi; i zawsze z tym samym uśmiechem, z jakim weszła, zapytała się Boleśława:

— Jak Maud spała? jak się ma dziś rano? a mój mały przyjaciel Łukaszek?...

— Doskonale się mają—odrzekł Gorski.

Ostatnie dreszcze gniewu, powstrzymane nagle przez pojawienie się młodej dziewczyny, objawiły się, ale tylko dla hrabiny, przez zdanie pozornie bardzo proste, ale któremu głos i wejrzenie nadawały gorycz nadzwyczajną:

— Zastałem ich tak samo, jakem opuścił.. Kochają oni mnie bardzo... Zostawiam cię, hrabino, z księciem—dodał, idąc ku drzwiom—przyjazne słowa pani, hrabianko, powtórzę Maud...

Odzyskał znowu całą swą galanterię, którą w nim wyrobił długi szereg przodków magnatów, nieco dzikich, ale zawsze wielkich panów. Jeżeli ukłonił się pani Steno z elegancją, to w ukłonie oddanym córce, ukłonie bardzo niskim, okazał cały swój wdzięk. Była to drobnostka, ale hrabina była zanadto wytrawna, by nie miała tego zrozumieć. Wzruszyło ją to, choć ani rozpacz, ani gniew i groźby nie potrafiły wstrząsnąć jej spokojem. Cała gibkość tej natury słowiańskiej, która ją tak długo zachwycała, objawiła się w tej zmianie, której dokonał w sobie bez najmniejszego przymusu. Przez chwilę owładnęło ją jakies nieokreślone uczucie niezadowolenia z tryumfu, jaki odniosła nad tym człowiekiem, którego byłaby przed pięciu minutami chętnie wyrzuciła



przez służbę za drzwi. Milczała i zapomniała o wszystkim, nawet o obecności córki; odzyskała świadomość położenia dopiero wtedy, gdy ta ostatnia rzekła:

— Idę wziąć woalkę i parasolkę?...

— Znajdziesz mnie w kancelaryi, gdzie idę pomówić jeszcze z Ardeą — odrzekła matka i dodała—prawdopodobnie będę ci mogła w powozie oznajmić wesołą nowinę!...

Odzyskała swój uśmiech zwycięzki i nie przypuszczała, rozpoczynając znów rozmowę z Peppinem, że biedna Alba, powróciwszy do siebie, otarła z twarzy dwie wielkie łzy i że wzięła do ręki, dla powtórnego odczytania, haniebnny list bezimienny, otrzymany wczoraj. A przecież umiała niejako na pamięć wszystkie jego zdania zdradzieckie! Głowa, która go układała, musiała być poprostu szaloną z zemsty, kiedy nie lękała się przesyłać niewinnemu dziecku denuncyacji, skreślonej w sposób następujący:

„Prawdziwy przyjaciel panny S... ostrzega ją, że kompromituje się mocno, jako młoda panna na wydaniu, odgrywając, obok pana Maitlanda, rolę taką samą, jaką odgrywała dawniej przy panu Gorskim. Są zaślepienia tak umyślne, że stają się współnictwem przestępstwa“...

Te słowa zagadkowe dla każdego innego, ale dla hrabianki okropnie jasne, były, podobnie jak w listach, o których Bolesław mówił Dorsenne'owi, wycięte z tego samego dziennika, złożone i nale-

pione na kartce papieru bez żadnych znaków, mogących ułatwić poszukiwania. Wyrafinowanie zacieklej nienawiści spostrzegać się dawało w trudności, jaką zdrajca musiał pokonać, by znaleźć nazwiska, wydrukowane zapewne w jakimś sprawozdaniu z balu wielkoświatowego. Mój Boże! jakże Alba drżała na całym ciele wczoraj, czytając ten list, wzruszona straszliwie grozą, że na niej i na matce ciąży nienawiść takiej zbrodniczej duszy! Jakże potem kilka słów zamienionych z Dorsennem przywróciły jej spokój, a zwłaszcza ta pogoda hrabiny przy wejściu Bolesława Gorskiego! Wąły ten spokój prysnął odrazu, gdy spostrzegła matkę i męża swej najlepszej przyjaciółki, z oznakami sceny jakiejś burzliwej w oczach i w ruchach. Okropna boleść nią owładnęła, gdy sobie zadała pytanie: „co oni sobie powiedzieli? dlaczego są tak wzburzeni“? Nagle zmieła w rękach gwałtownie ten list bezimienny i przekłety, który niejako oblekał w ciało jej boleść i podejrzenia. Zapaliwszy świecę, zbliżyła list do niej i płomień zmienił go wkrótce w garść popiołu. Szczątki te starła w swych drobnych rękach, tak że zmieniły się w pyłek, który wyrzuciła przez okno. Spojrzała potem na rękawiczki, przed chwilą jasno-szare, a teraz poplamione tym pyłem brudnym. Był to niejako symbol, ów osad brudny tych plam, jakie list ten, nawet spalony, zostawił na jej umyśle. Rękawiczki te sprawiły jej obrzydzenie. Zerwała je

z rąk i gdy zeszła dla połączenia się z panią Steno, znikły już z jej rąk, w świeże ubranych rękawiczki, ślady tego tragicznego dzieciństwa, jak nie można było spostrzedz pod ciemną woalką, którą owiązała dokoła kapelusza, śladu też w oczach. Zastała matkę, z powodu której tyle cierpiała, ubraną także w szeroki kapelusz jasny, z białą woalką, pod którą jej złociste włosy, oczy błękitne i cera różowa rzucały coś nakształt blasku. Miała na sobie suknię fałdowaną, z materyi i kroju stosowniejszą dla córki niż dla niej, i sama jaśniała teraz swobodą.

— No — rzekła do Peppina Ardea — wiesz panu, żeś się na koniec zdecydował. Dziś jeszcze zrobię odpowiednie kroki i będziesz mi wdzięczny całe życie.

— Znam ja się dobrze — odparł młody człowiek — będę żałował mego postanowienia całe popołudnie... Co prawda — dodał filozoficznie — żałowałbym także tego, gdybym się nie zdecydował...

— Odgadujesz zapewne, że idzie tu o małżeństwo Fanny — mówiła pani Steno do swej córki w parę minut potem, gdy obie siedziały, jak dwie siostry, w wiktoryi, która je wiozła do pracowni Maitlanda.

— Więc myślisz — spytała hrabianka — że się to da zrobić?

— To już zrobione — odrzekła wesoło pani Steno. — Mam się oświadczyć o jej rękę. Dopiero to

będą wszyscy troje szczęśliwi!... To lichy Hafner oddawna do tego zmierzał!... Przypominam sobie, że w r. 1880, po swym procesie, wiesz? odwiedził mnie w Wenecyi—a ty i Fanny bawiłyście się na balkonie pałacu—zadawał mi liczne pytania o Kwirynał, o Watykan, o świat czarny i inny. Rozmowę tę zakończył słowami, wskazując na córkę: z tej małej będzie kiedyś księżniczka rzymska!

Dogaressa była tak szczęśliwa z powodzenia swej negocyacji, oraz z tego, że jechała do pracowni Maitlanda kłusem wyciągniętym swych dwóch *cobs* angielskich, które pędziły tak szybko, że nie spostrzegła wcale na chodniku Bolesława Gorskiego, który ją ścigał wzrokiem. Albat z swej strony była znowu tak wzruszona tym nowym dowodem i teraz już niezaprzeczonym niesumienności swej matki, że nie zauważyła także wcale męża Maude'y. Uczucie, które postawę barona Hafnera i księcia Ardei względem Fanny czyniło dla niej nieznośną prawie, było uczuciem bolesnej analogii między atmosferą kłamstwa, w której żyła ta ostatnia i atmosferą, w jakiej zdawało jej się, że ona sama żyje. To uczucie znów wywołało w niej „ukłócie serca“ zwłaszcza, gdy sobie przypominała to, o czem dowiedziała się już dawniej od hrabiny, że baron Justus Hafner otoczył prawdziwą siecią intryg swego przyszłego zięcia. Ogarnął ją niewypowiedziany smutek i zwyczajem swoim milczała, pod-

czas, gdy hrabina opowiadała, śmiejąc się nieustannie, o braku stanowczości w Peppinie. Co ją mógł teraz obchodzić gniew Bolesława? Cóż on mógł jej zrobić? Tę obojętność zupełną na scenę, która się między niemi odbyła, Gorski doskonale widział w chwili, gdy wiktorya koło niego przeleciała. Stał długi czas nieruchomy na chodniku, ścigając wzrokiem duży kapelusz jasny, giąący w pyłe ulicy dwudziestego września. Nagle przyszła mu myśl do głowy, że może pani Steno i jej córka jadą do pracowni malarza Maitlanda?...

Zaledwie powziął tę myśl, a już nie mógł przemódz na sobie, by się o jej prawdzie zaraz nie przekonać. Skoczył do przejeżdżającej dorożki właśnie w chwili, gdy Ardea, wyszedłszy po nim z pałacu Steno, zbliżył się do niego i pytał:

— Dokąd jedziesz? Nie mógłbyś mnie zabrać ze sobą, pogadalibyśmy...

— Niepodobna! — odrzekł — mam się z kimś widzieć bardzo pilno; ale może za godzinę będę cię prosił o pewną przysługę... Gdzie cię znajdę?

— Będę w domu — odparł Peppino — przyjdź, zjemy razem śniadanie.

— Dobrze — zawołał Gorski i powstając szepnął do ucha woźnicy tak cicho, że towarzysz jego nie mógł słyszeć — dziesięć franków dostaniesz na piwo, jeżeli mnie w ciągu pięciu minut zawieziesz na róg ulicy Napoleona III i placu Wiktora Emanuela...

Woźnica schwycił cugle i pod wpływem magicznej *mancia*, rumak wychudzony, ciągnący *botte*, zmienił się w dobrego i dzielnego konia rasy rzymskiej, sama *botte* w lekki powozik, niby nowa *carrozzelle* toskańska, i wszystko to znikło w poprzecznej uliczce, gdy tymczasem rozsądny Peppino mówił do siebie:

— Ten dzielny zuch lepiejby zrobił, zostając ze swym przyjacielem Ardea, zamiast lecieć gdzieś tam... Ta historia skończy się pojedykiem. Gdybym nie był zajęty tem głupstwem — i wskazał końcem kija afisz o sprzedaży swego pałacu — zabawiłbym się wybornie, odbijając obu Katarzynę. Ale odłożę to na potem, po mem małżeństwie. Tymczasem trzeba się zająć sprawami poważnemi.

Księżę, chytry szpak, nie omylił się co do kierunku dorożki, pędzonej przez Gorskiego. Kochanek opuszczony biegł do pracowni malarza Maitlanda. Szaleniec chciał przekonać samego siebie, że całe odkrycie nagości swej boleści na nie się przydało i że pani Steno, pozbywszy się go przed chwilą, udała się do nowego kochanka. Ale i na cóż mu ta oczywistość przydać się mogła? Wyobrażał sobie to posiedzenie artystyczne, to wygodne posiedzenie, jak go nazwał, mówiąc z Dorsennem i wyobrażenie to piekło go, jak rozpalonem żelazem. Gdyż pomimo wszystko, pomimo listów denuncyatorskich, pomimo sam na sam na tarasie, pomimo zuchwałego „Linco“, jak nazwała w jego obecności malarza, wątpił

jeszcze, choć pewnym był, że pracownia była ceną długich i serdecznych poufałości. Pewność ta dusiła go, a jednocześnie przez dziwną sprzeczność, stanowiącą właściwość wszelkiej zazdrości, pragnął gorąco zobaczyć to własnymi oczami. Zszedł więc z powozu na rogu, który wskazał woźnicy i ztąd mógł przejrzeć wzrokiem całą ulicę Leopardiego, przy której znajdował się dom jego rywala. Był to wielki budynek w stylu maurytańskim, wzniesiony przez sławnego artystę hiszpańskiego, Juana Santigoza, który musiał wszystko sprzedać przed pięciu laty, dom, pracownię, konie, obrazy ukończone, szkice zaczęte, by zapłacić ogromną przegranę w karty. Florentyn Chapron zakupił zaraz ten rodzaj fałszywej Alhambry o drzwiach łukowatych, której część wynajął swemu szwagrowi.

Bolesław Gorski stał przez kilka chwil na rogu chodnika i przypomniał sobie, że w roku przeszłym zwiedził ten pałac, w czasie jednej z tych przechadzek, tak pożądaných przez kobiety światowe, tak dobrze w Rzymie, jak i Paryżu, w towarzystwie pani Steno, Alby, Maude'y i Hafnera. Jakiś niewyjaśniony instynkt już wtedy wzbudził w nim antypatyę do malarza i jego dzieł. Czyż nie miał racyi?... Nagle, pochyliwszy się tak, żeby mógł widzieć, nie będąc widzianym, spostrzegł wiktoryę wjeżdżającą w ulicę długą Leopardiego, a w tej wiktoryi czarny kapelusz panny Steno i jasny kapelusz jej matki. W dwie

minuty potem elegancki powozik zatrzymał się przed domkiem maurytańskim, którego białość jaśniała wśród innych budynków tej ulicy, po większej części uiewykończonych jeszcze, z pewnym rodzajem zuchwałego przepychu. Obie kobiety zeszły i znikły po za drzwiami, które się zamknęły, a woźnica ruszył wolno z powrotem. Wstrzymywał konie, żeby się nie rozgrzały i dzielne *cobs* drżały z niecierpliwości, pokrywając wędziła pianą. Widocznie hrabina i Alba zamierzały dłużej się zatrzymać w pracowni malarskiej. Czyż więc Bolesław dowiedział się czego nowego dla siebie? Czyż nie wyglądał śmiesznie na trotuarze tego skweru, na środku którego wznoszą się ruiny starożytnego wodociągu, nazwanego z wątpliwą autentycznością bramą tryumfalną Maryusza? Jednym rzutem oka młody człowiek ogarnął cały ten obraz; pustą wiktoryę, która się oddalała w stronę przeciwną, plac obszerny, tę ruinę, linię domów wysokich i swoją dorożkę nakoniec. Wydawało mu się tak dziwnem, że się tu znajdował i szpiegował to, o czem doskonale wiedział, że roześmiał się śmiechem nerwowym, wsiadł do dorożki i dał woźnicy własny adres: „palazzetto Doria. Plac Wenecki“.

Dorożka tym razem ruszyła wolno, gdyż woźnica zrozumiał, że gorączka szybkiej jazdy już minęła u jego klienta. W skutek przeciwnej metamorfozy, szybki koń rzymski stał się znów zwyczajną szkapą, a powóz ciężką, brudną maszyną,



która toczyła się ulicą noga za nogą. Bolesław wpadł znów w zniechęcenie, konieczną reakcyę gwałtownej poprzedniej działalności. Widzenie pracowni malarskiej, w której teraz znajdowała się pani Steno, poczęło się rysować w umyśle zazdrośnika z coraz większą wyrazistością, w miarę oddalenia. Widział w myśli swą kochankę dawną, przechadzającą się wśród ozdobnych obić, zbroy, studyów rozpoczętych, jak ją widział tak często chodzącą po jego własnym gabinecie, z uśmiechem kobiety zakochanej, dotykającej się z rozkoszą wszystkich przedmiotów, wśród których żyje jej kochanek. Widział Albę nieruchomą, służącą za parawan tej nowej intrydze matki, z tą samą naiwnością, z jaką niegdyś okrywała ich związek. Widział Maitlanda ze spojrzeniem obojętnem wczorajszym, ze wzrokiem człowieka wybranego, pewnego swego tryumfu, który nie doznaje nawet zazdrości o przeszłość, jedynej pociechy dla dumy obrażonego poprzednika. Niewzruszony spokój tego, który nas zastępuje przy kochance niewiernej, zwiększa jeszcze naszą wściekłość, jeżeli jesteśmy na tyle śmieszni i nieszczęśliwi, że ulegamy kryzysowi takiemu, jakiemu uległ Gorski. Była chwila, w której to widzenie rywala stało się dlań nie do wytrzymania. Znajdował się tuż przy swoim domu, gdyż objechał ten godny podziwu plac, cały przepętlony szczytkami bazylik, to forum Trajana, nad którym panuje posąg św. Piotra, ustawiony na szczycie

sławnej kolumny. Wokoło kolumny z marmuru rzeźbionego, wdzierają się ku górze legiony, by przyczynić się na szczycie do tryumfu pokornego rybaka galilejskiego, który przed osiemnastu wiekami wylądował w porcie Tybru, nieznanym, przesładowany, żebrząc może. Jakież wzór, jaki symbol podniosły ten apostoł! Ale Gorski nie był ani Montfanonem, ani Dorsennem, by w jego sercu rozległ się odgłos takiej nauki. Był to człowiek namiętności i czynu, który widział w sferze, w którą go los rzucił, tylko namiętności swoje i swoje czyny. Nowy napad szalonego gniewu nim owładnął na myśl postawy, jaką wczoraj przybrał Maitland. Tym razem nie mógł się uspokoić. Pociągnął za rękaw zdumionego woźnicę i krzyknął mu adres ulicy Leopardiego tonem tak rozkazującym, że koń znowu zaczął kłusować, tak samo, jak pierwszy raz, a powóz przemykać się w labiryncie ulic. Jakaś nieokreślona, tragiczna wola podnosiła głowę w sercu młodego człowieka. Nie! on nie zniesie dłużej tej bezczelności. Zbyt boleśnie był dotknięty w tem, co było dlań najżywotniejszym i najserdeczniejszym, w dumie i w miłości. Jedno i drugie uczucie krwawiło się w nim i instynkt jakiś popychał go do nowego kroku szalonego. Stara krew wojewodów, z których Dorsenne zawsze sobie podrwiwał nieco, wrzała w jego żyłach. Jeżeli polacy dostarczyli tylu bohaterów dramatom i romansom nowoczesnym, to tylko dlatego, że pomimo klęsk

bardzo drogo opłaconych, pozostali zawsze rasą najbardziej rycerską i najmężniejszą w Europie. Gdy ludzie ci, nadzwyczaj łatwi do podniecenia, są dotknięci głęboko, to zaraz chcą się bić, tak jak potomkowie samobójców myślą o odebraniu sobie życia. Wesoły Ardea, ze swą bystrością włocho, odrazu zauważył rezultaty, do których charakter Gorskiego doprowadzić go musi. Ten kochanek zdradzony musiał się bić, żeby znieść tę zdradę. Zrani, albo zabije może swego rywala i namiętność jego zostanie zaspokojoną, albo też odda własne życie i odwaga, jaką okaże w obec śmierci, podniesie go we własnych oczach. Szalona myśl zawładnęła nim zupełnie i rzuciła go na ulicę Leopardi: chciał zaraz wyzwąć rywala w obec pani Steno. Ach, jakże się ucieszy, gdy ją zobaczy drżącą, gdyż z pewnością drzeć będzie spostrzegłszy go, wchodzącego do pracowni! Ale zachowa się przyzwoicie, jak mu to ośmieliła się zuchwale przypomnieć. Przyjdzie pod pozorem zobaczenia portretu Alby. Będzie udawał spokojnego, ale znajdzie w rozmowie sposobność do wyzwania. Cóż łatwiejszego, jak w rozmowie o sztuce wywołać spór. Wszelki pozór będzie dobry, byle doprowadził do celu. Będzie tak mówił, że Maitland musi mu odpowiedzieć, a potem wszystko samo się zrobi. Ale Alba Steno będzie temu obecna? Ha! tym lepiej! Gdy przy niej spór się rozpocznie, łatwiej mu będzie ukryć przed własną żoną istotny powód tego po-

jedyńku. Rozprawa ta musi się koniecznie odbyć, a z chwilą, gdy nastąpi porozumienie się świadków, amerykańnin stanąć musi, w przeciwnym zaś razie Bolesław będzie się umiał urządzić odpowiednio, by ten głupiec dłużej w Rzymie nie bawił. Jeżeli znów indywiduum to ma choć trochę odwagi, to zaraz z początku zrozumie zamiary swego gościa i sprawa się szybko załatwi. Gorski był tak rozgrzany tym pomysłem wyzwania i pojedynku, że uczuł niejako ulgę, uczucie oswo-bodzenia, jakie towarzyszy charakterom silnym, gdy po dniach gorączkowych niepewności i wzbu-rzenia wewnętrznego, następuje nakoniec spokój.

— Jakże to uspokaja krew sama myśl zemsty nad hultajem i hultajką—mówił, wysiadając z do-rożki i dzwoniąc do drzwi domu maurytańskiego.

— Pan Maitland jest w domu?—zapytał się słu-żącego, który natychmiast ochłodził jego zapal, wygłaszając to proste zdanie, którego się wcale nie spodziewał w swem rozgorączkowaniu.

— Niema pana.

— Dla mnie on jest—odrzekł Bolesław—mia-łem się tu zejść z panią i panną Steno, które na mnie czekają.

— Kiedy pan wyraźnie kazał...

Służący, jakkolwiek przyzwyczajony do szano-wania pracy artysty i jego rozkazów, począł się jednak wahać w obec kłamstwa, jakie nagle przy-szło do głowy Gorskiemu i już ustępował, gdy nie-spodzianie na schodach ukazał się Florentyn Chapron.

Los chciał, że wysłał on przed kilku minutami służącego po dorożkę, w celu udania się na śniadanie do miasta i dorożka ta nie przybywała. Na turkot kół, które się zatrzymały przed domem, wyjrzał przez okno swego pokoju, wychodzące na ulicę. Zobaczył Gorskiego. Taka wizyta o tej godzinie, w obec osób znajdujących się w pracowni, wydawała mu się z wielu względów niebezpieczną; więc natychmiast wyszedł. Wziął kapelusz i laskę dla usprawiedliwienia swej obecności w przedsionku, jako niby wychodzący na miasto. Znalazł się na schodach w sam czas, by powstrzymać służącego, który miał już na ustach słowa, że „pójdzie zobaczyć“ i kłaniając się Bolesławowi, z większą niż zwykle sztywnością, rzekł:

— Mego szwagra niema, panie.

A zwracając się do lokaja, w celu oddalenia świadka, gdyby przyszło do zamiany słów nieco żywszych między nim i gościem niepożądanym, odezwał się:

— Nereo, idź poszukaj mi chustki do nosa. Zostawiłem ją w moim pokoju.

— Rozporządzenie o nieobecności pana Maitlanda nie może mnie dotyczyć—nalegał Bolesław.— Pan Maitland naznaczył mi zejście się na dziś rano, wczoraj wieczorem u pani Steno. Mam zobaczyć portret panny Alby...

— Tu niema żadnego rozporządzenia—odrzekł Florentyn.— Powtarzam panu, że mój szwagier

wyszedt. Pracownia jest zamknięta i nie mogę jej otworzyć dla pokazania owego portretu, gdyż nie mam klucza. Co do pani i panny Steno, to nie były one już tu od kilku dni. Pozowanie zostało przerwane...

— To jest bardzo dziwne, proszę pana, gdyż przed pięciu minutami widziałem własnymi oczami jak tu weszły i powóz ich odjeżdżający potem...

Czuł, jak gniew w nim rośnie przeciw temu psu stróżowi, który nagle stanął przed nim na progu domu rywala... Florentyn także zaczął tracić cierpliwość. Płynęła w nim ta krew czarna, do której się nie przyznawał, ale która cieniowała śniadością jego cerę i czyniła go gwałtownym. Postawa dawnego kochanka pani Steno wydała mu się tak wyzywającą, że odrzekł sucho, otwierając współcześnie drzwi i chcąc przez to Gorskiego zmusić do wyjścia.

— Omyliłeś się pan widocznie... to wszystko...

— Zdaje mi się, panie—zawołał Bolesław—że przemawiasz do mnie tonem, który mi się mocno niepodoba. Gdy ktoś spełnia pewne rzemiosło, to winien przynajmniej zachować pozory...

— Byłbym panu bardzo obowiązany — odrzekł Chapron — żebyś raczył do mnie mówić inaczej, nie przez zagadki... Nie wiem, co pan rozumiesz przez wyrażenie „pewne rzemiosło“, ale wiem, że zachowanie się pańskie przy drzwiach domu, któ-

ry nie jest twoim i dla przyczyn mi niewiadomych, nie jest godnem szlachcica...

— Przyczyny te zaraz pan zrozumiesz — zawołał Bolesław oszalały z gniewu — gdyż nie na próżno jesteś pan murzynem swego szwagra...

Zaledwie wymówił te słowa, gdy Florentyn, nie mogąc się dłużej powstrzymać, podniósł laskę, którą hrabia polski przytrzymał na miejscu, chwytając go za rękę. Stało się to w jednym mgnieniu oka i obaj mężczyźni stali twarzą w twarz, obaj bladzi z gniewu, gotowi do rzucenia się na siebie, gdy nagle trzask otwieranych drzwi gdzieś w górze przywrócił im przytomność. Służący szedł po schodach. Chapron odzyskał pierwszy krew zimną i rzekł do Bolesława głosem stłumionym, tak że ten mógł go tylko usłyszeć:

— Bez skandalu, proszę pana o to... Będę miał zaszczyt przysłać panu mych dwóch przyjaciół...

— Ja panu przysię moich — odparł Gorski. — Zapłacisz mi pan, przysięgam, za swój ruch...

— Jak się panu podoba — przyjmuję z góry wszelkie pańskie warunki... Proszę pana tylko, by przytem niewymieniano niczyjego imienia... Za wiele osóbby na tem ucierpiało. Przypuścmy, żeśmy się spotkali na ulicy, żeśmy się przemówili i że panu pogroził.

— Niech i tak będzie — odrzekł Bolesław po chwilowym namyśle — masz pan moje słowo.

W pięć minut potem jadąc w dorożce, której dał adres pałacu Castagna, mówił sobie:

— To prawdziwy mężczyzna... tak! prawdziwy mężczyzna. Stawił się bardzo zuchwale, a mnie zabrakło zimnej krwi... Jestem zdenerwowany... Ale to wszystko jedno, dam dobrą nauzkę temu chłopcu. Cierpliwości, i tamten także będzie miał to co mu się należy...



**Niekonsekwencye starego szuana.**

Podczas gdy szalony Bolesław pędził do Ardei, by go prosić z pewnym rodzajem dzikiej radości o sekundowanie w pojedynku najnierozsądniejszym, Florentyn Chapron zajęty był tylko tem, żeby jego szwagier nie podejrzewał nawet kłótni, jaką miał z kochankiem wypędzonym pani Steno i spotkania, które miało wyniknąć z tego powodu. Namiętna jego przyjaźń dla Lincolna była tak wielką, że umiał ukryć zdenerwowanie, jakie zwykle wywołuje pierwszy pojedynek, zwłaszcza jeżeli zamierzający się pojedynkować nigdy nie ćwiczył się w robieniu szpadą i strzelaniu z pistoletu. Dla szermierza nawet słabego i dla strzelającego niepewnie, spotkanie przedstawia się z mnóstwem szczegółów, które mu odejmuje jego charakter nieokreślony, ślepy i prawie głupi. Mężczyzna myśli wtedy o możliwościach walki, o tem jak należy mężnie stawić czoło. Obmyśla zasłony, sposoby ataku i zastanawia się kiedy należy nacisnąć cyngiel pistoletu. To wszystko pozwala mu zachować krew zimną, której zupełna nie-

świadomość nie potrafi w sobie wzbudzić, chyba że podpira ją to głębokie uczucie, które jest mocniejsze w nas niż ciało i krew. Tak się rzeczy miały z Florentynem. Instykt Dorsenne'a, który w rzeczach miłości miał węch prawie fizyczny, nie omylił się; szwagier malarza miał dla tegoż poświęcenie sięgające do zupełnego się zaparcia. Maitland mógł wszystkiego wymagać od tego mameluka a raczej niewolnika, gdyż w istocie krew niewolników, jego przodków, objawiała się w Chapronie przez zupełne zatarcie jego ja osobistego. Atawizm niewoli wydaje zawsze dwa rezultaty, z pozoru tylko sprzeczne ze sobą: wytworną a niezgłębianą zdolność do poświęcenia, lub zdrady. Obiedwie te siły moralne były wcielone w brata i w siostrę. Podzielili oni między siebie, jak to często bywa, podwójny charakter rasy: pierwszy odziedziczył wszystkie cnoty zaparcia się siebie, druga całą potęgę hipokryzyi. Ale dramat wywołany przez miłości pani Steno, i rozwiązany ostatecznie przez szalę Gorskiego, miał się ukazać w blasku tego stanu moralnego, o którym Dorsenne mówił, nie rozumiejąc go zresztą dobrze. Nie wiedział on zupełnie, w jakich okolicznościach Florentyn się znajdował, w jakich spotkał się z Maitlandem, w jakich Maitland zdecydował się poślubić Lidyę, jednym słowem, nie znał historyi wyjątkowej i długiej, którą potrzeba naszkicować tutaj, by objaśnić jak należy szczególny stosunek tych trzech istot.

Jakśmy widzieli, aluzya dość niegrzeczna Bolesława do krwi czarnej spowodowała że Florentyn stracił cierpliwość i o mało swego zuchwałego gościa nie uderzył kijem. Ta plama pochodzenia, ukrywana usilnie, tak dla młodego człowieka jak dla jego ojca stanowiła zasadniczy punkt miłości własnej, była rodzajem skrytego i nieustannego upokorzenia. Ta kropla krwi czarnej, płynąca w ich żyłach była tak drobną, że trzeba było o niej wiedzieć koniecznie, ale mimo to starczyła ona, by pobyt w Ameryce stał się dla nich tem niemożliwszy, że zupełnie słusznie dumni byli ze swego nazwiska, o którym cesarz wspomniał na Ś-tej Helenie, jako o nazwisku jednego z najdzielniejszych oficerów. Dziadek Florentyna był w rzeczy samej tym samym pułkownikiem Chapron, który gdy Napoleon pragnął zasięgnąć języka, przepłynął na koniu w pław Dniepr, dopędził nieprzyjacielskiego żołnierza na brzegu przeciwnym, przywiązał go przerażonego do siodła i przywiózł do obozu francuzkiego. Gdy cesarstwo upadło, bohater ten skompromitowany moeno w armii Loary, opuścił kraj i w towarzystwie garści swych dawnych żołnierzy, założył na południu Stanów Zjednoczonych, w Alabamie rodzaj kolonii rolniczej, którą waleczni ci przewalili mianem Arcola, smutny i naiwny hołd dla bajecznej epopei, a która dla nich jednak stanowiła życie istotne. Jakże ona wydawała się dawną już w r. 1820! I któżby poznał świetnego

pułkownika, który obok Montbruna wdarł się w środek Wielkiej Reduty, w plantatorze czterdziesto-pięcio-letnim, zajęтым bawełną i trzciną cukrową, a który dzięki energii i zdrowemu rozsądkowi w krótkim czasie zrobił majątek? To powodzenie było źródłem niejako innej emigracyi, zaprowadzonej do Texas przez generała Lallemand, a której koniec był tak opłakany. Pułkownik Chapron, przebiegając Europę, zdaje się nie nabył zbyt skrupulatnych pojęć o stosunku obu płci do siebie. Uczyniwszy matką bardzo ładną i bardzo słodką mulatkę, którą spotkał w wyścieczce do Nowego Orleanu i sprowadziwszy ją do Arcola, przywiązał się głęboko do tej biednej i ujmującej istoty i do syna, zwłaszcza że prócz cery i włosów, dziecko to było jego portretem wykapanym. Jednem słowem, stary żołnierz, umierając, ponieważ nie miał nikogo z krewnych w swej dawnej ojczyźnie, zostawił cały majątek temu synowi, którego nazwał oczywiście Napoleonem. Za życia ojca nikt nie śmiał go inaczej jak ojca traktować. Ale nie tak się miały rzeczy, gdy zgasł urok żołnierza cesarskiego; nic już nie osłaniało chłopca od odrazy, jaką czują w Ameryce do tej rasy. Jest to moralnie biorąc przesąd, ale społecznie, jest to instynkt zachowawczy. Stany Zjednoczone temu tylko wywdzięczają swą wielkość. Mieszanina krwi wywołała tę godną podziwu energię anglo-saską, którą walka z naturą bardzo bogatą, ale i bardzo oporną

rozwinęła do tak nadzwyczajnej wielkości. Nie można wymagać, by ci, którzy są ofiarą tego rodzaju instynktu, rozumieli tę niesprawiedliwość. Odczuwają oni tylko jego okrucieństwo. Napoleon Chapron gdy mu odmówiono ręki wielu pańien, gdy mu przeszkadzano w jego przedsiębiorstwach, upokorzony w tysiącnych drobnych okolicznościach przez dawnych nawet towarzyszy pułkownika, stał się mizantropem. Żył podtrzymywany tylko pragnieniem zwiększenia do rozmiarów olbrzymich swego majątku, oraz ożenienia się z kobietą białą. Dopiero w r. 1857, mając lat trzydzieści pięć, urzeczywistnił to drugie swoje pragnienie. W czasie jednej ze swych podróży po Europie, zajął się bardzo na okręcie młodą guwernantką angielską, która powracała z Kanady, w skutek jakiegoś wielkiego nieszczęścia rodzinnego. Zobaczył ją potem w Londynie. Pomagał jej z taką delikatnością, że wzruszył ją tem i zgodziła się zostać jego żoną. Z tego związku urodził się Florentyn, a po roku Lidya. Przy tej ostatniej matka umarła, właśnie w chwili, gdy wojna secesyjna zachwiała majątkiem Chaprona, który na szczęście w żądzy z bogacenia się przedkiego, zaryzykował swe pieniądze na wszystkie strony. Zrujnowany więc został zaledwie w połowie. Ale ta półruina nie pozwoliła mu powrócić do Europy, jak to było jego marzeniem. Musiał zostać w Alabamie dla wyrównania swych niepowodzeń, co mu się udało, gdyż po śmierci

która nastąpiła w r. 1880, dwoje jego dzieci odziedziczyło każde przeszło po czterekroć sto tysięcy dolarów. Poświęcenie tego ojca nieporównanego nie ograniczyło się jedynie na odbudowaniu majątku. Miał on tyle mocy nad sobą, że pozbył się obecności dwóch istot, które ubóstwiał, dla tego, by uchronić je od upokorzeń szkoły amerykańskiej, i wysłał je w dwunastym roku życia do Anglii, syna do jezuitów w Beaumont, córkę do klasztoru Sercanek w Rochampton. Po czteroletnim pobycie w tych zakładach, przeniósł ich do Paryża, Florentyna do Vaugirard a Lidę na ulicę Varenne. Stało się to właśnie w chwili, gdy zrealizowawszy swe cztery miliony, przygotowywał się do wyjazdu do nich, do kraju bez przesądów. Ale dostał apopleksyi, będąc jeszcze dość młodym. Podwójne nadużycie pracy i zgryzot zjadło jeden z tych organizmów, jakie wydaje niekiedy skrzyżowanie rasy czarnej i białej, organizmu z pozoru atletycznego, ale nadzwyczaj wrażliwego, w którym opór życiowy nie odpowiada dzielności mięśni. Miał zaledwie pięćdziesiąt lat!

Jakkolwiek człowiek ten starał się wszelkimi siłami, by uchronić swe dzieci od prześladowań, jakich sam doznał, to jednak nie mógł przeszkodzić temu, by te prześladowania nie dotknęły jego syna w chwili, gdy znalazł się do Beaumont. Kilku chłopców, z którymi Florentyn wszedł w stosunki, czy to w domu czy na przechadzkach,

jeszcze w czasie pobytu w Ameryce, dali mu uczuć to upokorzenie krwi, od którego ojciec tyle ucierpiał. Dwunastoletni uczeń, cichy, ale nadzwyczaj wrażliwy, gdy się ukazał na „lawn“ spokojnego kolegium angielskiego, pewnego chmurnego poranku w jesieni, miał już miłość własną podrażnioną i był rozkosznie zdziwiony, gdy jego koledzy nie mieli najmniejszego pojęcia o różnicy ras. Między oktagonem a kreolem, europejczyk nigdy nie jest w stanie znaleźć różnicy. Florentyn uchodził za tego, kim był istotnie, za wnuka jednego z najlepszych oficerów cesarza. Ojciec starał się, by był francuzem i koledzy widzieli w nim tylko ucznia takiego samego, jak i oni, który wypadkiem przybywa z Alabamy, to jest z kraju tak samo nieokreślonego, jak Japonia lub Chiny. Wszyscy ci, którzy w dzieciństwie zaznali ponurej męczarni obawy, rozumieją, jaką musiała być trwoga tego biednego dziecka, gdy po czteromiesięcznym życiu, pełnym sympatii koleżeńskich, jeden z ojców jezuitów, kierujących kolegium, oznajmił, sądząc, że mu tem zrobi przyjemność, o blizkiem przybyciu amerykanina, młodego Lincolna Maitlanda. Florentyn uczuł to tak silnie, że przez dwadzieścia cztery godzin miał gorączkę. Później, po wielu latach, przypomniał sobie, jakie myśli mu przychodziły do głowy w chwili, gdy dowiedziawszy się o przybyciu nowego kolegi, zeszedł ze swego pokoju do refektarza wspólnego, pewny, że spotka się z pogar-

dliwym wzrokiem nowego towarzysza, tak mu doskonale znanym jeszcze ze Stanów Zjednoczonych. Przekonany, że jak tylko raz pochodzenie jego będzie wyjawione, atmosfera przyjaznego koleżeństwa, w której dotąd się obracał, zmieni się odrazu i stanowczo. Szedł właśnie przez trawnik, gdy nagle zawołał nań ojciec Roberts (ten sam, który go uwiadomił) i jakże się zdziwił, gdy Lincoln Maitland uścisnął go energicznie za rękę, jako rodaka, z którym się spotkał na obczyźnie. Wprawdzie dowiedział się później, że to powitanie było zupełnie naturalne w synu angielskiej, wychowanym jedynie przez matkę i przewiezionym z New-Yorku do Europy przed piątym rokiem życia, by tu żyć wśród otoczenia wcale nieamerykańskiego. Chapron jednak nie rozumował w ten sposób. Miał serce nadzwyczaj czułe. Odrazu uczuł wdzięczność bardzo silną, silniejszą od zdziwienia, które w nim przed chwilą się objawiło. W tydzień potem Lincoln Maitland i on byli przyjaciółmi tak serdecznymi, że się nigdy nie opuszczali, nawet na chwilę, przez całe lat dwa-naście.

Przywiązanie to, które dla chłodnej natury Maitlanda, było tylko pospolitym szkolnym epizodem, dla Florentyna stało się uczuciem jaknajpoważniejszym, pochłaniającem w sobie życie całe. To braterstwo z wyboru, kwiat najpiękniejszy i najdelikatniejszy serca ludzkiego, powstaje zwykle w ten sposób w młodości. Peryod od dzie-



siątego do szesnastego roku życia jest wiekiem idealnym czułych przyjaźni, epoką czystej, świeżej, dziewiczej jeszcze duszy, obfitą w projekta przyszłości. Zwykle te projekta tworzą się we dwóch, marzy się o koleżeństwie prawie mistycznym z przyjacielem, dla którego niema tajemnic, którego charakter widzi się w jarzącym blasku szlachetności, o szacunek którego dba się, jak o największą nagrodę i pragnie się być mu podobnym. Są to między dzieciuchami niewinnymi, którzy ślęczą obok siebie nad zagadnieniem geometrycznym, lub lekcją historyi, prawdziwe poematy czułości, z których człowiek dojrzały śmieje się później, widząc, jak dalece ten, którego pragnął mieć bratem różni się od niego pragnieniem, myślą, wszystkim jednym słowem. Zdarza się jednak, że w pewnych naturach, obdarzonych czułością zbyt wczesnie dojrzałą, a zarazem wiernych, to zbudzenie się uczuć jest tak silne, tak pochłaniające, że przyjaźń ta trwa wtedy nawet, gdy się obudzi zmysłowość, tak zabójcza dla wszelkich delikatnych uczuć, nawet wówczas, gdy dozna się pierwszych niepowodzeń społecznych, tak zabójczych dla ideałów młodzieńczych. Tak się rzeczy miały i z Florentynem Chapronem, może dlatego, że jego charakter zarazem dziki i uległy czynił go zdolniejszym do tej abdykacji swego ja, jakiej wymaga przyjaźń; może dlatego, że oddalony od ojca i siostry, pozbawiony matki, miał serce kochające, które potrzebowało przywiązać się do

kogoś, coby mu rodzinę zastępował; może wreszcie dlatego, że Maitland wywierał na niego pewien urok w skutek przymiotów różnych od jego. Słaby i zanadto uległy, był oczarowany przez siłę i zręczność, jaką jego przyjaciel okazywał we wszelkich ćwiczeniach. Bojaźliwy i milczący, może był opanowany przez pewność siebie tego atlety o śmiechu głośnym, o energii niepokonanej? A może nadzwyczajne uzdolnienie do sztuki, które w Maitlandzie rozwinęło się już w pierwszych latach, podbiło serce Florentyna, może współczucie dla nieszczęść, z których mu się zwierzył, a które go wzruszyły więcej niż tego, który ich doświadczył? Gordon Maitland, ojciec Lincolna, pochodził ze znakomitej rodziny z New-Yorku i zginął walecznie w bitwie pod Chancellorsville, podczas tej samej wojny, która o mało nie zrujnowała ojca Florentyna. Pani Maitland, uboga córka rektora kościoła presbiteryańskiego w Newport, poszła za mąż tylko ze względów majątkowych i zostawszy wdową, miała jedną tylko myśl, oddalić się z miejsca swego dotychczasowego pobytu. Ale dokąd? Do Europy, krainy niejasnej i czarodziejskiej, gdzie zdawało jej się, że się odznaczy swą pięknnością i inteligencją. Była ładną, prózną i głupią, a ta podróż, ta pogoń za rolą nieokreśloną, jaką myślała odegrać w świecie starym, zredukowała się do pobytu przez dwa lata w różnych hotelach. Potem wyszła za mąż za młodszego syna jakiegoś

gość para irlandzkiego, w tej nadziei, że wejdzie do Olimpu arystokracji brytańskiej, która była jedynym jej ideałem. Została katoliczką, a za nią i syn, dla osiągnięcia tych świetnych wido-ków, które ją bardzo wiele kosztowały, gdyż wielki pan zrujnowany, który jej dał swe nazwi-sko, był nietylko gburem, pijakiem i okrutnikiem, ale był zarazem najzapaleńszym graczem w pań-stwie trzech królestw. Pasierba nie trzymał w do-mu, żonę bił i umarł w r. 1880, zjadłszy wprzód-y majątek nieszczęsnej istoty i prawie cały Lin-colna. W owym czasie ten ostatni, którego oj-czym zostawił zupełnie samemu sobie i który po opuszczeniu Beaumont malował potrochu prawie wszędzie, w Wenecyi, Rzymie i Paryżu, znajdo-wał się w tem ostatniem mieście jako jeden z pierwszych uczniów Bonnata... Widząc matkę zrujnowaną i bez środków utrzymania w czter-dziestym czwartym roku życia, przekonany o swej świetnej przyszłości, w jednym z tych wspania-łomyślnych przystępów, jakie miewa młodość, a które nietylko dowodzą szlachetności, ile dumy życia, postąpił sobie jak następuje. Z piętnastu tysięcy franków dochodu rocznego, jakie mu po-zostały, ustąpił dwanaście tysięcy pięćset matce. Należy dodać, że w rok potem zaślubił siostrę swego kolegi szkolnego, z czterystu tysiącami dolarów. Widział nędzę i obawiał się jej mocno. Dobry uczynek względem matki posłużył mu za usprawiedliwienie we własnych oczach charakte-

ru czysto pieniężnego tego związku, który dawał zupełną swobodę jego pendzlowi. Zresztą artyści mają tego rodzaju sumienia. Lincolnu nigdyby sobie nie przebaczył, gdyby robił ustępstwa w zakresie sztuki. Uważał za zbrodniarzy tych artystów, którzy dla powodzenia porzucają swą maniery i sądził, że to jest bardzo naturalnem, iż bierze dwa miliony panny Chapron, której nie kochał i względem której teraz, gdy urósł i poznał kilku jej współrodaków, począł także odczuwać przesady rasowe. Sława pułkownika Cesarstwa i przyjaźń dla tego „pocziwego Florentyna“, jak mawiał, służyła za parawan dla wszystkiego.

Biedny, pocziwy Florentyn! Małżeństwo to było dla niego urzeczywistnieniem marzeń młodości. Pragnął go zaraz od pierwszego dnia, od chwili, gdy Maitland uściskał go tak serdecznie za rękę. Nie pragnął innego losu, jak żyć w cieniu swego przyjaciela, który stał się zarazem jego szwagrem i jego wielkim człowiekiem. Florentyn był tak samo ślepym na wady Maitlanda, rozwijające się w miarę lat, powodzenia i majątku (przypominamy powodzenie jego „Kobiety w sukni fiołkowej i żółtej“ w Salonie 1884 r.), jak wtedy, gdy grali razem w krokieta na łąkach w Beaumont. Dorsenne bardzo trafnie nazwał to hipnotyzmem uwielbienia, jakie artyści wielcy lub mali wzbudzają niekiedy w swem otoczeniu. Tylko powieściopisarz, uogólniający rzeczy zbyt szybko, nie zrozumiał tego, że admirator we Floren-

tynie zaszczerpiony był na przyjaciela, godnym pióra La Fontaine'a, lub Balzaca, dwóch poetów przyjaźni, jednego w swym podniosłym i tragicznym „Kuzynku Pons“, drugiego w tej króciutkiej, lecz znakomitej bajce, w której znajduje się wiersz pełen tklivości:

„Śpiąc, wydawałeś mi się tak smutnym“...

Florentyn kochał Lincolna dlatego, że go podziwiał, a podziwiał go dlatego, że go kochał. Nie mylił się zresztą, uważając malarza za najbardziej utalentowanego pomiędzy tymi, którzy się w ostatnich trzydziestu latach ukazali. Ale Lincoln nie miałby ani zuchwałej wytworności rysunku, ani błyszczącej siły kolorytu, ani subtelności imaginacyi, gdyby przyjaciel nie poświęcił się z zapałem dla chwały artysty. Gdy Lincoln chciał podróżować, znajdował zawsze w swym szwagrze najpilniejszego gońca; gdy potrzebował modelu, dość mu było słówko o tem wyrzec, a Florentyn już rozpoczynał poszukiwania. Jeżeli Lincoln wystawiał jaki obraz w Paryżu, lub Londynie, Florentyn zajmował się wszelkimi formalnościami i zabiegami, odwiedzał dziennikarzy i kupców obrazów, układał listy z podziękowaniem za artykuły i to charakterem tak podobnym do pisma malarza, że ten potrzebował tylko pomieścić swe nazwisko. Lincoln pragnął powrócić do Rzymu, Florentyn wyszukał dom przy ulicy Leopardi i urządził w nim wszystko, jak należy, nim Maitland, bawiący wówczas w Egipcie, ukończył

wielkie studyum, rozpoczęte w chwili, gdy przyjaciel jego odjeżdżał. Florentyn bowiem, dzięki przywiązaniu do tego brata, którego sobie sam stworzył, doszedł do tego, że pojmował sztukę malarską lepiej od samego malarza. Zdanie to tłumaczy wszystko dla tych, którzy uczęszczają do artystów i wiedzą, jaka przestrzeń oddziela ich od amatorów, choćby najwykształceńszych. Tylko artysta, który sam maluje, wie wobec obrazu, jak on jest zrobiony, jaki i dlaczego rzut pendzlem został dany, całe nakoniec przetworzenie materii przez mistrza; i dlatego to wszelka, choćby najuczęszsza, opinia dyletancka, niema w jego oczach znaczenia. Florentyn tyle się napatrzył na to, jak Maitland pracował, oddawał mu tyle istotnych przysług w pracowni, że każde z płócien jego szwagra było dlań czemś żyjącem, nieomal w każdym, choćby najlżejszym zarysie. Gdy patrzył na nie na ścianie galeryi jakiej, to czytał w nich wspomnienie przyjaźni, będącej dla niego jedyną radością i jedyną dumą. Indywidualność jego nakoniec tak była pochłonięta przez dawnego kolegę, że doprowadziła Florentyna do tej anomalii, którą sam Dorsenne, pomimo pobłażliwości dla pewnych dziwaectw psychologicznych, uważał za potworną. Florentyn był szwagrem Lincolna i uważał to za rzecz zupełnie naturalną, że ten ostatni oddawał się po za domem miłostkom, gdyż tego rodzaju wrażenia sądził, że są pożyteczne dla jego talentu!

Ten długi i niezupełny rozbiór pozwoli może lepiej zrozumieć wrażenia, które wstrząsały młodym człowiekiem w chwili, gdy wchodził na schody swego domu — raczej ich, t. j. Lincolna i jego domu—po niespodziewanym zejściu z Bolesławem Gorskim. Zejście to złagodziło w jego oczach surowość wyrzutów sumienia. Pierwszym skutkiem wszelkiej namiętności, rozwijającej się w sercu, jest to, że tłumi wszystkie inne uczucia. Chapron był przyjacielem zbyt fanatycznym, by miał być sprawiedliwym bratem. Wydawało mu się to bardzo prostem i bardzo naturalnem, że jego siostra jest sługą gieniuszu Lincolna, tak samo, jak on nim był. Zresztą Florentyn nie podejrzewał wcale, że ta siostra, od chwili małżeństwa z przyjacielem brata, była ofiarą burzliwej tragedyi moralnej. Zkądże miał znać Lidyę, tę milezącą, tę skoncentrowaną w sobie, o której wytworzył własne zdanie raz na zawsze, jak to zwykle bywa między krewnymi? Ci, którzy widzieli nas za młodu, sądzą tak samo jak ci, którzy nas codzień widzą. Obraz, jaki sobie nakreślili o nas, jest raczej reprodukcją tylko tego, czemeśmy byli w pewnej chwili, a nigdy tego, czem jesteśmy. Florentyn uważał swą siostrę jako istotę bardzo dobrą, gdyż dawniej przekonał się, że jest taką; za osobę łagodną, gdyż nigdy mu się nie opierała; za mało inteligentną, bo nie bardzo ją interesowały dzieła malarza, za próżną i lekką, bo lubiała się bawić. Nie podej-

rzywał, że w tej istocie opanowanej, uciśnionej, startej przez jego ślełą stronność i egoizm pogardzanego męża, ukrywała się męczennica i buntownica tajemna, że żywiła ona straszne zamiary, do jakich tylko rezygnacya pozorna jest zdolną! Jeżeli miał pewne obawy, gdy pani Steno poczęła zajmować się Lincolnem, to tylko ze względu na prace tego ostatniego, zwłaszcza, że od roku zauważył jeżeli nie upadek, to pewien zamęt w dziełach artysty. To tylko w nas jest stałem, co jest wyrazem instynktu i pewnej bezwiedzy. Później Florentyn spostrzegł, że werwa Maitlanda odżyła pod oddechem tej intrygi. Portret Alby zapowiadał się jako wspaniałe studyum, godne stanąć obok sławnej „Kobiety w sukni fiołkowej i żółtej“, którą zazdroszczący Lincolnowi przypominali ciągle. Prócz tego malarz wykończył z gorączkowym zapalem dwie wielkie kompozycye, które był wprzód zaniedbał. Wobec tej widocznej gorączki tworzenia, z każdym dniem nieomal wzrastającej, czyż Florentyn mógł nie błogosławić pani Steno, zwłaszcza, że dość było oczy zamknąć i nie niewiedzieć i mieć tym sposobem spokojne sumienie w obec swej siostry? Wiedział jednak o wszystkim. Dowodem tego był dreszcz, który po nim przebiegł w chwili, gdy Dorsenne doniósł mu o potajemnem do Rzymu przybyciu dawnego kochanka pani Steno, oraz szybkosc, z jaką się rzucił naprzeciw Bolesława, rozmawiającego ze służącym. I teraz musiał przy-



jąc pojedynek, na który rozdrażniony rywal chciał wyzwać jego drogiego Lincolna.

— Trzeba, żeby się o tem dowiedział dopiero po wszystkim... gdyż inaczej gotów się sam bić, ja zaś mam nadzieję, że zabiję tego Gorskiego, a przynajmniej zranię. W każdym razie urządzę się tak, że drugi pojedynek stanie się niemożliwym dla tego szaleńca. Przedewszystkiem jednak trzeba się przekonać, czyśmy nie mówili za głośno, i czy nie słyszano na górze krzyku tego bałwana...

Taki przymiotnik dawał swemu jutrzejszemu przeciwnikowi. O mało że nie potępił Gorskiego, iż ten nie podziękował Lincolnowi za to, że zrobił mu zaszczyt objęcia po nim sukcesyi w osobie hrabiny! Należało teraz zajrzeć do pracowni. Gdy ten przyjaciel oddany aż do heroizmu, wszedł do obszernego salonu, przekonał się zaraz, że niepotrzebnie się obawiał; żaden odgłos nie dobiegł tu z dołu do cichego schroniska pracy. Pracownia malarza amerykańskiego była umeblowana z przepychem, pełnym wdzięku, jaki umięją prawdziwi i bogaci artyści rozwijać koło siebie. Wielka przestrzeń nieba, widzialna przez oszkolony otwór w murze, oświecała kącik prawdziwie rzymski—tego Rzymu dzisiejszego, zdradzającego stanowcze usiłowanie stworzenia nowego miasta, obok miasta starożytnego. Widać było róg starożytnego ogrodu, widocznie zniszczonego przez nowe budynki, kawałek odwiecznego gmachu z dzwon-

nicą kościelną w dali. Na tem to tle z lazuru, zieloności i ruin, na horyzoncie szerokim i głębokim, ale złożonym z tych samych danych, rysował się profil młodej panny, wykończony według suchej i wystudyowanej usilnie manieri tego Piotra della Francesca, którym Maitland zajęty był od sześciu miesięcy wyłącznie. Wszyscy wielcy twórcy, o oryginalności raczej złożonej, niż gienialnej, mają uprzedzenia, dzięki którym zmieniają swe poglądy i swój sposób działania. Lincoln stał przed stalugą, ubrany z tą wytworną elegancją, która jest stałą cechą artystów anglo-saskich, choćby niewiem jak fantastycznych. W maleńkich trzewikach lakierowanych, w skarpetkach czarnych, nakrapianych czerwono, w kamizelce jedwabnej, pikowej, w krawacie perłowej barwy i bieliźnie przedziwnie czystej, wyglądał na *gentlemana*, zajętego robotą z amatorstwa, a nie sztuką, wymagającą cierpliwości i pracy. O tym cierpliwym pracowniku, którym on był, mówiły płótna i studia rozwieszane wszędzie, między dywanami, bronią i mnóstwem drobiazgów artystycznych. Były to dzieje zacieklej energii, poszukującej indywidualności artystycznej, która ciągle przed nim uciekała. Maitland przedstawiał w najwyższym stopniu rys wszystkich mężczyzn jego kraju, choćby nawet dość wczesnie przewiezionych do Europy, tę żądzę niepokonaną uchodzenia za człowieka ucivilizowanego, co się tłumaczy faktem, że amery-

kanin jest istotą nową, obdarzoną nieporównaną czynnością i pozbawioną przesyty tradycyjnego. Nie urodził on się człowiekiem ucywilizowanym, dojrzałym, ukształtowanym w pewnym, że tak powiemy, kierunku, jakim zwykle jest dziecko starego świata. On sam musi się urabiać, tworzyć niejako, jedynie siłą woli. Maitland, obdarzony przymiotami wyższemi, ale wyłącznie nieomal fizycznemi, był *self made man* sztuki, jak jego dziad był *self made man* wojny, jak ojciec był *self made man* pieniędzy. W rękę i oczach miał dwa cudowne narzędzia sztuki, ale w swej żądzy udoskonalenia się — narzędzie jeszcze cudowniejsze. Brakowało mu jednak zawsze czegoś niezbędnego i miejscowego, czegoś, co nadaje niektórym malarzom, o wiele odeń niższym, trudną do określenia wyższość, jakąś woń swojską. Nie można powiedzieć, by nie miał zmysłu wynalazczego, a jednak, patrząc na jego obrazy, doznawało się wrażenia, jakby to wszystko było zkadś nabyte. Szkice, rozrzucone po pracowni, okazywały najprzód wpływ pierwszego jego nauczyciela, dzielnego i pełnego prostoty Bonnata. Później oddziałali na niego preraphaelici angielscy, a piękna kopia sławnego „Śpiewu miłości“ Burne Jonesa, potwierdzała tę reakcyę w kierunku sztuki wytworniejszej, bardziej przesiąkniętej tą poezją, którą niektórzy malarze rzemieślnicy nazywają pogardliwie mianem literackiej. Ale Lincoln był zanadto silny cieleśnie, by mógł sobie podo-

bać w niemocy takiego ideału i szybko zwrócił się ku innym wzorom. W Hiszpanii podbił go Velasquez, ten kolorysta o fantazyi tak odrębnej, że zwiedziwszy muzeum w Prado, wynosi się wrażenie, jakoby to był jedyny malarz, godny tego nazwiska. Siła wielkiego hiszpana, te rzuty szalone pędzla, który zdaje się czerpać barwy z głębi samego obrazu, tak że one nieomal wystają, brak wszelkiej abstrakcyi, pogardzanie przeszłością, odpowiadało w zupełności temperamentowi Maitlanda. Jemu też zawdzięczał swoje arcydzieło, tę „Kobietę w sukni fioletowej i żółtej“, której kopia, przezeń samego sporządzona, świeciła w pracowni blaskiem przyciemniającym wszystko inne. Ale niespokojny poszukiwacz nie zatrzymał się na tem. Włochy znów go podbiły, zwłaszcza florentczycy, ci mianowicie, którzy stanowią wyraźne przeciwieństwo z Velasquezem, malarze, a raczej napół rzeźbiarze i złotnicy, taki Pollajnoli, Andrea del Castagno, Paulo Uccello i ostatecznie Piotr della Francesca. Niktby nie przypuścił, że ta sama ręka, która takimi silnymi rzutami pędzla i farb namalowała „Kobietę w fiolecie“, narysowała kontury portretu Alby tak surowo, prawie ostro. W chwili, gdy Florentyn wszedł do pracowni, praca ta tak dalece pochłonęła uwagę malarza, że nie słyszał otwierających się drzwi, podobnie jak pani Steno, która paliła cygarete, leżąc w pozie leniwej na kanapie, szczęśliwa, że na pół przymkniętymi oczami

mi może patrzeć na człowieka, którego kocha! Lincoln odgadł dopiero wtedy, że ktoś wszedł do pokoju, gdy zauważył zmianę w twarzy Alby. Mój Boże! jakże ona była bladą tego poranku, siedząc nieruchoma na wielkim fotelu heraldycznym, o oparciu rzeźbionem, z rękami ściskającymi potworne łby poręczy, z ustami zgorzkniałymi, z oczami głębokimi i wlepionymi w jeden punkt!... Czyżby odgadywała, że los jej rozstrzygał się teraz z chwilą wejścia nowej osoby? Osoba ta, wyszedłszy przed kwadransem z pracowni, tak tłumaczyła swój powrót:

— Wracam—rzekł Florentyn—gdyż zapomniałem się ciebie spytać, Lincolnie, czy ostatecznie chcesz nabyć te trzy rysunki Ardei za cenę, jakiej żądają?...

— Dlaczegoż mi wczoraj nie powiedział o tem, kochany Linco? — zawołała hrabina. — Widziałam się z Peppinem dziś rano. Byłabym wyciągnęła z niego ostateczną i prawdziwą cenę...

— Jeszcze tego brakowało—odrzekł Maitland, śmiejąc się głośno ależ on nie chce oddać tych rysunków, kochana dogaresso... Stanowią one część zabytków, które starannie usunął z inwentarza swych wierzyteli i pochował w różnych miejscach... Są one u siedmiu, czy ośmiu antykwaryuszów i należy się spodziewać, że przez dziesięć lat wszyscy handlarze mego kraju będą powtarzali ten frazes ogłuszający: pochodzi to z pałacu Castagna, dostałem to w skutek pe-

wnych zabiegów... Przytem będą mrużyli oczami na znak porozumienia się...

Przymrużył oczy, naśladując jednego z najświetniejszych antykwaryuszów rzymskich, z tą nieporównaną zdolnością naśladownictwa, która odznacza wszystkich starych bywalców pracowni paryzkich.

— W tej chwili te trzy rysunki znajdują się u pewnego handlarza na Balrimo... są one autentyczne...

— Tak, tylko że twierdzą, jakoby one były dziełem Leonarda da Vinci—odrzekł Florentyn— a to dlatego, że Leonard był mańkutom, ich zaś szyćchy idą w rzeczy samej od lewej do prawej...

— I myślisz, że Ardea nie zgodzi się ze mną?— zapytała hrabina.

— Nawet z panią...—odrzekł malarz.—Był tak bezczelny, że wczoraj nie wstydził się, gdym mu wspomniał o tych rysunkach, zapytać mi się o adres, by je mógł zobaczyć...

— Więc jakimże sposobem dowiedziałeś się o ich pochodzeniu?—zapytała pani Steno.

— Pytaj się pani jego—rzekł malarz, wskazując pendzlem na Chaprona.— Gdy idzie o z bogacenie zbiorów starego Maitlanda, jest on lepszym kupcem od wszystkich kupców razem. Oni mu wszystko opowiadają... Vinci, czy nie Vinci, ale w każdym razie jest to najczystsza szkoła lombardzka. Kup je... Brakuje mi tego rodzaju dzieł...

— Dobrze, zajmę się tem — odrzekł Florentyn.

Mówiąc to, uklonił się pani Steno i jej córce. Matka uśmiechnęła się do niego przyjaźnie; nie należała ona do rzędu tych metres, dla których poufni przyjaciele kochanka, są zawsze nieprzyjaciółmi. Owszem ogarniała ich swą bujną i żywą sympatyę, jaką miłość w niej budziła. A przytem była zanadto przebiegłą, by nie miała spostrzedz, że Florentyn, jakkolwiek mogło się to komuś wydać nieprawdopodobnem, nie oburzał się wcale na jej miłości ze szwagrem.

Alba zaś przeciwnie, a uczucie odrazy, jaką czuła w tej chwili dla podejrzanych intryg matki, wyraziło się w chłodzie, z jakim schyliła swą główkę zasępioną, w odpowiedzi na ukłon młodego człowieka, na co ten zresztą nie zwrócił uwagi. Był on szczęśliwy, bo przekonał się, że odgłos jego sporu z Gorskim nie doszedł tu wcale.

— Do jutra—mówił sobie, schodząc na dół—nikt nie będzie mógł ostrzedz Lincolna... To zakupno rysunków jest genialnym pomysłem. Świadczy ono o mym spokoju.. Teraz muszę wyszukać dwóch świadków, którzyby umieli zachować tajemnicę...

Florentyn był człowiekiem bardzo rozsądnym i miał na swe usługi doskonałą rozwagę, ilekroć nie szło o przyjaźń jego dla szwagra. Obdarzony był zmysłem obserwacyjnym, właściwym ludziom, których drażliwa miłość własna strzedz się musi, by się nie narazić na obrazę. Odłożył więc na później ten wybór trudny i poszedł na

śniadanie, jak gdyby nigdy nie, do restauracji, gdzie na niego oczekiwano. Z pewnością amfityryon jego, dyplomata francuzki, bawiący w Monachium i przejeżdżający przez Rzym, nie przypuszczał, odpowiadając na pytania swego współbiedniaka o sztuce, że ten młody człowiek tak spokojny, tak uśmiechnięty, miał na karku pojedynkę, może śmiertelną. Dopiero po wyjściu z tego śniadania, Florentynu, przejrząwszy w myśli najmniej z półtora tuzina swych znajomych, postanowił spróbować, czy Dorsenne nie zechce być świadkiem. Przypomniał sobie ostrzeżenie tajemnicze, jakie mu dał powieściopisarz, którego sympatya zresztą dla Maitlanda była publicznie znaną, z powodu pewnego głośnego artykułu, jaki o nim napisał. Przytem sądził, że Dorsenne zakochany jest szalenie w Albie Steno, co dawało niejako gwarancję jego dyskrecyi. Dorsenne będzie milczał o pojedynku, o którym gdyby się dowiedziano, to bezwarunkowo łączono by z nim nazwisko hrabiny. Widocznem bowiem było, że Gorski i Chapron nie mieli żadnego bezpośredniego powodu do pojedynkowania się ze sobą.

Z tych wszystkich powodów, około godziny w pół do trzeciej, to jest w trzy godziny po nierozsądnym sporze w przedsionku, Florentyn zadzwonił do mieszkania Juliana. Był on w domu, zajęty korektą swego „Pyłu myśli“. To, co mu gość powiedział, wzburzyło go tak, że ręce mu się trzęsły, gdy układał rozrzucone korekty. Przy-



pomnił sobie, że przed dwoma dniami, na tej samej kanapie i o tejże samej godzinie, siedział Bolesław. Jakże szybko rozwija się dramat i dołąd on zajdzie, pędząc tak szalenie! Czuł przytem, że szwagier Maitlanda nie mówi mu wszystkiego.

— Ależ to jest głupstwo! — zawołał — to dzikość i szaleństwo!... Cóż u licha! przecież niepodobna, żebyście się bili o tego rodzaju słowa? Jakto? rozmawiacie na chodniku, mówicie sobie kilka słów nieco za żywych i zaraz świadkowie, pojedynk!... Nie, to strasznie głupio!..

— Zapominasz pan, że dopuściłem się wielkiego błędu; podniosłem na niego kij... — odrzekł Florentyn — a zresztą kiedy chce satysfakcyi, odmówić mu jej przecież nie mogę..

— A pan może myślisz — zawołał autor — że ludzie, galerya, zadowolni się tym powodem! Jak pan możesz przypuścić, że nie będą szukali skrytych przyczyn tego spotkania? Z pewnością zaraz wypłynie na wierzch jaka kobieta... Ja pana wcale nie pytam, ograniczam się na tem, coś mi powiedział. Ale ludzie są ludźmi i gadać będą...

— Dla tego też proszę pana o zachowanie zupełnego sekretu — odrzekł Florentyn — przyczem chciałem pana prosić, byś mi służył za świadka... Niema tu nikogo, komubym tak, jak panu ufał. Tem się usprawiedliwia mój krok.

— Dziękuję panu za to — odrzekł Dorsenne.

Przez chwilę wahał się, ale obraz Alby, który mu stał przed oczami od wczoraj, nagle znów się w myśli jego zarysował. Przypomniał sobie posępną twogę, jaką dostrzegł w oczach młodej dziewczyny, oraz ową widoczną ulgę, jakiej doznała, gdy matka jej uśmiechnęła się tak samo do Gorskiego, jak i do Maitlanda. Przypomniał sobie listy bezimienne i tę nienawiść tajemniczą, która ścigała panią Steno. Jeżeli ta kłótnia między Bolesławem i Florentynem stanie się głośną, to niewątpliwie wszędzie będą mówili, że Florentyn bił się za szwagra z powodu hrabiny. Niewątpliwie również, że pogłoski te dojdą do uszów biednej hrabianki. Wszystkie te uwagi wpłynęły tak na powieściopisarza, że zawołał:

— Dobrze, przyjmuję. Będę panu służył za świadka. Nie, nie dziękuj mi pan, tracimy tylko drogi czas. Trzeba przecież jeszcze drugiego sekundanta. Kogóż pan chcesz prosić?

— Nie wiem — odrzekł Florentyn — i liczę na pana, że mi dopomożesz...

— Zróbmy listę nazwisk -- ozwał się Julian — to najlepszy środek...

Dorsetne napisał pewną liczbę nazwisk i po kolei poczęli zastanawiać się nad niemi, a w rezultacie wszystkie odrzucili. Znów więc byli mocno zakłopotani, gdy nagle oczy powieściopisarza zajaśniały, krzyknął lekko i zawołał:

— Mam! mam! ach, że mi to wcześniej na myśl nie przyszło!... czy znasz pan margrabiego de Montfanon?...

— Tego, bez ręki?... Widziałem go raz z powodu pomnika, jaki kazałem wznieść w kościele Św. Ludwika francuzkiego...

— Mówił mi o tem — rzekł Dorsenne — ten pomnik kazałeś pan postawić dla jednego ze swych krewnych, prawda?

— Tak, dalekiego kuzyna, kapitana Chapron, zabitego w 1849 r. na szańcu pod Rzymem...

— A więc doskonale! — zawołał Dorsenne, zacierając ręce — Montfanon będzie pańskim świadkiem, najprzód jest to stary rębacz, ja zaś nigdy się jeszcze nie pojedykowałem. Jest to rzecz ważna. Znasz pan przysłowie, że nie pałasz i pistolet zabija, ale świadkowie... A przytem jeżeli rzecz da się załagodzić, to margrabia prędzej i łatwiej to zrobi, niż ja...

— Ależ to niemożliwe! — zawołał Chapron — margrabia Montfanon! Nie zgodzi się na to nigdy. Nie zna mię wcale...

— To nie, już ja to załatwię — rzekł Dorsenne — pozwól, że będę działał najprzód w mojem imieniu, a dopiero gdy się zgodzi, pan poczujesz mówić... Ale nie ma czasu do stracenia. Nie wychodź pan z domu aż do godziny szóstej. O tym czasie będę już wiedział czego się trzymać...

Jeżeli powieściopisarz z początku sądził, że mu się uda próba u starego swego przyjaciela, to jednakże, gdy się w pół godziny potem znalazł się przed domem margrabiego Klaudyusza Franciszka, począł wątpić. Margrabia mieszkał w dzielnicy

najszanowniejszej Rzymu, na samym Kapitolu, przy rogu ulicy Pocieszenia, w domu z belwederem, z którego rozwijał się najpyszniejszy widok na starożytne forum. Ileż to razy Julian przychodził tutaj, do tego zrezygnowanego w życiu, który zanurzał, topił nieustannie swe smutki w głębokim poczuciu przeszłości, by patrzeć na ten obraz tragiczny i pyszny minionych dziejów! Na głos samotnika strzaskane kolumny podnosiły swe czoła, zwalone świątynie odbudowywały się, droga tryumfalna oczyszczała się z murawy. Mówił on, i olbrzymia epopeja legendy rzymskiej zmartwychwstawała, wygłaszana przez tego gorliwego chrześcianina w tym tonie mistycznym i opatrzniościowym, który zdaje się przesiąkać te miejsca, w których więzienie Mamertyńskie opowiada dzieje Św. Piotra, w których portyk świątyni Faustyny służy za fronton dla kościoła Świętego Wawrzyńca, w których kościół Matki Boskiej Wyzwolenia wznosi się na ruinach świątyni Westy. „Sancta Maria libera nos a poenis inferni”, dodawał zawsze Montfanon, ilekroć o tem mówił, i wskazywał na łuk Tytusa, świadczący o spełnieniu się proroctwa Pana naszego o Jeruzolimie, jak bazylika Konstantyna głosi tryumf krzyża, a gaje Palatynu kryją klasztor żeński zbudowany na ruinach mieszkań Cezarów prześladowców. A dalej, tam w głębi, rysuje się wielkie kolizeum, przypominające osmdziesiąt tysięcy widzów, patrzących na cierpienia męczenników!... Takiemi były

widma, wśród których starzał się dawny żuaw papieżki i Julian, przyciskając dzwonek u drzwi trzeciego piętra, mówił sobie:

— Jest to głupstwo przychodzić z propozycją taką, jak moja do takiego człowieka. Chociaż tu nie idzie o to, by być sekundantem w pojedynku zwyczajnym, ale o to, by zatrzeć sprawę, która musi najprzód narazić życie dwóch ludzi, a potem honor pani Steno i nakoniec spokój trzech istot niewinnych, pani Gorskiej, pani Maitland i mej drogiej Alby... On jeden będzie mógł to wszystko załagodzić. Będzie to czynem miłosiernym... Żeby tylko był w domu.

Rozległy się kroki służącego, który, poznawszy gościa, uprzedził wszelkie pytania, mówiąc:

— Pan margrabia wyszedł dziś przed ósmą rano. Powróci dopiero na obiad...

— A nie wiesz czasem gdzie poszedł?

— Poszedł na Mszę do katakumb i na procesję — odrzekł służący i biorąc bilet Dorsenne'a, dodał: trapiści u Świętego Kaliksta wiedzą z pewnością gdzie jest pan margrabia. Jadł śniadanie u nich...

— Ha! spróbujmy — rzekł sobie młody człowiek, nieco zniechęcony. Dorożka jego ruszyła w kierunku bramy Św. Sebastjana, koło której znajdują się katakumby i biedne zabudowania ostatni szczyłek własności papieżkiej zachowanej przez ubogich mnichów.

— Montfanon zapewne spowiadał się dzisiaj— mówił do siebie — i na sam wyraz o pojedynku nie będzie mię chciał słuchać. Jednakże trzeba tę sprawę załatwić, trzeba koniecznie... Dużobym dał za to, żebym mógł dowiedzieć się prawdy o rozmowie Gorskiego z Florentynem. Jakim dziwnym i dyabelskim sposobem wojewodzie natknął się na tego ostatniego, gdy chciał się dobrać tylko do jego szwagra?... Dopieroż to będzie wściekły, gdy mnie zobaczy sekundantem przeciwnika!... Ba!... po ostatniej naszej rozmowie, może się tego spodziewać... Al otóż jestem już przed małym kościółkiem *Domine quo vadis*<sup>1)</sup> .. I ja także mógłbym się zapytać siebie: *Juliane, quo vadis?*... Idę dokazać lepszej niż wszystkie moje sprawy...

Ta dusza lekka, drżąca za najmniejszym dotknięciem, rozżalona była, jak to się jej zawsze przytrafiało, wspomnieniem jednej z niezliczonych legend nabożnych, jakie dziewiętnaście wieków katolicyzmu przyczepiło, otoczone niezwiędłymi różami, do wszystkich kątów Rzymu i jego okolic. Przypomniął sobie rozczulającą historję Św. Piotra uciekającego przed prześladowaniem i spotykającego Pana Jezusa. „Panie, dokąd idziesz?” zapytał się apostoł. „Idę, by mię ukrzyżowano poraz drugi”, odrzekł mu Zbawiciel, i Piotr zawstydził się swej słabości i powrócił na męczeństwo. Mont-

<sup>1)</sup> Panie, dokąd idziesz?

fanon opowiadał to podanie wzniosłe powieściopisarzowi, który znów zaczął się zastanawiać nad charakterem margrabiego i nad najpewniejszym sposobem zmuszenia go do zgodzenia się na propozycję. Zapomniał, przypatrywał się szerokim pustyniom okolic rzymskich, które już miał przed sobą i tak był pogrążony w myślach, że o mało nie minął celu swej wyprawy. Zresztą nowe niepowodzenie czekało go na tym pierwszym etapie jego poszukiwań. Mnich, który się zjawił na odgłos dzwonka przy furcie klasztornej, powiedział mu, że ten, którego szuka, wyjechał już ztąd przed pół godziną.

— Znajdziesz go pan w Bazylice Św. Nereusza i Św. Achillesa — dodał trapista. — Dziś jest uroczystość tych dwóch świętych i o godzinie piątej ma się odbyć procesya w ich katakumbach... Ztąd jest kwadrans drogi, niedaleko wieży Marancia, na drodze Ardeatina...

— Czyżbym go poraz trzeci nie znalazł!... — pomyślał Dorsenne, zeskakując nakoniec z drożki i idąc piechotą przez spalone trawniki do otworu, przez który wchodzi się do tego nekropolu podziemnego, poświęconego dwom świętym, którzy byli rzezańcami Domicylli, siostrzenicy imperatora Wespazyana. Kilka ruin i biedny domek oznaczają miejsce, gdzie niegdyś wznosił się pyszny pałac tej pobożnej księżniczki. Krata była otwartą i, nie widząc nikogo, ktoby mógł mu dać wskazówki, młody człowiek zapuścił się w pod-

ziemia. Tu spostrzegł, że długa galeryja była oświetlona. Ruszył w nią śmiało, mówiąc sobie, że szereg pochodni zapalonych co dziesięć kroków, wskazuje zapewne drogę, którą będzie szła procesyja i która prowadzi do bazyliki centralnej. Jakkolwiek co do ostatecznego rezultatu swych zabiegów, miał wielkie obawy, nie mógł się jednak powstrzymać od uwielbienia wspaniałego widoku, jaki przedstawiały katakumby w ten sposób oświetlone. Nierówne wgłębienia, przeznaczone dla zmarłych uspionych w pokoju Bożym od tyłu wieków, czerniały w ścianach podziemia i nadawały mu wygląd uroczysty i tragiczny zarazem. Widać było napisy, wyryte na kamieniach, a wszystkie one mówiły o wielkich nadziejach, jakie żywili ci pierwsi chrześcijanie, jakimi żywią się wierzący naszych czasów. Julian znał się na symbolice o tyle, że mógł zrozumieć znaczenie obrazów, pod któremi ci prześladowani pierwotnego kościoła ukrywali swą wiarę. Są one tak rzewne i tak proste zarazem! Kotwica przedstawia ocalenie wśród burzy, łagodny gołąb wyraża duszę, unoszącą się w niebiosa, jagnię duszę szukającą pasterza; feniks uskrzydłony mówi o zmartwychwstaniu, a podobieństwo ryby utworzone naiwnie z pierwszych liter Pana naszego: „Jezus Chrystus, syn Boży, Zbawiciel“. Ten cichy emmentarz męczenników, miał urok prawie fantastyczny w sobie wskutek tego, że napełniony był wonią kadziidla, którą Dorsenne oddychał.



od chwili, gdy tu wszedł. Solenna msza, odprawiona rano, pozostawiła tu na cały dzień ten zapach świątobliwy, otulający sobą kości, które niegdyś w żyjących ciałach biły czołem Bogu wśród takiej samej woni świętej. Kontrast był tak silny między tem miejscem, gdzie wszystko mówiło o rzeczach wiecznych a dramatem namiętności światowych i zdrożnych, że powieściopisarz był tem wzruszony. Zdawało mu się na chwilę, że dopuszcza się profanacyi, jakkolwiek działał w imię najszlachetniejszych i najbardziej ludzkich zasad. Uczuł też pewną ulgę, gdy na zakręcie galeryi spotkał się z księdzem, który niósł w ręku koszyk pełen kwiatów, przeznaczonych zapewne na procesyę. Zapytał go się po włosku o drogę do Bazyliki, a gdy ksiądz odpowiedział mu w najlepszej francuzczyźnie, więc rzekł:

— Zapewne znasz, mój ojczec, margrabiego de Montfanon?

— Jestem jednym z kapelanów przy kościele św. Ludwika — odrzekł ksiądz, uśmiechając się i dodał — znajdziesz go pan w samej Bazylice.

— Nareszcie — pomyślał sobie Dorsenne — bądźmy ostrożni... chociaż tu idzie ostatecznie tylko o czyn miłosierdzia... otóż jestem... poznaję schody i wielki otwór nad nimi...

Jakoż w rzeczy samej widać było kawałek nieba, z którego padało światło dzienne z góry. Światło to pozwoliło prędko powieściopisarzowi

sposprzedz tego, którego szukał, pośród kilku osób, zgromadzonych w tej kaplicy zrujnowanej, może najstarszożytniejszej z tych wszystkich, które otaczają Rzym ukrytym pasem świętości. Montfanon, którego łatwo można było poznać po pustym rękawie u czarnego surduta, założonym za piersi, siedział na krześle, niedaleko ołtarza, na którym paliły się wielkie świece woskowe i płomień ich chwiały się widocznie. Księża i mnisi rozstawiali koszyki pełne kwiatów, podobne do tego, jaki miał kapelan, spotkany przed chwilą przez Dorsenne'a. Grupa, złożona z trzech osób, udzielała sobie półgłosem uwag o malaturach, zaledwie widzialnych na tynku szarym sklepienia. Montfanon był pogrążony zupełnie w czytaniu książki, którą trzymał jedyną swą ręką. Ostre rysy jego twarzy, uszlachetnionej i jakby odmienionej przez zapał modlitwy, nadawały mu wyraz godny podziwu starego żołnierza chrześcijańskiego. *Bonus miles Christi* wryto na kamieniu grobowym wodza, który został ranny pod Patay. Wyglądał na stróża świeckiego grobowca męczenników, zdolnego umrzeć, tak jak oni za swą wiarę. A gdy Julian zdecydował się dotknąć go lekko ręką w ramię, zauważył, że w jasnych oczach błękitnych szlachcica, zwykle wesołych, niekiedy tylko gniewnych, błyszczała łza przed chwilą wylana. Głos jego nawet, ten głos zwykle zgryźliwy, nabył jakiejś miękości w skutek myśli

może, jakie czytanie, miejsce i godzina w nim obudziły.

— A, to ty—rzekł do swego młodego przyjaciela, wcale niezdziwiony.—Przyszedłeś na procesję. To bardzo dobrze. Usłyszysz, jak śpiewać będą ten śliczny wiersz: *Hi sunt quos fatue mundus abhorruit*. Wymawiał z włoską *u*, nie jak francuzi *ju*, gdyż całe swe wykształcenie liturgiczne zawdzięczał Rzymowi.

— Pora jest odpowiednia dla tej ceremonii—mówił dalej.—Są tylko ludzie, którzy się modlą, lub jak ty, czuć umieją. A czuć, to znaczy na pół się modlić... później wiara sama przyjdzie... Skończysz tak, jak my, zawsze ci to powiadałem. Tam tylko jest spokój i odpoczynek...

— Chciałbym być na tej procesji — odrzekł Dorsenne — ale inne przyczyny mnie tu sprowadziły. Szukam pana od godziny, gdyż chcę cię prosić o wielką przysługę dla mnóstwa osób, która może zapobiedz straszному nieszczęściu..

— Straszному nieszczęściu — zawołał Montfannon — a jakimże sposobem ja mogę temu zapobiedz?

— Możesz pan — odrzekł Dorsenne — ale nie tu jest miejsce objaśnienia pana o wszystkich szczegółach tej długiej i okropnej historii... O której godzinie ma się odbyć ceremonia? Zaczekam na pana i opowiem wszystko, gdy będziesz wracał do domu. Mam dorożkę.

— Procesya zacznie się dopiero o piątej, może o w pół do szóstej—rzekł Montfanon, patrząc na zegarek — mamy dopiero kwadrans na piątą... Wyjdziemy z katakumb, jeżeli sobie życzysz i opowiesz mi tę historję tam, na górze... Wielkie nie-szczęście? Ha! — dodał, ściskając rękę młodego człowieka, którego osobę kochał, choć zasad jego niecierpiał od chwili, gdy się spotkali u wspólnego przyjaciela hrabiego Gobineau, apostoła teoryi ras — bądź spokojny, moje dziecko, zapobiegnie się wszystkiemu...

W tonie, jakim wypowiedział te słowa, czuć było tę pogodę sumienia, które niezna niepokoju, które wierzy silnie i czyni wszystko, co może i co powinno. Nie byłby Montfanonem, to jest rodzajem wizyonera, który lubił dysputować z Dorsennem, gdyż pomimo wszystko rozumieli się oni doskonale, by nie miał mówić, gdy szli wzdłuż oświeconego podziemia:

— W każdym razie, mój panie apologisto świata nowoczesnego, kontent jestem, że cię tu widzę i chcę cię zapytać otwarcie, czy nie czujesz się bardziej współczesnym tym wszystkim umarłym, którzy śpią w tych murach, niż jakiemuś tam wyborcy radykalnemu, lub deputowanemu frankmasonskiemu?... Czy nie widzisz tego, że gdyby ci męczennicy nie byli się przed osiemnastu wiekami modlili pod tem sklepieniem, to najlepsze wasze inteligencye nie istniałyby dzisiaj?... I proszę cię, gdzie ty znajdziesz rzewniejszą poe-

zyę, niż ta, zamknięta w tych symbolach i napisach? Rossi w przeszłym roku pokazał mi jeden taki napis u św. Kaliksta. Czuję łzy w oczach, gdy o tem pomyślę: *Pete pro Phoebe et pro virginio ejus...* Módl się za Febę i za... Ale jak przetłumaczyć te słowo, to *virginus*, męża, który znał jedną tylko kobietę, męża dziewicę, który miał żonę dziewicę?... Młodość twoja, Dorsenne, minie. Pewnego dnia uczujesz to samo, co ja czuję, stracone szczęście, z powodu błędów dawnych, i zrozumiesz, że leży ono tylko w małżeństwie chrześcijańskim, którego cała wzniosłość zawiera się w tej prośbie: *pro virginio ejus...* Będziesz takim, jakim ja dziś jestem i znajdziesz w tej książce środek do ofiarowania Bogu swych zgryzot i żalów... Czy znasz ty hymn św. Sakramentu: *Adoro te, devote?*... nie... a przecież czujesz chyba to, co jest w tym wierszu. Posłuchaj go... same wyrażenia zbudzą w tobie artystę... Idzie o oddanie tej myśli, że na krzyżu widziano tylko człowieka nie Boga, że w hostyi nie widzi się znów człowieka, a jednak wierzy się w jego rzeczywistą obecność:

*In cruce latebat sola Deitas.*

*At hic latet simul et humanitas.*

*Ambo tamen credens atque confitens...*

Albo ten wiersz ostatni:

*Peto quod petivit latro poenitens! <sup>1)</sup>*

<sup>1)</sup> Żądam, czego żądał kający się łotr.

— Jakie to piękne! jakie piękne! Takimi słowami można przemawiać do umierającego!

I powtarzał sobie:

— *Peto quod petivit latro poenitens...* i czegoż żąda ten biedny łotr, ten Dyzma, którego kościół uczynił świętym za to jedno zdanie: „Panie, pomnij na mnie, gdy przyjdiesz do Królestwa Twego“... Ale przyszedłszy już... schył się, bo kapełusz sobie pognieciesz... No, a teraz czego chcesz odemnie?... znasz dewizę Montfanonów: *excelsior et firmior*, coraz wyżej i coraz stałej... dobrych uczynków nigdy nie jest za wiele... Jeżeli to jest możliwe, wołam: jestem! jakieśmy niegdyś wołali przy apelu...

Ta dziwaczna mieszanina żarliwości i żartu, wymowy pełnej zapалу i fanatyzmu politycznego lub religijnego, malowała całego Montfanona. Ale wesole usposobienie znikło natychmiast z jego twarzy ruchliwej i naiwnej, w miarę, jak słuchał opowiadania, bardzo zręcznie ułożonego przez Dorsenne'a. Powieściopisarz w rzeczy samej nie popełnił tego błędu, żeby miał odrazu przedstawić swą propozycję. Wiedział on, że dyskusja z dawnym żuawem papieżkim jest niemożliwą. Albo uważać ją będzie za głupią i potworną, albo też będzie w niej widział obowiązek miłosierdzia do spełnienia i wtedy, jakkolwiek sprawa ta będzie mu nie na rękę, przyjmie ją w ten sam sposób, w jaki zwykle daje jałmużnę. Te to struny

litości Julian, zostawszy po raz pierwszy w życiu dyplomata, starał się dotknąć. Opowiedział więc to wszystko, co mógł opowiedzieć, o wizycie onegdajszej Gorskiego, ale utaił słowo honoru, które dał fałszywie, a które mu ciążyło śmiertelnie. Mówił, w jaki sposób uspokoił tego szaleńca, jak go odprowadził na dworzec kolei, oraz spotkanie dwóch rywali w dwadzieścia cztery godziny później. Położył nacisk na zachowanie się Alby owego wieczoru, wyraził się z oburzeniem o listach bezimiennych, pisanych ze zbrodniczością niesłychaną do córki i do dawnego kochanka pani Steno. Wspomniawszy wreszcie o tajemniczej kłótni, nagle wybuchłej między Gorskim i Chapronem, tak skończył:

— Zgodziłem się więc mu sekundować, gdyż sądzę, że moim obowiązkiem bezwarunkowo jest uczynić wszystko, by pojedynek nie przyszedł do skutku... Pomyśl pan tylko. Jeżeli jeden z nich zostanie zabity, lub choćby tylko ranny, to w jaki sposób ukryć rzecz całą w tym plotkarskim Rzymie? A jakie komentarze ludzie będą snuli!... Toć przecie widocznem jest, że ci dwaj młodzi ludzie pokłócili się z sobą tylko z powodu pani Steno i Maitlanda. Jak się to stało — nie wiem. Ale opinia nie będzie o tem wątpiła. I znowu ukażą się nowe listy bezimienne, pisane do Alby, do pani Gorskiej, do pani Maitland.. O mężczyzn mi wcale nie idzie..

Dwóch na trzech zasługuje na to, co ich spotyka. Ale co się stanie z temi niewinnemi istotami?...

— To prawda — odrzekł Montfanon — i właśnie cała ta historia cudzołóstwa staje się przez to ohydną. Dotknie ona zbyt wiele osób po za winnymi. A cóż! wczoraj uważałeś to towarzystwo za tak przyjemne, tak ucywilizowane, tak interesujące?... Ale na co się zdadzą wyrzuty. Rozumiem, przyszedłeś mi się poradzić co do tego sekundowania. Szaleństwa mej młodości mają ten dobry przynajmniej skutek, że mogę ci dać taką radę... Otóż trzeba zachować się poprawnie — rozumiesz mnie? — w najdrobniejszym nawet szczególe i być spokojnym — oto wszystko, czego trzeba dla urządzenia tego rodzaju sprawy... O! będziesz miał niemało kłopotów. Gorski w tej chwili to prosty szaleniec. Znam ja polaków. Mają oni straszne wady, ale są waleczni, i to jak waleczni! A ten mały Chapron, znam go także. Jest to jedna z tych natur łagodnych, ale upartych, które pozwolą sobie dziurę wywiercić w pierś i nie pisną ani słówka, nie cofną się. A miłość własna, co? Ma dziecko to, w żyłach dobrą krew żołnierską, pomimo, że jest mieszane. Cóż to wreszcie znaczy? Pierwszy z trzech Dumasów, generał mulat, czyż nie był bohaterem?... Tak, tak! ciężka cię czeka pańszczyzna, kochany Dorsenne!... Trzeba ci jeszcze jednego sekundanta, któryby żywił takie same, jak ty zamiary i wybac, żeby miał więcej doświadczenia...



— A więc, margrabio — zawołał Julian głosem drżącym z niepokoju — jest jedna tylko osoba w Rzymie, szanowana i czczona przez wszystkich, nawet przez Gorskigo, której interwencya w tej delikatnej i niebezpiecznej sprawie może mieć znaczenie, jedyna osoba, która może podyktować Chapronowi warunki, wyjaśnić wszystko... Jedyna osoba, mająca powagę bohatera, przed którą wszyscy umilkną, gdy będzie mówiła o honorze, a tą osobą, to pan...

— Ja! — zawołał — ja! może chcesz, żebym ja był...

— Jednym z sekundantów Chaprona -- dokończył Dorsenne. — Tak, przyznaję się, przychodzę tu od niego i w tym celu. Nie mów mi pan tego, o czem wiem, że z pańskim położeniem tego rodzaju sprawy nie kwadrują. Ale ponieważ ta sprawa jest taką, więc przyszła mi myśl uciec się do pana. Nie mów mi pan także, że twoje zasady religijne są przeciwne pojedyńkom. Właśnie dla tego, żeby pojedynek się nie odbył, chcę pana prosić, byś wziął w tem udział... Nie można pozwolić, by to spotkanie przyszło do skutku. Przyśięgam panu, że tu idzie o spokój wielu osób niewinnych...

I mówił w ten sposób dalej, rozwijając całą subtelność swej inteligencyi i całą zdolność słowa, jaką posiadał. Widział na twarzy starego rębacza, który się zmienił w fanatycznego katolika i maniaka, różne wrażenia sprzeczne ze sobą.

Nakoniec Montfanon położył uroczyście swą rękę na ramieniu towarzysza i ściskając je silnie, zawołał:

— Słuchajno, Dorsenne, nie mów mi już nic więcej. Zgadza się na to, czego odemnie żądasz, ale pod dwoma warunkami. Pierwszy, żeby pan Chapron stanowczo przyjął to, co ja postanowię. Powtóre, że cofniesz się z tego wraz ze mną, jeżeli ci panowie będą udawali zuchów... Chcę ci pomóc w wypełnieniu obowiązku miłosierdzia, ale nic więcej, rozumiesz mnie? Nic więcej... Wprzód, nim przyprowadzisz do mnie pana Chaprona, powtórzysz mu dosłownie moje żądanie...

— Dobrze, dosłownie—odrzekł powieściopisarz i dodał—oczekuje on na rezultat moich zabiegów...

— A więc wracam do Rzymu zaraz z tobą... Sekundanci Gorskiego musieli już być u niego, a gdy się ma zamiar ułożyć pokojowo sprawę, nie należy jej odwłóczyć. Trzeba jednym zamachem położyć koniec refleksyom i napadom miłości własnej... Nie pójdę na procesyę, ale niedopuszczyć do złego czynu jest także dobrem, jest rodzajem modlitwy do Boga...

— Pozwól mi uścisnąć twą rękę, mój wielki przyjacielu — zawołał Dorsenne — teraz dopiero rozumiem, co jest prawdziwie dzielny człowiek.

Gdy w trzy kwadranse później powieściopisarz wysiadł przed domem na ulicy Leopardiego, odprowadziwszy wprzód Montfanona, uczuł przed

sobą taką podporę moralną, że był prawie wesoły. Zastał Florentyna w saloniku dla palących, zajętego porządkowaniem papierów z flegmą systematyczną, jaką zdradzały jego czarne oczy poruszające się wolno na tle brunatnej nieco twarzy.

— Przyjął!

Było to pierwsze słowo, jakie obaj wypowiedzieli prawie jednogłośnie, i Dorsenne powtórzył warunki margrabiego.

— Polegam zupełnie na was obu — odrzekł Florentyn. Wcale nie pragnę krwi hrabiego Gorskiego... Nie trzeba tylko, żeby ten pan obwinił wnuka pułkownika Chapron o tchórzostwo... Pod tym względem liczę na krewnego generała Dorsenne'a i na starego żołnierza...

— To się samo przez się rozumie — odrzekł Juliusz, a gdy w tej chwili Florentyn podał mu jakiś list, zapytał: co to takiego?

— Jest to liścik, który do pana napisał na tym samym stole, przed pół godziną, baron Hafner... Ale muszę ci objaśnić wszystko. Są nowe wiadomości. Byli u mnie sekundanci mego przeciwnika. Jednym z nich jest baron, drugim Ardea...

— Baron Hafner!... — zawołał Dorsenne. — A to szczególnie wybór!...

Urwał — spojrzeli na siebie z Florentynem. Obaj się zrozumieli doskonale. Bolesław nie mógł znaleźć lepszego środka dla uwiadomienia pani Steno, jakiego postępowania postanowił się chwycić dla wykonania swej zemsty. Z drugiej strony

znane poświęcenie barona dla hrabiny, dawało jedną szansę więcej, że sprawa na drodze pokojowej będzie załatwiona, lubo fanatyzm Montfana nadawał spotkaniu się jego z ojcem Fanny pewien rys komiczny, rzucony nagle na tło gwałtownego dramatu zazdrości Gorskiego. To też Juliusz rzekł uśmiechając się:

— Zobaczysz, jaką minę zrobi Montfanon, gdy mu wymienimy nazwiska sekundantów strony przeciwnej. Wiesz przecie, że jest to człowiek z piętnastego wieku, nowy Montluc, nowy książę Alba, nowy Filip II. Nawet niewiem kogo on bardziej nienawidzi, czy wolnomularza, czy literata, czy protestanta, żyda lub Niemca. A ponieważ ten niewyraźny i wykrętny Hafner jest tem wszystkim potrochu, więc go nienawidzi szczerze... nie licząc już tego, że podejrywa chwila mi o tajne działanie na rzecz potrójnego przy mierza!... Ale zobaczymy list!...

Otworzył i przejrzał go jednym rzutem oka.

— Przebiegłość zawsze się na coś przyda i prawie równa się dobroci. Czuje on także, że sprawę twoją trzeba skończyć bądź co bądź dla uniknięcia plotek. Czekać na nas będzie u siebie między szóstą a siódmą, mnie i twego drugiego sekundanta... Chodźmy więc, czas nagli... Musisz ze mną pojechać do margrabięgo, by go oficjalnie prosić. Zacznij od tego. Trzeba, żebyś miał jego przyrzeczenie, wprzód nim zostanie wymie-

nione nazwisko Hafnera. Znam go dobrze. Nie cofnie słowa...

Obaj przyjaciele zastali Montfanona w gabinecie, obszernym pokoju zastawionym książkami i z którego widok był na tę obszerną panoramę forum, wspaniałszą teraz w powietrzu czystem popołudnia, gdy cień od kolumn i łuków zaczął się wydłużać na bruku prawie białym. Ten wielki pokój o posadzce w tafle, malowany na czerwono, jedynym zbytkiem świecił, to jest wielkim dywanem pod biurkiem, zarzuconem papierami — zapewne ułamkami wielkiego dzieła o stosunkach szlachty francuskiej z Kościołem. Prosty krucyfiks stał na biurku. Na ścianie wisiały dwa portrety, staloryty monsignora Piusa, świętobliwego biskupa w Poitiers, i generała Sonis, stojącego, z nogą drewnianą. Te staloryty wisiały obok dość pięknego płótna, przedstawiającego Św. Franciszka, patrona gospodarza. Były to jedyne ozdoby artystyczne tego skromnego siedliska. Szlachcic miał często:

— Oswobodziłem się od tyranii rzeczy...

Ale z tem tłem cudnem wspaniałych ruin i tem kawałkiem nieba, to mieszkanie tak proste było schronieniem nieporównanem, gdzie szlachcic kończył w rozmyślaniach i wyrzeczeniu się wszystkiego, życie niegdyś pełne burz i światowości. Pustelnik tej tebaidy powstał na powitanie swych gości i wskazując Chapronowi na książkę roztwartą, leżącą na stole, rzekł:

— Zajmuję się panem. Jest to książka Châteauevillarsa o pojedynkach, to kodeks, choć niezupełny. Jednakże zalecam ją panu, jeżeli kiedykolwiek będziesz musiał spełniać takie, jak my obowiązki.

Mówiąc to, wskazał na Dorsenne'a i na siebie z ruchem niezmiernie przyjaznym.

— Zdaje się — ciągnął dalej — że pan jesteś trochę nadto żywy... No! no! nie tłumacz się pan. Mając dwadzieścia jeden lat, rzuciłem talerzem w głowę pewnego zucha, który kpił sobie z pana hrabiego Chamborda w towarzystwie jakobinów rozradowanych, przy tabldocie na prowincyi. O! widzisz pan, to pamiątka...

Podniósł siwiejące włosy i ukazał bliznę.

— Ten jegomość był dawnym oficerem dragonów i zaproponował szablę. Przyjąłem i o mało nie zostałem na placu, ale on stracił dwa palce... No, spodziewam się, że tym razem tak źle nie będzie... Cóż? Dorsenne, powiedziałaś panu me warunki?...

— Tak! i ja mu odrzekłem, że nie mogę mego honoru powierzyć w lepsze ręce — odezwał się Florentyn.

— No! no! — zawołał Montfanon, z gięstem zadowolenia — bez próżnych słów. To dobrze... a zresztą, wiem ja co o panu trzymać, od chwili gdyśmy ze sobą rozmawiali u Św. Ludwika. Czeisz pan umarłych. Dla mnie, co wierzę, że człowiek wart o tyle o ile ma przeszłość za sobą, to wy-

starca. I dlatego jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, że mogę panu być użytecznym. A teraz powtórz mi pan jasno i ściśle historię, którą opowiedziałeś Dorsenne'owi...

Skoro Florentyn opowiedział w kilku słowach, tak jak się był umówił z Gorskim, rozmowę ich i swe uniesienie, unikając starannie szczegółów, do których imię jego szwagra było wmieszane, Montfanon rzekł poufale:

— Do licha, sprawa przedstawia się źle, bardzo źle... Widzi pan, sekundant to jest jak spowiednik... Miałeś pan sprzeczkę na ulicy z Gorskim, ale o co?... Nie możesz pan odpowiedzieć? Cóż on takiego powiedział panu, że aż uderzyć go chciałeś?... To jest klucz pozycyi, główny klucz...

— Nie mogę odpowiedzieć—rzekł Florentyn.

— W takim razie — odezwał się margrabia po krótkim milczeniu — z całej tej sprawy pozostaje tylko kwestya pańskiego giestu, jakby to powiedzieć? niewykonanego, a raczej niedokończonego... To jest drugi klucz pozycyi... Czy pan nie miałeś żadnych szczególnych powodów niechęci do pana Gorskiego?

— Żadnych.

— A on względem pana?

— Także żadnych.

— Sprawa przedstawia się lepiej—rzekł Montfanon, umilkł znowu i począł mówić po chwili na pół do siebie:

— Hrabia Gorski uważa się za obrażonego?... Obrażonego? ale czy tu była obraza?... Musimy się nad tem zastanowić... Czynna zniewaga, lub groźba zniewagi czynnej nie pozwala na żadne załagodzenie sprawy... ale ruch niewyraźny, natychmiast powstrzymany i nieskończony... Proszę mi nie przerywać—zawołał—staram się rzecz wyjaśnić, żeby dojść do jakiegoś rozwiązania... Musimy z żalem dać możność innej satysfakcyi, jeżeli jej pan Gorski zażąda... Ale on nie będzie żądał. Cała kwestya polega na tem, jakich sobie wybrał sekundantów... Kogoż on myśli wziąć?...

— Przed pół godziną byli oni u mnie — rzekł Florentyn—jednym jest ksiązę Ardea...

— Jest to szlachcic—odparł Montfanon—a więc z nim będzie można się porozumieć. Kontent nawet jestem z tego, że go zobaczę. Powiem mu, co myślę o tej licytacji publicznej jego pałacu, do czego nigdy nie powinien był dopuścić... No, a drugi?

— Drugi? — wtrącił się Dorsenne—nigdy pan temu nie uwierzysz... Przysięgam panu, że nie wiedziałem jeszcze o tem, gdy pana szukał w katakumbach... Jest to... jest to baron Hafner..

— Baron Hafner!—zawołał Montfanon—a więc Bolesław Gorski, potomek Gorskiego, tego wielkiego Łukasza Gorskiego, wojewody poznańskiego i biskupa kujawskiego, poprosił na sekundanta pana Justusa Hafnera, złodzieja, oszusta, który



miął proces tak ohydny!... Nie, Dorsenne, nie mów tego, to jest niemożliwe...

Po chwili, z miną wojowniczą dodał:

— Odrzucimy go, z powodu niehonorowości. Sam to powiem Bolesławowi. Zabawimy się wybornie, zobaczycie...

— Nie zrobisz pan tego — zawołał żywo Dorsenne — najprzód w kwestyi honoru urzędowego, decyduje samo tylko prawo, wszak tak? Hafner był uwolniony z pod oskarżenia, a jego przeciwnicy skazani na zapłacenie kosztów. Sames mi pan to mówił przed paru dniami... i widocznie zapomniałeś o rozmowie naszej...

— Przepraszam—przerwał Florentyn.—Pan de Montfanon, przyjmując obowiązki świadka w moim pojedynku, zrobił mi wielki zaszczyt, którego nigdy nie zapomnę... Gdyby z tego powodu miał doznać choćby najmniejszej przykrości, gotów jestem zwolnić go ze słowa...

— Nie—odrzekł margrabia po pewnym namyśle—nie cofam mego słowa...

Ilećroć nie szło o którekolwiek z jego uprzedzeń, był tak szlachetny, że najlżejsza nawet delikatność budziła w nim odgłos. Podał rękę Chaponowi i mówił tonem zdradzającym powstrzymane rozdrażnienie:

— W rezultacie nie nam do tego, że pan Gorski oddał swój honor w ręce człowieka, któremu nawet kłaniać się nie powinien... Zechcesz pan zatem przesłać moje i Dorsenne'a nazwisko tym

panom, a my, według przepisów, będziemy na nich czekali. Oni powinni do nas przyjść jako mandataryusze obrażonego...

— Naznaczyli już zejście się na dziś wieczór — odrzekł Chapron.

— Jakto, naznaczyli? Komuż to takiemu? i z czyją wiedzą? — zawołał Montfanon, widocznie rozgniewany — czy z pańską?... nam?... Nie lubię tego, tej poufałości, gdy idzie o rzeczy poważne! Przepisy co do tego są wyraźne... Jak tylko raz zanieśli wyzwanie, na które pan, panie Chapron, mogłeś odpowiedzieć tak, lub nie, panowie ci powinni byli zaraz się wynieść... To nie jest pańską winą, ale Ardei, który pozwolił temu szachrajowi fałszywych dywidend, zawiązywać intryki giełdziarskie... Ale my to naprawimy, naprowadzimy na drogę należytą... Cóż to za zejście się?...

— Odczytam panu list, jaki baron zostawił do mnie u Florentyna — rzekł Dorsenne i w rzeczy samej przeczytał list bardzo grzeczny, w którym baron tłumaczył się z tego, że wybrał własny dom na miejsce zejścia się dla czterech świadków.

— Przecież nie można pozostawić bez odpowiedzi listu tak grzecznego — dodał, gdy skończył czytanie.

— Znadto grzecznego, za dużo jest tych wyrażzeń „drogi mistrzu“ — odparł szorstko Montfanon i zwracając się do Florentyna, zawołał:

— Siadaj pan tutaj i donieś im nasze nazwiska i nasze adresy, dodając, że jesteśmy na ich rozkazy. Nie wspominaj pan nie o tem, że postąpili nie jak należy, byle tylko drugi raz im się nie podobnego nie przytrafiło!... Ty zaś, Dorsenne, ponieważ ci idzie o to, żeby tego pana nie zrazić, możesz się do niego zgłosić, ale osobiście, rozumiesz mnie?... i powiedziec mu, że pan Chapron, tu obecny, wybrał na pierwszego sekundanta starego hałaburdę, pojedynkowicza, jak chcesz, tak sobie nazywaj mnie, ale który będzie się ściśle trzymał form. A więc muszą się najprzód do nas zgłosić, do nas obydwóch, w celu oznaczenia zejścia się urzędowego...

— Cóżem panu powiedział?—zapytał Dorsenne Florentyna, gdy schodzili ze schodów Montfanona—zupełnie się zmienił, gdyś mu wymienił barona... Rozmowa między nimi będzie bardzo ciekawa. Byle tylko nie popsuł wszystkiego. Słowo daję, gdybym był wiedział, że Gorski wybierze Hafnera, nie byłbym ci wspominał o starym szuanie, jak go nazywam.

— Ja zaś, gdyby mi nawet pan de Montfanon kazał się strzelać o pięć kroków — zawołał Chapron, śmiejąc się — to jeszczebym ci podziękował za to, żeś mnie z nim zapoznał. Jest to człowiek ulany z jednej sztuki, jak mój ojciec, jak Maitland. Uwielbiam takich ludzi...

— Widać, że niepodobieństwem jest posiadanie rozumu i serca razem — rzekł do siebie Julian,

zbliżając się do pałacu Savorelli, gdzie mieszkał Hafner, myśląc z jednej strony o gniewie margrabiego, z drugiej o złudzeniach co do tego samoluba Maitlanda, jakie w ostatnich słowach swoich wygłosił Florentyn. Obudziły się znów w nim wszystkie obawy dzisiejsze i w stopniu o wiele silniejszym, gdyż znał drażliwość Montfanona na pewnych punktach, a jeden z tych punktów miał być do żywego dotknięty, wskutek przymusowego stosunku ze świadkami Gorskiego.

— Liczę teraz tylko na samego Hafnera—myślał sobie — i jeżeli ten lis niebezpieczny przyjął tę misję, zupełnie przeciwną jego wyobrażeniom, położeniu, przyzwyczajeniom, a nawet wiekowi, to dlatego, że musi być w porozumieniu ze swym przyszłym zięciem i chce sprawę załagodzić. A jeżeli małżeństwo w tej chwili zostało postanowione?... Mam nadzieję, że nie. Margrabia byłby tak wściekły, że żądałby pojedynku na odległość chustki!..

Dorsenne niezawsze był tak przenikliwy. Los, który niekiedy lubuje się w nagromadzeniu wypadków, chciał, żeby Ardea, w chwili, w której zastanawiał się z Gorskim nad wyborem drugiego sekundanta, znudzony zobowiązaniem, jakie na siebie przyjął, otrzymał liścik od pani Steno, zawierający tylko te słowa: „oświadczyłam się w imieniu pańskim i zostałam przyjęty. Niechże cię teraz pierwsza uścisknę, mój Simpaticone“... Czytając te słowa, przysłała mu do głowy myśl

gieniałna: załagodzić przy pomocy swego przyszłego teścia ten spór, który uważał za głupi, niepotrzebny i niebezpieczny. Pośpiech, z jakim Gorski zgodził się na Hafnera, pochodził ztąd, jak to podejrywał Dorsenne i Florentyn, że pragnął, by jego zdradziecka kochanka dowiedziała się o jego postępowaniu. Co do barona, zgodził się na wszystko i przez szczególny zbieg okoliczności, rzekł do Peppina Ardea to samo prawie, co Montfanon powiedział do Dorsenne'a:

— Spiszemy z góry protokół zgody, a jeżeli sprawa nie da się ułożyć, cofniemy się...

W tych granicach zamknęła się ta pamiętna rozmowa, godna zaiste kombinacji małżeństwa biednej Fanny. Mniej szło teraz o samo małżeństwo, niż o przysługę dla miłostek podwólcroc cudzołożnych wielkiej damy, prowadzącej ten handel małżeński! Czyż potrzeba dodawać, że ani Ardea, ani jego przyszły teść nie zrobili najmniejszej aluzji do tego, co się kryło w głębi tej sprawy? Może, w innym czasie, głęboki rozsądek, wrodzony baronowi, i obawa nieskompromitowania się—byłyby mu nakazały niebrać udziału w awanturze ordynaryjnej kochanka oszukanego i rozdrażnionego. Ale radość, że córka zostanie księżniczką rzymską, zawróciła mu poprostu głowę. Niemniej przeto rzekł do Ardei:

-- Pani Steno nie powinna o niczem wiedzieć, przynajmniej w tej chwili. Z pewnością uwiado-

miłaby o wszystkim panią Gorską, a Bóg jeden wie, co by ta zrobiła...

A przytem obaj ci panowie czuli to doskonale, że trzeba strzedz się, by Maitland, pośrednio lub bezpośrednio, także o niczem się nie dowiedział. Przed wieczorem złożyli swą wizytę Florentynowi, poczem wysyłali telegram za telegramem, donosząc o zaręczynach, z których piękna Fanny tym była szczęśliwszą, że kardynał Guèrillot zgodził się na dopełnienie na niej ceremonii chrztu. Sam baron był niezmiernie zadowolony. Kochał on swą córkę w ten sposób, jak hodowca kocha konia ulubionego, który wygrał wielką nagrodę. Tęgo rodzaju uczucie wymaga rozgłosu. To też gdy Dorsenne zjawił się z listem Chaprona i poleceniem Montfanona, został przyjęty serdecznie i uprzejmie, co zdradzało, że intryga małżeńska, o której mówiła mu Alba, przysła do skutku.

— Zgadząmy się na wszystko, co twój przyjaciel, kochany mistrzu, sobie życzy... Wszak tak, Peppino? — rzekł baron, siadając przy biurku. — Mnie pan sam podyktujesz list, panie Dorsenne? Nie... zobacz pan, czy to będzie dobrze?... Zrozumiesz pan zaraz, w jakich zamiarach przyjęliśmy tę misję, gdy się dowiesz, że Fanny jest narzeczoną księcia tu obecnego... Stało się to przed trzema godzinami... Pan pierwszy o tem się dowiadujesz, prawda, Peppino?...

Wysłali już z tą wiadomością przeszło dwieście telegramów.

— Przybywaj więc pan, kiedy chcesz, z margrabią. Prosiłbym pana tylko, ze względu na okoliczności, żeby widzenie odbyło się tu i jeżeli to jest możliwe, między godziną szóstą a siódmą, albo między dziewiątą a dziesiątą, bo inaczej musielibyśmy się wyrzec obiadu w kole rodzinnem...

— Niech będzie godzina dziewiąta — odrzekł Dorsenne. — Pan de Montfanon jest formalistą. Będzie chciał dać panu odpowiedź piśmienną.

— Księżę Ardea zaślubia pannę Hafner!

Okrzyk ten, który wywołała wiadomość Juliana przyniesiona margrabiemu, był tak pełen boleści, że młody człowiek powstrzymał uśmiech. Uważał za obowiązek uprzedzić o tem gniewliwego swego przyjaciela, z obawy, żeby baron nie napomknął w czasie rozmowy o tem wielkiem zdarzeniu i żeby margrabia nie wybuchnął.

— Czyż nie mówiłem ci, że katolicyzm tej dziewczyny jest prostą komedią! Mówiłem o tem monsignorowi Guerillot! Oto, do czego dążyła od kilku lat ta wytrawna hipokrytka. Do pałacu Castagna. Wejdzie tam jako pani!... przyniesie z sobą ohydę tego złota złupionego, na którem są plamy krwi!... Niech mi o tem nie mówi, ostrzeż go, gdyż nie zaręczam za siebie... Sekundant Gorskiego, teść Ardei!... toć to dopiero tryumf dla tego złodzieja, który powinien w kajdanach chodzić, gdyby sędziowie byli na

świecie!... Cóż do kroćset!... czyż książęta rzymscy, na których herbie niema plam, ci Orsini, Colonnowie, Odescalchi, BORGESOWIE, Rospigliosi nie przeszkodzą tej ohydzie?... Na szczęście szlachectwo jest podobnem do miłości; kto kupuje te święte rzeczy — poniża je, i to, co nabywają, jest tylko błotem... Księżna Ardea!... ta istota!... a! co za wstyd!... No, ale myślmy o naszych zobowiązaniach dla Chaprona. Chłopiec ten podoba mi się; najprzód dla tego, że prawdopodobnie bije się za kogoś innego, przez poświęcenie, którego nie rozumiem. Bądź co bądź, jest to poświęcenie i po rycersku!... Chciał on zapewne przeszkodzić temu nieszczęśliwemu Gorskiemu, żeby nie wywołał skandalu i tym sposobem nie zwrócił uwagi jego siostry... A przytem, jakim mu to już powiedział, szanuje on zmarłych... Do kroćset! straciłem głowę, tak mnie ta wiadomość wstrząsnęła... Księżna Ardea!... No, napisz, że będziemy u pana Hafnera o godzinie dziewiątej. Nie chcę widzieć tych ludzi u siebie. U ciebie, nie byłoby znów właściwem, jesteś za młody. A wolę iść do teścia, niż do zięcia. Ten łotr spełnia swe rzemiosło, kupując to, co kupuje za swe skradzione miliony, ale ten drugi!... Gdyby nawet jego pradziadem był Sykstus piąty, Juliusz II, Pius V, Hildebrand, byłby ich tak samo sprzedał!... A przecież nie może on się ludzi!... słyszał zapewne o procesie tego człowieka, znanem mu jest pochodzenie tych milionów! Musieli prze-



cież mówić o swej rodzinie, o swem życiu!.. I to wszystko nie wzbudziło w nim wstępu do złota tego awanturnika!.. Nasze nazwisko! ależ nazwisko to ja sam, to moja cześć w ustach i myśli innych! Jakżem szczęśliwy, Dorsenne, żem skończył pięćdziesiąt dwa lata przeszłego miesiąca. Umrę wprzód, nim zobaczę to, co wy zobaczycie, upadek wszelkiej arystokracji i wszelkiej królewskości. Żeby przynajmniej skonały w krwi, ale one nie padają, lecz kładą się na błocie, co jest najsmutniejszym... Ale co to znaczy? Monarchia, szlachta i kościół są wieczne. Ludy, które tej prawdy nie uznają, umrą i koniec... No, pisz list, a ja go podpiszę. Każ go zanieść i zjesz ze mną obiad. Trzeba iść do tej jaskini z zapasem argumentów, któreby zapobiegły pojedynkowi, ale współcześnie zachowały rolę dodatnią dla naszego klienta... Trzeba tę rzecz urządzić jak należy... Podoba on mi się; wynagradza mi za innych...

Rozdrażnienie to, zaczynające niepokoić Dorsenne'a, zwiększyło się jeszcze podczas obiadu, tym więcej, że rozprawiając o warunkach całej sprawy, margrabia mimowoli przypominał sobie swą młodość burzliwą. Trudno było uwierzyć, że to jest ten sam człowiek, który przed kilku godzinami recytował hymny nabożne w katakumbach. Zbudził się w nim stary pan feudalny i zmienił go zupełnie. Blask oczów i czerwonosć na twarzy zdradzała, że ta awantura pojedynko-

wa, do której wmieszał się z dobrą wiarą, przekonany, że spełnia czyn miłosierdzia, upajać go poczęła. Ocknął się w tym człowieku wiary stary rębacz, chciwy bójki. Niegdyś i w nim wrzały namiętności, kochał się we wzruszeniach, jakie daje niebezpieczeństwo i szabla naga, tak samo jak dziś kochał swe idee, swój sztandar i w obu tych uczuciach okazywał gorący zapał. Nie szło mu już teraz o oszczędzenie podejrzeń trzem biednym kobietom, ani też o uczynek dobry. Widział znów przed oczami pamięci swych dawnych przyjaciół i ich szermierskie talenty; ten strzelał wybornie, inny miał zwyczaj atakować uderzeniami prostemi, jeszcze trzeci odznaczał się krwią zimną, a wśród tych opowiadań wojowniczych co chwila powracało mu na usta pytanie:

— Ale do dyabła, dla czego Gorski wziął tego Hafnera za sekundanta? To jest coś poniżającego ja tego nie pojmuję...

Gdy nakoniec siedli do powozu w zamiarze udania się na schadzkę, gdy usłyszał jak Dorsenne powiedział woźnicy adres: Pałac Savorelli! — zawołał, podnosząc rękę i ściskając pięście:

— To już przechodzi wszystko! Ten awanturnik mieszka w domu Pretendenta, w domu Stuartów!...

I powtarzał ciągle:

— W domu Stuarta!...

Odtąd milczał, a to milczenie w oczach powieściopisarza było o wiele niebezpiecznijszem niż

zapał poprzedni. Wprowadzony do salonu dawnego handlarza starzyzny, zmienionego w wielkiego pana, do jednego z salonów raczej, gdyż mieszkanie posiadało ich pięć, Montfanon zaczął się wszystkiemu przypatrywać, z miną tak kwaśną i tak groźną, że Dorsenne, pomimo niepokoju, nie mógł się wstrzymać od śmiechu i od dokuczania mu słowami:

— Przyznasz pan, że jest tu mnóstwo pięknych rzeczy... Te dwa obrazy Moroniego naprzykład?

— Nie są na swem miejscu — odrzekł Montfanon.— Tak, są to dwa pyszne portrety przodków, a ten pan przecież nie ma przodków... W tej witrynie jest broń, a on nigdy nie miał w ręku szabli... Albo to. Obicie przedstawiające cud rozmnożenia chleba... Nie, to za wiele... Nie uwierzysz, Dorsenne, jak mi przykro znajdować się tutaj. Myślę nad tem, ile to pracy ludzkiej, ile dusz ludzkich leży w tych przedmiotach! Czemże on zapłacił cały ten zbiór, kto jest ten, co go posiada? Przymknij oczy i pomyśl o Schroederze i o innych, o których nikt nie wie, o izbach, w których nie ma ani sprzętów, ani drzewa, ani chleba. Potem otwórz oczy i patrz...

— Mój dzielny przyjacielu — odrzekł powieściopisarz — błagam cię, przypomnij sobie naszą rozmowę w katakumbach, pamiętaj o trzech kobietach, w imieniu których prosiłem cię o sekundowanie Florentynowil...

— Dziękuję ci, żeś mi to przypomniał — rzekł Montfanon i przetarł ręką czoło — przyrzekam, że będę spokojny...

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy się drzwi otworzyły i ukazał się inny salon, oświetlony także a sądząc z gwaru rozmowy przepelniony gośćmi (zapewne są tam pani Steno i Alba — pomyślał sobie Julian) i baron wszedł w towarzystwie Ardei. Zaznajamiając tych panów ze sobą, powieściopisarz uderzony był kontrastem, zachodzącym między trzema jego towarzyszami. Hafner i Ardea we fraku wieczornym, z kwiatkami w dziurkach, mieli wyraz twarzy otwarty i szczęśliwy dwóch mieszczuchów, których sumienie wolne jest od wszelkich udręczeń. Zwiędła zwykle twarz dawnego giełdjarza była teraz ożywiona, wejrzenie zawsze surowe miało w sobie pewną czułość. Co do księcia, to zawsze ten sam wyraz bez troski dziecka zepsutego oświecał jego twarz jowialną. Ale za to bohater z pod Patay, w butach dużych, z szerokimi barkami, obciśniętymi w surdut czarny i nieco wytarty, miał twarz tak pomarszczoną, jak gdyby poorały ją zgryzoty. Intendent niewierny, zmuszony do zdawania rachunków swym panom wspaniałomyślnym i ufającym, niema z pewnością wyglądu bardziej smutnego i zakłopotanego. A przytem jedną rękę tak szybko i szorstko założył na tył, że żaden z nowoprzybyłych nie śmiał swej mu podać. To postępowanie bezwątpienia nie było takim, ja-

kiego się spodziewał ojciec i narzeczony Fanny; to też gdy czterej panowie usiedli, zapanowało milczenie, które pierwszy baron przerwał i głosem spokojnym, miarowym, głosem mierzącym słowa, jak waga lichwiarza mierzy sztuki złota, dopatrując się, czy nie brak w nich choćby tysiężnej części, rzekł:

— Panowie, sądzę, że zadośćuczynię woli panów, ustanawiając najprzód punkt, z którego mamy patrzeć na rzeczy... Jesteśmy tu, jak wiadomo, na to, by pogodzić dwóch ludzi, dwóch *gentlemanów*, których znamy, szanujemy, a nawet po-  
wiem, kochamy jednakowo...

Mówiąc to, zwracał się kolejno do każdego ze swych trzech gości, z których każdy skłonił głowę, oprócz margrabiego. Hafner zatrzymał się na chwilę i spojrzął na szlachcica wzrokiem przywykłym do zaglądania aż do dna mózgu, by odgadnąć jakiego jest on zdania. Pomyślał sobie, że pierwszy świadek Chaprona był człowiekiem niezbyt towarzyskim i mówił dalej:

— Tak postawiwszy kwestyę, chcę panów prosić, byście odczytali to, co tu jest napisane.

Wyjął z kieszeni kartkę złożoną we czworo, osadził na końcu nosa swe sławne binokle złote i rzekł:

— Jest tego niewiele, jest to rodzaj dyrektywy, jak mawiał pan Moltke, który umiał kierować operacyami, projekt protokołu, który oczywiście może uleść zmianie po dyskusyi... Jest to

nakoniec linia wytyczna, drogowaskaz, byśmy nie błądzili...

— Przepraszam pana — przerwał Montfanon, który na przypomnienie sławnego feldmarszałka jeszcze silniej zmarszczył brwi i wstrzymując ręką czytanie, co tak zdziwiło Hafnera, że aż binokle mu na stół przy którym siedział, spadły, odezwał się: Żałuję bardzo, że muszę panu powiedzieć, iż my, to jest pan Dorsenne i ja (tu zwrócił się do Dorsenne'a, który zrobił ruch dwuznaczny człowieka bardzo zaniepokojonego) nie możemy przystać na pański punkt widzenia... Pan twierdzisz, że jesteśmy tu na to, by spełnić akt pojednania... Być może, jest to nawet pożądaniem... ale ja nie o tem nie wiem i pozwól sobie także powiedzieć, że i pan o tem nie wie. Jestem tu, pan Dorsenne i ja (znów się zwrócił do Dorsenne'a, który znowu zrobił swój ruch dwuznaczny) dla wysłuchania zarzutów, jakie hrabia Gorski powierzył panom do wyłuszczenia mandataryuszom Florentyna Chapron. Oznaczcie panowie także satysfakcyę, jakiej się domagać chcecie w imieniu swego klienta, a my ją rozpatrzymy. Protokóły potem dopiero spisywać będziemy, jeżeli w ogólności spisywać je mamy i powtarzam: ani panowie, ani my nie wiemy, jaki będzie rezultat tej rozmowy i nie powinniśmy o nim wiedzieć, przed ustaleniem faktów...

— Jest tu nieporozumienie — zawołał Ardea, którego słowa Montfanona nieco zirytowały. Nie rozumiał on, podobnie jak Hafner, charakteru margrabiego, pełnego prostoty i dodał:

— Brałem udział w wielu pojedynkach, cztery razy jako sekundant, a raz jako bijący się — i widziałem, że zawsze bez żadnych sporów postępowano tak, jak proponuje baron Hafner. Jest to zresztą najlepszy środek do ustalenia, jak to pan raczyłeś nazwać, faktów...

— Nie wiedziałem o liczbie pańskich pojedynków — odparł Montfanon, rozdrażniony jeszcze bardziej wmieszeniem się do dyskusji przyszłego zięcia Hafnera — ale ponieważ raczyłeś nas pan o tem uwiadomić, więc pozwolę sobie powiedzieć panu, że pojedynkowałem się siedem razy, a sekundowałem około czternastu razy.. Co prawda, działo się to w czasie, gdy głową pańskiej rodziny był ojciec pański, jeżeli mnie pamięć nie myli, nieboszczyk ksiązę Urban, którego miałem zaszczyt poznać przy Jego Świątobliwości, gdy służyłem w żuawach. Była to piękna postać szlachezca rzymskiego, który dumnie nosił swe nazwisko... Mówię to dlatego, żeby panu dowieść, że mam pewną kompetencyę w kwestyach pojedynkowych... A zatem, myśmy zawsze sądzili, że sekundanci są od tego, by ułagodzili rzeczy możliwe do ułagodzenia, ale także, by ułożyli jak należy sprawy niedające się ułago-

dzieć... Rozpatrzmy więc kwestyę, jesteście tu tylko od tego...

— Czy panowie są tegoż samego zdania? — spytał głosem słodkim Hafner, porozumiewszy się wprzódki kiwnięciem głowy z Dorsennem i Ardeą. Nie upieram się wcale przy mojem zdaniu—mówił dalej, chowając kartkę. Ustalmy więc fakta. Hrabia Gorski, nasz przyjaciel, uważa się za obrażonego ciężko, bardzo ciężko, przez pana Florentyna Chapron, w rozmowie, jaką mieli ze sobą w miejscu publicznem. Pan Chapron uniósł się, jak to panom wiadomo, aż do... jakby to powiedzieć... pewnej żywości, która, dzięki tylko przytomności umysłu pana Gorskiego, nie doszła do skutku... Jednakże, czy miała ona, czy nie, skutek, groźba zawsze była... Pan Gorski jest obrażony i domaga się satysfakcyi... Nie sądzę, by w tym punkcie wyjścia, który jest zarazem początkiem sprawy, albo raczej samą sprawą, była jaka wątpliwość...

— Jeszcze raz pana przepraszam—odrzekł sucho Montfanon, nie starając się ukryć swego gniewu — pan Dorsenne i ja nie możemy wcale akceptować tego sposobu, w jaki pan przedstawiasz sprawę... Pan twierdzisz, że uniesienie pana Chaprona nie miało następstw, dzięki przytomności umysłu pana Gorskiego. My zaś utrzymujemy, że pan Chapron zrobił ruch prawie nieokreślony, który zresztą sam powstrzymał... Ztąd nadając hrabiemu Gorskiemu charakter obra-



żonego, zdaje mi się, że posuwasz się pan za daleko. Ja widzę tutaj tylko wyzywającego, a to jest wielka różnica...

— Ależ on jest obrażonym!—zawołał Ardea.— Ruch powstrzymany, czy nie, jest zawsze groźbą. Wspominając o owym jedynym pojedynku, nie miałem wcale zamiaru uchodzić za zawadykę... Ale jest to abecadło *Codice cavalesco*, że: jeżeli po obeldze następuje zniewaga czynna, lub zamiar tej zniewagi, to ten, który jej doznał, jest obrażonym, a zamiar zniewagi równa się samej zniewadze. Otóż obrażony przez zamiar zniewagi ma prawo szukania satysfakcyi przez pojedynek, ma prawo wyboru broni i warunków... Przejrzyj pan waszych francuzkich i naszych autorów, Châteauvillarsa i Du Vergera, Angeliniego i Gelliego, wszyscy są pod tym względem zgodni...

— Jeżeli tak jest, to ich żałuję—odrzekł Montfanon i spojrział na księcia groźnie, marszcząc brwi—gdyż jest to zdanie, które nie da się uzasadnić ani w ogólności, ani w przypadkach szczególnych... Dowodem tego jest, że zawadyka, jakęś go pan nazwał (tu głos mu zadrżał, podkreślając zuchwalstwo umyślne księcia),— albo lepiej, *bravo*, że użyję wyrazu z pańskiego języka, chcąc zamordować kogoś legalnie, potrzebował, by go tylko zwymyślać. Obrażony odpowiada przez ruch nieobmyślany i zaraz powstrzymany, znaczenie którego może być bardzo dwuznaczne,

więc według pana *bravo* taki jest obrażonym i ma prawo wyboru broni?...

— Ależ na koniec, panie margrabio — odezwał się Hafner z widoczną niecierpliwością, tak dalece subtelności i zła wola szlachcica obrażała w nim zamiar załagodzenia praktycznego całej sprawy—czego pan chcesz? Czy pan myślisz, że podnosząc tego rodzaju szykany?...

— Szykany!... — zawołał Montfanon, zrywając się z krzesła.

— Panie Montfanon!...—błagał Dorsenne, podniósłszy się także i zmuszając siłą prawie straszliwego człowieka, by usiadł znowu.

— Cofam wyrażenie—rzekł baron—jeżeli ono pana obraziło... Nie chciałem pana obrazić i proszę mi wybaczyć, panie margrabio... Ale racz nam pan powiedzieć, czego sobie życzysz, odnośnie do swego klienta... My z naszej strony zrobimy wszystko, by pańskie życzenia pogodzić z pragnieniami naszego klienta... Jest to rachunek źle sporządzony do poprawienia...

— Nie, panie—rzekł Montfanon z zuchwałą surowością — tu idzie o słusność, co jest zupełnie czem innym... Oto, czego my chcemy, pan Dorsenne i ja: hrabia Gorski znieważył ciężko pana Chaprona... Pozwolą panowie, niech skończę (zwrócił się do Hafnera i Ardei, którzy się jednocześnie poruszyli). Tak, panowie, musiał go bardzo ciężko obrazić, skoro pan Chapron, znany przez wszystkich ze swej grzeczności, zro-

bił ruch niewłaściwy, o którym przed chwilą była mowa... Otóż obaj ci panowie umówili się ze sobą, z powodów, które trzeba nam przyjąć za takie, jak nam je przedstawiają, umówili się więc, powtarzam, że powód zniewagi, wyrządzonej przez pana Gorskiego panu Chapronowi, nie będzie wykryty... Ale mamy prawo, a nawet powiem obowiązek określenia ścisłego ważności tej zniewagi według gniewu wzbudzonego w panu Chapron... Wnioskuje więc, że protokół jeżeli ma być sprawiedliwy i jeżeli go spisujemy, winien zawierać wzajemne ustępstwa. Hrabia Gorski oświadczy, że cofnie swe słowa, a pan Chapron wyrazi żal nad swą żywością...

— Ależ to jest niemożliwe—zawołał książe— Gorski nigdy się na to nie zgodzi...

— Chcesz więc pan, żeby się koniecznie bili?— jęknął Hafner.

— A dlaczegóżby nie? — zawołał Montfanon rozdrażniony — to będzie lepsze, niż żeby jeden miał schować do kieszeni zniewagę, a drugi uderzenie kija...

— A więc panowie — rzekł baron, powstając po krótkim milczeniu, które nastąpiło po tem nierozsądnem zuchwalstwie człowieka rozgniewanego — musimy się znowu porozumieć z naszym klientem. Jeżeli panowie pozwolicie, naradę naszą odłożymy do jutra, do godziny dziesiątej na przykład, tu lub gdzie sobie panowie życzyście... Wybaczysz nam, panie margrabi, ale Dorsenne

musiał panu powiedzieć, w jakich szczególnych okolicznościach...

— Tak, powiedział mi o tem--przerwał Montfanon i spojrział znowu na księcia wzrokiem tak smutnym, że ten ostatni zarumienił się pod tem wejrzeniem dziwnem, o które jednak nie mógł się obrazić. Dorsenne przeciął tę rozmowę, odpowiadając Justusowi Hafner:

— Możebyście się panowie zeszli jutro u mnie? Tym sposobem łatwiej unikniemy wszelkich komentarzy...

— Dobrześ zrobił, żeś zmienił miejsce — rzekł Montfanon, w pięć minut później, wsiadając do powozu ze swym młodym przyjacielem. — Zeszli ze schodów nic do siebie nie mówiąc, tak dalece dzielny i rozsądny margrabia doznawał zgryzot teraz, z powodu swego zachowania się tak dziwnie wyzywającego przed chwilą.

— Cóż chcesz—dodał—ten pałac sprofanowany, zuchwały zbytek tego złodzieja, ten książę, sprzedający swe nazwisko, ten baron, którego przeszłość jest ciemną, wszystko to wzburzyło mnie niesłychanie. Zwłaszcza ten baron ze swą „dyrektywą“. Mnie, żołnierzowi francuzkiemu, który się bił w r. 1870, cytować słowa Moltkego! A ten jego rachunek źle sporządzony, te wyrażenia giełdziarskie, użyte w sprawie honorowej i ta jego okropna grzeczność, cuchnąca służalstwem i bezczelnością!... Słowem, jestem

niezadowolony z siebie, nie jestem zadowolony ze wszystkiego...

Tyle w jego głosie było dobroduszości, tyle widocznego zmartwienia, że nie panował nad sobą w okolicznościach tak poważnych, iż Dorsenne uściskał mu rękę, zamiast robienia mu wyrzutów i rzekł:

— Do jutra... wszystko to uporządkujemy, to jest tylko odłożone...

— Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć — odrzekł margrabia — ale ja to doskonale rozumiem, że rzeczy poszły źle, bardzo źle... I moja to wina! Teraz już może nie da się innej przysługi zrobić dzielnemu Chapronowi, jak chyba urządzić pojedynkę na warunkach niezbyt niebezpiecznych... Do kroćset, mój gniew nie był na miejscu!... ale dlaczego ten Gorski wybrał sobie takiego świadka? To jest nie do pojęcia!... Czy uważałeś, jak on wymawiał ten wyraz *gentleman*, który dla niego znaczy tyle, co kraść, zdradzać, mordować. Ale miej pięknie zaprzężone powozy, dom wykwintny, doskonałe obiady i służbę, to wszystko będzie dobrze... Nie! to wszystko za dużo mnie kosztuje!... Tak! tak! źle jest i do tego w tym wieku! Boże mój, jak to trudno staremu umrzeć!

Wyrzekł to głosem tak cichym, że Dorsenne tego wcale nie słyszał.

**Kuzynka Jaga.**

Wyrzuty, jakie sobie w sposób tak naiwny czynił Montfanon, przybrały w tem sercu uczciwego człowieka, o wiele znaczniejsze rozmiary, gdy został sam. Miał rację, mówiąc zaraz z początku, że sprawa zapowiadała się źle. Sprzeczką zaostrzona czynną zniewagą, albo zamiarem zniewagi czynnej, jak to sam zauważył od pierwszych słów Chaprona, nie mogła być tak łatwo załagodzoną. Trzeba było na to cudów dyplomacyi. Najdrobniejsza pomyłka ze strony sekundantów groziła katastrofą. Jak zwykle bywa w takich razach, wypadki rozwijały się szybko i pesymistyczne przewidywania gniewnego margrabiego sprawdziły się niemal natychmiast. Za ledwie bowiem on i Dorsenne opuścili pałac Savorelli, gdy Gorski, wezwany przez barona na godzinę dziesiątą, stawił się punktualnie. Oburzenie, z jakim odrzucił propozycję układów, wymagających tłumaczenia z jego strony, posłużyło dla rozsądnego Hafnera i dla nierozsądnego Ardei za znak do wycofania się z tej sprawy.

Widocznem było dla obu, że żadne porozumienie nie może mieć miejsca w obec takiego szaleńca i wobec osobistości tak upartej, jaką jest jeden z mandataryuszów Florentyna. Zażądali więc obaj od Gorskiego, by ich zwolnił od sekundowania. Mieli bardzo uzasadniony po temu pretekst w małżeństwie Fanny, tak że Bolesław ustąpił. To wycofanie się było drugą klęską. W gorączce wyszukania nowych świadków, Gorski pobiegł do klubu strzeleckiego. Los chciał, że napotkał tu dwóch znajomych: margrabiego Cibo, rzymianina, i księcia Pietrapertosa, neapolitańczyka, którzy w sam raz nadawali się do tego, ażeby najprostszą sprawę doprowadzić do najgorszych rezultatów. Obaj ci młodzieńcy, pochodzący z wyższej szlachty włoskiej, bardzo inteligentni, prawi i dobrzy, należą do tej osobliwszej klasy ludzi, jaką spotykamy w Wiedniu, Madrycie, w Petersburgu, Medyolanie i Rzymie, „clubmenów“ zahypnotyzowanych przez Paryż. I jaki jeszcze Paryż! Paryż uroczystości wykwintnych i rozgłośnych, Paryż, który przepędza poranki na sporeie modnym, popołudnia na odwiedzaniu zakładów szermierskich i saloników pokątnych, wieczory w teatrze, a noce na grze! Ten Paryż, który, odpowiednio do pory roku, emigruje do Monte Carlo na strzelanie do gołębi, do Trouville na wyścigi, do Aix-les-Bains na sezon bakkarata; ma swe własne obyczaje, swój język, swe dzieje, swój kosmopolityzm nawet, gdyż na pewne umysły w całej

Europie wywiera wpływ tak despotyczny, że taki Cibo naprzykład i jego przyjaciel Pietrapertosa czyta tylko dzienniki francuzkie bulwarowe. Szukają oni tam najprzód wiadomości, w których szczegółowo opowiedziane są wypadki półświatka, ostatnia kolacya, wydana przez głośnego hulakę, szczegóły o wielkiej grze w takim a takim klubie modnym, rezultaty strzelania z pistoletu u Gastinne'a, lub zakładu między sławnymi strzelcami. Nieustannym przedmiotem rozmów między nimi było to, czy głośna Gladys Harvey jest bardziej elegancka od Leony d'Asti, czy Machault lepiej się bije na szpady od generała Garnier, czy mały Lautrec wytrzyma w grze, którą rozpoczął. Uwięzieni niejako w Rzymie, z powodu szczupłości swych środków, oraz w skutek woli jeden swego stryja, drugi dziadka, po których dziedziczyli fortunę, całe swe życie streszczali w miesiącach, jakie przepędzali w zimie w Nicei i w pobycie sześciotygodniowym w Paryżu w czasie wyścigów konnych. Z zazdrością wrywali sobie każdego, który się zjawił w wiecznym mieście z klubu na Polach Elizejskich, lub Palais-Royal; wobec swych kolegów w klubie myśliwskim, zachowywali się z bezlitośną powagą augurów, gdy telegraf przyniósł wiadomość o jakim procesie o cudzołóstwo, który się rozpoczął w Paryżu. Ta mania nieszkodliwa, która z grubego i czerwonego Cibo i z długiego a chudego Pietrapertosa, robiła dwie maryonетки przepyszne, godne



obserwacyi Dorsenne'a, miała zrobić i zrobiła dwóch straszliwych mandataryuszów zemsty Gorskiego. Z jakąż powagą i pożądlivością przyjęli tę misję i już o godzinie dziewiątej rano zjawili się, by rozmówić się ze świadkami przeciwnej strony! Jednem słowem o godzinie wpół do pierwszej pojedynek był ułożony we wszystkich, najdrobniejszych szczegółach. Energia, jaką rozwinał Montfanon w rozmowie trwającej trzy śmiertelne godziny, zdołała zaledwie złagodzić nieco warunki; miano strzelać czterokrotnie o dwadzieścia pięć kroków na komendę. Spotkanie się naznaczono na dzień następny rano, w ogrodzie, jaki Cibo posiadał wraz z sąsiednią oberżą w Kampanii rzymskiej, nieopodal od klasycznego grobowca Cecyliusza Metelli. Dla wyjednania tego dystansu i broni nieużywanej, musiał margrabia użyć uroku, jakim się nagle okrył w oczach sekundantów Gorskiego, wymawiając imię legendarne na prowincyi i obczyźnie, Gramonta-Caderousse. Sic transit gloria mundi! Po ukończeniu tej narady, dzielny ten człowiek miał łzy w oczach.

— I to moja wina—narzekał—i to moja wina. Z Hafnerem bylibyśmy spisali śliczny protokół i basta. Sam nam przecież to ofiarował... Dzielny Chaprou! To ja go wsadziłem w to błoto. Nie opuszczę go teraz i w moim wieku muszę być świadkiem pojedynku!... Czy zauważyłeś, jak ci dwaj bracia marmurki zmiękli, gdym im powiedział o owym pojedynku z tym biedakiem Ca-

derousse?... Mieć pięćdziesiąt dwa lat i nie umieć zachować się jak należy!... No, jedźmy na ulicę Leopardiego. Chcę przeprosić naszego klienta i dać mu kilka rad. Zabierzemy go do jednego z mych przyjaciół, który posiada ogród w pobliżu willi Pamphili, całkiem pusty. Całe popołudnie będziemy go uczyli strzelać... Ach, przekłete uniesienie! Tak łatwo mogliśmy byli przyjąć wczoraj ich propozycję! Zmienilibyśmy kilka słów i byłoby dobrze!...

— Nie martw się, margrabisz—rzekł Florentyn, gdy zgryziony szlachcic przedstawił mu opłakane rezultaty swych negocjacyj. Wolę, że się tak stało. Pan Gorski zasługuje na skarcenie. Żałuję tylko, że się wtedy powstrzymałem... jeżeli się już mam bić, to przynajmniej wiedziałbym za co...

— I nie strzelałeś pan nigdy z pistoletów? — zapytał Montfanon.

— Ii... polowałem dużo i zdaje mi się, że dobrze strzelam z dubeltówki..

— To zupełnie co innego. O trzeciej godzinie przyjedź pan do mnie, pojedziemy się uczyć... A zresztą Bóg czuwa nad ludźmi dzielnymi!...

Jakkolwiek Florentyn zasłużył na tę pochwałę ze względu na swobodę, której dowodem była jego odpowiedź, jednakże pierwsze chwile po oddaleniu się dwóch sekundantów były dlań bardzo przykre. Marszałek Ney, który się znał na tem, wypowiedział słowo pyszne w swej brutalności w ustach bobatera, w chwili pochodu na Orszę:

„nie jest tu przyjemnie“... Słowa te trzeba zawsze przytaczać, bo są one prawdą. Czy jest ktokolwiek na świecie, coby nigdy nie zaznał trwogi? To też i Chapron przez te kilka chwil doznał trwogi bardzo naturalnej i patrząc na skazówkę zegaru, szepnął:

— Za dwadzieścia cztery godzin skazówka znów tu przyjdzie, ale czy ja będę ją widział? czy będę żył jeszcze?...

Była to jednak natura mężka i zdecydowana. Usiłował walczyć z tem uczuciem słabości i przed wycieczką z Montfanonem, postanowił napisać swą wolę ostatnią. Oddawna już nosił się z myślą legowania szwagrowi całego swego majątku. Ułożył więc odpowiednio testament, zrazu pismem nieco drżącym, powoli jednak pewniejszym. Skończywszy to, skreślił jeszcze dwa listy, jeden do szwagra, drugi do siostry. Gdy wygotował to wszystko, zegar wskazywał kwadrans na trzecią.

— Jeszcze siedemnaście i pół godziny oczekiwania — rzekł — ale zdaje mi się, że odzyskałem spokój. Przejdę się trochę i ostatecznie zwyciężę tę słabość...

Postanowił więc pieszo udać się do Montfanona. Trzy dokumenty, w tyłuż kopertach, starannie ukrył w szufladzie swego biurka. Przecho-dząc przekonał się, że Lincoln nie znajdował się w pracowni i zapytał się kamerdynera, czy pani Maitland jest w domu. Odpowiedziano mu, że

kończy się ubierać i kazała, by powóz czekał na nią o godzinie trzeciej.

— Doskonale — szepnął — ani jedno, ani drugie niema żadnych podejrzeń!

Jakżeby się zdziwił, gdyby był mógł, w czasie swej przechadzki krokiem nieco ociężałym, w kierunku Kapitolu, powrócić myślą do gabinetu, który przed chwilą opuścił. Byłby zobaczył wślizgującą się tu kobietę, przez drzwi otworzone po cichu, z ostrożnością złoczyńcy. Byłby widział, jak przeglądała kolejno wszystkie papiery, rozrzucone na stole. Na widok karty Dorsenne'a i margrabiego, zmarszczyła brwi. Chwycała nakoniec bibułę i poniosła ją przed lustro, chcąc wyczytać odbite na niej odwrotnie adresy. Byłby ujrzał nakoniec, jak ta kobieta wyjęła z kieszeni pęk kluczy. Otworzyła jednym z nich szufladkę, którą Florentyn zamknął tak starannie i wyjęła trzy koperty, które tu wsunął niezapieczone. I kobieta ta czytała, z wyrazem zgrozy na twarzy i trwogi, te kartki w ten sposób wydobyte, dzięki podstępowi, którego ohydna niedelikatność zdradzała bezwstydną przyzwyczajenie szpiegoskie. Tą kobietą była jego siostra własna, ta Lidya, którą miał za tak ładną i pełną prostoty, do której napisał z pożegnaniem czułem na wypadek, gdyby został zabity—ta Lidya, którą gdyby był zobaczył, byłby się zdziwił, widząc ją tak brzydką w skutek namiętności poziomej! Drżała ona tak, że o mało nie upadła.

Oczy jej się rozszerzyły, piersi podnosiły się i opadały, zęby szczękały, tak była wzburzoną przez grozę, przez to, czego się dowiedziała i czego była główną przyczyną. Czyż to nie ona pisywała listy bezimienne do Gorskiego, donosząc mu o miłostkach Lincolna z panią Steno? Czyż to nie ona wyszukiwała słów, któreby najsilniej dotknęły kochanka zdradzonego, najbardziej zadrasnęły słabą stronę jego miłości własnej? Czyż nie ona przyspieszyła ten powrót zazdrośnika z przekonaniem, że sprowadzi tym sposobem zemstę tragiczną na znienawidzonego męża i wenecyankę? Tak, zemsta ta wybuchła. Ale przeciw komu? przeciw jedynej istocie, którą Lidya kochała na świecie, przeciw temu bratu, którego ujrzała w niebezpieczeństwie, dzięki własnym błędom i ta myśl tak była dla niej bolesną, że upadła na fotel, na którym Florentyn siedział przed kwadranssem jeszcze, i powtarzała na pół nieprzytomna:

— Będzie się bił. To on się będzie bił zamiast tamtego!..

Całe dzieje moralne tej duszy gwałtownej i ponurej ześrodkowały się w tym okrzyku, w którym trwoga namiętna o brata zwiększała się wobec dzikiej nienawiści, jaką czuła do męża? Ta nienawiść była wynikiem czasów dzieciństwa jeszcze, bez opowiedzenia którego tak zbrodnicza nieszczerłość w istocie tak młodej, byłaby trudną do pojęcia. To dzieciństwo zapowiadało wcze-

śnie, do czego z czasem Lidya będzie zdolną. Nie było tam nikogo, ktoby mógł poprawić tę naturę, w której dziedzictwo rasy uciemnionej zaznaczało się przez dwa najwstrętniejsze przymioty: hipokryzyę i zdradę! Nikt nie pamiętał o tej prawdzie, zwykle zaniechanej w praktyce, choć powszechnie znanej w teorii, że wady w dziesiątym roku życia, stają się występkami w trzydziestym. Będąc jeszcze małą dziewczynką, Lidya kłamała z taką łatwością, z jaką brat jej mówił prawdę. Ktoby był ją obserwował, byłby zauważył, że kłamstwa te dążyły zawsze do tego, by mogła się przedstawić lepiej, w świetle przyjaźniejszym swe przedczesne pretensye. Współcześnie kielkowały w niej inne wady; zazdrość instynktowna, niewyrozumowana, prawie chorobliwa. Florentyn nie mógł posiadać żadnej nowej zabawki, by ona mu zaraz nie zazdrościła. Nie mogła znieść, by brat całował ojca i zwykle wciskała się między nich — nie podobało jej się, gdy się bez niej bawił z kolegami. Gdyby Napoleon Chapron był się zajął zbadaniem charakterów, tak jak się zajmował sprzedażą bawełny i trzciny cukrowej, byłby spostrzegł z przerażeniem te pierwsze zarzysy złej indywidualności. Ale podobny w tem do swego syna, należał do rzędu tych ludzi, pełnych prostoty, którzy gdy kochają, sądzić nie umieją. A przytem Lidya i Florentyn, dla jego zranionej wrażliwości półparyi, stanowili jedyną ucieczkę, jedyny kącik

słodki, świeża i młodą pociechę w jego wdowieństwie i mizantropii. Kochał je z tem bałwochwalstwem, jakie mają wieley pracownicy dla swych dzieci i jest to uczucie najniebezpieczniejsze, gdy go zdrowy pogład matki nie poprawia. Wzrastające wady Lidy były dla plantatora rozkosznymi fantazyami. Jeżeli kłamała, to ojciec wołał: jaka ona zdolna! Jeżeli zazdrościła, wzdychał, przyciskając jej członki delikatne do swej piersi szerokiej i mówił, jak ona jest uczuciową!... Z tego zaślepienia egoistycznego—gdyż taka miłość dla dzieci jest samolubstwem, kocha się je dla siebie, a nie dla nich—wynikło to, że dziewczynka w chwili swego udania się do Rochampton była istotą głęboko, zupełnie zepsutą. Ale była ładną i dzięki osobliwszej mieszaninie trzech krwi, jakie w niej płynęły, posiadała wdzięk tak ujmujący, że tylko wytrawne oko wychowawczyń mogło dostrzedz pod temi wykwintnemi pozorami, wyraźny zarys jej prawdziwego charakteru. Ale takie wychowawczynie są rzadkie, zwłaszcza w klasztorach. W Rochampton nie było takiej w chwili, gdy Lidya weszła do tego domu pobożnego; pobyt ten miał się stać dla niej fatalnym, z powodów całkiem przeciwnych tym, które trawniki cichego Beaumont zmieniły dla Florentyna w raj przyjaźni.

Między pesyonarkami, wśród których Lidya się rozwijała, znajdowały się cztery młode panienki z Filadelfii, starsze od nowoprzybytej zaledwie

o dwa lata, a które także niedawno opuściły Amerykę po raz pierwszy. Przyniosły one ze sobą nieprzewyciężone przesady, odnośnie do krwi czarnej i tę zadziwiającą bystrość odkrywania jej nawet w najdrobniejszej przymieszce, jaka odznacza prawdziwych jankesów. Ponieważ mała Chapron była zapisana jako francuzka, więc z początku zawahały się wobec podejrzania, które jednak prędko zmieniło się w pewność, a ta pewność w odrazę, której nie ukrywały wcale. Nie byłyby dziećmi, gdyby nie były okrutne. Zaczęły więc dokuczać i krzywdzić biedną Lidyę, nie mogąc jednak w koleżankach obudzić tej pogardy, jaką jej okazywały. Klasztory i szkoły podobne są do innych ludzkich towarzystw. I tutaj także, niesłuszna pogarda zjawia się niewiadomo z kąd i dlaczego. Prześladowczyni Lidy były także prześladowane przez swe koleżanki, urodzone w Anglii, z powodu zwrotów używanych w mowie i nosowego wymawiania. Ten dramat klasztorny, jak to zresztą łatwo pojąć, ograniczał się na mało znaczących wypadkach, tak że dozorczyńie prawie wcale go nie zauważły. Dzieci żywią namiętności równie silne jak i my, ale wybuchają one tak nagle i tak często ustają, że niepodobna ściśle oznaczyć ich siły, ani też opisać. Miłość własna Lidy była głęboko i nieuleczalnie zranioną przez tę pogardę dla jej pochodzenia. Przypomniła sobie teraz pewne zdarzenia życia amerykańskiego, które do-



piero teraz zrozuwała. Przypomniała sobie portret babki, jej cerę, ręce, włosy ojca i poczęła się wstydzić swego urodzenia i swjej rodziny, co się bardzo często przytrafia u dzieci, a co wśród fermentów demoralizacyi wewnętrznej stanowi bodaj czy nie najgorszy. Rodzice nizkiego pochodzenia, dający swym synom wyższą edukacyę, wystawiają ich zawsze na to i nienawiści społeczne rodzą się tym sposobem w chwili, gdy chłopiec dwunastoletni rumieni się przed sobą samym na myśl o stanowisku rodziców! Lidya, z natury zazdrosna i fałszywa, jeszcze bardziej stała się taką w skutek tych pierwszych przykrości. Najłżejsza nawet wyższość u którejkolwiek z koleżanek sprawiała jej cierpienie i postanowiła przez tryumfy osobiste wynagrodzić sobie tę różnicę krwi, która w naturze tak próżnej prawdziwą ranę stanowiła. Dla zapewnienia sobie tego tryumfu, chciała uwieść wszystkie osoby, które się do niej zbliżały, tak nauczycielki, jak i koleżanki i poczęła odgrywać tę nieustanną komedyę, to przybieranie postawy i udawanie uczuć, do czego koniecznie prowadzi nas bardzo prędko żądza podobania się, kierunek przyjemny, ale niebezpieczny, który graniczy więcej z fałszywością, niż dobrocią. Lepiej daleko jest narzucać innym otwarcie swe samolubstwo, niż zmieniać się ciągle dlatego, by im się podobać. W osiemnastym roku życia, Lidya, pod postacią pełną wdzięku, kryła duszę głęboko, choć bez-

wiednie zepsuta, niezdolną do uczucia (kochała tylko brata jednego naprawdę)—i gotowa do nienawidzenia wszystkiego i wszystkich, namiętności, będącej naturalnym płodem dusz pysznych, wyschłych i fałszywych. Małżeństwo rozwinęło w niej jeszcze jedną, najzgubniejszą ze wszystkich, wadę—zawiść.

Ta ohydna wada, jedna z tych jednak, które kierują światem, bardzo mało została zbadaną przez moralistów, może dlatego, że zanadto wiele ujmy przynosi sercu ludzkiemu. Pani Maitland od kilku lat zazdrościła swemu mężowi, ale zazdrościła, jak artysta rywalizujący z nim, zazdrościła, jak piękna kobieta zazdrości innej, jak bankier bankierowi, polityk swemu przeciwnikowi, tą zazdrością gwałtowną, nieprzeblaganą, dla której powodzenie nieprzyjaciela jest nieszczęściem i sprawia ból fizyczny, a klęska przeciwnika jest rozkoszą i radością. Niesłusznie ograniczają spostrzeżenia tej zbrodniczej namiętności do dziedzi-ny współubiegania się zawodowego. Im ona jest głębszą, tym rzadziej chwytą się nie przymiotów czyichś, ale samej ich osoby—i taką zawiść czuła Lidya do Lincolna. Być może, iż rozbiór tego uczucia zbyt subtelnego w swej szpetności wytlomaczyłby tym, którzy badają jego powstanie, antypatya, jaką napotykają wśród bliźnich. Bo nie tylko między małżonkami napotykamy te zawiści ukryte, pojawiają się one między kochankiem i kochanką, między bratem i bratem nieraz,

niestety! nawet między ojcem i synem, matką i córką! Lidya pozwoliła się wydać za Lincolna Maitlanda, trochę przez ustępstwo dla żądań brata, więcej jednak przez próżność, gdyż młody człowiek był amerykańnikiem Stanów Zjednoczonych, co stanowiło pewien rodzaj zwycięstwa nad przesądami ras, o których myślała ciągle, nie mówiąc o nich nigdy. Maitland po trzech miesiącach pożycia wspólnego, począł żałować tego małżeństwa. Jakkolwiek udawał, że pogardza swymi współrodakami i choć w głębi nie dzielił żadnego z przesądów kraju, w którym od piątego roku życia nie był wcale, mimo to jednak uwagi, jakie robiono w New-Yorku o tem małżeństwie, a które ze wszystkich stron dochodziły do niego, sprawiały mu przykrość. Miał z tego powodu urazę do Lidyi i ona to spostrzegła. Gdyby byli mieli dzieci, wrażenie to zapewne by się zatarło, a przynajmniej zmieniło i napełniło uczuciem twarde serce młodej kobiety. Ale dzieci nie mieli. Gdy powrócili ze swej podróży poślubnej, w czasie której Florentyn im towarzyszył, stosunek ich wzajemny przybrał cechę milczącej umoty, stanowiącej podstawę źle dobranych małżeństw, w których małżonkowie, według wyrażenia ludowego, nie stanowią jedności. Z podróży po Hiszpanii, która powinna była być jednym zachwytem, młoda kobieta poczęła z zawiścią patrzeć na widoczne pierwszeństwo pod każdym względem, jakie Florentyn dawał przed nią Mait-

landowi. Po raz pierwszy zauważyła, że ta przyjaźń namiętna zajęła całkiem serce brata. Dla niej miał uczucie zaledwie drugorzędne. Spostrzeżenie to było jednym ciągiem ukłóć, jakich doznawała co dzień, co godzina nawet, a które z czasem zmieniły się w prawdziwą ranę. Powróciwszy do Paryża, gdzie przepędzili blisko trzy lata, rana ta rozdrażniła się już przez to samo, że potężna indywidualność malarza cofnęła w cień indywidualność jego żony po prostu, mechanicznie, jak wielkie drzewo okrywa cieniem drobniejszą obok siebie roślinę. Towarzystwo, złożone z amatorów, artystów i pisarzy, bywające u Lincolna, bywało tylko dla niego. Dom, jaki wynajął, urządził tylko ze względu na swe potrzeby i wygody. Jednem słowem Lidya, podobnie jak Florentyn, porwana została w orbitę siły najdespotyczniejszej w świecie, sławnego talentu. Trzebaby całej książki, by odmalować w istotnem świetle nieustanne upokorzenia, które doprowadziły młodą kobietę do tego, że znienawidziła ten talent i tę sławę z takimże zapalem, z jakim Florentyn cześć jej nie przestawał. Mimo to jednak pozostała kobietą uczciwą w znaczeniu światowem, to jest, że nie miała miłości pokątnych. Była ona histeryczką, jak większość urodzonych komedyantek, a zatem kobietą zimną. W zamian za to wzrastały w niej instynkta niepocziwej kobiety. Zaczęła nienawidzić Lincolna, miała doń wstręt tak fizyczny, jak i umysłowy.

wy, odbijający się w najpospolitszych szczegółach ich życia wspólnego. Nienawidziła go za tę czystą krew białą, która czyniła z tego wysokiego i tęgiego mężczyzny przepyszny typ piękności anglo-saskiej, obok niej chudej, jakby wyschłej, mimo wdzięku, jaki miała jej twarz śniada. Nienawidziła go za jego wykwintne nawyknięcia, za wrodzoną elegancję, która zdawała się zdobić miejsce, w którym się znajdował, gdy tymczasem w niej tkwił instynkt i niezręczność barbarzyńcy w najmniejszym nawet zestawieniu barw lub materji. Gdy musiała przyznać postęp w swym mężu w zakresie sztuki, potok żółci zalewał jej serce. Gdy ganił swe dzieło, gdy go widziała oddanego na łup zniechęcenia bolesnego, zwątpienia o sobie, uczuwała głęboką radość, którą psuł jej tylko widoczny smutek, jaki te walki Lincolnna wywoływały we Florentynie. Nigdy nie mogła patrzeć na Chaprona, gdy ten, z oczami wlepionemi w Maitlanda, zdawał się odgadywać jego myśli, bez doznania tego „ukłócia w serce“, o jakim mówiła Alba Steno. To bałwochwalcze ubóstwienie brata dla malarza, sprawiało jej tem większą przykrość, że odgadywała z przenikliwością niezawodną nienawiści, pewne w tem wszystkim oszukaństwo. Odgadywała ona najskrytsze tajniki duszy obu dawnych kolegów z Beaumont. Widziała, że w tej przyjaźni, jak to zwykle bywa, jeden dawał wszystko i otrzymywał za to tylko brutalną wdzięczność, taką,

jaką ma strzelec dla psa wiernego! Napróżno starała się przy pomocy delikatnych i zdradzieckich insynuacyj, w jakich celują kobiety, objaśnić Florentyna o właściwym charakterze Lincolna. Poznała pod tym względem swą niemoc, i tym sposobem w jej sercu nagromadziło się tysiące wrażeń nienawistnych i streściło się w tej mileżącej urazie, która wybucha przy pierwszej lepszej sposobności z przerażającą siłą dla tych, którzy nie widzieli jej powolnego, ale ciągłego wzrostu. Mówimy wtedy o braku sumienia, o pomieszaniu, o potworności. Ale tak w naturze moralnej, jak i fizycznej, niema zupełnej potworności. Sama zbrodnia nawet podlega prawom rozwoju. Między ładną dziewczynką, płaczącą dlatego, że ujrzała nową zabawkę w rękach brata — i Lidyą Maitland, otwierającą zamki, piszącą listy bezimienne, pragnącą zemsty aż do zbrodniczości, żadna nagła zmiana charakteru nie zaszła. Wszystko tam rozwijało się logicznie.

Jakże ona pragnęła sposobności, by mogła zadowolnić tę śmiertelną nienawiść i dotknąć Lincolna w miejsce najczulsze! Taką sposobność dała jej nakoniec miłość malarza dla pani Stenol. Poprzednio jednak musiała się uciekać do rozmaitych drobnych środeczków, by zadowolnić swą chęć zemsty; urządziła się tak, by jej mąż mógł czytać artykuły krytykujące jego obrazy, chwaliła w obecności jego innych malarzy, zносиła mu z minką fałszywą najmniejsze słówka krytyczne

jakie niby słyszała na wystawach jego obrazów — jednym słowem całą tą nędzną drobiazgowość, która w rezultacie gniewała tylko Florentyna. Maitland bowiem należał do tych artystów, którzy zbyt są zajęci swą działalnością, by mogli wielką uwagę zwracać na sądy innych. A przeto, przed wybuchem namiętności do dogressy, nie kochał on nigdy. Większość malarzy bowiem gasi ogień temperamentu na łonie przepysznych modelek, temperamentu, który od zmysłów nie przechodzi do serca. Przyzwyczajeni do patrzenia na ciało ludzkie z pewnego punktu widzenia, znajdują w piękności, która namby się wydała czysto zwierzęcą, źródła wrażeń plastycznych, które wystarczają dla ich wymagań miłosnych. Tym większego więc doznają wrażenia, gdy do tego upojenia zwierzęcego dołącza się w kobiecie, którą kochają, wytworny wdzięk umysłu, wykwiśniętość i subtelność uczuć. Tak się miały rzeczy z panią Steno, która odrazu natchnęła malarza namiętnością tak gwałtowną, jak pierwsza miłość. Jakoż była to istotna miłość. Hrabina, która miała w sobie wysoko rozwinięty zmysł rozkoszy, poznała się na tem odrazu. Lidya znów, która miała zmysł nienawiści, także poznała się na tem. Wiedziała odrazu czego się trzymać, najprzód dlatego, że umiała obserwować i obserwacje swe ukrywać, a potem, że uciekała się do środków pewniejszych, niż odgadywanie. Przywykła była do tych śledztw szkaradnych,

któremi chętnie posługuje się dziewięć dziesiątych kobiet. A iluż to mężczyzn jest kobietami pod tym względem, jak powiada bajkopisarz! Na pensyi, Lidya należała do tych dziewcząt, które zakradają się do sypialni, lub sali rekreacyjnej, by przeglądać szafki i otwarte kufierki koleżanek. Gdy dorosła, żaden list zamknięty nie przeszedł przez jej ręce, by go nie usiłowała przeczytać przez kopertę, a przynajmniej odgadnąć z pieczętki pocztowej, pisma i adresu, kto był jego autorem. Ten instynkt ciekawości był tak silny, że nie mogła się powstrzymać przy kratce w biurze telegraficznem, by nie patrzeć z po za ramion osób przed nią stojących na to, co zawierały ich depesze. W czasie czesania i ubierania się wypytywała starannie pokojówkę o to, co mówiono w przedpokoju i kuchni. W ten to sposób dowiedziała się o sporze Florentyna z Gorskim w przedśionku—co dowodzi, dodamy w nawiasie, że szpiegostwo, przy pomocy sług, jest zawsze najlepsze. Ale świadczy ono o nizkości charakteru, który w danym wypadku, nie cofnie się przed żadną podłością. Skoro Lidya Maitland poczęła podejrzewać stosunek pani Steno i męża, nie zawahała się ani chwili i otwierała biurko tego ostatniego, tak jak później nie wahała się przetrząsnąć szuflady brata. Listy, jakie jej w ten sposób wpadły do ręki, podrażniły jej żądzę zemsty straszliwie. Gdyż nietylko nabyła pewności o podzielanem szczęściu, które upokarzało w niej



kobietę bezpłodną pod każdym względem, obcą rozkoszy i macierzyństwu, ale zarazem miała liczne dowody, że hrabina żywiła dla niej pogardę rasy tak silną, jak gdyby Wenecya była miastem Stanów Zjednoczonych. To zagłębienie Adryatyku obfituje w przesady krwi, jak wszystkie kraje pograniczne, będące zbiegowiskiem najrozmaitszych ludów. Dość było, by się o tem przekonać, słysząc ją, jak nazywała słowian *Cziavoni*, a ludy wschodnie *Gregugni*. Pani Steno, w tych listach, w których pisała tak, jak mówiła, niczem nie krępując swego pióra, z całą swobodą i bezwzględnością namiętności, nazywała zawsze Lidyę *Morettina* i w braku logiki, zresztą zupełnie naturalnym, imię brata tej Morettiny wspomniane było ciągle przyjaźnie. Ten sposób traktowania Florentyna świadczył, że nie widziała wcale w osobie szwagra kochanka, nieprzyjaciela. Lidya zrozumiała to doskonale i widziała w tem nową oznakę uczucia Florentyna dla Lincoln. Jeszcze raz poświęcił on siostrę dla przyjaciela i w jakich warunkach! To też krwawiło się jej serce przy czytaniu tych listów. Udanie się portretu Alby, który zapowiadał się jako arcydzieło, popchnęło ją ostatecznie do czynu szpetnego i dzikiego. Postanowiła zdradzić nową miłość pani Steno przed kochankiem zdradzonym i napisała dwanaście listów, umiejętnie zredagowanych, które ostatecznie zmusiły Gorskiego do powrotu. Ten powrót nawet nie był tak szybki, jak tego

pragnęła kuzynka Jaga, która postanowiła także odkryć ohydę pani Steno przed Albą. I jakże nazwać te listy bezimienne, pisane do córki i wykrywające przed nią podwójne miłostki matki? Ale Lidya była w paroksyzmie wygórowanej zbrodniczości, w której najnikczemniejsza broń wydaje się być najlepszą i z powodu portretu zniechęciła także Albę — zwrot uczucia świadczący, że zawiść kierowała tą duszą ciemną... Ach, jakąż ostrą rozkosz sprawiło jej powodzenie tej nikczemności! Jakąż radość dzika, połączona z goryczą i uniesieniem nią owładnęła, gdy spostrzegła zdenerwowanie biednej Alby i powstrzymany gniew Bolesława! Widziała już w myśli Maitlanda, wyzwanego przez tego rywala, o którym wiedziała, że jest mistrzem we wszelkiego rodzaju ćwiczeniach i zręcznym w robieniu szpadą i strzelaniu z pistoletu. Nie byłaby prawnuczka niewolnicy Luizyańskiej, gdyby do energii naturalnej swej nienawiści, nie łączyła znacznej dozy przesądów. Jakaś wróżka wywróżyła jej niegdyś z dłoni, że będzie kiedyś powodem gwałtownej śmierci mężczyzny. „To on“, szepnęła sobie, patrząc na męża z okrutnym dreszczem nadziei... A teraz miała w ręku dowód, dowód niezaprzeczony, że cała ta machinacya zemsty wystawiła na niebezpieczeństwo kogo innego! Te listy i testament Florentyna ukazywał jej groźbę pojedynku, zawieszoną nad głową tego, którego najbardziej kochała! A więc po-

pehnęła do starcia tragicznego jedyną istotę kochaną!... Zawód tego serca, w którym drżała dzika energia atawizmu zwierzęcego, był tak nagły, tak żywy, tak bolesny, że wydawała krzyki niezrozumiałe, wsparta na biurko brata i wobec tych kartek powtarzała:

— On się ma bić, on!... I ja jestem tego powodem!...

Wzięła listy i testament, wsunęła do szuflady, zamknęła go tam i powstała, mówiąc głośno:

— Nie, tak nie będzie. Przeszkodzę temu, choćbym się miała rzucić pomiędzy nich. Nie chcę tego, nie chcę!

Słowa takie łatwo wymówić, ale wykonać trudno. Lidya czuła to, gdyż zaledwie wypowiedziała te wyrazy, gdy ręce rozpaczliwie załamała, te wątle ręce, które pani Steno porównała w jednym ze swych listów do łap małpich, tak miały one palce cienkie i długie—i rzuciła to pytanie ku niemożliwości, to „ale jakim sposobem?“, które tyłu zbrodniarzy stawilo wobec tego rezultatu, najbardziej wyrachowanych kroków. Poeta powiedział to w wierszach, określających wszystkie nasze błędy mniejsze, lub większe:

*„The Gods are just, and of our pleasant vices  
Make instruments to plague us“...*

„Bogowie są sprawiedliwi, a z występków naszych robią narzędzie naszej kary“... Widocznie, że ta wiara w sprawiedliwość sędziego najwyższego jest mocno w nas zakorzenioną, gdyż naj-

silniejsze nawet dusze doznają przykrego uczucia, gdy stoją wobec nieszczęścia, na które zasłużyły. Wspomnienie przepowiedni wróżki stanęło teraz nagle przed oczami Lidyi. Krzyknęła i wycierać sobie ręce poczęła, jak senna. Widziała na nich krew brata... Nie! ten pojedynek odbyć się nie może. Ale jak mu przeszkodzić? jak? jak?

Powtarzała to ciągle. Florentyna nie było, nie mogła go więc błagać, a gdy wróci, czy będzie jeszcze czas? Lincoln także w domu nie było. I gdzieby on mógł się znajdować? Zapewne na schadzce z tą Steno. Obraz tej ślicznej istoty, leżącej w objęciach malarza, zatopionej, zagłębio-nej w upojeniu, jakim przejęte były jej gorące listy, zarysował się w umyśle zawistnej kobiety. Cóż za szyderstwo, widzieć teraz tych dwoje kochanków, których chciała unicestwić, w ekstazie, z wyrazem szczęśliwości w oczach! Cóżby dała za to Lidya, gdyby mogła te oczy im wyrwać i zdeptać je nogami. Nowy potok nienawiści zalał jej serce. Boże! jakże ona ich nienawidziła i jakże ta nienawiść była zawsze niemocną. Ale przyjdzie i na nią czas. Teraz należy zająć się czem innym. Trzeba przeszkodzić temu pojedynkowi, ocalić brata. Ale do kogo się udać? Do Dorsenne'a? Montfanona? do barona Hafnera? do Peppina Ardei? O wszystkich czterech myślała, gdyż współczesne wizyty świadczyły, że byli to sekundanci dwóch szermierzy. Ale wszystkich po kolei odrzuciła, wiedząc, że żaden z nich nie

posiada dość powagi, by mógł sprawę załagodzić. Ostatecznie myśl jej skoncentrowała się na przeciwniku Florentyna, na tym Bolesławie Gorskim, którego żona była jej przyjaciółką i który był dla niej zawsze tak grzeczny. A gdyby do niego poszła i błagała o oszczędzenie brata? Przecież nie do Florentyna dymisyonowany kochanek miał urazę... Może go jej tży poruszą, może jej powie co było powodem ich sprzeczki i jakie zabiegi ma uczynić do brata, żeby ta sprzeczka została załagodzoną. W ostateczności może wyjedna od niego przyrzeczenie, że strzeli w powietrze, jeżeli pojedynek ma się odbyć na pistolety, a jeżeli na szpady, żeby poprostu rozbroił swego przeciwnika. Jak wszyscy, nie znający się na rzeczy, wierzyła, że są szermierze niepokonani, strzelcy nigdy nie chybiający do celu i jako kobieta, miała wyobrażenia całkiem niedokładne o pojęciach mężczyzn co do zniewagi. Kobiety w ogólności nie rozumieją wzajemnego stosunku mężczyzn do siebie, zwłaszcza, gdy w rozmowach swoich z mężczyznami nie dbają o ścisłość wyrażeń, podobnie jak w rozmowach ze sobą. Są zupełnie nieświadome praw honoru. Pojedynek uważają jako dramat dowolny, który jeden z walczących może zmienić, jak mu się żywnie podoba. Niema zapewne bardziej wyjątkowego zdania w teatrze, jak ów sławny i oklaskiwany okrzyk bohaterki Augiera; „teraz, idź się bić“. Wobec takiej perspektywy, jedna kobieta na sto

wymówi takie zdanie i to w nadziei, że nie będzie wysłuchaną. Dziewiędziesiąt dziewięć innych pomyśli sobie tak samo, jak Lidya Maitland: to jest pobiegnie do przeciwnika mężczyzny, o którego jej idzie, i będzie błagać o jego życie. Dodajmy jednak, że większość nie wykona tej myśli. Ograniczą się one na tem, że zaszyją, płacząc ciągle, jaki medalik w kamizelkę swego protegowanego, polecając go Opatrzności. Lidya zresztą czuła to doskonale, że jeżeli Florentyn dowie się kiedykolwiek o jej kroku, będzie niesłychanie oburzony. Ale któż mu o tem powie? W gorączce zdziwienia i zgryzoty, dokuczającej jej mocno, postanowiła działać bądź co bądź. Służący zawiadomił ją, że powóz czeka i usiadła wewnątrz, dając adres: *palazzetto Doria*. W jaki sposób przemówi do mężczyzny, którego tak zuchwale i szalenie chce odwiedzić? Głupstwo! postąpi według okoliczności! Miała tak silną wolę przeszkodzenia temu pojedynkowi, że nie wątpiła o powodzeniu. Była też nadzwyczajnie przerażona, gdy ugalonowany szwajcar powiedział jej, że hrabiego niema w domu, a współcześnie jakiś głos, połączony ze śmiechem wesołym, wołał na nią. Była to hrabina Maud Gorska, powracająca z przechadzki z synkiem. Poznała ona powóz Lidyi i wołała:

— Jakże się cieszę, że tak prędko powróciła. Widzę, że przestraszyłaś się burzy, tak jak i my

bo przyjechałaś w zamkniętej karecie. Wejdiesz na chwilę na górę?...

Spostrzegłszy atoli, że młoda kobieta, którą wzięła za rękę, drżała cała, zawołała:

— Ale co ci jest? Czyżbyś była chora? co? niedobrze ci?... Mój Boże, co jej jest?... Ona zemdleje.. Łukaszku — dodała, zwracając się do synka — biegnij do pokoju i przynieś duży flakon z solami angielskimi. Różia wie który... biegnij prędko, prędko!...

— To nic — odrzekła Lidya, która w rzeczy samej przymknęła oczy, jakby miała zemdleć — już mi lepiej... Powrócę do domu, to będzie najrozumniej.

— Nie zostawię cię samą — odezwała się Maud i siadła obok niej w powozie.

Przyniesiono właśnie sole, które dała powąchać pani Maitland i mówiła do niej, jak do dziecka chorego:

— Biedactwo!... jaką ma twarz rozpaloną!... i w tym stanie oddajesz wizyty... ależ to niema sensu!... Ulica Leopardiego — zawołała do woźnicy — i jedź prędko...

Kareta ruszyła a pani Gorska ścisnęła wciąż drobne ręce Lidyi, którą ciągle nazywała: „biedactwem“. Maud należała do rzędu tych kobiet, jakie Anglia wydaje w znacznej ilości na zaszczyt tej zdrowej i silnej cywilizacji brytańskiej, kobiet energicznych i dobrych. Wysoka i tęża wobec Lidyi drobnej i prawie chudej, gotowaby ją była

zanieść do łóżka na swych rękach silnych i nigdyby jej była w tym stanie wzburzenia samej nie zostawiła. Równie praktyczna, jak mówią jej rodacy *matter of fact*, jak litościwa, zaczęła badać swą chorą, co do symptomatów poprzedzających tę słabość, gdy nagle spostrzegła ze zdziwieniem, że ta twarz zaniepokojona poczyna się krzywić, że łzy wytrysły z oczów przed chwilą zamkniętych i łkania wstrząsają wążem ciałem. Lidya uległa prawdziwemu atakowi nerwowemu z powodu niepokoju, zawodu wywołanego przez nieobecność Bolesława, a może w skutek dobroci, z jaką do niej mówiła Maud, i gryząc w białych zębach chustkę, jękała:

— Nie jestem chora... ale nie mogę znieść tej myśli... nie mogę. Można od tego oszaleć!..

I zwracając się do swej towarzyszki, ścisnęła ją za rękę, mówiąc:

— Więc ty nie wiesz o niczem? nie nie podejrzewasz?... Twój spokój, pogoda, szczęście, doprowadza mnie do szału, gdy każda minuta tak dla mnie, jak i dla ciebie jest droga... Wszak jeżeli jeden jest moim bratem, to drugi jest twoim mężem... Ty go przecież kochasz, musisz go kochać, kiedyś mu przebaczyła...

Mówiła to z pewnym rodzajem upojenia, w jakie wpadła w skutek nadzwyczajnego podrażnienia nerwowego i wypowiedziała wszystko, co miała na myśli, choć zwykle była bardzo skryta. Sądziła, że pani Gorska wie o związku Bolesła-



wa z panią Steno; przekonana była, jak zresztą cały Rzym, że Maud wiedziała o niewierności swego męża i że ją znosiła w skutek tej ofiary heroicznej, jaką usprawiedliwia macierzyństwo. Ież to kobiet poświęciło swą dumę małżeńską dla utrzymania ogniska domowego, z którego mąż przynajmniej otwarcie nie ucieka! Jednakże cały Rzym pod tym względem się mylił i Lidya Maitland miała tego zaraz dowód. Najmniejsze podejrzenie o tego rodzaju związku, łączącym jej męża z matką najlepszej jej przyjaciółki, nie powstało w głowie żony Bolesława. Chcąc to jednak pojąć, trzeba zrozumieć tę naiwność, jaką mimo swych dwudziestu sześciu lat zachowała ta piękna i zdrowa angielfka, o oczach tak jasnych i czystych. Należała ona do tych bardzo enotliwych kobiet, które wzbudzają szacunek nawet w najzuchwalszych mężczyznach, a wobec kobiet najbardziej rozwiązłych umieją zachować się z godnością. Nigdy nie usłyszała tych zwierzeń prawdziwych, które przez analogię oświecają dno duszy tylu egzystencyj brudnych. Mogła ona żyć w otoczeniu bardzo swobodnem pani Steno, nie straciwszy ani odrobiny z tego pyłku złudzeń, które były treścią jej inteligencji. Lubiła tylko znajomości i rozmowy praktyczne; była bardzo wykształcona, ale pozbawiona zupełnie ciekawości. Dorseenne mawiał o niej z większą trafnością, niż jemu się zdawało, iż „pani Gorska jest żoną człowieka, który jej nigdy nie był prezen-

towany "l... co znaczyło, wbrew powszechnej opinii, że nie miała żadnego pojęcia o charakterze swego męża i o zdradzie, której była ofiarą. Jednakże powieściopisarz nie miał zupełnej słuszności. Nieszczerość Bolesława była zbyt widoczną, by kobieta prawa i religijna nie miała na tem cierpieć. Ale między takim cierpieniem a intuicyą o fakcie spełnionym, o jakim Lidya mówiła, jest cała przepaść. Podobne podejrzenie było tak dalekiem od Maud, że słowa towarzyszki zdziwiły ją, a tajemnicze niebezpieczeństwo, którego Lidya była wymownym dowodem, przeraziło ją nadzwyczajnie.

— Twój brat!... mój mąż!—zawołała—nie nie rozumiem...

— Naturalnie — odparła Lidya — ukrył przed tobą wszystko, tak samo, jak Florentyn przedemną... A więc, powiem ci. Pojedynkują się ze sobą jutro rano... Nie drzyj!...—zawołała, obejmując ręką Maud Gorską — jest nas teraz dwie i zapobiegniemy temu!...

— Pojedynkują się? jutro rano? — powtarzała Maud na pół nieprzytomna—Bolesław ma się bić z twoim bratem? Nie, to niemożliwe. Kto ci to powiedział? Zkąd o tem wiesz?

— Czytałam własnymi oczami — odrzekła Lidya — czytałam testament Florentyna, listy, jakie napisał do Maitlanda i do mnie na wypadek nieszczęścia. A zresztą, czyżbym była taka rozgądkowana, gdyby to nie było prawdą?

— O! wierzę ci!—zawołała Maud, przyciskając ręce do powiek, jak gdyby chciała uniknąć jakiegoś widma—ale gdzież oni się widzieli? Bolesław zaledwie przed dwoma dniami powrócił. Co zaszło między nimi? Co sobie powiedzieli? Przecież nie można ryzykować życia, gdy ktoś ma, jak Bolesław, żonę i syna?... Mówże! Zaklinam cię! Powiedz mi wszystko! Chcę wszystko wiedzieć! Jaki powód tego pojedynku?

— Jakiż może być inny powód, jak nie ta kobieta?

W ostatnich dwóch słowach, wyrzeczonych przez Lidę, było tyle pogardy, jak gdyby chciała niemi napluć w twarz Katarzyny Steno. Ale ten wybuch gniewu zniknął wobec zdziwienia, jakie wywołała odpowiedź pani Gorskiej:

— Jaka kobieta? Nic a nic cię nie rozumiem...

— Gdy przyjedziemy do domu, powiem ci wszystko...—odrzekła Lidya, spojrzawszy ze zdumieniem na swą towarzyszkę. Właśnie karetą zakręcała na rogu ulicy Leopardiego. Obie kobiety umilkły. Teraz Maud potrzebowała, by jakaś ręka litościwa się nią zajęła, tak kilka słów wyrzeczonych przez Lidę wstrząsnęło nią do głębi. Towarzyszka, c którą ocierała się w szybkim pędzie powozu, która w niej przed chwilą wzbudziła tyle współczucia, stała się teraz dla niej czemś straszmem. Zdawało jej się, że to jest ktoś inny. W tej istocie, której nozdrza drżały namiętnością, której usta gorzko były skrzywio-

ne, oczy błyszczały wściekłością, nie poznawała już drobnej pani Maitland, tak milczącej, cichej, że uchodziła za kobietę bez znaczenia. Co jej miał powiedzieć ten głos, tak melodyjny zwykle, a od kilku chwil tak ostry i twardy, który wspomniał już o wielkiem niebezpieczeństwie, grożącym Bolesławowi? O jakiej kobiecie mówił ten straszny głos i co znaczy to nagłe milczenie? Lidya zdawała sobie w zupełności sprawę z niepokoju, jaki obudziła mimowolnie w Maud, nieświadomością kompletną. Przez chwilę myślała, że wypowiedzieć wszystko kobiecie, niewiedzącej o niczem, byłoby nową zbrodnią, ale z drugiej strony to wypowiedzenie mogło przynieść pożądane rezultaty. Uwiadamiając panią Gorską, stwarzała z niej śmiertelnego nieprzyjaciela dla pani Steno, a przytem ta kobieta, zakochana gorąco w swym mężu, nie pozwoli mu się pojedynkować o dawną kochankę. Gdy więc obie znalazły się w maleńkim saloniku pałacu maurytańskiego, Lidya powzięła już postanowienie. Zdecydowana była nie ukrywać przed nieszczęśliwą Maud, która z sercem bijącym, głosem zduszonym, pytała:

— A teraz mów, coś mi chciała powiedzieć?...

— Pytaj się, a ja będę odpowiadała. Za dużo powiedziałam, bym się cofnąć mogła...

— Powiedziałaś więc, że jakaś kobieta jest powodem pojedynku twego brata z moim mężem?...

— Tak—odrzekła Lidya.

— Cóż to za kobieta? Jak się nazywa?

— Steno.

— Steno—powtórzyła Maud—Katarzyna Steno jest powodem tego pojedynku? A dlaczego?

— Dlatego, że jest metresą mego męża—odrzekła grubiańsko Lidya — a była metresą twego; dlatego, że Gorski przybiegł tu dręczony zazdrością, by wyzwać Lincolna i natrafił na mego brata, który mu zagroził drogę... Pokłócili się, już nie wiem w jaki sposób, ale wiem, że taki, nie inny był powód pojedynku... Miałam więc zasadę powiedzieć ci, że się biją o tę kobietę...

— Metresa mego męża!—zawołała Maud—mówisz, że pani Steno była metresą mego męża?... Nie, to bajka. Kłamiesz! kłamiesz! kłamiesz! nie wierzę ci.

— Nie wierzysz mi? — odparła Lidya, poruszając ramionami — czyż mam jakikolwiek powód oszukiwania cię? Nikt nie kłamie, gdy idzie o życie istoty, którą się najwięcej na świecie kocha! Bo ja mam tylko jednego brata, a jutro już go może mieć nie będę... Ale zaraz cię przekonam. Chcę, byś tak samo jak ja nienawidziła tej łotrzycey, byśmy się zemściły, byśmy zapobiegły temu pojedynkowi, którego ona, ona jedynym jest powodem, powtarzam ci... Jeszcze mi nie wierzysz?... A wiesz, kto był przyczyną powrotu twego męża? Przecież nie spodziewałaś go się tak prędko?... To ja, ja... doniosłam mu, co robią ta Steno i Lincoln, dzień po dniu, ich miłostki,

schadzki i rozpustę... Byłam pewna, że trafię do celu, jakoż powrócił! Przejechał całą Europę, żeby się zemścić... Może i to nie jest dowodem?...

— Nie, tyś tego nie mogła zrobić! — zawołała pani Gorska, cofając się ze wstrętem — to jest zbyt niegodziwem...

— Tak, zrobiłam to — odparła Lidya z dziką dumą. Miałam do tego prawo, skoro mi zabrała męża. Wróc do domu i zajrzyj do skrytki, gdzie Gorski chowa listy. Znajdziesz tam z pewnością moje i inne także, od tej kobiety... Zaręczam ci, że znajdziesz, gdyż ta łajdaczka ma manię pisania... No co, wierzysz mi teraz? Powtórzysz, że kłamie?

— Nigdy — odrzekła Maud, z oburzeniem bolesnem na swej pięknej i otwartej twarzy — nigdy się tak nie poniżę...

— Ha, to ja się za ciebie poniżę — zawołała Lidya. — Czego ty nie śmiesz zrobić, to ja zrobię i będziesz mnie prosiła później o pomoc w zemście — chodź!...

I biorąc za rękę skamieniałą Maud, pociągnęła ją do pracowni Lincolna, zupełnie teraz pustej. Zbliżyła się do jednego z tych sprzętów hiszpańskich, o deseniu arabskim, które nazywają *bargenos* i spuściła klapę, malowaną purpurą i złotem. Nacisnęła dwie główki i otworzyła szufladę, w której znajdowała się paczka listów. Listy te wzięła. Maud Gorska patrzyła na to postępowanie judaszowskie z tą samą zgrozą i zdziwieniem, jak

gdyby patrzała na zabójstwo, lub kradzież. Wszystko w tej duszy prawej oburzało się na tę scenę, której przez samą swą obecność stawała się współwinną. Ale zarazem była ona łupem, podobnie jak jej mąż przed kilku dniami, tej gorączkowej żądzy dowiedzenia się prawdy. Jest to w pewnych kryzysach zapalnych potrzeba fizyczna, jest to domaganie się strony uczuciowej człowieka, jak głód i pragnienie jest domaganiem się strony fizycznej. Stała więc i słuchała strasznej siostry Florentyna.

— Gdy zobaczysz dowód, pisany własną jej ręką, to się przekonasz, że mówię prawdę.

I uśmiechając się szydersko dodała:

— O tak! ona lubi pisywać listy, ta nasza szczęśliwa rywalka. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że w listach tych wypowiada otwarcie co czuje.. Pisze tak, jak myśli... Zdaje się, że sukcesor był nieco zazdrosny o swego poprzednika... Oto masz dowód...

Przerzuciwszy oczami pierwsze listy, jak osoba, która już to nieraz robiła, wręczyła jeden z nich Maud, która mimowoli nań spojrzała. To, co wyczytała, wywołało w niej okrzyk bólu śmiertelnego. A jednak przeczytała zaledwie dziesięć wierszy, które świadczyły, mówiąc w nawiasie, że psycholog Dorsenne mylił się, utrzymując, iż Maitland nie wiedział o dawnych stosunkach swej kochanki z Gorskim. Prawdziwą wielkość hrabiny Steno, istny heroizm w namiętności, stanowiło

to, że była zupełnie szczerą w miłości i pogardzała zwykłemi małostkami tego rodzaju stosunków. Brzydziłaby się zapierać, przed nowym kochankiem, swej przeszłości i pół-wyznania u kobiet, wydawałyby się jej nikczemnością. Nie ukrywała więc przed Maitlandem, że zrywa dla niego dawny związek i właśnie wzrok pani Gorskij padł na wiersze, w których o tem mówiła:

„Będziesz ze mnie zadowolony—brzmiało—i nie zobaczę już w twych drogich oczach błękitnych, które całuję „w nasz sposób wenecki“, tego blasku podejrzania, który mi przykrość sprawia. Przystałam nawet korespondować z G... Jeżeli chcesz, to zerwę stosunki z Maud, pomimo powodów, znanych ci dobrze, które mi to utrudnią... Czy jeszcze jesteś zazdrosny? Moja szczerłość co do tego stosunku, czyż nie jest dowodem, że skończył on się zupełnie. No! no! nie bądź zazdrosnym. Wiedz więc, o czem ja dobrze wiem, że cię kocham i że rozpoczęłam życie naprawdę dopiero w dniu, w którym ci się oddałam. Nikt nie znał tej kobiety, nawet ja sama, którą ty we mnie obudziłeś“...

— Dobrze pisze, nieprawda?—zawołała Lidya z wybuchem dzikiego tryumfu w oczach—a teraz wierzysz mi? Rozumiesz, że mamy odtąd wspólny interes, wspólną zniewagę do pomszczenia? Mnie to winnaś, że ci dała broń do ręki, którą możesz mu grozić. Powiedz mu, że chcesz rozwođu. Majątek jest twój i dziecko ci zostawia.



Masz go w rękę, powtarzam ci to. Ale przeskodzisz pojedynkowi, przyrzekasz mi?

— A cóż mnie to teraz obchodzi, że on się bije?—odrzekła Maud.—Od chwili, gdy mnie zdradzał przez tyle czasów, jestem wdową. Nie zbliżaj się do mnie—dodała, patrząc na Lidyę wzrokiem błędnym i drżąc z odrazy—nie mów mi nic. Brzydzę się tobą i nim. Pozwól mi ztąd odejść... Samo to uczucie, że się znajduję z tobą w jednym pokoju, sprawia mi boleść... Ach, co za hańba!...

Cofnęła się do drzwi, z oczami wlepionymi w denuncyatorkę, która ten wzrok wytrzymała, pomimo pogardy, jaka z niego biła, z posępną dumą wyzwania. Wyszła, powtarzając ciągle: „co za hańba“!... a Lidyą nie wyrzekła już do niej ani słowa, tak dalece ten rezultat, przeciwny wszelkim jej oczekiwaniom, pozbawiał ją przytomności. Ale straszna ta istota niezdolną była do wyrzutów sumienia. Przez kilka chwil stała pogrążona w myślach, poczem, gniotąc nerwowo list, który pokazała Maud, nie zważając na to, że takie zgniecenie tego papieru mogło wzbudzić podejrzenia w mężu, zawołała głośno:

— Nikczemna! ach jakże ona jest nikczemna!... Ona kocha i przebaczy. Czyż więc nie znajdzie nikogo, co by mi pomógł?... nikogo, co by zburzył ich niegodne szczęście?...

I znów, po chwilowem milczeniu, z twarzą chmurną, rzuciła listy do szuflady, którą zamknę-

ła i w pół godziny potem kazała wezwać posłańca publicznego, któremu dała list, z rozkazem zanieśienia go zaraz. List ten był adresowany do inspektora policyi tej dzielnicy miasta. Uwiadomiła go o pojedynku jutrzejszym i wymieniła nazwiska obu przeciwników i ich sekundantów. Gdyby się nie bała brata, byłaby ten list bez wahania podpisała.

— Winnam była, od tego zacząć — szepnęła, gdy drzwi saloniku zamknęły się za posłańcem, z którym osobiście się rozmówiła. Żandarmi potrafią przeszkodzić pojedynkowi, nawet wtedy, jeżeli nie nie wskóram u Florentyna... Co zaś do niego (tu spojrzęła na portret Maitlanda, stojący na biurku, na którym pisała), a gdybym mu powiedziała o tem, co się dzieje?... nie, nie poproszę go o nie, zanadto go nienawidzę...

I z uśmiechem okrutnym zawołała:

— To wszystko jedno. Maud Gorska musi pracować ze mną, nawet mimo woli. Tej Steno ona nigdy nie przebaczy...

I pomimo straszliwego niepokoju, ta dusza okrutna uczuła dreszcz radości na myśl o swej zemście.

---

## VIII.

### Na placu.

Maud Gorska, wyszedłszy z pałacu przy ulicy Leopardiego, z początku biegła prosto przed siebie, szybko, na oślep, nie widząc i nie słysząc, podobna do zwierzęcia ranionego, które ucieka przez gęstwinę przed niebezpieczeństwem, przed raną, przed sobą samem. Pewne boleści moralne są podobne w swych skutkach bezpośrednich do boleści fizycznych.

Była mniej więcej godzina trzecia, gdy nieszczęśliwa kobieta wymknęła się z pracowni, nie mogąc znieść obok siebie obecności Lidy Maitland, tej ponurej cyniczki zemsty, która jej z takim okrucieństwem, na podstawie niezaprzeczonych faktów, wykryła rzecz okropną, zdradę długą, niegodną, nigdy nieprzebaczoną. Około godziny szóstej odzyskała nakoniec przytomność. Uczucie bardzo pospolite zbudziło ją z tego somnambulizmu cierpienia, w którym błądziła po ulicach od trzech godzin. Burza, grożąca od rana, wybuchła nakoniec. Maud, nie zauważywszy pierwszych kropli, musiała szukać schronienia, gdy

chmury lunęły potokami wody i ujrzała się w końcu kolumnady prawej św. Piotra. Jakim sposobem zaszła aż tutaj? Nie wiedziała dokładnie. Przypominała sobie bardzo niewyraźnie, że błądziła wśród labiryntu uliczek i zaułków, że przeszła Tyber—zapewne mostem Garibaldiego—przebiegła obszerny ogród, prawdopodobnie na Janiculum, i w końcu szła kawałek drogi po za wałami. Musiała wyjść z miasta przez bramę św. Pankracego i idąc wzdłuż krętych i pięknych murów urbańskich, dostać się do bramy Cavallerieri. Ten kącik Rzymu, z widokiem między dwoma wzgórkami na sosny willi Pamfilii z jednej strony, a z drugiej na tyły Watykanu, jest miejscem przechadzki zwykłej podczas zimy kilku kardynałów, którzy szukają tu słońca po południu, pewni, że nie spotkają nikogo, chyba czasem kilku cudzoziemców. W maju jednak jest to pustynia spalona przez słońce. Trawi ono cegłę, wypaloną przez dwa wieki tego nieprześląganego światła i pieści łuskę jaszczurek zielonych, lub szarych, przemykających się wśród pszczoł herbu papieża Urbana VIII z rodu Barberinich. Instynkt pani Gorskiej tyle przynajmniej dobrego zrobił, że pchnął ją na drogę, na której nikogo nie spotkała... Ale teraz powróciła do niej świadomość rzeczywistości. Poznała otoczenie, wśród którego się znajdowała i ten kwadrat tak dobrze znany jej gorącej pobożności katolickiej: obszerny plac, obelisk Sykstusa V na środku, wodotryski,

portyk okolony, zdobny w posągi biskupów i męczenników, pałac watykański na rogu i w głębi fasadę wielkiej katedry papieżkiej, ze Zbawicielem i apostołami stojącymi na przepysznym frontonie. W każdej innej okoliczności nabożna młoda kobieta w przypadku, który ją tu przyprowadził prawie mimowoli, widziałaby wpływ wyższy, wezwanie do wstąpienia do kościoła, by błagać Boga o siłę w cierpieniu, który powiedział: „Kto chce iść za mną, niech swój krzyż weźmie“. Ale była ona w tym pierwszym bolesnym kryzysie nieszczęścia, w którym modlić się nie można, tak płacze w nas wzburzona dusza. Później dopiero poznajemy rękę Opatrzności w próbach na nas zesłanych. Zrazu widzimy tylko niesprawiedliwość straszliwą losu i istota nasza drży w głębi, podnosi bunt energiczny przeciw ciosowi, który ją rani. Bunt ten w Gorskiej był tymbardziej niepokonany, tym potężniejszy, że sam cios spadł na nią zupełnie niespodziewanie. Wszak jest to rzecz tak pospolita, że kobieta cnotliwa znajduje dowody niewątpliwe zdrady męża, którego nie przestała kochać! Zwykle jednak te dowody niewątpliwe poprzedza cały szereg podejrzeń. Niewierny mąż zaniedbuje dom, w jego codziennych zwyczajach zachodzi zmiana, nieokreślone odcienia zdradzają przed małżonką obrażoną ślady współzawodniczki, którą zazdrość kobieca odgaduje z taką pewnością, jak węch psa, odczuwający obcego w domu. Ale jakkolwiek w przeje-

ściu od wątpliwości do pewności serce się krwa-  
wi, jest to jednak cios, do którego umysł odda-  
wna jest przygotowany. Tego przygotowania du-  
szy do przyjęcia prawdy, Maud nie miała. Sta-  
rania, jakie przedsiębrała pani Steno dla zaprzy-  
jaźnienia jej z Albą, zatarły wszelkie drobne  
wskazówki. Bolesław nie potrzebował w niczem  
zmieniać swych przyzwyczajeń domowych dla wi-  
dywania się z kochanką, kiedy chciał i jak chciał,  
gdyż sama żona mu do tego dopomagała. Była  
też więc ta ostatnia oszukana zupełnie, bezwzględ-  
nie. Wobec cudzołóstwa męża zachowała się  
tak spokojnie, że wydawało się to nieprawdopo-  
dobnem dla obcych i obojętnych. Nie zdawali  
oni sobie sprawy z niedostrzeżonych nawyknień,  
które taki stan wywołać musiały.

Ale zbudzenie się, rozdarcie tych złudzeń jest  
zawsze straszne. Częstość zdarza się, że mąż,  
którego wszyscy znajomi uważali za męża pobła-  
żliwego, żona, która uchodziła za obojętną, nagle  
dopuszcza się morderstwa, lub samobójstwa na  
wielkie zdziwienie świata, który nawet wtedy nie  
chce uznać w tym przystępie szału dowodów,  
tego ciosu piorunowego, strasznego, bardziej  
niszczącego, niż sama miłość, to jest rozwiania  
naglego złudzeń. Jeżeli to zniszczenie wewnątrz-  
ne nie objawia się na zewnątrz przez objawy gwał-  
towne, to za to czyni ono straszne spustoszenia,  
w duszy, burzy ostatnie szczątki młodości serca  
i daje początek myśli, że wszystko na świecie jest

zdradliwym i niepewnym, bo my sami zostaliśmy zdradzeni. Odtąd przez ciąg lat całych, niekiedy przez całe życie, niczem się nie wzruszamy, niczego się nie spodziewamy i niczemu nie wierzymy i ta to klęska duszy spowodowała, że Maud Gorska stała teraz nad samym wieczorem, oparta o podstawę kolumny i patrzyła na deszcz padający, zamiast wejść do bazyliki, gdzie spowiednicy we wszystkich językach dają odpuszczenie wszystkich grzechów, ofiarują lekarstwo na wszelkie bóleści. Niestety! gdyby tam uklękała, byłoby to dowodem, że pociecha wstępuje do tej biednej duszy, ale młoda kobieta znajdowała się dopiero na pierwszej stacyi swej kalwaryi życia.

Patrzyła więc na deszcz padający i ten straszliwy potop burzy, podobny do jakiegoś kataklizmu natury, sprawiał jej ulgę; blask błyskawic i trzask piorunów, jęk szerokiego placu pod smaganiem wody zmiataanej przez wichry, wywierał na nią uspakajające wrażenie. Znowu obrzy poczęły się układać w jej umyśle po tej zawierusze ślepego bólu, która ją porwała w chwili, gdy rzuciła wzrokiem na zdrąjczy listy. Każdy wyraz tych listów stał jej przed oczami, palił je tak, że od czasu do czasu przymykała je z bólu, jaki jej to sprawiało. Przypominała sobie dwa ostatnie lata swego życia, to jest te lata, przez które żyła z panią Steno i każdy fakt, każde zdarzenie oblewało się teraz w jej duszy blaskiem, który co chwila wyrzucał jej na usta py-

tanie: „i on mógł to zrobić“?... Ujrzała znów Wenecję, pobyt w tem mieście, do którego Bolesław zawiózł ją po śmierci córeczki, by w ciszy lagun uspokoiła swą boleść żałosliwą. Jakże w tym czasie pani Steno była dobrą, a przynajmniej taką jej się wydawała, delikatną, wyrozumiałą, współczującą! Powoli stosunek powierzchowny rzymski zmienił się w przyjaźń. Tutaj to zapewne miała początek zdrada. Złodziejka miłości weisnęła się pod zasłonę współczucia, któremu Maud tak wierzyła. Widząc hrabinę tak szlachetną, uważała opinię świata za oszczerstwo, rzucane na osobę tak czułą i tak sercową. I w tej to właśnie chwili łotrzyca odbierała jej Bolesława! Teraz przypominała sobie tysiące szczegółów, których wtedy nie rozumiała; odwiedziny w Piove, z kąd powrócił dopiero nazajutrz rano, pod pozorem, że wczoraj spóźnił się na pociąg; przesiadywanie sam na sam na balkonie pałacu Steno, w nocy, podczas gdy ona rozmawiała z Albą. Tak, to w Wenecyi cudzołóstwo rozpoczęło się obok niej, a ona o niczem nie wiedziała, w Wenecyi, gdzie serce jej przepełnione było żalem niewyczerpanym za utraconem dziecięciem.

— Ach! i jak on mógł to robić! jęczała znów, a obrazy się powtarzały ciągle, zwiększały. W umyśle jej otwierały się z bolesnym trzaskiem tragiczności, niejako wszystkie okna, które zdrada Gorskiego i hrabiny zamurowała tak starannie. Widziała znów przed sobą te miesiące, które



przepędzili w Rzymie, po powrocie z nad lagun, swe zwyczaje, które tak ułatwiały stosunek kochanków. Ież to razy zabierała ze sobą Albę na przechadzkę, oswabdzając tym sposobem matkę od jedyne go nadzoru, który jej przeszkadzał, uwalniając męża od swej obecności. Cóż kochankowie robili przez te godziny? Ież to razy, wracając do palazzetto Doria, zastawała Katarzynę Steno w bibliotece, siedzącą na kanapie obok Bolesława i przez myśl jej nawet nie przeszło, że ta kobieta przybyła tu dlatego, by w czasie jej nieobecności uściskać kochanka, mówić mu słówka miłości, oddać mu się z urokiem owocu zakazanego, zbrodni i niebezpieczeństwa! Przypomniała sobie, że spotkali się w Bayreut ostatniego lata, podczas, gdy ona udała się sama, z synem tylko, do Anglii, a mąż zobowiązał się odprowadzić do Bawaryi Albę i hrabinę. Wszyscy mieli się zjechać w Norymberdze. Mieszkanie w hotelu, które zajęli, zarysowało się nagle w pamięci Maude'y; pokój sypialny pani Steno, tuż obok pokoju Bolesława. Widmo ich uścisków wśród swobody nocy, podczas, gdy niewinna Alba spała w sąsiedztwie, a ona sama pędziła z małym Łukaszkiem w wagonie, znów wyrwało jej krzyk z piersi:

— Ach, jak on to mógł robić!...

I zaraz potem ten obraz pędzącego pociągu zbudził w niej wspomnienie niedawnego powrotu męża. Widziała go przejeżdżającego przez całą

Europę, w skutek bezimiennej denuncyacji, by wrócić jak najprędzej do tej kobiety. Był to dowód namiętności, gorączki niepozwalającej temu człowiekowi znosić dłużej wątpliwości. Jakże on musiał kochać tę zalotnicę, która go wcale nie kochała, gdyż oszukiwała go z Maitlandem! I on ma się o nią bić!... Zazdrość teraz o władnęła jej sercem kobiecem i sprawiła jej ból większy, niż oburzenie. Ona, angielska, taka duża, silna, prawie męzka w budowie swego ciała, o członkach potężnych i ciężkich, porównywała się w myśli z tą wątłą włoszką, z jej postacią okrągłą, ruchami pełnymi wdzięku, rękami drobnymi, nogą maleńką, z tą istotą żądź i rozkoszy, i przestała już pytać się:

— Jak on to mógł robić?

Odczuła teraz niejako potęgę swej rywalki. Jest to największem cierpieniem dla kobiety uczciwej i kochającej, gdy uczuje się splamioną przez samą myśl rozkoszy, jakiej doznaje jej mąż w objęciach kobiety piękniejszej, pieściwszej, gorętszej, niż jego żona. Było to także oznaką odzyskania woli w tej duszy umęczonej, ale dumnej. Uczuła obrzydzenie tak gwałtowne, głębokie i zupełne, dla tej atmosfery kłamstwa i rozpusty, w której Bolesław żył od dwóch lat, że wyprostowała się, stała się znów silną i nieubłaganą. Nie bacząc na deszcz, ruszyła ku domowi z postanowieniem wyraźnem i silnem, jak gdyby nad niem od kilku miesięcy się namyślała:

— Ani dnia jednego więcej nie chcę być razem z tym człowiekiem. Jutro wyjadę z mym synem do Anglii...

Ileż to już kobiet wygłosiło w podobnem położeniu zdanie takie samo, przysięgę stargania więzów na to tylko, by je znów nawiązać w chwili, gdy się znajdują w obliczu człowieka, który je zdradził, a którego one kochają! Jednakże Maud, pomimo miłości, nie należała do rzędu takich kobiet. Zapewne, że i ona kochała gorąco tego uwodziciela Bolesława, za którego poszła mimo woli rodziców, tego zdrajcę, któremu wszystko poświęciła, mieszkając od kilku lat zdala od swej ojczyzny i rodziny, gdyż pożądała go zawsze, żyła tylko dla niego i dla syna. Ale posiadała ona, jak to zdradzała jej broda nieco długa i czworograniasta, nos nieco krótki i energiczny wyraz czoła, tę siłę szczególną stałości, jaką spotykamy u osób prawych bezwzględnie. Miłość w niej miała być stłumiona przez obrzydzenie, a przynajmniej (gdyż jesteśmy panami tylko naszych czynności) uważać musiała za podłość kochać tego, którym gardziła, a w tej chwili w jej sercu tylko pogarda istniała. Posiadała ona w pełni wysoką cnotę, właściwą wszelkiej szlachetności zamkniętej w sobie, i która stanowi u anglików podstawę wychowania moralnego: religię i fanatyzm prawości. Cierpiała zawsze nad tem, widząc dużo chwiejności w naturze Bolesława. Ale jeżeli zauważała w nim z boleścią przesadę mowy,

szuczność uczucia, niebezpieczną giętkość sumienia, to jednak przebaczała mu te wady ze wspaiałomyślnością miłości, przypisując je złemu wychowaniu. Gorski, dzieckiem jeszcze będąc, wmieszany został w dramat rodzinny: ojciec i matka żyli zdala od siebie i żadne z nich nie zajmowało się wyłącznie wychowaniem dziecka. Wszelako czem usprawiedliwić tę hipokryzyę haniębną, dwa lata trwającą, tę zbrodnię zdrady, wprowadzonej do ogniska domowego, tę nieustanną nieprawość, obmyślaną, dobrowolną?

To też Maud doznawała, wśród swej rozpacz, pewnego rodzaju spokoju, jaki daje stałe i niewzruszone postanowienie, gdy weszła do pałacyku Doria (a jednakże, jakiż dramat rozegrał się w jej sercu, od chwili, gdy te progi opuścił!) i głosem zwykłym zapytała:

— Czy pan hrabia jest w domu?

Zbladła straszliwie, gdy służący odrzekł że tak, i dodał:

— Jest także pani i panna Steno, które czekają na panią w salonie...

Na myśl, że kobieta, która jej odebrała męża, była tutaj, zdradzona małżonka uczuła, że wszystka krew w niej stygnie. Było to jednak naturalnem, że matka Alby przybyła do niej, jak zwykle, w odwiedzin, a jeszcze naturalnijszem było, że przyszła dzisiaj. Prawdopodobnie wieść o pojedynku doszła do jej uszów. Obecność ta wszakże, w tej chwili, oburzyła tak silnie Maud,

że w pierwszej chwili chciała pójść do salonu, wypędzić z tamtąd metresę Bolesława, jak służącą, schwytaną na uczynku kradzieży. Zaraz jednak obraz Alby przyszedł jej na myśl, tej słodkiej i czystej Alby, o duszy białej jak jej imię, a która była jej najdroższą przyjaciółką. Wśród zamętu, panującego w jej głowie od chwili, gdy poznała straszną prawdę, kilkakrotnie myślała o tej dziewczynie. Ale zbyt silne zmartwienie, które pochłonęło całą jej duszę, zatarło w niej na chwilę przyjaźń dla tego młodego i pięknego dziecka. W chwili atoli, gdy chciała wypędzić swą rywalkę, jak miała do tego prawo, prawie obowiązek, uczucie to obudziło się w niej. Dziwna litość zawładnęła jej sercem i powstrzymała ją wśród wielkiego przedśionka, zdobnego w posągi i kolumnadę, który chciała przejść, by dostać się do salonu. Odwołała służącego, który już brał za klamkę. Uczuła to wrażenie, jakiego ta ostatnia doznawała często, odnośnie do Fanny, współczucie dla boleści, bardzo podobnej do tej, jaką ona cierpiała. Nie mogła podać ręki pani Steno po tem, co się dowiedziała, ani też odezwać się inaczej, jak wskazując jej drzwi. Ale wygłosić wobec Alby choćby jedno zdanie, zrobić ruch, któryby oświecił biedne dziecko o wartości jej matki, nie! to byłaby zemsta zbyt wielka, zbyt nieubлагana! Odwróciła się więc ku drzwiom, prowadzącym do jej pokojów i rozkazała służącemu, by poprosił do niej męża. Wynalazła sposób za-

doścuźnienia swemu słusznemu gniewowi, nie raniąc serca swej, zawsze drogiej, przyjaciółki, która przecież nie temu nie była winna, że dwoje niegodziwców zasłaniało się jej niewiunością.

Wszedłszy do maleńkiego buduaru, poprzedzającego jej sypialnię, usiadła przed biurkiem, na którym stał portret pani Steno, grupa, złożona z Bolesława, Alby i jej samej. Portret ten uśmiechał się uśmiechem pysznego zuchwalstwa i obulził w obrażonej kobiecie gniew szalony, na chwilę litością stłuniony. Wzięła ramki w rękę i rzuciła je na ziemię, druzgocząc szkło nogami, poczem na pierwszej lepszej czystej kartce, jaką spotkały jej palce drżące, poczęła pisać jeden z tych listów, dyktowanych przez namiętność, nie cofających się wobec żadnego wyrażenia:

„Wiem wszystko. Od dwóch lat jesteś pani metresą mego męża. Nie wypieraj się. Widziałam wyznanie, pisane ręką pani. Nie chcę pani ani widzieć, ani mówić z nią. Urządź się tak, by noga twoja w moim domu nigdy nie powstała. Jeżeli cię dziś osobiście nie wypędzam, to tylko przez wzgląd na twoją córkę, ale za drugim razem nie cofnę się przed niezem”.

I właśnie miała zamiar podpisać: Maud Gorska, gdy trzask drzwi, otwieranych i zamykanych, zmusił ją do odwrócenia się. Bolesław stał przed nią. Miał wyraz twarzy obojętny, co jeszcze bardziej rozdrażniło nieszczęśliwą kobietę. Powrócił on przed godziną i dowiedział się, że Maud od-

wiozła na ulicę Leopardiego cierpiącą panią Maitland i czekał na jej powrót z niecierpliwością, zaniepokojony myślą, że siostra Florentyna jest zapewne chorą z powodu pojedynku jutrzejszego i że w tym razie Maud wie także o wszystkim. Są rozmowy, a zwłaszcza pożegnania, których mężczyzna, idący na pojedynek, woli zawsze uniknąć. Choć usiłował się uśmiechnąć, spojrzawszy na żonę, nie miał żadnej wątpliwości. Widoczne jej rozdrażnienie było oczywistym dowodem, że wiedziała o jutrzejszem spotkaniu. Czyż mógł przypuścić, że nietylko dowiedziała się o pojedynku, ale także o miłostkach teraz już skończonych, a których nie podejrzewała nawet przez dwa lata? Ponieważ milczała i milczenie to miało w sobie jakąś groźbę, chciał, dla dodania sobie kontenansu, wziąć ją za rękę i pocałować, jak to zwykle czynił. Odepehnęła go z wejrzeniem, jakiego nigdy jeszcze u niej nie spostrzegł i rzekła, oddając mu kartkę, którą przed chwilą napisała:

— Może przeczytasz ten list wprzód, nim go każę oddać pani Steno, która czeka z córką w salonie?...

Bolesław wziął list. Przerzucił oczami te straszliwe wiersze i zbladł. Tak dalece stracił przytomność, że oddał list żonie, jakby to powinien być zrobić, jak gdyby ta obelga należała się dawnej kochance, którą jeszcze tak kochał, że go-tów był życie dla niej narazić. Człowiek ten,

tak odważny i zręczny, skamieniał wobec niespodziewanego wypadku, stracił poprostu przytomność i władzę nad sobą i patrzył, jak Maud wsunęła list w kopertę, napisała adres i zadzwoniła. Słyszał, jak mówiła do służącego:

— Oddasz ten list hrabinie Steno i wytłumaczysz mnie przed temi paniami... Jestem chora i nie mogę przyjąć nikogo. Gdyby nalegały, odpowiesz, że stanowczo zabroniłam kogokolwiek przyjmować. Słyszysz? stanowczo!...

Służący wziął list, wyszedł z pokoju i zapewne spełnił polecenie. Małżonkowie zostali sami, twarzą w twarz, w milczeniu groźnem, którego żadne z nich przerwać nie śmiało. Czuli, że godzina była uroczysta. Nigdy jeszcze, od chwili, gdy kardynał Manning połączył ich losy w odwiecznej kaplicy zamku Ardrahan, nie znajdowali się w tak tragicznej sytuacji. Chwile takie obnażają do dna charakter. Odważna i szlachetna Maud nie myślała wcale zastanawiać się nad wyrażeniami. Nie szło jej wcale o to, by podniecać swą zazdrość nowemi szczegółami, ani o to, by uczynić dotkliwszą zniewagę, którą miała prawo rzucić w twarz temu człowiekowi, z którym dziś jeszcze rano była tak czułą, tak mu oddaną, tak wierzącą. Nikczemność i okrucieństwo miało być do śmierci obcem dla tej kobiety, która jednak nie zawahała się wobec dumnego postanowienia, jakie powzięła. Nie. Spodziewała się po tym człowieku, którego tak ko-



chała, którego tak szanowała, a który tak nisko upadł, wyznania prawdy, wyznania, w którymby dostrzegła resztek honoru. Jeżeli on jednak milczał, to nie dlatego, by się przygotowywał do zaprzeczenia wszystkiemu. Treść listu Maud nie pozwalała na najmniejszą wątpliwość co do rodzaju dowodów, jakie miała w ręku i jakie dotąd zapewne ma jeszcze. Ale jakim sposobem dowody te otrzymała? Nie stawiał sobie wcale tego pytania, owładnięty zupełnie przez zjawisko, które wykrywało całą dziwną komplikację jego natury. Słowian, może w ogólności, charakteryzuje w sposób wyłączny, pewien rodzaj nadszłości nerwowej, że ją tak nazwiemy, obcej zupełnie dla nas ludzi Zachodu i łacinników. Zdaje się, że istoty te, o sercu niestałym, posiadają zdolność podwajania się, budzenia w sobie uczuć szczególnych, przemijających, niemniej przeto szczerych. Natężenie podniecenia chwilowego robi z nich aktorów dobrej wiary, którzy mówią, jak gdyby odczuwali w sobie uczucia sposobem wyjątkowym, choć tego samego dnia gotowi są doznawać innych z takimże zapałem i z takimże kłamstwem. Bolesław cierpiał naprawdę, że Maud wiedziała o jego romansie, cierpiał za siebie i za nią. Cierpienie to zajęło na kilka chwil, a może na kilka godzin, całe pole jego widzenia dusznego. Przybrał na siebie szczerze charakter małżonka namiętnego i słabego, który kocha swą żonę, choć ją zdradza. W jego miłościach może był taki

odcień, ale bardzo drobny! A jednakże przekonany był, że nie kłamię, nie kłamał wcale, gdy nakoniec przerwał milczenie i rzekł do tej, którą tak długo oszukiwał:

— Zemściłaś się okrutnie, Maud, ale miałaś do tego prawo... Nie wiem kto ci doniósł o błędzie bardzo brzydkim, bardzo niegodziwym, ale też i nieszczęśliwym... Wiem, że tu w Rzymie mam zawziętych wrogów i pewny jestem, że nie zostawili mi żadnego sposobu do obrony, a jeżeli mi go zostawili, to taki, którego użyć nie mogę... Oszukiwałem cię i cierpię nad tem...

Zatrzymał się, wyrzekłszy te słowa, z niekłamany dreszczem przekonania. Zapomniał, że przed chwilą wszedł do tego pokoju ze stałą wolą ukrycia swego pojedynku i powodów jego przed kobietą, dla prześlągania której gotów był w tej chwili bez wahania oddać swe życie. Mówił więc dalej głosem pełnym uczucia:

— Cokolwiek ci powiedziano i cokolwiek wiedziałas, przysięgam ci, że nie wiesz wszystkiego...

— Wiem dosyć — przerwała Maud — wiem, że byłeś kochankiem tej kobiety, matki mej najlepszej przyjaciółki, obok mnie, pod mojami oczami... Jeżeliś cierpiał nad tem kłamstwem, jak mówisz, to nie czekałbyś z wyznaniem mi wszystkiego aż do chwili, gdy wpadły mi w ręce niezaprzeczone dowody twej niegodziwości... Zrzuciłeś maskę, a raczej ja ci ją zerwałam. To mi wystarcza... Co do szczegółów tej ohydnej historyi, racz mi

ich oszczędzić. Nie dla ich słuchania powróciłam do domu, w którym wszystkie kąty przypominają mi, że wierzyłam ci naiwnie, głęboko, ślepo, żeś mnie zdradzał, nie przez jeden dzień, ale ciągle, żeś mnie zdradził jeszcze przedwczoraj, wczoraj, dziś rano, przed godziną... Powtarzam ci, to mi wystarcza...

— Ale mnie to nie wystarcza! — zawołał Bolesław. — Tak! wszystko, co mówisz, jest prawdą i zasługuję na to, co mi mówisz. Ale tego nie mogłaś czytać w tych listach, jakie ci oddano, że od dwóch lat zachowuję w głębi mego serca uczucie dla ciebie, że pomimo tego fatalnego związku, nie przestałem cię kochać... Ach, nie odwracaj się odemnie, nie patrz tak na mnie... Czuję w bólu, jakiego doznaję, gdy do mnie mówisz, że mam coś w sobie, coś, co do ciebie wyłącznie należy. Ta kobieta mogła mi głowę zawrócić, mogła mnie do szaleństwa doprowadzić, mogła pojąć moje zmysły, namiętności moje wszystkie złe instynkta mojej istności... Ty jednak pozostałaś moim bóstwem, mojem sercem, moją religią... Jeżeli kłamał przed tobą, to dlatego, że doskonale rozumiałem, iż w dniu, w którym dowiesz się o moim błędzie, zobaczę cię przed sobą zrozpaczoną i nieprzebraną, jak obecnie nią jesteś, a czego znieść nie mogę... O! sądz mnie, karz, przeklinaj, ale wiedz, że pomimo wszystkiego kochałem cię i Kocham...

Mówił z wybuchem, z uniesieniem nieudanem. Zdradzony tak, jak on i tak boleśnie, rozumiał doskonale wartość istoty tak prawej, jak ta, którą miał przed sobą i którą mógł utracić. Jeżeli jej teraz, w przeddzień pojedynku, nie wzruszy, to kiedyż ją wzruszy? Zbliżył się do niej, z ruchem ubóstwienia błagalnego i namiętnego, jak niegdyś, gdy w pierwszych chwilach małżeństwa, jeszcze przed zdradą, wyznawał jej swą miłość. Wspomnienie to zapewne przyszło Maud na myśl i oburzyło ją, gdyż z wyraźnym wstrętem cofnęła się jeszcze bardziej i zawołała:

-- Lepiej już nie mów! To kłamstwo jest szkaradniejsze od tamtego. Drażni mnie ono nadzwyczajnie. Wstydzę się za ciebie, że nawet nie masz odwagi przyznać się do błędu. Bóg mi świadkiem, że może miałabym jeszcze dla ciebie szacunek, gdybyś mi był powiedział: „przestałem cię kochać i wziąłem metresę. Wygodniej mi było kłamać przed tobą i kłamałem. Poświęciłem wszystko mojej namiętności, honor, obowiązki, przysięgę i ciebie“. Mów tak do mnie, a przynajmniej będę widziała w tobie iskrę poczucia prawdy. Ale gdy mi powtarzasz słowa czułości, po tem, coś mi zrobił, to budzi się we mnie wstręt do ciebie... to jest zbyt przykre i gorzkie..

— Tak-- odparł Bolesław—sąd twój jest naturalnym. Twoja prawość i prostota charakteru zkażdżęby mogła zrozumieć słabość woli, która chce i niechce, która upada i podnosi się? Jed-

nakże, gdybym cię nie kochał, w jakimże celu kłamałbym? Czyż mam powód do jakiegokolwiek względów teraz? Ach, gdybyś wiedziała, w jakich okolicznościach się znajduję, co mnie jutro czeka, to uwierzyłabyś, że nigdy nie przestałem cię kochać...

Było to ostatnie usiłowanie, jakie przedsięwziął dla odzyskania serca małżonki, tak ciężko zranionego. Mówił o pojedynku i sądził, że skoro mu dotąd o nim nie mówiła, to dlatego, że o niczem nie wiedziała. To też zdziwił się nadzwyczajnie, gdy mu odpowiedziała i odpowiedź ta przekonała go, do jakiego stopnia oburzenie obezwładniło w niej miłość do niego. Powtarzał:

— Gdybyś wiedziała?...

— Że się jutro pojedynkujesz? wiem o tem — odrzekła — i wiem także, że o twoją kochankę...

— To nieprawda! — zawołał — to nie o nią...

— Jakto nie o nią? — odparła Maud z wzrastającą energią — to nie z jej powodu poszedłeś na ulicę Leopardiego, by wyzwąć twego rywala? Bo nie była ci wierną i to jest karą zasłużoną. To nie z jej powodu chciałeś dostać się do tego domu, pomimo oporu szwagra tego rywala, i że zawiązała się między wami sprzeczka, a potem pojedynek? Może nie dla niej, nie dla zemścić się powróciłeś z Warszawy, bo otrzymałeś listy bezimienne, które cię o wszystkim uwiadomiły? I wiedząc o wszystkim, ta istota nie obrzydła ci jeszcze?... Gdyby chciała tylko kła-

mac, byłbyś jej do nóg padł i śmiesz mi mówić, że mnie kochasz jeszcze!... Nie umiałeś mi nawet tego oszczędzić, bym o tych wszystkich brudach, o tej hańbie, nie dowiedziała się od ludzi obcych?

— Któż to ci powiedział?—zapytał.—Wymień mi tego Judasza?..

— Nie wymawiaj tego nazwiska — odrzekła Maud z goryczą — nie masz do tego prawa... A zresztą nie potrzebujesz szukać daleko. Widziałam dziś tylko jedną panią Maitland..

— Panią Maitland?—powtórzył Bolesław—więc to pani Maitland zadenuncyowała mnie przed tobą? Więc pani Maitland pisała listy bezimienne?

— Chciała się zemścić—odparła Maud i dodała: miała do tego prawo, bo twoja kochanka zabrała jej męża..

— Dobrze. Ja się także zemszczę — zawołał Gorski—zabiję jej tego męża, kiedy jej tak o niego idzie, zabiwszy jej wprzód brata. Zabiję ich obu, jednego po drugim...

Ruchliwa jego twarz, która przed chwilą wyrażała najżywszą proźbę, ciemniała teraz nienawiścią i gniewem. Taką samą zmianą zaszła w jego myślach bezładnych.

— I na co mam kogokolwiek oszczędzać—mówił dalej—teraz, gdy ty wiesz o wszystkim! To jedno mnie dotąd wstrzymywało... A teraz widzę doskonale, że wszystko między nami skończone. Twoja duma i uraza silniejszą jest w ni-

łości. Gdybyś miała choć odrobinę uczucia dla mnie, prosiłabyś, bym się nie bił i wyrzuty, jakie mi czynisz, czyniłabyś później. Nie przeczę, że masz prawo je robić... Ale teraz, gdy ty mię nie kochasz, biada temu kto mi wejdzie w drogę! biada pani Maitland i tym, których ona kocha!...

— Tym razem przynajmniej jesteś szczerym — odrzekła Maud z goryczą — więc sądzisz, że mało jeszcze doznałem upokorzeń? Chcesz, bym cię błagała, ja, twoja żona, żebyś się nie bił o tę kobietę? Czy nie widzisz, że pojedynek ten jest najwyższą dla mnie obrazą?... A zresztą — kończyła uroczyście — nie prosiłam cię tutaj, by z tobą mówić o rzeczach tak bolesnych i bezużytecznych, ale dla tego, by cię zawiadomić o mem postanowieniu. Mam nadzieję, że nie zechcesz, bym się uciekała w tym względzie do pomocy prawa...

— Nie zasłużyłem na to, byś tak do mnie mówiła — odparł Bolesław dumnie.

— Tej nocy będę tu jeszcze spała — odrzekła Maud, nie odpowiadając na jego słowa — po raz ostatni, a jutro wieczorem pojedę do Anglii...

— Jesteś wolna — rzekł, kłaniając się.

— I zabiorę ze sobą syna — mówiła dalej.

— Naszego syna! — zawołał z chłodem człowieka odzyskującego krew zimą — co do tego, to nie. Nie pozwalam na to.

— Nie pozwalasz? A więc dobrze... będziemy się procesowali!... Wiedziałam dobrze — zawo-

łała z niemiejszą dumą—że zmusisz mię uciec się do pomocy prawa. Ale nie cofnę się przed niczem. Zdradzając mnie, zdradziłeś także własne dziecko. Nie zostawię ci go, nie jesteś go wart...

— Posłuchaj mię, Maud — rzekł Bolesław, po chwilowem milczeniu z tonem bólu w głosie — pomyśl, że może poraz ostatni się widzimy... Jutro, jeżeli polegnę, zrobisz co będziesz chciała... Jeżeli żyć będę, przyrzekam ci, że zgodzę się na wszelkie warunki słuszne... Żądam tego, bo mam do tego prawo pomimo mych błędów, żądam w imię naszych pierwszych lat, w imię tego syna, byś przed ostatecznem naszym rozejściem się, miała dla mnie nie słowa przebaczenia, ale choć litości...

— Czyż miałeś ją dla mnie? — odrzekła — gdyś dla nowych namiętności deptał moje serce? Niel

Powstała i szła ku drzwiom, patrząc nań tak, że musiał oczy spuścić.

— Nie masz już żony i ja nie mam męża. Nie jestem panią Maitland i nie mszczę się listami bezimjennemi ani też denuncyacją. Ale przebaczyć ci? — Nigdy, pamiętaj, nigdy!...

I wyrzekłszy te słowa, w które umiała przelać całą niepokonaną siłę swego charakteru, wyszła. Bolesław nie zatrzymywał jej wcale. Kiedy w godzinę po tej okropnej rozmowie, służący przyszedł uwiadomić go, że waza na stole, nieszczęśliwy człowiek siedział ciągle na tem samym miejscu, z łokciami wspartemi na stole i czołem ukrytem w dłoniach. Zanadto dobrze znał Maud, by



mógł żywić nadzieję że zmieni swe postanowienie, a przytem pomimo swych błędów i szaleństw, był on prawdziwym szlachcicem, więc nie mógł uciec się do środków gwałtownych i zatrzymać ją przy sobie wbrew jej woli. Musiała więc odjechać! Jeżeli przed chwilą mówił o swych uczuciach z przesadą, jeżeli wyobrażał sobie, że nie przestał nigdy jej kochać, to dla tego, że pomimo upadku zachowywał dla niej uczucie odrębne, złożone z wdzięczności, zgryzot, szacunku, i, powiedzmy otwarcie, z samolubstwa! Cenił w niej serce, o poświęceniu się którego dla siebie był pewny, a przytem, jak większość mężów zdradzających żonę wierną, był z niej dumny, choć ją oszukiwał. Wydawała mu się zawsze jako jedyna ozdoba jego życia. Była ona w jego oczach tą, do której zawsze wrócić trzeba, przyjaciółką pewną w dniach próby, portem podczas burzy, pokojem moralnym, gdy go zmacą zawieruchy namiętności. Jakże on będzie żył teraz, gdy go ona opuści? Bo opuści go, postanowienie to było nieodwołalne. Wszystko się zapadało w okół niego. Kochankę, dla której poświęcił serce najszlachetniejsze i najbardziej kochające, utracił w warunkach tak ohydnych, że zbezczeszczyły całe dwa lata ich miłości. Żona odjeżdża i czy uda mu się zatrzymać przy sobie syna? Powrócił, by się zemścić a nawet nie udało mu się widzieć swego rywala! Wobec tylu ciosów człowiek ten wrażliwy nadzwyczajnie doznał takiego zniechęcenia do życia, że z rozkoszą my-

ślał o jutrzejszem spotkaniu, a zarazem gniew szalony ogarniał go na myśl wszystkich tych, którzy byli wmięszani w jego przygody. Byłby rad własnymi rękoma rozerwać panią Steno i Maitlanda, Lidyę i Florentyna, nawet Dorsenne'a, za to że mu dał kłamliwe słowo honoru, które podnieciło tylko przez opóźnienie kilkugodzinne, jego pragnienie zemsty. Ten chaos myśli szalał w nim ciągle, gdy siedział sam przy obiedzie z synem. Jeszcze dziś rano miał wprost siebie uśmiech i oczy żony. Brak tej ostatniej, której wartość oceniał teraz wysoko, był dla niego tak bolesnym, że postanowił zrobić jeszcze jedno usiłowanie i po obiedzie kazał małemu Łukaszowi iść do matki i zobaczyć czy może ich obu przyjąć. Dziecko wróciło z odpowiedzią odmowną:

— Mama leży w łóżku. Prosi, by jej nie budzono...

Wszystko więc przepadło! Nie zobaczy już przed jutrem swego męża, jeśli ten będzie żył. Bolesław bowiem choć przekonał się dziś popołudniu, że nie utracił nic ze swej celności strzałów, ćwicząc się w obecności zachwyconych swych sekundantów, to wszelako pojedynek jest zawsze loteryą. Może zginąć, a jeśli ta możliwość wiecznej rozłąki nie zmiękczyła tej obrażonej kobiety, to jakież proźby ją zmiękczą? Widział ją w myśli w tej chwili, jak w pokoju, z frankami zapuszczonemi, bez światła, cierpiała w ciemności tę mękę, która przeklina ale nie przebacza. Jakże ten obraz był

dłań straszny! I żeby przynajmniej wiedziała jak on cierpi, od świadka, o którego prawdomówności wątpić nie może, wziął syna w objęcia i przyciskając go do piersi, rzekł:

— Jeżeli zobaczysz mamę wprzód odemnie, opowiedz jej jak nam było bez niej smutno. Prawda?

— Ale co ci jest? — zawołało dziecko. — Masz twarz mokrą. Płaczesz?

— Opowiedz jej o tem, pamiętaj — odrzekł ojciec — niech dba o swe zdrowie, widząc jak ją kochamy...

— Ale — zawołał chłopiec — była zdrowa gdyśmy wyszli na spacer po śniadaniu. Była taka wesoła...

— Ja też myślę, że będzie zdrowa — odparł Gorski.

Odesłał syna i chciał wyjść. Był tak straszliwie smutny, że poprostu bał się zostać sam w domu. Ale dokąd iść? Machinalnie udał się do klubu, choć było jeszcze zbyt wczesnie i nikogo tam zastać nie mógł. Jednakże Pietrapertosa i Cibo byli, gdyż obiadowali w klubie, i, leżąc na kanapach, rozprawiali półgłosem z powagą dwóch ambasadorów, zastanawiających się nad kwestyą bułgarską lub egipską.

— Wyglądasz na zdenerwowanego — odezwali się do Bolestawa. Po południu byłeś taki spokojny...

— Powinieneś być — dodał Cibo — z nami jeść obiad, jakeśmy ci to proponowali...

— Kiedy się kto ma strzelać nazajutrz—mówił Pietrapertosa sentencyonalnie—to nie powinien widzieć się ani z żoną, ani z kochanką. Spodziewam się, że pani Gorska nie ma żadnych podejrzeń?...

— Żadnych—odparł Bolesław—ale macie służność. Lepiej byłbym zrobił, gdybym was był nie porzucał. Zresztą, stało się. Zabijmy czarne myśli przy grze i przy kolacyi...

— Przy grze i przy kolacyi!.. — zawołał Pietrapertosa.—A ręka? Pamiętaj o twej ręce. Będzie ci drżała i chybisz przeciwnika... U Gastina widziałem Casala, jak na pięćdziesiąt strzałów jeden zaledwie trafił w kółko, a to dla tego że grał nocy poprzedniej...

— Zjeść obiad lekki — odrzekł Cibo — położy się spać o dziesiątej, wstać o wpół do siódmej, i zaraz wypić dwa jajka na miękko i szklankę starego portu, oto recepta Machaulte'a, którą ci powtarzam...

— A której trzymać się nie będę — rzekł Bolesław i dodał: daję wam słowo, że gdybym nie miał innych kłopotów, jak tylko ten pojedynek, to byście widzieli mnie w całkiem innym stanie...

Wypowiedział to zdanie głosem tragicznym i obaj włosi spostrzegli, że jest szczery. Spojrzeli na siebie i nie nalegali już więcej. Byli za nadto bystrzy i za nadto dobrze znali plotki obiegające po Rzymie, by nie mieli odgadnąć prawdziwej przyczyny pojedynku między Florentynem

i Bolesławem. Z drugiej strony znali doskonale tego ostatniego i nie bardzo wierzyli w szczerłość jego słów. Jednakże tyle było wzruszenia w jego głosie, że im się go żal zrobiło i przez umowę milczącą nie opierali się już w niczem swemu fantastycznemu klientowi, którego opuścili dopiero o godzinie drugiej rano. I dobrze na tem wyszli! Bolesław bowiem uparł się trzymać bank koło północy, mimo wspomnień o tem strzelaniu Casala, i zaofiarował im pewien odsetek od wygranej, tak że po grze prowadzonej szalenie, każdy z nich wygrał około trzystu luidorów. Zyskali tym sposobem możność przedłużenia swego przyszłego pobytu w Paryżu o kilka dni więcej. To też była to prawdziwa szlachetność z ich strony, gdy ubolewali nad szczęściem przyjaciela przy rozstaniu się:

— Lękam się o niego — mówił Cibo. To szczęście w grze w wigilię pojedynku jest złym, bardzo złym znakiem...

— Zwłaszcza, że ktoś tam był — odrzekł Pietrapertosa, robiąc ręką znak odczyniający urok. Za nic w świecie nie wymieniłby osoby, przeciw uroczym oczom której w ten sposób się zabezpieczał. Ale Cibo go zrozumiał i wyjmując z kieszeni spodni zegarek, który przyczepiony był po angielsku łańcuszkiem bezpieczeństwa do pasa, ukazał między brelokami mały róg złoty:

— Trzymałem go ręką przez cały wieczór — rzekł. Najgorzej to, że Gorski spać nie będzie, a wtedy ręka!...

Pierwsza tylko z tych przepowiedni się sprawdziła. Pomiędzy szczególnymi faktami, jakie można zauważyć w pewnych stanach podniecenia nerwowego, znajduje się także ten brak zmęczenia, który zużywa zapewne wszelkie zasoby życia, ale który przez chwilę dokazuje cudów. Bolesław, powróciwszy do domu tak późno, wcale się nie kładł do łóżka. Resztę nocy strawił na pisaniu długiego listu do żony i do syna, który miał mu być oddany w osiemnastym dopiero roku życia, w razie gdyby ojciec teraz uległ nieszczęściu. Potem przejrzał swe papiery i natrafił na paczkę listów, jakie otrzymał od pani Steno. Przeczytawszy niektóre z nich i popatrzwszy na portret tej niewiernej kochanki, wpadł w jeszcze większe rozdrażnienie, tak że włożył to wszystko w jedną wielką kopertę, którą zaadresował do Lincolna Maitlanda. Ale nie zapieczętował jej jeszcze, gdy potrząsnął ramionami i szepnął:

— I na co się to przyda?

Podniósł zasuwę zakrywającą otwór kominka i kładąc kopertę na ruszcie, zapalił ją. Świt zastał go jak pogrzbaczem poruszał szczątki tego, co było najgorętszą, najzupełniejszą namiętnością jego życia, i najdrobniejsze kawałki, przez ogień jeszcze niezniszczone, palił. To nierozsądne przedsięwzięcie nocy, która mogła być dlań ostatnią, wyraziło się zaledwie lekkim poblednięciem jego twarzy. Jednakże przyjaciele, znający go dobrze, przestraszyli się, widząc tę maskę posępnej obo-

jętności, gdy zsiadł ze swego faetonu, koło godziny ósmej przed oberżą, wyznaczoną na schadzki. Powozikowi temu kazał jeszcze wczoraj zjechać dla oszukania podejrzeń żony pod pozorem wycieczki porannej, jak to często był czynił. W chaosie myśli, zapomniał cofnąć rozkazu i dzięki temu zdołał wymknąć się dwu agentom policyjnym, którzy mieli polecenie kwestury czuwania nad pałacym Doria, wskutek denuncyacji Lidy Maitland. Dorożka, jaką wynajęli ei agenci, straciła wkrótce ślad dzielnego konia angielskiego, pędzącego szalenie. Zabiegi więc siostry Chaprona chybiły; niemniej nie powiedło jej się z bratem, który dla uniknienia wszelkich wyjaśnień z Lincolnem, postanowił pod pozorem wycieczki na wieś, obiadować i nocować w hotelu. Tutaj to przyjechali po niego Montfanon i Dorsenne i zabrali go ze sobą w klasyczne lando. Mniej więcej na wysokości cyrku Maksencyusza, na drodze Appijskiej, prześcignął ich faeton Bolesława.

— Możesz być spokojny — rzekł Montfanon do Florentyna — kto w ten sposób męczy sobie rękę, ten celować dobrze nie będzie w stanie.

Było to jedyne napomknienie o pojedynku przez całą drogę, która trwała około godziny. Florentyn rozmawiał jak zwykle; zapytywał się o szczegóły historyczne, dotyczące licznych ruin tej okolicy, a które mogły się przydać szwagrowi; margrabia odpowiadał, przytaczał wspomnie-

nia ożywiająca te rozległe płaszczyny posiane grobowcami, ruinami wodociągów, szczątkami pałaców, rysującemi się na wspaniałem tle gór Albańskich. Dorsenne zato milczał. Był to pierwszy pojedynek, któremu sekundował i ogarniała go trwoga nerwowa. Przecucia tragiczne ścisnęły mu serce; a przytem lękał się, by skrupuły religijne nie obudziły się w Montfanone i by nie był zmuszony szukać innego świadka i tym sposobem odwlec rozwiązanie sprawy na długo. Wszelako walka, jaka się toczyła w sercu „szuana“, między szlachcicem i chrześcianinem, objawiła się w czasie tej drogi tylko znakami ledwie dostrzedz się dającemi. W chwili gdy powóz przejeżdżał obok wejścia do katakumb św. Kaliksta, dawny żołnierz papieżki odwrócił głowę. Potem zaczął mówić z podwójną werwą i umilkł dopiero, gdy powóz skierował się obok grobowca Cecyliusza na boczną drogę w kierunku gościńca Ardeatyńskiego. Tam bowiem znajdowała się „Osteria del tempo perso“, wzniesiona na gruntach należących do Ciba, gdzie miał się odbyć pojedynek. Przed tym domem, na którym ponad szyldem wznosił się herb papieża Inocentego VIII, czekały już trzy powozy: faeton Gorskiego, lando, które przywiozło Ciba, Pietrapertosa i lekarza, i wolna dorożka, w której przyjechał komisyoner. To niezwykle nagromadzenie powozów mogło zwrócić na siebie uwagę żandar mów, kręcących się po okolicy, ale Cibo zaręczał



za milczenie oberżysty, który w rzeczy samej względem swego pana zachowywał się z pokorą wasalą, dość jeszcze pospolitą we Włoszech. Trzej nowo przybyli nie potrzebowali też wcale wyjaśniać powodu swego zjawienia się. Gdy wyszli z powozu, dziewczyna posługująca przeprowadziła ich przez salę ogólną, w której w tej chwili dwóch myśliwych jadło śniadanie, ze strzelbami w ręku i którzy, jak prawdziwi rzymianie, wcale nie zwrócili uwagi na cudzoziemców. Ci z tej sali ogólnej wyszli na małe podwórze a ztąd przez stodołę na obszerną przestrzeń, otoczoną parkanem. Tu i owdzie rosło kilka sosen rozłożystych. Ten plac pusty służył niegdyś za pastwisko dla koni. Cibo, chcąc powiększyć swe dość szczupłe dochody, kupował tanio konie wyranżerowane i sprzedawał je z dobrym zyskiem doróżkarzom. Gdy się ta spekulacya nie powiodła, wygon opustoszał i leżał odłogiem, służąc niekiedy za plac do pojedynków.

— Przybywamy ostatni — rzekł Montfanon, patrząc na zegarek — mimo to o pięć minut zawcześniej... Pamiętaj, dodał cicho, zwracając się do Florentyna — zakryć dobrze ciało. Jak wystrzelisz, natychmiast rękę cofnij i zasłoń głowę...

— Dziękuję—odrzekł Florentyn, patrząc na margrabiego i Dorsenne'a wzrokiem takim, jakim zwykle patrzył na Lincolna — i cokolwiek się stanie jeszcze raz dziękuję panu z całego serca...

Wypowiedział to z wdziękiem, odwaga jego była pełną prostoty, poświęcenie dla szwagra wspaniałomyślne i naturalne; nakoniec w ciągu tych dwóch dni dwaj sekundanci mogli poznać wszystkie zalety tej pięknej natury zupełnie pozbawionej samolubstwa; uścisnęli mu więc rękę ze wzruszeniem prawdziwych przyjaciół. Zresztą musieli się zaraz zająć mnóstwem przygotowań, które do pewnego stopnia dla osób uczuciowych, stanowią zapomnienie położenia. Przygotowania te wobec doświadczenia Montfanona, Cibo i Pietrapertosy zostały szybko ukończone. Przepisy te są bardzo ściśle. W dwadzieścia minut potem obaj przeciwnicy stali naprzeciw siebie. Znak został dany, dwa strzały się rozległy prawie jednocześnie i Florentyn padł na zielsko, spalone przez słońce i zarastające plac cały. Kula trafiła go w udo. Dorsenne opowiadał później bardzo często jako rys szczególniej swej manii literackiej, że w chwili gdy raniony upadł, pomimo niepokoju, jaki go dręczył, patrzył i obserwował Montfanona. Dodawał, że nigdy nie widział twarzy, na którejby w takim stopniu malowało się bolesne rozrzewnienie duszy, jak na obliczu margrabiego, który się właśnie w tej chwili przeżegnał znakiem krzyża św. Był to znów człowiek modlący się w katakumbach, który odszedł od ołtarza męczenników dla tego tylko, by spełnić dzieło miłosierdzia, i, dawszy się unieść gniewowi, wziął udział w pojedynku, za co w tej chwili zapewne błagał

Boga o przebaczenie. Jakież zgryzoty targały sercem tego chrześcianina gorliwego, prawie mistyka, wmięszanego w sposób tak dziwny w sprawę krwawą? Miał przynajmniej tę pociechę, że po pierwszym zbadaniu rannego i przeniesieniu go do pokoju przygotowanego na wszelki wypadek z polecenia Ciba, lekarz oświadczył, że odpowiada za życie Florentyna. Kulę nawet wyjął natychmiast, a ponieważ ani kość, ani żaden organ ważniejszy nie był naruszony, więc wyzdrowienie zupełne mogło nastąpić za kilka co najwyżej tygodni.

— Teraz potrzeba nam tylko — rzekł Cibo, który przyniósł tę wiadomość — spisać protokół...

W chwili gdy wszyscy zamierzali wejść do domu dla spełnienia tej ostatniej formalności, zaszedł wypadek całkiem niespodziewany, który ten pojedynek dotąd zupełnie zwyczajny, miał zmienić na spotkanie pamiętne, o którym nieskończone toczą się rozprawy w klubach i w salach fechtunkowych. Jeżeli Pietrapertosa i Cibo nie przestali od samego rana wierzyć w urok rzucony „przez kogoś“, to znaleźli zupełne usprawiedliwienie swego przesądu. Odtąd będą mieli o czem rozprawać z Casalami, Machaulte'ami i innymi znawcami o jedynym wypadku, w który wmięszanymi zostali. Bolesław Gorski, od chwili, gdy jego przeciwnik upadł, przechadzał się wszcz i wzdłuż, nie dbając widocznie wcale o dowiedzenie się, czy rana była ciężka lub lekka; nagle zbliżył się do

grupy utworzonej przez czterech mężczyzn i głosem bardzo spokojnym, niezapowiadającym nic groźnego, rzekł:

— Jeszcze chwilę, proszę panów, chciałbym kilka słów powiedzieć panu Dorsenne'owi w obecności panów...

— Słucham pana — odrzekł Julian, który nie wątpił, że dawny jego przyjaciel ma jakieś nieprzyjemne względem niego zamiary. Nie mógł przewidzieć formy, w jakiej się te zamiary miały objawić, ale na sumieniu ciążyło mu słowo honoru fałszywie dane.

— To nie potrwa długo — mówił Bolesław z tą samą grzecznością zuchwale ceremonialną — pan wiesz, że mamy ze sobą rachunek do załatwienia... A ponieważ mam powody wątpienia o pańskim honorze, więc pragnę odebrać panu wszelką możność wywinięcia się z tej sprawy.

I nim ktokolwiek mógł oprzeć się temu niesłychanemu postępowaniu, podniósł rękawiczkę i uderzył nią Dorsenne'a w twarz. Gdy Gorski mówił, powieściopisarz zbladł straszliwie, ale nie miał czasu odpowiedzieć na dotkliwą zniewagę, jakiej doznał, takąż samą zniewagą, gdyż trzej obecni tej scenie rzucili się między niego i na pastnika. Odsunął ich ruchem stanowczym.

— Uważajcie panowie—zawołał.— Jeżeliście mi przeszkodzili do wymierzenia panu Gorskiemu na pomnienia, na jakie zasłużył, zmusiliście mię do

żądania innej satysfakcyi. I chcę jej zaraz... nie wyjdę ztąd, dopóki jej nie otrzymam...

— Owszem—odrzekł Bolesław — ja tego tylko pragnę...

— Nie, Dorsenne — zawołał Montfanon, który pierwszy przytrzymał rękę powieściopisarza już podniesioną—nie będziesz się bił w ten sposób... Najprzód nie masz do tego prawa. Trzeba, by upłynęło najmniej dwadzieścia cztery godzin między powodem pojedynku a samym pojedynkiem... Panowie zaś nie możecie sekundować panu Gorskiemu po tem, jak sobie postąpił wbrew wszelkim regułom... Jeżeli się na to zgodzicie, to będzie barbarzyństwem, szaleństwem, wszystkim co chcecie! To nie będzie pojedynek...

— Powtarzam panu — zawołał Dorsenne—że nie wyjdę ztąd i nie pozwolę wyjść panu Gorskiemu, dopóki nie otrzymam satysfakcyi, do której mam prawo...

— Ja zaś oświadczam, że jestem natychmiast na usługi pana Dorsenne'a—dodał Bolesław.

— Bardzo dobrze, moi panowie—odparł Montfanon. Róbcie sobie jak chcecie, my się cofamy. Prawda? — zapytał zwracając się do Ciba i Pietrapertosi, którzy nie odpowiedzieli wprost.

— Zapewne—rzekł pierwszy — wypadek jest wyjątkowy...

— Zdarzało się to jednak nieraz — szepnął drugi.

— A tak—podchwycił Cibo — naprzykład dwa pojedynki jeden po drugim Henryka de Pène...

— Otóż to... jest to pewien rodzaj autorytetu... zakończył Pietrapertosa.

— Tu nie ma żadnego autorytetu — zawołał Montfanon. Co do mnie, nie przyszedłem, by być świadkiem rzezi. i odchodzę... Sądzę, że panowie to samo zrobicie, gdyż nie przypuszczam, byście wzięli furmanów na sekundantów... Do widzenia, Dorsenne. Nie wątpisz chyba o mej przyjaźni, której ci daję dowód prawdziwy, nie pozwalając nac pojedynk w takich warunkach...

Gdy stary szlachcic wszedł do oberży, począł tu dziesięć minut, przekonany, że odejście jego zmusi Ciba i Pietrapertosę do porzucenia tego nowego pojedynku, który do jutra zostanie odłożony. Nie udawał on wcale; gorąca przyjaźń, jaką miał dla Juliana, kazała mu się lękać pojedynku przeprowadzonego w ten sposób, pod wpływem słusznego oburzenia. Gwałtowność szpetna Gorskigo nie pozwoli zapewne na to, by można było uniknąć walki. Ale im większą była zniewaga, tym więcej należałoob stawać przy tem, by warunki spotkania były osądzone chłodno i po ścisłej rozwadze. Zniecierpliwiony wreszcie, Montfanon zażądał od oberżysty, by mu wskazał gdzie zanieosno Florentyna i wszedł na pierwsze piętro domu, do ciemnego pokoiku, w którym lekarz kończył opatrunek ranionej nogi.

— Widzisz pan—rzekł Florentyn ze spokojnym uśmiechem cierpienia—będę kulał najmniej przez miesiąc... A Dorsenne?

— Mam nadzieję, że przyjdzie—odrzekł Montfanon i dodał z rozdrażnieniem — Dorsenne jest waryatem, a Gorski dzikiem bydłociem, które należałoby ubić, jak psa wściekłego.

I począł opowiadać historję policzka, co tak zdziwiło obu słuchaczy, że doktor przerwał swój opatrunek i stał z bandażem w ręku.

— Chcieli się bić zaraz, jak czerwonoskórzy. Mogą się oskalpować potem... A ten Cibo, ten Pietrapertosa, którzy zgadzali się na ten pojedynek, gdybym nie był założył mego veto! Na szczęście brak im dwóch sekundantów i niełatwo jest znaleźć w Kampanii rzymskiej dwóch świadków, którzyby umieli podpisać protokół, jak to teraz jest w modzie... W Paryżu, w r. 1862, miałem takich świadków za 20 franków od osoby... ale tu?...

I zaczął opowiadać tę dawną historję, dla uspokojenia swych obaw, które jednak co chwila się objawiały:

— Zdaje się, że jakoś nie mogą się rozejść. Niemożliwem jednak jest, żeby się bili... Czy nie można ich ztąd widzieć?

Zbliżył się do okna, które w rzeczy samej wychodziło na wygon. Widok, jaki tu spostrzegł, wzburzył go do ostatka.

— Ach, nieszczęśliwi!.. ależ to jest potworne! To waryaci! Znaleźli sekundantów, tych dwóch myśliwych z dołu! Ach, mój Boże! mój Boże!..

Nie mógł więcej mówić. Lekarz rzucił się do okna, dla zobaczenia, co się dzieje, nie uważając, że Florentyn także się tam zawlókł. Jak długo tu stali, kwadrans czy dłużej, nigdy tego nie wiedzieli, gdyż poprostu skamienieli ze zgrozy.

Jak Montfanon przewidział, warunki pojedynku były straszne. Pietrapertosa, który kierował wszystkim, odmierzył znaczną przestrzeń, około pięćdziesięciu kroków i właśnie odznaczał dystans, na dziesięć do dwunastu metrów.

— A więc strzelać się będą do baryery!..— jęknął stary szermierz, znawca wszelkiego rodzaju pojedynków.—Dorsenne i Gorski, ustawieni naprzeciw siebie, zaczęli iść naprzód, podnosząc, lub zniżając broń z powolnością okropną przeciwników, którzy postanowili się zabić. Padł pierwszy strzał. To Bolesław dał ognia i chybił. Dorsenne miał jeszcze kilka kroków do baryery, zrobił je i zatrzymał się, celując z widocznym zamiarem zabicia przeciwnika, gdy nagle Cibo krzyknął:

— Ależ, na Boga, strzelaj pan, strzelajże!..

Julian przycisnął cyngiel, posłuszny instynktownie temu niewłaściwemu rozkazowi, ale tak naturalnemu, że nikt go nie zauważył. Rozległ się huk i wszyscy trzej widzowie, zgromadzeni przy oknie, wydali okrzyk, widząc rękę Gorskie-



go opadającą i pistolet wysuwający się z niej na ziemię. Ale Gorski sam stał nieruchomie.

— To nic—zawołał lekarz—tylko ręka straszakana!

— Bóg okazał nam miłosierdzie, na które nie zasłużyliśmy!...—rzekł margrabia.

— No, przynajmniej teraz ten szaleniec uspokoi się... Zuch Dorsenne!... — rzekł Florentyn, myśląc o szwagrze i dodał wesoło, opierając się na rękę Montfanona i lekarza, by się dostać do kanapy:

— Skończ pan prędko, doktorze, jesteś pan tam potrzebny...

**Alba odgaduje wszystko.**

Lekarz domyślił się doskonale. Kula Dorsenne'a trafiła Gorskiego po nad kostką. Dwa centymetry na prawo, lub lewo i Bolesław byłby padł trupem. Wywinął się skaleczeniem ręki, które miało go zatrzymać przez kilka dni w łóżku a później przez jakiś czas będzie musiał chodzić z temblakiem. To szczęśliwe rozwiązanie wprawiło człowieka namiętnego w rozdrażnienie niesłychane. Gdy przybył do siebie i gdy doktor jego domowy, wezwany na gwałt, opatrzył rękę i kazał mu przez parę dni spoczywać w łóżku, ogarnął go nowy napad bezsilnej wściekłości, większej od tej, jakiej doznał wczoraj i dziś rano. Wszystkie skrytki jego duszy, podniosłe i poziome, krwawiły się razem i zadawały mu cierpienia stokroć gorsze od rany. Przybiegł z Warszawy, przez całą Europę, na to, by zemścić się za zdradę w miłości, a przecież rywała nie dosięgnął. Zamiast wyzwąć go natychmiast w salonie pałacu Steno, czekał i dał czas innemu podstawić się za tego, którego chciał skarcić.

Ten drugi, którego śmierć byłaby nadała charakter tragiczny tej głupiej awanturze, został lekko raniony. Bolesław, policzkując Dorsenne'a, chciał zabić wiarołomcę, którego uważał za zdrajcę najświętszego zaufania. Dał tylko sposobność temu fałszywemu przyjacielowi do upokorzenia go dotkliwego, a w dodatku nie będzie się mógł bić znowu przez długi czas. Żadna z osób, które go obrażyły, nie zostanie ukarana, ani ten rywal nieokrzesany i nikiemny, ani kochanka zdradliwa, ani ten potwór Lidya Maitland, o której niegodziwości się dowiedział! Wszyscy oni byli szczęśliwi i tryumfowali w tym jasnym dniu majowym, a on jęczał na łożu boleści... Przekonali go zresztą o tem bardzo wyraźnie, jeszcze tego samego popołudnia jego dwaj sekundanci, jedyni goście, przed którymi drzwi nie zamknął. Zjawili się oni około godziny piątej. Wracali z wyścigów Tor di Quinto, które się tego dnia odbywały.

— Wszystko dobrze — zawołał Cibo — jestem pewny, że nikt o niczem nie wie... Powiedziałem ci, że ręczę za mego oberżystę, a świadków i woźniców zapłaciliśmy, by ust nie otworzyli...

— Czy pani Steno była z córką na wyścigach?...—zapytał Bolesław.

— Była—odrzekł rzymianin, zdziwiony tem niespodziewanem pytaniem tak, że zapomniał o swej zwykłej dyplomacyi.

— A z kim była?—zapytał znowu raniony.

— Z nikim. Była sama — odrzekł tym razem Cibo z pośpiechem, w którym Bolesław widział wyraźne kłamstwo.

— A pani Maitland była?

— Była z mężem — rzekł Pietrapertosa, nie rozumiejąc mrugań oczami Ciby — cały Rzym zresztą był.

Potem, zajęty jedynie wielką nowiną, zawołał:

— Wiesz o małżeństwie Ardei z małą Hafnerką? Wszyscy troje byli dziś na wyścigach, narzeczeni i ojciec. A jakie mieli miny uszczęśliwione! Wygląda to dość zabawnie. Kardynał Guérillot ma ochrzcić piękną Fanny...

— A Dorsenne był? — zapytał znowu chory.

— Przechadzał się z miną nadętą — mówił Cibo. — Ubawisz się, gdy ci opowiem dziwną jego odpowiedź, jaką ośmielił się nam dać. Zapytaliśmy go, jakim sposobem on, taki nerwowy, widziałeś go przecie przy grze, mógł do ciebie mierzyć bez najmniejszego drżenia. Bo nie można powiedzieć, żeby drżał.. Zgadnij, co odpowiedział?... Że przypomniał sobie radę swego mistrza Stendhala, ażeby powtórzyć cztery wiersze łacińskie przed daniem ognia. A nie można się dowiedzieć, co to za wiersze? — zapytałem. Owszem — odrzekł i począł deklamować: *Tityre, tu patulae recubans...*

— Jeżeli ten młody człowiek nie zadrwił sobie z nas, to żałuję go mocno... — zauważył Pietrapertosa.

Rozmowa tych dwóch braci marmurków zdenrowowała chorego. Powtarzali różne dowcipy i śmieli się swym dźwięcznym śmiechem. Pod pozorem koniecznego mu spokoju pozbył się tych zuchów, o których współczuciu dla siebie był przekonany, od których doznał wiele poświęcenia, ale którzy przykrość mu sprawiali, wywołując przed nim błyszczące radością sylwetki jego nieprzyjaciół. Co prawda, odpowiadali tylko na jego pytania, ale gdy się cierpi, tego rodzaju rozmowa staje się nieznośną. Obecność dawnej kochanki na wyścigach tego samego dnia, rozjątrzyła go nadzwyczajnie. Był pewny, że wiedziała od Maitlanda, którego znów Chapron musiał uwiadomić o podwójnym pojedynku i jego ranie. Wszak o nią się bił i tegoż samego dnia ukazała się publicznie, uśmiechnięta, kokietująca, jak gdyby dwa lata namiętności nie związały ich ze sobą, jak gdyby on dla niej był zwyczajną znajomością światową, gościem, zaproszonym niegdyś na obiad, lub wieczór. Znał doskonale jej charakter i wiedział, jak pożądała zawsze, gdy była zakochana, widoku swego kochanka. Widocznie naznaczyła Maitlandowi schadzkę na polu wyścigowem, jak jemu niegdyś naznaczała — i marlarz pojechał, choć powinien czuwać nad rannym, nad odważnym i szlachetnym szwagrem, któremu pozwolił bić się za siebie! Jakże ten amerykańczyk, samolubny i nieokrzesany, był godnym kochankiem tej niegodziwej istoty! Myśl o tej pa-

rze szczęśliwej szarpała zazdrość ranionego, zazdrość połączoną z niesmakiem i przez dziwną sprzeczność przypomniał sobie swą własną żonę, tę dumną i czułą Maud, którą utracił, podobnie jak utracił Katarzynę Steno. Przypomniał sobie, jak kiedyś chorując, dozorowała go ta słodka, ta święta opiekunka. Widział znów to szczere wejście, z jakim ta małżonka, tak szkaradnie zdradzona, patrzyła na niego, jak nie pozwoliła nikomu go obsługiwać, sama wszystko spełniając. A dziś? dziś pozwoliła mu odjechać na walkę, może śmiertelną, nie spojrzawszy nań wcale. Lekarz opatrzył go w jej nieobecności i nie dawała żadnego znaku życia, nie o niej nie wiedział, prócz tego, co mu syn mówił. Dziecko to kazał zawołać do siebie. Powiedział mu, zgodnie z umową, jaką zrobił z przyjaciółmi, że złamał rękę, schodząc ze schodów. Mały Łukasz odrzekł:

— Ale w takim razie, kiedy z nami się połączysz? Mama powiedziała, że jedziemy dziś wieczorem, lub jutro, do Anglii. Wszystko już jest zapakowane...

Dziś wieczór, lub jutro? A więc Maud spełnia swą groźbę; odjeżdża na zawsze, bez żadnych wyjaśnień. Nie będzie więc mógł jeszcze raz bronić swej sprawy przed tą kobietą, która z pewnością nie odpowie na nowe wezwanie, skoro w swej obrażonej dumie znalazła dość siły do zachowania się obojętnie w chwili, gdy on szedł prawie na śmierć. Wobec takiego zapadnięcia

się wszystkiego, takich ruin dokoła siebie, Boleśław wpadł w głębokie zniechęcenie, w zniechęcenie zupełne, nieuleczalne, w którym niema już żadnych nadziei, żadnych pragnień, jest tylko żądza zaśnięcia na zawsze. Jednakże zadawał sobie ciągle pytanie:

— A gdybym jeszcze raz spróbował?...

I odpowiadał sobie:

— Nie będzie chciała...

Gdy tak rozmyślał, służący wszedł z doniesieniem, że pani hrabina chce się z nim widzieć. Taki miał zamęt w głowie, że przez chwilę myślał, iż to idzie o hrabinę Steno i zdziwił się, widząc wchodzącą żonę. Przez te kilka dni doznał tylu wrażeń, taki był natłok wypadków, że stracił sąd o rzeczach, mimo to, nawet pod lufą pistoletu Dorsenne'a nie był tak wzruszony, jak teraz, gdy spostrzegł zbliżającą się do swego łóżka, to wcielenie żyjącego wyrzutu. Twarz Maudy, ta młoda i świeża twarz, na której zwykle błyszczała piękność krwi, odnawianej ciągle przez używanie, zwyczajem angielskim, świeżego powietrza i ćwiczeń codziennych, nosiła niezaprzeczane znaki łez, zgryzoty, bezsenności. Bładość policzków, obwódki ciemne koło oczów, suchość warg i wyraz goryczy na nich, drzenie powiek, wymowniej niż słowa mówiły o straszliwym wstrząśnieniu, które tę istotę wyrzuciło z równowagi życia. Te dwadzieścia cztery godzin wywarły na nią skutek taki, jaki wywiera długa

choroba, gdy sama istota życia jest zakłócona. Stała się inną osobą. Ta zmiana, tak tragiczna i tak uderzająca, spowodowała, że Bolesław zapomniiał o własnych troskach. Uczuł żal niezmierny i zdziwienie, gdy żona, tak widocznie dręczona zgryzotą, usiadła przy nim i gdy spostrzegł w jej oczach nieprześlągany chłód. Jednakże była tu, i ta jej obecność niespodziewana stanowiła dla niego, nawet w tych smutnych warunkach, słodycz nieskończoną i rzekł z tym giętkim, napół dziecinnym wdziękiem, który umiał przybrać, gdy się chciał podobać:

— Przekonałaś się, że byłoby to okrucieństwem wyjechać bez widzenia się ze mną. Nie śmiałem cię o to prosić, a jednak jest to jedyną dla mnie pociechą, której pragnąłem... Dziękuję ci, bardzo ci dziękuję...

— Nie dziękuj mi — odrzekła Maud, wstrząsając głową — nie dla ciebie tu przyszedłam. Przyszedłam tu przez wzgląd na obowiązek... Pozwól mi mówić... — dodała, wstrzymując ruchem ręki odpowiedź ranionego — będziesz później odpowiadał... Gdyby szło tylko o mnie i o ciebie, powtarzam, nie zobaczyłabym cię więcej... Ale mamy syna...

— Ach! — zawołał z boleścią Bolesław — więc przyszedłaś tu po to, żeby mi jeszcze bardziej dokuczyć... Mogłaś sobie jednak pomyśleć, że nie jestem w stanie dyskutować z tobą w tej kwestyi... Zdaje mi się, że ci już powiedziałem, że nie bę-



dę opierał się twym prawom, byleś ty się moim nie opierała..

— Nie mam zamiaru mówić z tobą o moich, lub twoich prawach—przerwała Maud—ale o prawach naszego dziecka. Gdym odeszła od ciebie wczoraj, cierpiałam zanadto, bym nad czem innym mogła się zastanowić. Wtedy, w tem konaniu moralnem, przypominałam sobie pewne zdanie mego ojca, które powtarzał często: gdy doznajesz cierpień, przypatrz się dobrze temu cierpieniu, a dowiesz się zawsze czegoś nowego dla siebie. Zawstydziłam się mej słabości i przypatrzyłam się mym cierpieniom. Dowiedziałam się najprzód, że słusznie należy mi się kara za to, żem poszła za mąż wbrew radom i poglądom mego biednego ojca...

— O! nie wypieraj się naszej przeszłości—zawołał młody człowiek — tej przeszłości, która mi jest drogą, mimo wszystko...

— Nie, nie wypieram się jej—odparła Maud—gdyż odwołując się do niej, przypominając sobie wrażenia ówczesne, znajduję w nich nie usprawiedliwienie, ale wyjaśnienie twego postępowania.. Przypominałam sobie, coś mi opowiadał o niedoli swego dzieciństwa i młodości; jakieś różnice między matką i ojcem, przepędzając pół roku u jednego, drugie pół roku u drugiego z rodziców, nie chcąc, nie mogąc ich sądzić, zmuszony ukrywać uczucia swe dla nich. Zrozumiałam po raz pierwszy, że ten rozdział rodziców musiał ci

serce napoić boleścią w tej epoce. On to zepsuł twój charakter... i w dziejach twego życia czytam historię Łukasza.. Słuchaj mnie, Bolesławie, mówię do ciebie tak, jakbym mówiła do Boga. Gdy ta myśl przyszła mi do głowy, nie miałam wcale zamiaru znów żyć z tobą. Byłoby to dla mnie zbyt ciężkiem. Nie! mówiłam sobie, zabiore syna, będzie ulegał tylko moim wpływom.. Tak stały rzeczy dziś rano, gdy cię ujrzałam odjeżdżającego, poświęciłeś mi jeszcze raz! Gdybyś naprawdę żałował swych błędów, czy dopuściłbyś się tego nowego względem mnie afrontu? A później, gdy powróciłeś, gdy mi powiedziano, że masz rękę strzaskaną, chciałam sama powiedzieć Łukaszowi, że jesteś chory... Zobaczyłam, jak on cię kocha, jakie miejsce zajmujesz już w jego sercu i zrozumiałam, że choć prawo mi go daje, bo wiem, że mi go daje, to jego wiek dziecienny będzie taki sam, jak twój, jego młodość taka, jak twoja.. I wtedy (mówiła ze wzruszeniem, przebijajacem się po przez dumę), choć mówisz o prawie, postanowiłam nie korzystać z niego, nie czynić zamachu na ten szacunek tak czuły, na to uczucie, jakie on ma dla ciebie i przyszłam ci powiedzieć: zrobiłeś mi dużo złego, zabiłeś we mnie coś, co się nigdy nie odrodzi. Czuję, że długo będę dźwigała na mej duszy i sercu ciężar na myśl, żeś mógł mnie tak zdradzić, jakżeś ty mnie zdradził. Ale czuję także, że dla syna naszego taki rozdział, na który byłam

zdecydowana zupełnie, będzie zbyt niebezpiecznym. Sądzę, że znajdę dość sił w sobie na to, by dalej żyć wspólnie... Ale natura ludzka ma swe granice i tę siłę znaleźć mogę, ale pod jednym warunkiem...

— Pod jakim?—zapytał Bolesław.

Mowa Maudy (gdyż była to mowa obmyślana, w której każde zdanie było rozważone przez to sumienie skrupulatne) odróżniała się nadzwyczajnie swą wyrozumowaną jasnością od stanu podniecenia nerwowego, w jakim żył od dni kilku. Była ona dla niego o wiele przykrzejsza od najgwałtowniejszych wyrzutów. Niektóre z jej zdań, jak np. zdanie o jego charakterze zepsutym, dotknęły go jak każda prawda, do której się nie przyznajemy, choć wiemy, że jest tak. Miłość własna uciuła się tem obrażona. Współcześnie doznał wzruszenia na myśl uczuć swego syna i zrozumiał, że jeżeli teraz nie pogodzi się z Maudą, to już nigdy się nie pogodzi. To też mówił:

— Tak, pod jakim? Choć mówisz do mnie bardzo surowo i choć mogłabyś mi to samo powiedzieć innemi słowami, choć bardzo mi jest przykro, że na podstawie jednego błędu potępiasz mój charakter, jednakże kocham cię, kocham mego syna i z góry podpisuję się na twoje warunki. Zbyt szanuję twój charakter, bym mógł wątpić, że warunki te nie zgodzą się z moją godnością. Co do dzisiejszego pojedynku, wiesz do-

brze, że zapóźno już było cofać się bez narażenia honoru...

— Chciałabym, żebyś mi najprzód przyrzekł— odrzekła pani Gorska, nie zwracając uwagi na ostatnie słowa— że przez cały czas, gdy będziesz się leczył, nikogo nie będziesz przyjmował, tak samo, jak ja... Nie zniosę tej kobiety u siebie, ani też nikogo, któryby mi o niej mówił, lub któryby tobie o niej mówił...

— Przyrzekam ci to — odrzekł Gorski, który ucieszył się niezmiernie z tego pierwszego dowodu, że zazdrość o kochankę była jeszcze tak żywą wśród urazy żony i dodał z uśmiechem: nie będzie to zbyt wielkiem poświęceniem... Następnie?...

— Następnie... jak tylko lekarz zezwoli, pojedziemy do Anglii. Zostawimy rozkazy, by wszystko tu sprzedano. Na przyszłą zimę osiadziemy, gdzie będziesz chciał, ale nigdy już w tym domu, ani w tem mieście...

-- Dobrze— odrzekł Bolesław— i to także nie jest żadnem poświęceniem... Cóż więcej?...

— Nakoniec— szepnęła głosem stłumionym, jakby się samej siebie wstydzila— nigdy nie będziesz do niej pisał, nigdy nie będziesz chciał się dowiedzieć, co się z nią dzieje...

— Daję ci na to słowo — zawołał Bolesław i wziął ją za rękę— coź więcej?

— Już nic— odrzekła, cofając rękę, ale wolno. I jak gdyby chciała wprowadzić w czyn swe

przyrzeczenie przebaczenia, poprawiła własnoręcznie pod głową chorego poduszkę, która się nieco usunęła.

— Nie, moja szlachetna Maud, jest jeszcze coś—mówił on tymczasem.—Tem czemś jest to, że dowiodę ci tego, com wczoraj mówił, to jest, że pomimo mych błędów, kocham cię zawsze. Dziś zjawiasz się przedemną, jako matka, ale ja chcę mieć żonę, moją drogą żonę i odzyskam ją...

Nie odpowiedziała nic. Słuchając ostatnich jego słów, doznała wrażenia, które nigdy już w niej zatrzeć się nie miało. Pod wpływem boleści, jaka ją dotknęła, nabyła świadomości głębokiej o naturze swego męża, o tej giętkości słowiani-  
na, która ją niegdyś tak zachwyciła, a która teraz grozę w niej budziła. Człowiek ten, o sumieniu ruchliwym i miękkim, już sobie przebaczył. Wystarczał mu ten projekt zgody, rozłożonej na długie lata, by mieć nadzieję jak najlepszą i był przekonany, że spełni wzięty na siebie obowiązek. Przez tydzień, który upłynął między tą rozmową a odjazdem, ściśle wypełniał słowo, dane swej żonie. Napróżno Cibo, Pietrapertosa, Hafner, Ardea usiłowali dostać się do niego, a gdy znalazł się w pociągu, unoszącym go do Florencyi, zapytał się żony z dumą, tym razem przez fakta usprawiedliwioną:

— Jesteś ze mnie zadowolona?

— Jestem zadowolona, żeśmy Rzym opuścili—odrzekła wymijająco i było to prawdą podwój-

nie. Najprzód nie miała żadnych złudzeń co do tej energii moralnej, z której Bolesław był tak dumny. Wiedziała, że ta wola chwiejna była na łasce pierwszego lepszego wrażenia. A przytem, nie wyznała tego wcale przed mężem, że do boleści zdradzonej małżonki przyłączyła się boleść złamanej przyjaźni. Nagłe wykrycie hańbiącego postępowania matki Alby, nie zabiło w niej silnego przywiązania, jakie miała dla tej dziewczyny i przez cały ten tydzień, ciągle się niepokoiła.

— Co ona sobie o mnie pomyśli? Co jej powiedziała matka? Czy zrozumiała wszystko?

Ilekroć wychodziła z domu, zawsze sobie zadawała pytanie:

— A jeżeli ją spotkam?

Ilekroć obaczyła listonosza, drżała, by nie ujrzała koperty z pismem Alby, tem pismem nieregularnem i nerwowem, zdradzającym tajny brak równowagi w tem dziwnem dziecku. Tak kochała „biedną małą duszyczkę“, jak nazywała z angielska hrabiankę. Polubiła ją tą szczególną przyjaźnią, jaką miewają młode kobiety dla dziewcząt, jest to uczucie bardzo silne i bardzo delikatne, podobne w swem odcieniu do miłości siostry starszej dla młodszej. Wchodzi w nie trochę naiwnej protekcyonalności, trochę smutku wdzięcznego i romantycznego. Starsza przyjaciółka zwykle jest surową i karcącą. Usiłuje ona okiełznać zbyt liczny zapal przyjaciółki młodszej, którego jej zazdrości. Słucha i wywołuje nawet zwierze-

nia z powagą doradczyni, której doświadczenie jest jeszcze tak świeżem. Przyjaciółka młodsza jest ciekawą i dziwi się wszystkiemu. Pragnęłaby poznać całą prawdę, cały szereg tych myśli i wzruszeń, które towarzyszą ostatnim latom panieństwa. A jeżeli jeszcze, jak to właśnie było z Albą Steno, zachodzi pewne nieporozumienie między tą młodą przyjaciółką a matką, to wtedy to uczucie dla siostry z wyboru nabiera takiej głębokości, że nie można go zerwać bez dotkliwego bólu dla jednej i drugiej strony. Dla tego to wierna i szlachetna Maud, wyjeżdżając z Rzymu, doznawała zarazem radości i zgryzot—radości, że nie będzie potrzebowała tłumaczyć się przed Albą; zgryzoty, gdyż ta myśl, że nigdy nie będzie się mogła usprawiedliwić przed swą przyjaciółką, że nigdy jej kochać nie będzie mogła otwarcie, tak ją kocha skrycie, sprawiała jej przykrość. I patrząc na miasto ginące w oddali, z szeregiem migotliwych świateł, szeptała:

— Niech mnie sędzi źle, ale nie odgadnie nigdy przyczyny... Któż jej teraz przeszkodzi oddać się zupełnie uczuciu dla tego Dorsenne'a niebezpiecznego i zradliwego? Kto ją pocieszy w smutku? Kto ją obroni przed matką?... Mógłbym źle zrobić, pisząc do tej kobiety list, który jej oddano w obecności córki... Biedna mała duszyczko!... Niech cię Bóg ma w swej opiece!...

I zwróciła się do syna i pieścić się z jego włosami poczęła, jak gdyby przez oczywistość obo-

wiązku chciała zapobiedz tęsknocie, która ją dręczyć zaczynała, na myśl o uczuciu, jakie na zaw sze poświęciła. Była to natura zbyt czynna, zbyt przywykła do brytańskiej cnoty *self control*, by zagłębiać się miała w żale próżne i bezowocne. A jednak jeszcze dziś, po wielu miesiącach, które upłynęły od smutnych wypadków, jakie rozegrały się po jej wyjeździe, nie może się powstrzymać od dreszczu gdy sobie przypomni przecucie, jakie nią owładnęło w kącie wagonu, przecucie katastrofy zawieszanej nad niewinną głową Alby. Los „biednej małej duszyczki“ zależny był od innych osób i wyrzuty, jakie sobie robiła Maud, z powodu okropnego listu, który przesłała pani Steno, były bardzo słuszne.

Kiedy służący oddał ten list hrabinie mówiąc, że pani Gorska nie może jej przyjąć, z powodu niezdrowia, Alba Steno chciała pobiedz do pokoju swej przyjaciółki:

— Chcę ją uścisnąć i zobaczyć, czy czego nie potrzebuje — powiedziała.

— Kiedy pani hrabina zabroniła kogokolwiek przyjmować — odrzekł służący z zakłopotaniem, a w tejże chwili pani Steno, która już przeczytała list, rzekła głosem, który zdziwił Albę, tak był wzburzony.

— Chodźmy ztąd. I ja także nie czuję się dobrze...

Ta kobieta, tak dumna, tak przywykła do tego, że wszystko ugięło się przed jej wolą, za-



drżała boleśnie pod straszną zniewagą słów, które ją wypędzaly z taką sromotą, ją, Katarzynę Steno! Zbladła okropnie, twarz jej się zmieniała i po raz pierwszy i ostatni Alba ujrzała matkę drżącą na całym ciele. Ale trwało to tylko chwilę. Już na dole energia obudziła się w tym dzielnym charakterze, stworzonym do wzruszeń silnych i do zmian nagłych. Jakkółwiek jednak wzruszenie to było przelotnem, zauważyła je jednak Alba i była niem żywo dotknięta. Na chwilę nawet nie wątpiła, że list był przyczyną tej nadzwyczajnej zmiany w postawie i zachowaniu się hrabiny. Niemniej niezwykłem było to, że Maud nie chciała jej, przyjaciółki, przyjąć. Cóż się więc działo? Co zawierał ten list? Co przed nią ukrywano? Jeżeli wczoraj odgadła, że między matką i Bolesławem Gorskim odbyła się scena gwałtowna i z tego powodu uczuła „ukłócie szpilki“, to teraz czyż mogła być spokojną wobec stanu, w jaki wprawiło tę matkę kilka wierszy żony Bolesława? Przyszły jej na myśl denuncyacje bezimienne, a z niemi wszystkie te podejrzenia, które napróżno od siebie odpychała od tak dawna. Niekiedy pewne przypuszczenia tak silnie przyczepiają się do danych faktów, że stają się nieomal pewnością. Tego rodzaju przypuszczenia owładnęły, niestety, Albą. Pemyślała sobie, że może jaki wypadek, może takąż sama denuncyacja, uwiadomiła Maudę o stosunku pani Steno z Bolesławem i że w tem leżała przyczyna gro-

zy, jaką list ów sprawił hrabinie. Ta ostatnia, jakkolwiek nie wiedziała wcale, że w duszy córki oddawna rozgrywa się dramat moralny, którego ustępem decydującym była scena powyższa, to jednakże zanadto była przebiegłą, by nie miała zrozumieć, że wzruszenie jej było zbyt widocznem i że trzeba powód jego wyjaśnić. A przysiężenie zerwanie z Maudą było nieuniknionem i przyczynę jego należy Albie wytłomaczyć. Ta matka, tak winna, a zarazem tak oddana swemu dziecku, powziąwszy tę myśl, zaraz ją wprowadziła w wykonanie:

— Zgadnij, co mi Maud napisała?... — rzekła nagle do córki, gdy siedziały obok siebie w powozie.

Słowa te rozlały balsam na duszę Alby. Matka pokaże jej list! Ale radość ta nie trwała długo. List został tam, gdzie go hrabina wsunęła, zgniółszy go wprzód nerwowo; włożyła go za rękawiczkę i mówiła:

— Obwinia mnie, że jestem przyczyną pojedynku między jej mężem i Florentynem Chapronem i zrywa stosunki w tym liście, nie zobaczywszy się wprzód ze mną, nie rozmówiwszy się jak należy....

— Jakto? Bolesław Gorski bije się z Florentynem Chapronem?—zapytała ze zdziwieniem Alba.

— Tak, wiedziałam już o tem od Hafnera. Nie mówiłam ci, bo nie chciałam cię martwić, ze względu na Maud i jeżeli czekała tak długo na

nią, to tylko dlatego, by ją uspokoić... I tak mi się pięknie wywdzięczyła za moją przyjaźń!... Zdaje się, że Gorski obraził się na Chaprona, z powodu jakiegoś zdania o polakach, jednego z tych zdań nieuzasadnionych i głupich, jakie codziennie dają się słyszeć o różnych narodach, o nas, włochach, o francuzach, anglikach, Niemcach, żydach, a które niczego nie dowodzą... Powtórzyłam żartem to zdanie przed Gorskim... Osądź sama. Czyż to moja wina, że człowiek ten, zamiast roześmiać się z tego, poleciał i znieważył Florentyna, czego rezultatem jest ten głupi pojedynek? I Maud pisze, że mi nigdy nie przebaczy, że jestem złą przyjaciółką, że zrobiłam to naumyślnie, by jej męża rozdrażnić!... Ano, niech sobie czuwa nad swym mężem, niech go zamyka, kiedy jest waryatem! I ja ich przyjmowałam u siebie, jak Bóg wie kogo, zaznajomiłam ich ze wszystkimi w Rzymie i przed chwilą o niej tylko myślałam!... Słyszysz—dodała, ściskając rękę córki z wściekłością o tyle szczerą, o ile jej słowa były kłamstwem — zabraniam ci widzieć się z nią i pisać do niej. Jeżeli mnie nie przeprosi za swój list grubiański, to nie chcę jej znać wcale. Zanadto byłam dobra i mam teraz!...

Alba, słuchając tego opowiadania, po raz pierwszy w życiu była pewną, że matka jej kłamie. Od chwili, gdy podejrzenie zbudziło się w jej duszy, odnośnie do tej ostatniej, jej uwielbienie i miłość dla matki ulegała ciągłym zmianom.

Jednakże po każdej rozmowie z matką, podejrzewania te znikały. Pochodziło to ztąd, że pani Steno po za swą niemoralnością miłosną, miała naturę szczerą i prawą. Ktokolwiek znał ją bliżej, wiedział, że nie była ona wcale aktorką. Właściwe jej zuchwalstwo i pewien rodzaj pogody, z jaką oddawała się swym namiętnościom, zacieśniał zupełnie jej rozpustę i budził w nią wiarę. A przytem nie kłamała ona nigdy, chyba w ostateczności. Odrazą, jaką czuła do wszystkiego co małe i poziome, nakazywała jej w większości wypadków nie odzywać się wcale, milczeć, co prawie zawsze najlepszym bywa środkiem do ukrycia prawdy. Gdy już w ostateczności musiała się uciec do kłamstwa, to starała się, by kłamstwo to było prawdopodobnem i prostem. Tak sobie postąpiła i teraz. Florentyn w rzeczy samej miał zwyczaj powtarzać nieustannie rozmaite dowcipy, dotyczące różnych narodów, dowcipy niesmaczne i niesprawiedliwe. Sama Alba nieraz i nie dwadzieścia razy słyszała, jak ten zacny ztądinąd człowiek wygłaszał tego rodzaju żarty tanie i łatwe, o które w ostateczności ktoś, usposobiony drażliwie mógł się obrazić. Nic więc nie było w tem nadzwyczajnego, że tego rodzaju okoliczność mogła wywołać pojedynek między Gorskim i Chapronem. Ale z drugiej strony ten Chapron był szwagrem Maitlanda, nowego przyjaciela, którym się zajęła pani Steno, podczas nieobecności polaka. Szwagier to był zresztą

niezwykły. Dorsenne mawiał o nim, że „gotów jest spalić cały Rzym, żeby ugotować jajko dla męża swej siostry“... Kiedy więc pani Steno powiedziała córce o tym pojedynku, ta natychmiast wyprowadziła z tego wniosek, że „Florentyn bije się w zastępstwie swego szwagra“... I o kogo? o nikogo innego, tylko o panią Steno! Jednakże myśl ta nie byłaby długo trwała w głowie młodej dziewczyny, wobec prawdopodobnego bardzo wyjaśnienia hrabiny, gdyby Alba nie znajdowała w sercu swem dostatecznych dowodów na to, że matka nie mówi jej prawdy. Alba kochała Maud Gorską i była przez nią gorąco kochaną. Znała ona doskonale delikatną wrażliwość tej wiernej przyjaciółki i nawzajem przez nią była pod tym względem znaną. Skoro więc Maud zrobiła to, co zrobiła, skoro napisała do matki list, którego następstwem ma być nieuniknione zerwanie stosunków, to musiała mieć przyczyny bardzo ważne, prawie okropne. Do tych dowodów moralnych, przyłączył się wkrótce dowód materyalny. Znała przecież dobrze charakter hrabiny i jej przyzwyczajenia i jeżeli ta nie pokazała zaraz listu Maudy swej córce, to dlatego, że list ten niemożliwym był do pokazania komuś... Naprawdę Alba odpychała od siebie te podejrzenia; napróżno starała się przekonać, że wieczorem, nazajutrz, na trzeci dzień wreszeie, otrzyma także od swej przyjaciółki list, który poprze wyjaśnienia matki. Nazajutrz atoli do-

wiedziała się tylko o całym przebiegu pojedynku, którego historię Maitland opowiedział pani Steno, o dzikiej napaści Gorskiego na Dorsenne'a, o zimnej krwi tego ostatniego i o ostatecznym wyniku podwójnego spotkania.

— Widzisz więc — mówiła jej matka, że mam rację, uważając Gorskiego za waryata...— Zdaje się, że dostał napadu szaleństwa po tym pojedynku, choć został raniony, i że go pilnują bacznie i nikogo do niego nie puszczają... Teraz rozumiesz, dlaczego Maud mnie czyni odpowiedzialną za ten wybuch waryactwa, które, jak się zdaje, jest dziedzicznym w rodzie Gorskich...

I w rzeczy samej taką bajkę wenezyanka i jej przyjaciele, Hafner, Ardea i inni, rozpuścili po Rzymie, dla zmniejszenia doniosłości skandalu. Zwykła to rzecz u kobiet, które podnieciły namiętności w mężczyźnie aż do szaleństwa nieomal, że dla odjęcia wszelkiego znaczenia jego słowom i czynom, oskarżają go o waryactwo. W tym wypadku, wściekłość Bolesława i dwa jego pojedynki w ciągu kwadrausa, bez żadnych, jak się zdawało, powodów, najprzód z Florentynem Chapronem, potem z Dorsennem, dawała pewien pozór prawdy temu oszczerstwu. Gdy się dowiedziano na mieście, że pałacyk Doria jest zamknięty, że Maud Gorska nikogo nie przyjmuje, że nakoniec wywozła męża w sposób wyglądający na ucieczkę, nie wątpiono wcale o pomieszananiu zmysłów Gorskiego. O romansie pani Ste-

no z tym nieszczęśliwym nie mówiono wcale, chyba tyle tylko, że wystawiała się na straszne niebezpieczeństwo, gdyby to szaleństwo u niej było wybuchło. Z drugiej strony opinia stanowczo się oświadczyła przeciw sekundantom, którzy pozwolili, pomimo wyraźnego waryactwa, na podwójny pojedynek. Powstało z tego powodu takie mnóstwo sprzeczek gwałtownych, że aż władza na to zwróciła uwagę i gdyby nie wpływ jednego z krewnych Pietrapertosy, który zajmował przeważne stanowisko w ówczesnym gabinecie, bohaterowie tej awantury byłiby oddani pod sąd. Tymczasem była ona głównym przedmiotem rozmów, tak dalece, że nawet dziwne ożenienie się Ardei, chrzest Fanny Hafner, sprzedaż pałacu Castagna, zdarzenia o wiele ważniejsze w oczach towarzystwa rzymskiego zeszły na plan drugi. Dwie osoby tylko zyskały na tej historii, której początek pokryty był tajemnicą, dzięki ostrożnościom, przedsięwziętym przez Cibo. Jedną z tych osób był oberżysta w Tempo Perso, którego prosta *bettola* stała się przez te kilka dni prawdziwym miejscem pielgrzymki, dzięki czemu sprzedał on niesłychaną ilość wina albano i jajek na mięko. Drugą był wydawca Dorsenne'a, od którego księgarze rzymscy zamówili setki tomów.

— Gdybym miał taką historię w Paryżu—mówił powieściopisarz do pani Steno—możebym doznał upojenia, jakie daje trzydzieści tysięcy sprzedanych egzemplarzy...

Zart ten wygłosił on w kilka dni po odjeździe Gorskigo, przy wyjściu z wystawnego obiadu na dwadzieścia cztery nakryć, wydanego w pałacu Steno na cześć Peppina Ardei i Fanny Hafner. Odzyskawszy, w skutek swego pojedynku, łaskę u hrabiny, stał się niejako członkiem rodziny, gdzie tym częściej bywał, im bardziej wzrastający smutek Alby, zaczął go coraz żywiej zajmować. Zagadkowość charakteru młodej panny zwiększała w nim zaciekawienie, tak dalece, że pomimo upałów, zapowiadających już nastanie niebezpiecznego lata w Rzymie, odkładał z dnia na dzień powrót do Paryża. Czy odgadła powody pojedynku, o którego szczegóły dopytywała się ze wzruszeniem widocznem w jej oczach tak błękitnych, tak jasnych, przejrzystych i tajemniczych zarazem, jak wody niektórych jezior alpejskich, leżących u stóp lodników? Uważał za właściwe zaprzeczać w sposób stanowczy szaleństwu Bolesława Gorskigo, wiedząc doskonale, że pogłoska ta niema żadnej podstawy. Ale zaprzeczanie to nie usuwało pani Steno z całej awantury i w ogóle było złym w tym względzie środkiem. Może też dlatego widział, w ciągu tego opowiadania, piękne, zażawione oczy Alby, pokrywające się zasłoną smutku niewytłomaczonego, jak gdyby złą jej powiedział nowinę. Nie pojmował tego, że gdy zdanie o pomieszaniu zmysłów Gorskigo, Alba po raz pierwszy usłyszała, poczęła w ten sposób rozumować:



— Jeżeli Bolesław jest waryatem, jak to wszyscy jednogłośnie utrzymują, to dlaczego Maud, którą znam i która mnie kocha, składa odpowiedzialność za ten pojedynek na moją matkę, tak dalece, że pogniewała się nawet na mnie i odjechała, nie napisawszy mi ani słówka?... Nie, w tem jest coś innego...

I przypomniawszy sobie fizjonomię matki w chwili, gdy czytała list Maudy, zrozumiała wszystko. Scenę tę, choć już półtora tygodnia od niej upłynęło, miała ciągle przed oczami; widziała nieustannie tę twarz, tak zwykle pewną siebie i wyniosłą, wzruszoną do głębi i zaniepokojoną. W rzeczy samej „biedna duszyczka“, nie mogła pozbyć się tej myśli, że jej matka nie jest kobietą uczciwą...

Była to myśl tym straszniejsza, że Alba całkiem niewinna fizycznie, oddawna już utraciła nieświadomość dziewczęcą. Słuchając nieraz rozmów zbyt swobodnych w salonie matki, obczytana w romansach, które jej bez wyboru wpadały w rękę, wiedziała, że słowo kochanek i kochanka znaczyło pewien określony związek fizyczny— i stosując te wyrażenia do stosunku matki, najprzód z Gorskim, a potem z Maitlandem, cierpiała nadzwyczajnie. Męki tej doznawała przez cały obiad, po którym Dorsenne chciał z nią pogawędzić trochę wesoło. Siedziała obok malarza, i oddech tego człowieka, jego ruchy, ton jego głosu, sposób picia i jedzenia, cała wreszcie po-

stawa, była dla niej tak nieznośną, że piła tylko wodę z lodem, by nie zemdleć. Kilkakrotnie, w czasie tego obiadu długiego, wśród błyszczącej mieszaniny przepysznych sreber i wspaniałych kryształów weneckich, wśród woni kwiatów i iskier brylantów, zauważyła wzrok Maitlanda, wlepiony w hrabinę, z wyrazem, który ją oburzał, gdyż widziała w nim namiętną zmysłowość. Raz nawet zdawało jej się, że matka tak samo na niego spogląda. Teraz dopiero odczuła ze straszliwą wyrazistością to, co dotąd tylko instynktownie odczuwała, to jest bezwstydną charakter piękności matki. Dogaressa z perłami w złotych włosach, z szyją i ramionami nagiemi, w staniku, którego blado zielona materya podnosiła nieporównaną białość jej piersi, z ustami wilgotnemi, z oczami lubieżnie błyszczącemi wśród długich rzęs, wyglądała, siedząc w środku stołu, jak królowa i jak zalotnica zarazem. Podobną była do tej Katarzyny Cornaro, do tej królowej rozpustnej Cypru, namalowanej ognistym pendzlem Tycyana, której imię pani Steno godnie nosiła. Alba przez tyle lat tak była dumną z tej błyszczącej zalotności hrabiny, z tych ramion rzeźbionych, z pysznej postawy, twarzy, opierającej się czasowi, z tego kwiatu życia, którego wyrazem była ta istota świetna. Ale teraz, w czasie obiadu, wstyd ją niemal ogarniał. Cierpiała, patrząc na panią Maitland, siedzącą nieco opodal, z czołem zmarszczonem, z oczami ehmurnemi, z ustami pełnemi

goryczy, trawioną przez myśli bolesne. I pomyślała sobie: „a więc Lidya ich podejrzewa“? Jestże to możliwem, by jej matka, tak szlachetna, tak wspaniałomyślna, tak dobra, zdolną była do uśmiechu pełnego spokoju i wyższości, mając taką tajemnicę w sercu? Jestże to możliwem, by zdradzała Maudę przez tak długi czas zawsze z tym błyskiem radości w oczach? A gdy Alba chcąc pozbyć się tych podejrzeń tak potwornych, które ją dręczyły, rzuciła wzrokiem dokoła stołu, spostrzegła Peppina i piękną Fanny siedzących obok siebie i barona nieco dalej napuszonego pod mnóstwem orderów, które miał na piersi. Wszędzie kłamstwo, wszędzie fałsz! Książę uśmiechał się do narzeczonej, jak gdyby ją kochał, i zaślubiał ją po kilkumiesięcznym niegodnym oporze przeciw temu meżaliansowi, na to tylko, by zapłacić pieniędzmi, o których wiedział, że pochodzą z kradzieży, długi, jakie zaciągnął dla podtrzymania egzystencji głupiego hulaki! Ojciec także uśmiechał się do córki, którą sprzedawał przez próżność! Takie to myśli bolesne, których cień śledził Dorsenne na twarzy swej przyjaciółki, nie wiedząc źródła tego cienia i usiłował ją rozerwać po obiedzie, gdy podano kawę i gdy gwar rozmów pozwolił im odosobnić się w kąciку sali, napełnionej już przez gości.

— A więc — zawołał nagle wśród rozmowy o wydawnictwach i reklamach, z powodu których przytoczył kilka anegdot księgarskich —

a więc zamiast, hrabianko, słuchać swego przyjaciela Dorsenne'a, zdaje mi się, że starasz się pochwyć kilka *blue devils*, unoszących się po sali...

— Unosily się przynajmniej — odrzekła Alba i pokazując Fanny Hafner i księcia Ardea siedzących na kanapie, dodała: czy to, co panu mówiłam w przeszłym tygodniu, nie urzeczywistniło się? Ale nie znasz pan całej ironii, leżącej w tem wszystkim. Nie byłeś pan na chrzcie tej biednej Fanny.

— Prawda, pani byłaś chrzestną matką... Myślałem, że Leon XIII będzie ojcem, a jaka księżniczka burbońska matką chrzestną... Tryumf Hafnera byłby głośniejszy...

— Musiał poprzestać na swym ambasadorze i na pańskiej słudze — odrzekła Alba z uśmiechem nerwowym i gorzkim. Czy jesteś pan zadowolony ze swej uczennicy? — spytała. — Robię postępy. Zaczynam się śmiać, gdy mi się na płacz zbiera... Ale i pan byś się nie śmiał, gdybyś był widział zapal pięknej Fanny... Było to wcielenie wiary... Tylko proszę nie żartować z tego...

— A gdzież się ceremonia odbyła? — zapytał Dorsenne, ulegając tej proźbie.

— W kaplicy Panien Kanoniczek.

— Znam to miejsce — przerwał powieściopisarz — jest to jeden z najpiękniejszych kątów Rzymu! Jest to dawny pałac Pianciani, duży gmach naprzeciw domu, w którym sprzedają

akwaforty wielkiego Piraneziego; znam... znam te zaułki i ruiny, tak pełne poezyi... Jest tam ogród na tarasie na górze, który na dachu tworzy jakby ramy z kwiatów i liści... Chcąc dostać się do kaplicy, trzeba iść po schodach krętych... można tam spotkać zakonnice w sukniach fiołkowych, w pelerynach czarnych, z twarzami szczupłymi wśród białych ram czepców i fartuszków ze szlaczkami. Prawdziwe schronisko dla bohaterów moich powieści... Byłem tam z moim starym przyjacielem Montfanonem. Gdyśmy wchodzili na tę wieżę, będzie temu ze dwa miesiące, usłyszeliśmy kilkanaście głosów dziewczęcych, delikatnych, wątłych, drżących, które śpiewały: *questo cuor tu lovedrai*<sup>1)</sup>... Była to procesya uczennic, która zbliżała się ku nam ze świecami, a wysmukłe i blade światło tych ostatnich drżało w mroku dnia zapadającego... Wyglądało to prześlicznie.. Ale w każdym razie pozwól mi pani roześmiać się... gdy sobie pomyślę, jak się Montfanon rozgniewa, gdy mu ten chrzest opowiem... Niewiem tylko, gdzie znajdę starego szuana. Od czasu naszego pojedynku ukrywa się gdzieś... zapewne pokutuje. Powiedziałem już pani, że dla niego świat się nie poruszył od czasu Franciszka Gwizyusza. Żydzi i protestanci, według niego, powinni być zawsze na stosach paleni... Gniewa się, gdy mu monsignor Guérillot

<sup>1)</sup> To serce, ty zobaczysz.

mówi o religijnych dążnościach Fanny. Gdyby się nawet rzuciła między lwów, jak święta Blandyna, to nawet wtedy wołałoby, że to świętokradztwo i oszustwo...

— Nie widział jej onegdaj — odrzekła Alba — ani wyrazu jej twarzy, gdy powtarzała „Wierzę...” Nie mam w sobie mistycyzmu. Wiesz pan o tem, owszem, częstokroć mam pewne wątpliwości. Są chwile, w których w nie nie wierzę, tak mi się życie wydaje smutnem i niegodziwem... Ale nie zapomnę nigdy tego wyrazu. Widziała Bogal... Kilka dam nabożnych było tam także. Staruszek kardynał jest bardzo szanowny... Wszyscy dookoła Fanny byli podobni do świętych obok Madonny, na obrazach pierwotnych, któreś mi pan nieraz pokazywał. A gdy chrzest się skończył zgadnij pan, co mi powiedziała: „módlmy się za mego ojca i za jego nawrócenie“... Prawda, że to smutne, bardzo smutne zaślepienie?

— W słowniku ojca, wyraz nawrócenie, konwersya ma zupełnie inne znaczenie. Konwersya, rzeczownik rodzaju żeńskiego, dotyczy tylko renty — rzekł Dorsenne żartując. — Ale podysputujmy trochę, hrabianko. Dlaczego ma być smutnem i niegodziwem to, że córka sądzi ojca według siebie? Przeciwnie, powinnaś pani cieszyć się z tego... Dlaczego ma to być smutnem, że ta czeigodna święta jest córką szkaradnego złodzieja?... Jakżebyś chciał, żebyś pani była naprawdę moją uczennicą i żeby to nie wyglądało

śmiesznie, gdybym pani dał lekeję domyślności, tu w tym salonie... Powiedziałbym pani: jeżeli widzisz jedną z tych anomalij, która cię oburza, pomyśl o jej przyczynach. To takie łatwe. Fanny, jakkolwiek protestantka, jest pochodzenia żydowskiego, to jest pochodzi z rasy prześladowanej, a zatem musiały się w niej rozwinąć obok wad właściwych ludom gnębnym, odpowiednie cnoty. Cnotami temi jest: uczucie rodzinne, poświęcenie, wzruszające zaparcie się kobiety, która czuje, że jest jedyną ozdobą zagrożonego ogniska, słodkim kwiatem, napełniającym wonią więzienie ponure. Oto źródło jej przywiązania do ojca. Co się zaś tyczy jej nabożności, to także jest bardzo naturalne. Pozwól pani, że będę nieco pedantem, pozwala mi na to moje rzemiosło i użyję tego brzydkiego słowa, które się nazywa atawizmem. Jest to, jak pani wiesz, odrodzenie się przodka w nas po stu, pięciuset, dwóch tysiącach lat. Przypomnij pani sobie Biblię i ten szereg postaci kobiecych, tak pobożnych, Rebeke, Rutę, Esterę, Maryannę, Elżbietę, dwie Marye i Weronikę, która ocierała chustką twarz Jezusa... To jedna z nich odrodziła się w córce Hafnera, jak poeta „Pieśni nad pieśniami“ odżył w Henryku Heine, jak jeden z proroków odrodził się w Spinozie, jak znów Iskaryot odżył w tym rozbójniku Hafnerze... Gdy pani z tego punktu spojrzysz na życie, to wszystkie otaczające cię osoby wydają się jak to...

I wskazał ręką na kobierzec, okrywający ścianę nad ich głowami.

— Oto cały świat, kobierzec zawieszony w naszej głowie, utkany przez naturę... Ale skończyłem już i pani byłaś bardzo grzeczną, żeś mnie słuchać raczyła...

— Wszystko to jest piękne — odrzekła Alba bardzo poważnie. Przez cały czas prelekcji Dorsenne'a, słuchała go pilnie, z wielką uwagą.

— Ale—mówiła dalej—nie bierzesz pan w obrachunek cierpienia. Wszak istoty, która nie domagała się życia, a jednak cierpi, nie można na równi stawiać z kobiercem, obrazem, rzeczą. Wszak pan masz serce i coś się dzieje z pańską teorią, gdy widzisz kogoś płaczącego?...

— Ale któż tu płacze? — zapytał powieściopisarz.—Przecież nie Hafner, skoro będzie miał zięciem księcia. I nie ten książę zapewne, gdyż będzie miał teścia barona, z majątkiem co najmniej dziesięciomilionowym. I nie Fanny zapewne, bo wierzy, jak już dziś nikt nie wierzy i została ochrzczoneą?...

A zniżając głos i zmieniając go na ton pieściwy, dodał:

— Tylko ty jedna, hrabianko, grasz w tę niebezpieczną grę, wylewasz łzy za innych, któreby oni wylewać powinni, gdyby przeczuwali nieszczęście, którego jednak nie przeczuwają.

— Bo przewiduję dzień, w którym Fanny pozna to swoje nieszczęście—odrzekła Alba.—Nie



wiem, kiedy patrzeć zacznie właściwie na ojca, ale że już tak patrzy na Ardeę, jestem tego pewna... Spójrz pan na nią teraz, proszę pana...

Jakoż Dorsenne spojrział na narzeczonych. Fanny słuchała mówiącego księcia, ale z pewnym wyrazem cierpienia na swej pięknej twarzy, o rysunku tak czystym, że niemal idealnej. On zaś śmiał się śmiechem gawędziarza, opowiadając jakąś anegdotę, którą uważał za bardzo dowcipną, a która drażniła widocznie delikatność osoby, do której mówił, nie domyślając się tego wcale. Nie była to już ta sama para narzeczonych, jak w pierwszych dniach—wtedy zdawało się Julianowi, że panna ma słodkie złudzenia o swym przyszłym mężu.

— Tak, ma pani słuszność — rzekł — rozczerowanie się zaczyna. To zawcześnie.

— Tak, to trochę zawcześnie — odpowiedziała Alba—a jednak już zapóźno. Nie uwierzysz pan temu, że są chwile, w których zdaje mi się, że obowiązkiem moim jest powiedzieć jej prawdę o tem małżeństwie, to, co ja o niem wiem, z historią o człowieku podstawionym, o licytacji przymusowej i o sprzedaniu się Ardei?

— Nie zrobisz pani tego — rzekł Dorsenne — a zresztą na co? Czy ten, czy inny, to wszystko jedno. Mężczyzna, który ją zaślubi, zaślubi tylko jej pieniądze, bądź pani tego pewną. Taka jest właściwość milionów i może taka ich kara... Ale mama panią złaje za to, że tylko ze mną

rozmawiasz, a przytem mam jeszcze do odbycia dziś wieczór pańszczyzną dwóch wizyt...

— Odłóż je pan na później—rzekła Alba, zmieniając nagle powagę tragiczną na wyraźny bunt—proszę pana, nie odchodź!

— Muszę—odpowiedział Julian—dzisiaj jest ostatnia środa u starej księżnej Pietrapertosa... a przytem grzeczność niedawna jej wnuka...

— Ona taka brzydka—przecież mnie pan dla niej nie poświęcisz?

— A przytem mam tu rodaczkę, która odjeżdża jutro i muszę się z nią pożegnać dzisiaj wieczór, pani de Sauve, z którą mnie pani widziała w Muzeum kapitolinśkim... O niej pani nie wiesz, że jest brzydką?...

-- Tak—odparła Alba zamyślona—jest bardzo ładną.

I na ustach jej zawisła nowa prośba, ale zamilkła i tylko z wejrzeniem błagalnem dodała:

— Przynajmniej powróć pan. Przyrzecz mi pan, że powrócisz po tych dwóch wizytach. Odbędziesz je pan w ciągu półtorej godziny. Jeszcze nie będzie północy... Wiesz pan, że nie odchodzą ztąd, jak koło drugiej... Przyjdiesz pan?

— Jeżeli to będzie możliwe, przyjdę. Ale na wszelki wypadek do jutra w pracowni. Chcę zobaczyć portret pani...

— A więc do widzenia—odrzekła młoda dziewczyna głosem stłumionym.

## X.

### Wspólna niedola.

Pożegnanie to wygłosiła Alba Steno tak szczególnym tonem, że Dorsenne, zeszedłszy ze schodów w pięć minut potem, był jeszcze zaniepokojony. Mówił do siebie:

— Pilnuj się, mości Julianie... Wyglądała naprawdę prześlicznie tego wieczoru ze swemi ramionami nieco szczupłemi, z białą piersią falującą pod gorsetem, z cerą bladą, ustami różowemi i okiem jasnym... Bardzo ładna i bardzo wzruszona!... Jeszcze jedna taka rozmowa, a gotowiśmy zrobić „głupstwo“...

W ten sposób zwykle określał małżeństwo.

— Ale za nic w świecie, nie! nie!... Pamiętajmy o dewizie na pierścieniu!

I przycisnął do ust szeroki pierścień z szafirem, jaki nosił na małym palcu. Kazał na nim wyryć pięć liter: *M. H. U. D. P.* Nie były to wcale inicjały miłosne, jak zazdrosna nieco Alba byłaby zapewne podejrzywała, gdyby mogła przypatrzeć się dobrze temu dziwacznemu talizmanowi celibatu. W przystępie dziecinnej próżności,

co mu się zresztą często przytrafiało, osobliwszy ten artysta wziął za dewizę życia swego sławne zdanie Pisma: „*Memoria hospitis unius diei prae-tereuntis*“. Pamięć gościa trwa dzień jeden—oto, co znaczył napis na pierścieniu, który pragnął urzeczywistnić Dorsenne we wszystkich miłościach i we wszystkich swych przyjaźniach. On, który uchodził za zarozumialca, zapomniał, wychodząc z willi Steno, w ową prześliczną noc majową, zastanowić się nad sobą, jakie wrażenie wywarł tego wieczoru na młodą dziewczynę. Wszak mówił o grze niebezpiecznej i nie widział tego, że jeżeli ryzykował swą niezależność kawalerską, to Alba ryzykowała całe swe serce, serce tak chore, że byłoby nielitością bawić się niem. Niestety! dzieło uwiedzenia, rozpoczęte przez wolę niesummienną tego człowieka, tak nieczułego i zarazem tak ciekawego tajemnic uczucia, było do połowy spełnionem. Dusza zdobywcy schwyciła w swe szpony „biedną duszyczkę“, jak pajak, który opłata przędzą skrzydlaty owad, zapadły do jego sieci, przędzą, w której stworzenie szamoce się a zerwać jej nie może. Gdy Dorsenne opuścił salon, hrabianka znowu doznała, mimo mnóstwa osób w nim się znajdujących, tego zimnego uczucia samotności, jakie ogarniało ją po rozmowach podobnych. Julian był jedyną istotą w świecie, zdolną do zatarcia w niej na kilka minut, jedynie przez swą obecność, udręczeń myśli, które ją pożerały. Był przystojny, sławny, umiał do niej

mówić zawsze tak, jak gdyby rozumiał jej skryte cierpienia, nie wydobywając ich nigdy na jasność zbytzną, czemby jej przykrość zrobił. A teraz do uroku inteligencji swej i sławy dołączył jeszcze romantyczną waleczność w swym pojedynku niezwykłym z Bolesławem Gorskim. Przytem powieściopisarz jeszcze z jednego względu był bardzo interesujący, czemu całkiem nie był winien. Interes ten miał źródło w tej okoliczności, że zwykle mu w rozmowie szyderstwo było w uderzającej sprzeczności z wykwintnością patetyczną jego książek, tak iż Alba sądziła, że i Julian także ukrywał jakąś bolesną tajemnicę pod maską sceptycyzmu. Jeden z tych powodów wystarczyłby, by każda matka zabroniła zupełnie swej córce wszelkiej poufałości z młodym człowiekiem, tak zdolnym do zakłócenia wyobraźni dwudziestoletniej. Ale hrabina daleką była od takiego nadzoru nad córką, zwłaszcza, że, jak wszyscy rodzice, wytworzyła sobie pewne przekonanie o charakterze Alby. „Taki, coby w jej obudził zapał — mawiała — jeszcze się nie narodził“... Natura hrabianki była zupełnie od niej różna, to też nie mogła zrozumieć tego serca, zamykającego się tem staranniej, im silniejsze w niem wrzało uczucie, gdy tymczasem u rzeźwej i czynnej weneccyanki wzruszenie było symbolem szczerości. Tego wieczoru nie zauważyła nawet rozmarzenia Alby, gdy Dorsenne odjechał, aż dopiero Hafner zwrócił jej na to uwagę. Przebiegły

baron myślał, że jeżeli powieściopisarz zajmuje się panną, to jedynie dla jej znacznego posagu. Dwadzieścia pięć tysięcy dochodu rocznego Juliana stanowiło już niezależność — dwakroć piędziesiąt tysięcy, które Alba mieć będzie po śmierci matki, to już wielka fortuna. Więc też Hafner, chcąc jeszcze więcej zasłużyć na miano „starego przyjaciela“, wziął na bok panią Steno i rzekł:

— Czy Alba nie wydaje się pani jakąś dziwną od kilku dni?

— Ona zawsze taka była — odrzekła hrabina — dzisiejsza młodość niema nic w sobie młodego.

— Czy czasem niema innej przyczyny tego smutku? — nalegał baron — jak się pani zdaje, może się kim żywo zajęła?

— Alba! — zawołała hrabina — ona? i kimże takim?

— Dorsennem — szepnął baron cicho — odszedł on przed pięciu minutami zaledwie i spojrz pani na nią, jak całkiem zapomniała o wszystkim, co się dokoła niej dzieje...

— Ach, byłabym z tego bardzo zadowolona — odrzekła pani Steno z uśmiechem — jest to przystojny chłopiec, ma talent i majątek. Jest wnukiem bohatera, co stawia go na równi ze starą szlachtą, podług mnie. Ale Alba o nim wcale nie myśli, zapewniam pana. Byłaby mi o tem mówiła, bo mówi mi zawsze wszystko. Jesteśmy przyjaciółkami, prawie koleżankami i wie ona do-

skonale, że żadnych przeszkód jej wyborowi sta-  
wiać nie będę... Nie, mój stary przyjacielu, znam  
ja mą córkę. Ani Dorsenne, ani nikt jej nie in-  
teresuje na nieszczęście. Bawiłaby się przynaj-  
mniej, gdy tymczasem wszystko ją nudzi i de-  
nerwuje. Obawiam się, by nie dostała zupełne-  
go upadku sił, jak jej kuzynka Adryanna Nava-  
gero, do której jest bardzo podobną... Ale ja ją  
orzeźwię i to zaraz...

— Dorsenne zięciem?— rzekł do siebie Hafner,  
patrząc za hrabiną, idącą ku Albie wśród rozrzu-  
conych grupami gości i potrząsł głową, zwraca-  
jąc z zadowoleniem oczy ku swemu przysłemu  
zięciowi.

— Takie to są następstwa, gdy się nie pilnuje  
dzieci—szeptał—zdaje nam się, że je znamy do-  
skonale, aż dopiero jakie szaleństwo otwiera nam  
oczy... ale wtedy już zapóźno!... Zresztą ostrze-  
głem ją i nie mi do tego...

Ten obserwator głęboki nie wątpił także, ob-  
rzucając wzrokiem pieściwym parę, złożoną z Pep-  
pino Ardea i Fanny, że i on nie o wiele więcej  
zna tę pannę, którą zrobił narzeczoną księcia  
rzymskiego jako największy tryumf swych ambicyj  
światowych. Wśród mężczyzn i kobiet, zebra-  
nych w salonie i na tarasie, z włączeniem prze-  
nikliwej Lidy Maitland, rozmyślającej o nowej  
zemście, sama Alba podejrywała prawdę, ale  
i ona ją tylko podejrywała. Nie myliła się, wi-  
dząc początek rozczarowania u swej przyjaciółki,

do której, od chwili odjazdu Maudy, coraz bardziej się przywiązywała przez współczucie dla jednakowych losów, dla okrutnej tożsamości przeznaczeń i słusznie jej się zdawało, że rozmowa księcia niepodobała się nadzwyczajnie tego wieczora jego narzeczonej. A jednakże rozmowa ta była tylko niewinnym szeregiem żartów z Ojca Św., jak to zwykle bywa w Rzymie, zwłaszcza w t. z. towarzystwie czarnem. Mogła się o tem Alba przekonać, gdy w skutek napomnienia matki zbliżyła się do zaręczonych, dla spełnienia roli córki gospodni domu. Ardea, pomimo wzrastającej niechęci Fanny, bawił się opowiadaniem o życiu wewnętrznym Watykanu, przytaczał anegdoty mniej lub więcej prawdziwe. Tym sposobem zdawało mu się, że oddziaływał na egzaltację katolicką swej przyszłej żony, egzaltacją, która mu się zaczynała niepodobać. W skutek zmysłu spostrzegania śmieszności, jaki posiadał, a nade wszystko w skutek interesu społecznego, widział on nonsens w tem, gdyby wrócił do koteryi klerikalnej, ożeniwszy się z milionerką, wczoraj dopiero nawróconą. Trzeba i to dodać, że szampan mrożony hrabiny przyczynił się także do uporu, z jakim szydził z naiwności religijnej swej przyszłej żony. Nie pierwszy to raz ulegał on temu półpijaństwu, które było jednym z jego drobnych grzechów młodości, rzadszych w krainie słońca, niż się to zdawać może stronom północnym.



— Dobrze, że pani przychodzisz, hrabianko—rzekł, gdy panna Steno usiadła obok nich na kanapie—przyjaciółka pani oburzona jest na pewną historyjkę, jaką jej opowiedziałem... Jest to historia, którą pani znasz, o tym gwardziście papieżkim, który używał telefonu watykańskiego tej zimy, by naznaczać schadzki Julii Rezzonico, nie budząc zazdrości w Ugolinie... Ale to nie jeszcze. O mało Fanny nie pogniewała się na mnie za to, że jej opowiedział, iż Ojciec Św. powtarzał swe benedykcyę w kaplicy sykstyńskiej, całkiem pustej, ze śpiewakiem na wspótkę, jak prosta prima donna...

— Powiedziała już panu, że nie lubię takich żartów—rzekła Fanny z widocznym gniewem, choć powstrzymywanym jeszcze—jeżeli będziesz je pan powtarzał, to wstanę i zostawię pana samego z Albą...

— Zmień pan przedmiot rozmowy — odezwą się ta ostatnia—kiedy to drażni Fanny..

— Ach, hrabianko!—zawołał Peppino, potrząsając głową — jakto? pani już przyjmujesz jej stronę? Cóż to będzie później? A więc poświęcam na ofiarę moje niewinne żarty z Ojca Św. w szlafroku.

Poczem dodał, śmiejąc się:

— A szkoda, gdyż przypominam sobie jeszcze kilka wesołych szczegółów, zwłaszcza o pewnym kufrze pełnym złota, jaki zapisał jakiś wierny chrześcjanin papieżowi. Otóż, gdy ten ostatni

zaczął złoto owe liczyć, kufer się wywrócił i cały skarb wysypał się na ziemię; gdy papież i jeszcze jeden kardynał na czworakach zbierali napoleondory, wszedł służący... Prawda, że piękny obraz!... Zapewniam panie, że pocziwy Pius IX pierwszy żartował sobie z nami, ze wszystkich powag watykańskich. Obecny papież nie jest taki *alla mano*. Mimo to jest to święty człowiek i oddaję mu wszelką sprawiedliwość. Tylko, że ten święty człowiek jest zawsze tylko człowiekiem i do tego dobrodusznym staruszkiem. A pani nie chcesz tego widzieć...

— Gdzie idziesz? — zapytała się Alba Fanny, która powstała, spełniając swą groźbę.

— Idę pomówić z ojcem, mam mu parę słów powiedzieć...

— Ostrzegałam pana, że należy zmienić przedmiot rozmowy — rzekła Alba, gdy została sama z księciem, który, nieco zmieszany, poruszył ramionami i odpowiedział śmiejąc się:

— Przyznasz, hrabianko, że położenie jest dość zajmujące. Zobaczysz pani, że ona zabroni mi chodzić do Kwirynału... Brakuje jeszcze tylko tego, by papa Hafner zaczął miewać także swe skrupuły religijne, któreby mu nie dozwoliły kłaniać się królowi... Ale muszę ułagodzić Fanny!...

— Doprawdy! — szepnęła Alba, widząc, jak książę wstaje — jeżeli się nie mylę, zdaje mi się, że on jest trochę pijany... Co za los!...

Arcy nowożytny dziedzic następców Sykstusa piątego, choćby był nawet nie wypił kilku szklanek za wiele *Extra dry monopole*, to i tak nie byłby brał na seryo oburzenia katolickiego swej narzeczonej. Jakkolwiek nie wiedział o machiawelizmie planu, przez który baron Justus użył pana Noego Anconę, jednego z najgorszych pokątnych doradców w Rzymie, by go zmusić do tego małżeństwa, to jednak nie miał żadnych złudzeń co do charakteru całkiem kupieckiego tego związku. Dodajmy na korzyść albo niekorzyść tego przyjemnego niedowiarka (a zależy to od punktu widzenia), że nie przywiązywał do rzeczonoego związku wielkiej wagi. Jeżeli instynktownie był dumny ze swego nazwiska, to jednak miał za wiele zmysłu pozytywnego, by nie wiedział, że szlachectwo bez przywilei jest wartością arcywątpliwą i czuł, że w sprawie tego małżeństwa, to on raczej odgrywał rolę eksploatatora względem bankiera. Uszanowanie widoczne, z jakim Hafner spoglądał na herb Castagnów, wydawało się wybornie odegraną komedią potomkowi tej szlachetnej rodziny, a klerikalizm przechrzciarki Fanny sprawiał mu wielką uciechę. Być może, że były to resztki tej dumy szlacheckiej, która się objawia w najrozmaitszy sposób.

Bądź co bądź, jeżeli książę doskonale odgadywał barona, to mylił się stanowczo co do Fanny. Nie zastanawiał się on nigdy nad naturą młodej

panny i nad dziejami jej uczuć religijnych, które jednak godne były poznania przynajmniej w głównych zarysach, choćby nawet nie były wmieszane w tragiczny rezultat dramatu, który się związał w sercu biednej Alby. Czyż szczerze nawrócenie nie jest najciekawszem z zagadnień moralnych? A zresztą drobna scena tego wieczoru i następnych, nie byłaby zrozumiała bez tej krótkiej analizy, której taki rzymianin, jak Ardea, nie był w stanie podejrzyc. Kwestya religijna była zawsze dlań związaną ze sprawami miejscowemi, miejskiemi i z polityką codzienną kraju. Zawsze, ilekroć przechodził obok konfesyonałów św. Piotra, klękał i otrzymywał od księdza rozgrzeszenie przez dotknięcie laską głowy. Niemniej przeto z najlepszą wiarą patrzył na Ojca Św., podobnie jak zawsze to robiła szlachta miasta wiecznego, z pewną ironią, nie wyłączającą uszanowania. Ale dla Fanny, która wczoraj otrzymała z rąk papieża komunię, rozmowa żartobliwa Ardei, z tem wzruszeniem świętem stanowiła zbyt uderzający kontrast. Wszyscy ci, którzy mieli szczęście słuchać mszy św., celebrowanej przez Leona XIII, wiedzą, jak dalece zapał ofiary przemienia Papieża i jest to widowisko o wiele wspanialsze, niż cały przepych w kaplicy sykstyńskiej. Ten głos głęboki, wymawiający wyraźnie każdą zgłoskę modlitwy z przejęciem— to ciało wycieńczone, zaledwie zdolne znieść ogień niezwyknięty myśli, te gesty tak proste

i wielkie, które przy benedykcji poprzez głowy kilku klęczących pobożnych zdają się ogarniać całe chrześcijaństwo—te oczy następcy Piotra św., tak przepełnione jasnością, że zdają się być odbiciem nieba—cała ta poezya na zawsze pozostaje w pamięci, nawet w człowieku niewierzącym, jeżeli zachował zdolność zachwycania się wielkimi rzeczami. Cóż dopiero dla dziewczyny w wieku Fanny, ochrzczonej wczoraj, naprawdę wierzącej, a która po raz pierwszy przystępowała do komunii, jakże wielką musiała być ta chwila, gdy stary arcykapłan wymówił te godne podziwu słowa: *corpus Domini nostri...* i gdy swą szanowną i bladą ręką, prawie przezroczystą, podał jej Hostyę! Trzebać było takiej przenikliwości, jaką posiadał Peppino Ardea, przenikliwości rajfura klubowego, obcego wszelkim sprawom duchowym życia, że nie zdołał sobie zdać sprawy z tego wszystkiego i szydził z tego rodzaju wrażeń. Był to błąd nie do naprawienia! A on uważał się za zręcznego, dlatego, że żartował z tego, co uważał za dzieciństwo, za komedję!

Jak wszystkie nagłe zmiany tego rodzaju, praca chrystyanizmu dokonana w duszy Fanny, opierała się na przykładzie. Istotnem narzędziem propagandy nie jest ani doktryna, ani rozumowanie, ale zetknięcie się duszy z duszą. Wiary nauczyć się nie można, ani też jej nauczyć; udziela się ona drogą przenikania i zarazy, co świadczy o jej istocie tajemniczej i nieokreślonej. Fan-

ny bardzo młoda—miała wtedy zaledwie siedemnaście lat — sierota, bez matki i zaniedbana moralnie, jakkolwiek opływająca we wszystko, dzięki ojcu, zawiązała żywą przyjaźń z niejaką panną Sallach, córką jednego z największych magnatów Styryi, chorą na piersi, która przybyła do Rzymu, by tutaj umrzeć. Baron nie sprzeciwiał się temu stosunkowi przez próżność, bez zdawania sobie sprawy z wpływu, jakiemu może uleść jego córka. Matylda Sallach była w rzeczy samej jedną z istot prawie nadprzyrodzonych, w skutek pobożności i tak żarliwą, że wkrótce miała nad swą przyjaciółką, pozbawioną wszelkich zasad, przewagę zupełną. Twarz Fanny nie kłamała. Odziedziczyła ona z krwi, która uczyniła z niej i jej ojca istotę tak złożoną, tylko zasadnicze podstawy żywiołu żydowskiego. Zasadniczą zaś podstawą tego żywiołu, może najwybitniejszą z pomiędzy tych, które ganią lub chwalać przeciwnicy i stronnicy tej rasy niepokonanej, jest szczególna siła w doprowadzaniu do skutku swej woli i gwałtowność w żądach, które się nigdy nie nużą i nigdy nie cofają. Energia ta, zastosowana do interesów, stwarza, jak wiadomo, wielkie fortuny; zastosowana do tryumfów społecznych sprawia że taki Hafner, w dzieśięć lat po procesie skandalicznym, żeni swą córkę z potomkiem najprzedniejszej szlachty europejskiej i taki związek nikogo już dziś nie oburza. Energia ta, użyta do rzeczy wyższych, do-

chodzi do tego, że tworzy prawdziwe cuda moralne. Gdy Fanny przeczytała z panną Sallach najprzód Nowy Testament, potem „O naśladowaniu Chrystusa“, następnie „Życie pobożne“ i „Medytacye nad Ewangelią“, oddała się ideom, stanowiącym jądro tych pięknych ksiązek, z tem całkowitem zatopieniem swej duszy, z jakim jej ojciec poświęcił się interesom. Łaknęła katolicyzmu, jak on łaknął milionów i tytułów. Śmierć Matyldy, przedstawiająca jedno z tych widowisk podniosłych, jakim jest zawsze zgon prawdziwie wierzących, ostatecznie utwierdziła ją w tej wierze. Widziała, jak chora przyjmowała Sakramenta, widziała niewypowiedzianą radość zbawienia na tej twarzy umierającej dwudziestoletniej dziewczyny, oblaną blaskiem ekstazy. Słyszała, jak do niej mówiła z uśmiechem niewymownej pewności:

— Prosić będę za tobą Pana naszego Jezusa Chrystusa...

Czyż mogła się oprzeć takiemu krzykowi i takiej wizyi? To też zaraz nazajutrz po śmierci Matyldy, prosiła ojca, by pozwolił jej ochrzcić się, na co baron odpowiedział jej słowami bardzo znaczącemi, byśmy ich tu przytoczyć nie mieli:

— Zapewne—odrzekł ten człowiek zadziwiający, który, zamiast serca, miał tabliczkę mnożenia, w którem wszystko było oszacowane, nawet Pan Bóg—zapewne, jestem bardzo wzruszony i nader

szczęśliwy widząc, że sprawy religijne tak cię zajmują. Religia jest użyteczną, bardzo użyteczną, powiedziałbym nawet konieczną. Dla ludu jest to hamulec, dla nas zaś jest ona niezbędną na pewnym stanowisku, w pewnych sferach... Dodać muszę, że osoba, która jak ty ma żyć w Austrii lub Włoszech, powinna być katoliczką... Trzeba jednak mieć na uwadze wypadek, gdybyś poszła za mąż za człowieka wyznającego inną wiarę... O! nie oburzaj się. Jestem twym ojcem i winienem wszystko przewidywać. Wiesz dobrze, że wyjdiesz za mąż tylko za tego, kogo twe serce wybierze. Poczekaj więc z uregulowaniem tej sprawy do czasu, gdy serce twe przemówi... Jeżeli pokochasz katolika, będziesz miała sposobność zrobienia twemu narzeczonemu podarunku, za który musi ci być nader wdzięcznym... Nie zabraniam ci odtąd bywać na nabożeństwach, skoro ci się tak podobają. Nabożeństwa, według obrządku rzymskiego, są bezwarunkowo bardzo piękne i ja sam, za czasów rządów papieżkich, zaglądałem nieraz do kościoła św. Piotra. Ten smak artystyczny, ten przepych, śpiewy, wszystko to wzruszało mnie bardzo... Tylko dla ostatecznego zdecydowania się, powtarzam ci, trzeba jeszcze czekać. Twój stan cywilny obecny, protestancki, ma tę wielką wyższość, że jest neutralnym niejako, nie tak ściśle określonym...

I takich zdań musiało służyć serce, dotknięte już urokiem łaski i tęsknotą życia wiecznego!



Ale serce to należało do młodej dziewczyny, bardzo czulej i bardzo czystej. Nie była w stanie wydawać sądu o ojcu, a przerażający pozytywizm barona tak ją zadziwił, że nic z niego nie wynioskowała, chyba to jedno, że trzeba być posłuszną jego rozkazowi i modlić się tylko, by światło wiary nań spłynęło. Czekwała więc z nadzieją w duszy, podtrzymywana i kierowana w tem oczekiwaniu przez kardynała Guérillot, który miał ją później ochrzcić i uzyskać łaskę, by mogła przystąpić do pierwszej komunii przy mszy papieżkiej. Prałat ten należał do tych wybitnych osobistości, któremi się szczycił episkopat francuzki. Był to chrześcianin, dla którego dłoń Boga jest widoczną w kierowaniu sprawami ludzkiemi, choć dusze niewinne niezdolne są jej spozstrzedz. Gdy Fanny, oddająca się już oddawna pod jego przewodnictwem uczynom miłosierdzia, powiedziała mu o niepokoju dręczącym jej sumienie i nieporozumieniu między nią i ojcem, co do najważniejszego punktu, t. j. co do chrztu, kardynał jej odrzekł: „Miej ufność w Bogu. Da On ci znak, gdy nadejdzie godzina“... Słowa te wyrzekł takim tonem pewności, że uwierzyła im święcie. W tej nadziei przepędziła całe dwa lata. Fakt ten nie wyda się zapewne dziwnym tym, którzy znają wewnętrzne złudzenia, sprawiane przez wiarę. Należy dodać, że kontrast był zbyt silny między otoczeniem zewnętrznem, w którym żyło to dziecko i jego usposobie-

niem wewnętrznem, tak że ktoś inny, niż kardynał Guérillot, byłby mu nie wierzył. Jak wiemy, tak się rzecz miała z Montfanonem, a teraz z Ardeą. Otoczona nadzwyczajnem wyrafinowaniem zbytku prawie bezczelnego, zmuszona nie tylko korzystać z tego zbytku, ale kierować nim, gdyż przewodniczyła wystawnym obiadom swego ojca, zawsze wystrojona jak lalka modna, Fanny uchodziła za typ lekkości światowej w oczach tych, którzy ją widzieli przejeżdżającą przez Pincio, lub koło willi Pamphillii w powozie ciągniętym przez konie, z których każdy wart był najmniej dziesięć tysięcy franków. Hafner, który był próżny namiętnie, chciał, żeby jego córka trzymała berło elegancji w Rzymie. Któżby mógł przypuścić, że ta strojna panna, o profilu bladym i czystym, ulegała tej woli barona przez poświęcenie, posłuszeństwo, a nawet pokorę? Któżby mógł przypuścić, że wśród życia próżniaczego, zamykającego się w wizytach i przyjęciach, zasnęła ona każdego wieczoru i budziła się co rano w oczekiwaniu prawdziwego cudu, tego znaku, zapowiedzianego przez męsignora Guérillot? Czyż ktoś obcy, nawet pozbawiony przesądów, zaślepiających szorstkiego margrabiego Montfanon, mógłby przypuścić, że to spotkanie z Pepinem Ardeą tłumaczone było przez tę duszę mistyczną jako oznaka owego cudu? Tak, ta ruina potomka papieża Urbana VII, ofiary nierozumnej spekulacji, ta klęska zasłużona hulaki zarozumia-

łego, głupiego i chciwego, jego przedsiębiorstwa nierozsądne, pożyczki, licytacya przymusowa, wszystkie te fakta, drobne lub wielkie tej pospolitej i smutnej historyi, przedstawione zostały przez barona córce w świetle męczeństwa, czemu ona uwierzyła. Dostrzegła palec Opatrzności w ohydnej intrydze, która się miała spełnić na koszt jej szczęścia, mającej swe źródło w niskiej żądzy starego rozbójnika giełdowego, którego nazwisko nosiła, intrydze, skierowanej ku temu, by wejść w łono arystokracji i ozłocić skradzionemi milionami symboliczne kasztany herbu Ardei. Ta sposobność do ochrzczenia się wydała jej się być wynikiem modłów zanoszonych tam w górze przez anioła, który przy skonaniu zrobił jej przyrzeczenie zbawienia. I co dziwniejsza, co się wydaje trudnem do uwierzenia, kardynał Guérillot podzielał te złudzenia! Pomimo swych siedemdziesięciu lat, mimo doświadczenia w spowiedziach, mimo walki toczonej z wolnomularstwem we własnej dyecezyi, co nawet spowodowało jego wygnanie do Rzymu, świątobliwy starzec patrzył na małżeństwo Fanny z tego samego nadprzyrodzonego punktu widzenia. Wielu księży ulega tej naiwności, która jednak, po bliższej rozwadze, niezawsze jest taką, ale w tej chwili sprzeczność między rzeczywistością istotną, a tem, co kardynał sobie wyobrażał, była zbyt uderzającą. Gdy dawny biskup klermoński ochrzcił Fanny, uczuł on tak głęboką radość, że rzekł do dziewczyny:

— Mogę teraz mówić, jak św. Monika po chce św. Augustyna: *cur hic sim nescio, jam consumpta spe hujus saeculi*. Nie wiem dla czego tu jestem, cała moja nadzieja wieku została spełniona... I do tego mogę dodać: że jedyną rzeczą, która mnie jeszcze przywiązywała trochę do życia, była chęć widzenia cię katoliczką przed śmiercią. Spóźniony wędrowiec teraz może odjechać; zerwał już ostatni i najpiękniejszy kwiat..

Szlachetny i ufający apostoł, który w rzeczy samej w jakiś czas potem miał przenieść się z tego świata i zasłużył, by o nim powiedziano to samo, co cytowany przezeń biskup afrykański powiedział o swej matce: „Ta dusza pobożna została nakoniec uwolnioną z ciała“... Nie przypuszczał on, że to urzeczywistnienie swej ostatniej woli miał okupić bardzo drogo! nie przewidywał, że ta, którą nazywał w prostocie ducha swym najpiękniejszym kwiatem, stanie się dlań powodem okrutnego smutku. Biedny kardynał! Była to ostatnia próba jego życia, ostatnia kropla goryczy w kielichu. Musiał patrzeć na rozczarowanie, które zaraz nieomal owładnęło jego słodką neofitką po upojeniu pierwszych dni! Do kogoż bowiem, jak nie do niego, miała się ona udać po radę, wobec dręczących wątpliwości, jakie zaczęły się w niej budzić, odnośnie do uczuć ku swemu narzeczonemu? To też zaraz nazajutrz po wieczorze, w którym nieroztropny Ardea żartował sobie z takim głupim uporem z przedmiotu

dla niej świętego, dzwoniła ona do drzwi mieszkania, zajmowanego przez monsignora Guérillot w dużym domu przy ulicy Czterech Fontan. Nie zamierzała ona wcale oskarżać tych żartów, ani też opowiadać swych spostrzeżeń upakarzających co do trzeźwości księcia. Nie! pragnęła ona oświecić swe sumienie, na które padł cień bolesny. Zdawało jej się, w pierwszych chwilach swego narzeczeństwa, że kocha Ardeę gorąco, tak dalece radość z odzyskania nakoniec swobody religijnej budziła w niej wdzięczność dla tego, który był powodem tego stanu rzeczy, tego oswobodzenia. Teraz zaś lękała się, że go nie tylko nie kocha, ale go nienawidzi, a nadewszystko czuła odrazę ku bezpożytecznym zabiegom światowym, była znużoną temi nadziejami przemijającymi, czuła tęsknotę ku odpocznieniu w Bogu. Były to niezaprzeczone oznaki powołania. Na myśl, że mogłaby kiedyś, gdyby przeżyła ojca i była wolną, schronić się do zakonu karmelitanek, czuła ku bliższemu małżeństwu wstręt wewnętrzny, który się zwiększył jeszcze w skutek opłakanego charakteru przyszłego męża. Czy miała prawo wchodzić w związek nierozwiązalny z takim usposobieniem? Z drugiej strony, czy było rzeczą przyzwoitą zrywać bez żadnych podstaw ten stosunek, który był między nią i ojcem warunkiem jej chrztu? Tak już daleko zaszła po kilku zaledwie dniach! I nazajutrz, po tym wieczorze, skargi jej były o wiele boleśniejsze.

— Wolno ci się cofnąć — odrzekł monsignor Guérillot — ale nie wolno ci być surową w twych sądach...

Fanny była zbyt szczerą, wiara jej zbyt prostą i głęboką, by rady tej nie wzięła w znaczeniu literalnem i zastosowała się do niej natychmiast, tak w słowach, jak i w czynach. Mając udać się po południu z Albą na spacer, starała się usilnie zatrzeć ślady sceny wczorajszej, jakie ona mogła zostawić na umyśle przyjaciółki. Ale posunęła się jeszcze o wiele dalej. Chciała narzeczonego prosić o przebaczenie... Przebaczenie! ale za co? Czy za to, że jej dokuczył, że ją zranił do żywego? Sposób, w jaki przyjęte zostały oba jej usiłowania, przekonał ją, że ta łagodność w sądzeniu innych, zalecona jej przez pobożnego kardynała, jest cnotą bardzo trudną. Wymaga ona posłuszeństwa od serca, niezawsze dającego się pogodzić z przenikliwością głowy. Alba patrzyła na przyjaciółkę wzrokiem zdziwionym, prawie smutnym i uściskała ją, mówiąc:

— Peppino nie jest godny zetrzeć proch z twego trzewika (od czasu chrztu mówiły sobie: ty), takim jest moje przekonanie; i jeżeli przez całe życie nie będzie się starał zasłużyć na ciebie, to będzie wielkim grzesznikiem i wielkim głupcem...

Co zaś do księcia samego, to proces, odbywający się w duszy jego narzeczonej, zmuszający ją do tłumaczenia się, kiedy on był winien, wydał mu się całkiem niezrozumiały, tak samo, jak

Hafnerowi. Sądził, że ten ostatni złażał córkę i przeciął odrazu wszelkie wyjaśnienia:

— Dajmy temu pokój—rzekł z pobłażaniem— to ja znalazłem się niewłaściwie. W gruncie rzeczy bowiem, pani wiesz dobrze, że szanuję zawsze to wszystko, co moi przodkowie szanowali. Ale czas posuwa się naprzód i pewne formy fanatyzmu nie są odpowiednie nawet dla ludzi noszących moje nazwisko. To jest wszystko co chciałem powiedzieć, szkoda tylko, że wygłosiłem to w sposób taki, o który pani miałaś prawo się obrazić.

I z wielkim wdziękiem pocałował małą rączkę Fanny, nie odgadując tego, że zwiększył jeszcze smutek tego dziecka zbyt szlachetnego. Rozdzźwięk stawał się coraz większy między światem myśli, w którym ona żyła, a tym, w którym się poruszał zrujnowany hulaka. Nie byli oni z jednego nieba, jak mówią, nie bez pewnej głębokości, mistycy. Odnośnie do Ardei. zastosowanie wyrazu niebo jest śmieszne, gdyż była to osobistość pozbawiona wszelkiego ideału, tylko z ciała i kości złożona, podczas, gdy panna Hafner była tylko inteligencją i sercem. Każde ich zetknięcie się, w miarę jak Peppino coraz bardziej odkrywał swój charakter prawdziwy, podnosiło ten rozdzźwięk. Tak więc dla Fanny, te dwa ostatnie tygodnie pięknej pory majowej, która zdawała się otaczać szczęściem godziny jej narzeczeństwa, były szeregiem rozczerowań drobnych

ale codziennych, małżeństwo oczywistością odrzucaną nieustannie, a jednak nieuniknioną, która się miała dlań stać prawdziwą ofiarą. Jednakże to obnażenie coraz wyraźniejsze nicości moralnej i uczuciowej jej narzeczonego, nie wystarczało wcale, by ją zdecydować na zerwanie. Że Pepino wychowany w próżniactwie, zepsuty przez podwójną dumę urodzenia i majątku, był w dwudziestym ósmym roku życia bardzo płochy i bardzo cyniczny, że łączył przebiegłość chytrego włocha z zupełnem wyiębieniem klubisty paryskiego, że wszystkie jego marzenia, co do przyszłego małżeństwa, streszczały się w pragnieniu rozpoczęcia dawnego życia zbytkownego i pustego, że bardzo często wstawał od stołu z oczyma zbyt błyszczącymi, z wargami zbyt wilgotnymi, ze śmiechem zbyt wesołym—to wszystko było prawdą i mogło w istocie przerażać dziewczynę, która sądziła, że zaręczając się, naprawia wielką niesprawiedliwość losu, że przywraca blask dawny starożytnej rodzinie, ocala od rozpaczy człowieka nierozsądnie wspaniałomyślnego, że na koniec zbliża się ku Bogu przez miłość dozwoloną. Ze wszystkich tych mrzonek, które ledwie kilka godzin trwały, pozostał tylko Bóg jeden—ale to starczyło, by szlachetna ta istota mówiła sobie:

— Ojciec jest tak szczęśliwy i nie zepsuję mu tego zadowolenia. Spełnię obowiązek względem mego męża. Będę dobrą żoną i przerobię go.



Zachował on wiarę, ma serce i moją rolę będzie uczynić zeń prawdziwego chrześcianina. A zresztą będę miała me dzieci i ubogich...

Takie to marzenia snuły się pod tem czołem białem, wśród włosów czarnych tej narzeczonej, godnej zazdrości, której suknie wyprawne poczęły już opisywać dzienniki, dla której pracowały całe tłumy szwaczek, modystek, jubilerów, na której intercyzie podpiszą się nazwiska, jak na intercyzie księżniczki krwi, która miała zostać także księżną i wejść w łono najgłośniejszej arystokracji świata. Takie to myśli żywić ona będzie zapewne przez całe życie w pałacu Castagna, który ma się stać jej własnością, w ogrodzie jego historycznym, w którym do dziś dnia istnieje ta aleja gruszkowa, gdzie Sykstus piąty zerwał na krótki czas przed śmiercią owoc. Skosztował on go i rzekł do kardynała Castagna, robiąc dwuznacznik z obu nazwisk, sam bowiem nazywał się Peretti. „Gruszki są zgniłe. Rzymianom się już sprzykrzyły. Wolą teraz kasztany“. Anegdota powyższa, zachowana w rodzinie, nie dowodzi wprawdzie, że powiemy w nawiasie, by największy papież końca XVI wieku był zbyt dowcipny—zachwycała Justusa Hafnera. Zdawało mu się, że jest ona przepysznie dowcipną. Ciągłe powtarzał ją kolegom w klubie, swym dostawcom, wszystkim zresztą, zapominając, że już przed dwoma dniami tym samym ją powtórzył. Przestał nawet strzedz się szyderstwa Dorsenne'a.

— Znadto się powtarza—mówił ten ostatni do Alby, śmiejąc się w jeden z wieczorów w końcu miesiąca — spotkałem go dziś rano na Corso — i otrzymałem trzecią edycję kiepskiego żartu papieżkiego o gruszkach i kasztanach! Szliśmy razem kilka kroków i zawołał, pokazując mi pałac Bonapartych: I ten także do nas należy... Znaczyło to, że wnuk stryjeczny cesarza ożenił się z kuzynką Peppina!... Uważa się za krewnego Napoleona! Słowo pani daję! A nawet nie wprawia go to wcale w pychę. Bonaparte, cóż to za nazwisko, wobec dźwięku starych imion szlacheckich!... Nadejdzie chwila, że się! będzie tego wstydził!...

— Nadejdzie chwila, w której zostanie ukarany tak, jak na to zasługuje—odrzekła Alba głosem posepnym. — Tryumf jego jest zbyt zuchwały... Ale nie, wszystko mu się udaje. Jeżeli to prawda, że jego majątek jest tylko olbrzymią kradzieżą, to pomyśl pan o tych, których zrujnował. Wobec jego bezwstydneho szczęścia, czy mogą oni w co wierzyć?...

— Jeżeli są filozofami—odparł Dorsenne, śmiejąc się jeszcze weselej — widowisko to powinno ich zmusić do zastanowienia się nad pięknym żartem jednego z bezbożnych moich przyjaciół; nie należy wątpić o palcu Bożym, gdyż wsadził go sobie w oko stwarzając świat... A zresztą ludzie ci, których on zrujnował, niepotrzebnie grali przeciw niemu na giełdzie. To jedno, a po-

tem, czy jest jakakolwiek własność, której po-  
czątek nie byłby kradzieżą? To drugie. A po-  
trzecie, dlaczego pani chcesz, żeby Opatrzność,  
która wcale nie przeszkodziła, by Joanna d'Arc  
była spalona żywcem, a tylu łotrów umarło spo-  
kojnie w łóżku, dlaczego ta Opatrzność ma karać  
pana Hafnera za to, że okradł samolubnych miesz-  
czan, lub nieudolną szlachtą na kilka milionów  
floreńców?... Ale dajmy pokój tej istocie złożonej  
z pół sępa i z pół pawia, a zajmijmy się jego  
śliczną córką, której pani możesz powiedzieć coś  
bardzo przyjemnego. Czy przypominasz pani so-  
bie książkę do nabożeństwa Montluca?...

— Tę, którą pański przyjaciel Montfanon ku-  
pił, żeby dokuczyć biednej Fanny?...

— Tak. Stary szuan oddał ją Ribalcie. Po-  
wiedział mi ten ostatni wczoraj, gdym przecho-  
dził. Zrobił to, chcąc sobie zapewne zadać umar-  
twienie... Mówię zapewne, gdyż nie widziałem  
zaczynającego staruszkę od czasu tego pojedynku, któ-  
ry dzięki jego niecierpliwości, odnośnie do Ardei  
i Hafnera, stał się nieuniknionym. Schronił się  
już od dawna do klasztoru na górze Oliwnej, nie-  
daleko Sienny, gdzie ma przyjaciela, niejakiego  
księdza Negro, o którym zawsze mówi, jak o świę-  
tym. Słyszałem od Ribalty, że już powrócił, ale  
nie pokazuje się wcale. Będę usiłował dostać  
się do niego... Bądź co bądź, książka znowu jest  
w sklepie starego spiskowca na ulicy Borgognona,  
i jeżeli panna Hafner mieć ją pragnie...

Powieściopisarz nie przypuszczał, że w chwili, gdy bluźnił wielkiej i groźnej idei Opatrzności, jako syn wieku zaślepionego sofistmatami i ogłupionego przez fałszywą analizę, stawał się sam mimowolnem narzędziem tej tajemniczej sprawiedliwości, zawsze gotowej zgnieść nas w chwili naszych zwycięstw zbrodniczych i rozchwiać nasze najstaranniejsze wyrachowania. Rozmowa ta miała miejsce o godzinie drugiej. O czwartej Alba miała zabrać Fanny, by razem odbyć parę wycieczek i resztę popołudnia spędzić w ogrodzie willi Celimontana, którą nowa chrześcianka lubiła bardzo z powodu, że jest tam aleja z dębów zielonych, na końcu której znajduje się grota z takim napisem:

„Tutaj, św. Filip Nereusz, otoczony uczniami, wykladał rzeczy Boskie“.

Pierwszym krokiem hrabianki było uwiadomienie przyjaciółki o tem, co powiedział Dorsenne i jakim sposobem tak pożądana książka do nabożeństwa znalazła się znowu w sklepie starego garibaldysty.

— Co za szczęście! — zawołała Fanny z błyskiem radości w oczach — nie wiedziałam, jaki dać podarunek memu kochanemu kardynałowi... Wiesz co, pobiegnijmy zaraz i kupmy tę książkę...

— Książkę do nabożeństwa Montluca? — odrzekł stary Ribalta, gdy dwie panny wyszły z powozu przed jego ciasnym sklepikiem, bardziej zakurzonym jeszcze, zapełnionym książkami, w którym

stał, ze swą twarzą chudą, wynędzniałą i zuchwałą pod szerokim kapeluszem, którego wcale nie zdjął.

— A zkądże panie wiecie, że wróciła do mnie? Kto paniom to powiedział? Więc wszędzie są szpiedzy?

— Pan Dorsenne, jeden z przyjaciół pana de Montfanon, powiedział nam o tem—odrzekła Fan-ny głosem słodkim.

— *Sara, Sara* <sup>1)</sup>—zawołał kupiec, ze zwykłym sobie grubiaństwem i otwierając szufladę w biurku, w której chował najróżnorodniejsze swe skarby, wyciągnął z niej szacowne dzieło, które pokazał dwom pannom, ale im go nie dał. Potem, mrużąc i krzywiąc się, zaczął wygłaszać szczegóły, o których dowiedział się od Montfanona:

— Jest to egzemplarz bardzo autentyczny, unikat. Jest tu podpis odcięty, ale nie ulegający wątpliwości. Porównałem go z takimże podpisem, zachowanym w archiwach Sienny... Jest to pismo Montluca z pewnością, a tu jest jego herb... o! a tu półksiężyc Piccolominich... Ta książka ma swoją legendę. Marszałek dał ją, po sławnem oblężeniu, jednemu z członków tej znakomitej rodziny... I jeden z jego potomków polecił mi ją sprzedać... Chce za nią dwa tysiące franków...

— Co za oszust!—rzekła Alba po angielsku do

<sup>1)</sup> To może być.

swej towarzyszki — Dorsenne mi mówił, że pan de Montfanon kupił ją za czterysta...

— Czy na pewno? — spytała Fanny i na znak potwierdzający zwróciła się do księgarza z tą samą słodyczą, choć w głosie czuć było lekki wyrzut.

— Dwa tysiące franków, panie Ribalta? Ale jest to cena zbyt wygórowana, gdyż sprzedałeś książkę panu de Montfanon za piątą część tej sumy...

— A zatem jestem oszustem i kłamcą — zawołał po grubiańsku starzec — kłamcą i oszustem?... czterysta franków!... pani chcesz kupić tę książkę za czterysta franków?... chciałbym, żeby pan de Montfanon był tutaj i żeby powiedział, wiele od niego zażądałem... Oszust i kłamca!...

I roześmiał się dziko, kładąc książkę do szufelady, którą zamknął na dwa spusty i zwracając się do dwóch panien, których wykwinna piękność, podniesiona jeszcze przez strój wykwinny, tworzyła dziwną sprzeczność z brudnym otoczeniem, obrzucił je wzrokiem tak pełnym nienawiści, że dreszcz je przeszedł i instynktownie zbliżyły się do siebie. Potem, głosem chrapliwym, niskim, który przerywał świst jakiś głuchy, rzekł:

— Jeżeli pani chcesz wydać czterysta franków, to mam tu książkę tyle wartą i którą chciałem w tych dniach zanieść do pałacu Savorelli... Hel hel! musi to być egzemplarz jedyny, bo pan baron wykupił cały nakład.

Wymówiwszy, a raczej wycedziwszy te słowa zagadkowe, otworzył klapę, stanowiącą górę biurka i wziął z półki książkę, owiniętą w gazetę, z pośrodku mnóstwa innych, co dowodziło, że doskonale wiedział, gdzie co jest w pozornym nieładzie sklepu. Odwinął gazetę i ściskając książkę swą olbrzymią łapą, o brudnych paznogiach, pokazał tytuł obu pannon: „Hafner i jego banda.. Kilka uwag o bezwstydnem, uwolnieniu z pod oskarżenia, przez jednego z akcyonaryuszów“. Był to pamflet dziś zapomniany, ale który w swoim czasie dużo narobił wrzawy w kołach finansowych Paryża, Londynu i Berlina. Był on wydrukowany odrazu w trzech językach: francuzkim, angielskim i niemieckim, zaraz po rozgłośnym procesie Banku austro-dalmackiego. Ze względu na słuszność, nawet względem takiego człowieka, jak Hafner, trzeba dodać, że piśmidło to, jak wszystkie tego rodzaju elukubracje, przepełnione było niedokładnościami. Jedynym ustępem, naprawdę straszliwym, gdyż nie mógł ulegać zaprzeczeniu, było przytoczenie in extenso sprawozdania z samego procesu, oraz wyroku z uwagami bardziej hańbiącemi Hafnera, niż samo skazanie: „wobec niewyraźnej granicy, zachodzącej między złą administracją a oszustwem“... Takim było zdanie najłagodniejsze, motywujące uwolnienie z pod oskarżenia. Mówiono, że baron wydał mnóstwo pieniędzy, by zmienić treść tych zdań, ale mu się to nie udało. Na to też liczył

autor broszury i przyszedł z pamfletem w rękę do interesowanego, proponując mu, by zakupił całą edycję.

— Jakże pan chcesz — odrzekł spokojnie Hafner — żebym zapłacił czterdzieści tysięcy franków za pięćset egzemplarzy, których mi pierwszy lepszy księgarz dostarczy w ciągu dwóch lat po pięćdziesiąt krajcarów za sztukę...

Jakoż starannie wykupił i zniszczył większość nakładu, a zresztą w czem mogły mu one szkodzić? Ten realista głęboki wiedział doskonale o opinii, jaką, co do niego, miały sumienia skrupulatne. Ale gardził nią tak samo, jak gardził podłością innych. Wiedział także, że pismo wydrukowane po pierwszych chwilach zdziwienia, niema żadnej wartości, choćby nawet fakty przez nie podane były prawdziwe. Czyż dzienniki, w skutek tego, że są przepełnione oszczerstwami, nie budzą wątpliwości co do prawd nawet niezaprzeczonych? To też Ribalta był w błędzie, zachowując tak starannie to bezużyteczne narzędzie szantażu, jak mylił się sądząc, że biedna Fanny znała dobrze sprawy ojca i wiedziała o istnieniu tego niegodnego pamfletu. A zresztą, gdyby był nawet wiedział o tem, że panna Hafner niema wyobrażenia o reputacyi barona, to i wtedy byłby jej pokazał tę szkaradną książkę. W tym rewolucyoniście, kończącym swą bezpłodną egzystencję wśród starych szpargałów, był wielki zasób zawistnego okrucieństwa. Czyż wre-



szcie w duszach stronników krwawego odwetu socyalnego, może być co innego? Jego małe, czerwone oczy mrugały z radości dzikiej, gdy pokazywał książkę, nie wypuszczając jej z ręki i mówiąc:

— Ta książka, to warta jest czterysta franków!...

— Nie bierz tej książki, Fanny—zawołała żywo Alba, przeczytawszy tytuł dzieła i mówiąc znów po angielsku — jest to jedno z tych brzydactw, którem nie należy brudzić swej myśli.

I stanęła między kupcem i przyjaciółką, mówiąc dalej z wyrazem oburzenia i wstrętu:

— Możesz pan schować sobie tę książkę, gdyż widać jesteś współnikiem tych, którzy ją napisali, licząc na postrach, jaki ona wzbudzi. Panna Hafner zna ją oddawna i ani ona, ani jej ojciec, nie dadzą za nią złamanego szeląga...

— A więc tym lepiej, tym lepiej—rzekł Ribalta, chowając książkę — w każdym razie powiedz pani swemu ojcu, że zachowam ją dla niego...

— Ach nędznik! — zawołała Alba, gdy Fanny i ona wyszły ze sklepu i wsiadły do powozu. I on śmiał ci pokazać tę książkę! I niema sądów, któreby karały za takie czyny!...

— Widziałas, jak byłam wzruszona—odrzekła Fanny — nie mogłam przemówić jednego słowa... Człowiek ten źle zrobił, ofiarując mi tę książkę, ale jest to biedak, który zapewne potrzebuje pieniędzy. Lecz co jest szkaradnem, to, że się zna-

iaż! ktoś, który napisał taką niegodziwość przeciw memu ojcu!... Mój ojciec, ty nie wiesz, jak on jest w interesach skrupulatny. Skrupulatność, to honor w tego rodzaju zawodzie. Niema w Europie ani jednego monarchy, któryby mu tego nie przyznał. Widziałaś jego ordery? Gdy się toczył ten proces, w którym musiał walczyć przeciw wszystkim zazdrozczącym mu majątku, byłam jeszcze bardzo małą dziewczynką. Przypominam sobie, jak on był wzruszony. I nie dziw, wszak rzucono się na jego dobre imię!... I ci nikiemnicy nie przestali go szkalować nawet wtedy, gdy sędziowie wydali wyrok uznający jego prawość... Było to najzupełniejsze usprawiedliwienie, jakie rzadko w sądach się przytrafia.. Na szczęście nic nie wie on o tej książce...

Ta namiętna protestacya była tak rozrzewniającą, złudzenie, w jakim żyło to dziecię szlachetne, było tak szczere, że Alba uściśnęła jej rękę z głębokiem wzruszeniem. Przeszły mówić o tym bolesnym przedmiocie, napotkawszy w jednym z magazynów na placu Hiszpańskim, pannę do towarzystwa, która miała im matkować. Wszystkie słowa, wszystkie ruchy i spojrzenia hrabianki w czasie przechadzki, miały wyraz pieśzcotliwy dla przyjaciółki strapionej, dla siostry z przeznaczenia, o wiele od niej szczęśliwszej, bo jeszcze jad nieufności nie zatrul jej serca. Gdy wieczorem znalazła się z Dorsennem, który znów obiadował u pani Steno, wzięła go na bok

i opowiedziawszy mu tę historję tragiczną, zapytała:

— Czy znasz pan tę broszurę?

— Dziś dopiero ją poznałem -- odrzekł powieściopisarz. — Montfanon, którego nakoniec udało mi się zdybać, nabył jeden z dwóch egzemplarzy, które Ribalta wy dostał z kądś w ostatnich czasach. Stary szuan wierzy wszystkiemu, gdy idzie o osobistość taką, jak Hafner... Co do mnie, to tak w dobrem, jak i złem jestem trochę sceptyczny... Samo tylko sprawozdanie z procesu zrobiło na mnie wrażenie, bo to są fakta. Co zaś do wyroku, to trzeba przyznać, że czytając go, uczułem radość, że nie jestem synem takiego ojca...

— Wszak go uwolniono z pod oskarżenia?...

— Tak — odrzekł Dorsenne — niemniej jednak faktem jest, że zrujnował setki osób... O ilem mógł zrozumieć tę ciemną historję, wyjednał on dla swego Banku austro-dalmackiego koncesyę na budowę drogi żelaznej, mającej dość ważne znaczenie. Szło o zaprowadzenie komunikacyi w mnóstwie krajów, kończących się na *rya* i *cya*, jak: Dalmacya, Kroacya, Ilirya, Styrya i t. d. W jaki sposób baron i jego przyjaciele podnieśli akcyę z dwustu piędziesięciu franków na pięćset, siedemset, a nawet tysiąc franków, tego pani nie wytłomaczę, jak również dlaczego nagle na całej linii nastąpiła klęska. Jest to historia pospolita przedsiębiorstw, które się nie udają,

które są na to, by wyssać drobne oszczędności tłumu na korzyść kilku wilków w rodzaju Hafnera. Pewnem jest to, że grał na zwyżkę i zniżkę. Ale jeszcze raz powtarzam, nie pytaj mnie pani o szczegóły. Nie studyowałem spraw giełdowych... Jest to błąd ze strony powieściopisarza, który chce malować świat nowożytny. Powiniennem wejść w ten świat na dwa lub trzy miesiące... Nie ulega więc kwestyi, że nasz przyjaciel porwał różnym paniczom olbrzymią sumę, ocierając się tak blisko o kodeks kryminalny, że gdyby się o jeden włos dalej posunął, byłby przypadł. Otóż za ten włos nie posunął się, albo raczej jegomość Justus — co za ironia, on i takie imię! — dobrze płacił, by patrzano na to przez palce i nie można go było skazać...

— Jednem słowem, pan ze sprawozdania tego procesu wyprowadziłeś wniosek, że jest złodziejem?... — zapytała Alba.

— Tak, hrabianko — odrzekł Dorsenne — jeżeli ktoś, obdzierający bliźnich tak, że go sprawiedliwość ukarać nie jest w stanie, może nazywać się złodziejem. Ale toby jeszcze nic nie znaczyło. Ponurą stroną tej sprawy jest samobójstwo niejakiego Schroedera, poczciwego mieszczucha wiedeńskiego, który był w poufałych stosunkach z naszym baronem, a który za radą swego wyborczego przyjaciela, włożył cały majątek, trzykroć sto tysięcy guldenów, w ten interes. Stracił je i z rozpaczcy zabił się, a z nim jego żona i troje ich

dzieci. Na sądach czytano list tego człowieka, pisany do Justusa Hafnera... Ach, co za list!...

— Wielki Boże!—zawołała Alba, składając ręce—i Fanny byłaby przeczytała ten list w owej książce...

— Naturalnie— odparł Julian— a obok listu resztę także z dowodami i dokumentami. Ale bądź pani spokojna, książki tej nie dostanie. Jutro rano pójdę do tego anarchisty Ribalty i wykupię ostatni egzemplarz, jeżeli Hafner już się tem nie zajął. W innych okolicznościach śmiałyby się z tego, ale teraz, wobec małżeństwa córki, musi dbać o głosy prasy i trzymać pod korcem wszystko to, co mogłoby wyprowadzić na światło dzienne ciemne strony z przeszłości. Zeznanie brata owego Schroedera, przypominam sobie, jest jeszcze okropniejsze od listu...

Julian, pomimo udawania ciągłego szyderstwa i egoizmu, był usłużny; i nie wahał się nigdy, gdy mógł komu zrobić przysługę. Nie kłamał więc, mówiąc swej ukochanej, że kupi ową książkę niebezpieczną i zaraz nazajutrz rano ruszył do sklepu na ulicę Borgognona, zaopatrzony w dwadzieścia ludwików, jakich żądał antykwaryusz. Jakże się zdziwił, gdy mu ten ostatni odrzekł:

— Już zapóźno, panie Dorsenne. Młoda panna wróciła tu wczoraj wieczorem. Wobec towarzyszeki swej udawała, że nie dba o książkę. Hel hel! ale musiała zapłacić, com chciał... Od ojca

byłbym więcej zażądał, ale dla młodych panien trzeba mieć zawsze pewne względy...

— Niegodziwcze! — zawołał powieściopisarz — i jeszcze sobie drwisz, dokonawszy tego czynu godnego Judasza! Uwiadomić córkę, o niczem niewiedząca, o występkach ojca!... Słyszysz pan, nigdy, nigdy, ani ja, ani pan de Montfanon nie stąpi do ciebie nogą, ani monsignor Guérillot, ani nikt z osób, które znam... Wszystkim opowiem pańską niegodziwość, opiszę ją we wszystkich dziennikach rzymskich. Zrujnuję cię, zmuszę cię do zamknięcia tego ohydneho kramu...

— Cierpliwości! cierpliwości! — odrzekł starzec wcale nierozgniewany na te gwałtowne słowa — będziesz się pan uważał za szczęśliwego, jeżeli się będziesz mógł uciec pod opiekę ojca Ribalty, w dniu, w którym nastąpi wielka likwidacya kapitalistów. Pożałujesz pan wtedy tego napadu furji francuzkiej...

I z wyrazem cierpkiej nienawiści, świadczącej jak był zadowolony ze swego haniebnego handlu, dodał:

— O niczem nie uwiadomiłem córki niemca... A zresztą, choćbym ją i uwiadomił, to czyż nie byłoby to słusznem?... Czytałem także tę książkę. A dwie małe Schroederówny, które zabił ten Hafner, czy nie były, tak jak córka jego, nic nikomu niewinne? I tyle innych dziewcząt, które zostały ladacznicami, gdy rodzice potracili majątki, zawsze przez tego pana?... Posłałbym ich

oboje, ojca i córkę, na gilotynę, jak to robiono w r. 93... To byli ludzie! to była epoka!... Ale, cierpliwości! cierpliwości! to się powtórzy i niedługo... Tymczasem, jeżeli naprawdę ta książka może pokłócić córkę z ojcem, to tym lepiej... He! he! he!...

Dorsenne uciekł, nie nie odpowiadając, zdjęty zgrozą wobec tego wybuchu barbarzyńskiej wesołości. Ribalta ukazał mu się jako wcielenie tego, czego najbardziej nienawidził jako człowiek inteligentny, okazał mu się, jako rewolucjonista nowożytny, którego jedynym programem jest zniszczenie. Wziął on sobie za dewizę polityczną życia słowa Goethego, w chwili, gdy przeszkodził wymierzeniu ludowej sprawiedliwości na złodzieju, w czasie oblężenia Moguncyi: „wolę niesprawiedliwość, niż nieporządek“... i w innych okolicznościach byłby potrząsnął ramionami na deklamacje garybaldysty. Ale w tym wypadku człowiek ten stał się ślepem narzędziem mściwej sprawiedliwości—i to go przeraziło. Przypomniał sobie szydce zdanie o Opatrzności, które wczoraj wyrzekł i dreszcz go przeszedł na widok tego piorunu, który wypadł z pogodnego nieba szczęśliwości Hafnera, na widok tego odstąpienia jego przeszłości przed córką w takiej chwili i drogą tak skomplikowaną, a zarazem tak naturalną. Nagle przyszedł mu na myśl ustęp z Biblii, który Montfanon zwykł zawsze cytować w czasie ich nieskończonych dyskusyj o rasach: „*propter pec-*

*cata patrum filii affligentur*... za grzechy ojców synowie pokutować będą“. Jeżeli Fanny przeczytała książkę, a z pewnością ją przeczytała, to w tej chwili musi przechodzić te same męczarnie, jakich doznawała Alba po odebraniu listu bezimiennego.

Napróżno przez cały dzień Dorsenne chciał się otrząsnąć z przykrego wrażenia, jakie na jego umyśle zostawiła poranna wizyta u rozbójnika z ulicy Borgognona. Myśl o strasznym ciosie, który uderzył w Fanny, wzbudzała w nim litość, a zarazem zastanawiał się nad wpływem, jaki mieć będzie na Albę to podobieństwo ciosu, jakiego obie doznały. Uczucie wspólnej niedoli może rozdrażni, a może złagodzi nieszczęście obu dziewcząt? To też przestępując o godzinie dziewiątej próg willi Steno, dla zdania sprawy ze swego kroku przed hrabianką, był nadzwyczajnie wzruszony. Oprócz Maitlandów i dwóch przejezdnych dyplomatów angielskich, udających się na daleki Wschód, nie było nikogo więcej.

— Czekałam na pana—rzekła Alba do Juliana, jak tylko znaleźli się nieco na osobności—chcę, żebyś mi pan poradził.. Wczoraj wieczór u Hafnera stała się straszna historia...

— Spodziewałem się jej—odrzekł Dorsenne—Fanny kupiła książkę u Ribalty...

— Kupiła książkę!—zawołała Alba, bledniejąc i drżąc całym ciałem—ach biedna!... Niedosć miała tamtej sprawy!...



— Jakiej sprawy?—zapytał Julian.

— Wszak przypominasz pan sobie — odrzekła Alba — że mówiłam panu o tym Noem Anconie, tym agencie pokątnym, który posłużył Hafnerowi za parawan do zlicytowania Ardei i zmuszenia go tym sposobem do małżeństwa? A więc, zdaje się, że osobistość ta uważała się za źle zapłaconą za ten interes. Zażądał od barona grubej sumy, dla założenia jakiegoś tam banku i baron stanowczo odmówił. Wtedy człowiek ten pogroził, że powie wszystko Ardei i w rzeczy samej powiedział...

— I Peppino się oburzył? — zapytał Dorsenne, potrząsając głową — to na niego nie jest podobnem...

— Oburzył się, czy nie, niewiem — odrzekła Alba — ale wczoraj wieczór przyszedł do pałacu Savorelli i zrobił przysłemu teściowi okropną scenę...

— I wyjednał dodatek do posagu! — przerwał powieściopisarz.

— Jeżeli miał taki zamiar, to źle się wziął do tego — odrzekła Alba — gdyż nawet obecność Fanny, która nadeszła w czasie tej szkaradnej sprzeczki, nie powstrzymała go wcale. Może wypił więcej, niż zwykle, jak to podobno znowu weszło u niego w zwyczaj... I to biedne dziecko wtajemniczone zostało w ten ohydny handel jej przyszłością i szczęściem. A w dodatku jeżeli jeszcze czytała tę książkę!... Nie! to jest zbyt okropne!...

— W istocie, to jest okropnel — zawołał Dorsenne. — A więc małżeństwo zerwane?..

— Oficjalnie, nie. Fanny zachorowała ze wzruszenia i leży w łóżku. Ardea dziś rano przyszedł do mej matki, a ta zobaczyła się z Hafnerem. Pogodziła ich ze sobą, ukazując im, że cba mają jednakowy interes w uniknięciu skandalu i ułożeniu się pokojowem. Zdawało jej się, że tak jest w rzeczy samej. Ale po za tem jest jeszcze ta biedaczka. Mama chciała, żebym do niej poszła dziś po południu i namówiła ją do przywrócenia dawnego stanu rzeczy. Oświadczyła bowiem ojcu, że nie chce słyszeć nawet o księciu. Odmówiłam, ale mama nalega... Jak pan sądzisz, czy niemam racyi?..

— Kto to wie? — odrzekł Julian. Jakież teraz będzie jej pożycie z ojcem, co do którego niema teraz żadnych złudzeń?..

Nie mieli czasu powiedzieć sobie więcej. Rozmowa ich, zbyt ożywiona, zwróciła uwagę hrabiny. Obawiała się zapewne, żeby jej córka nie opowiedziała przedwcześnie Dorsenne'owi o zerwaniu nieuniknionem, ale jeszcze niedokonanem, małżeństwa. Zbliżyła się więc do nich w towarzystwie Maitlanda, który trzymał w jednym ręku szklaneczkę, pełną wódki, a w drugiej duże cygaro i zapytała Juliana swym głosem dźwięcznym:

— Panie Dorsenne, zaczynam wierzyć temu, że mój stary przyjaciel prawdę powiedział, iż obser-

wujesz moją córkę, dla umieszczenia jej w przyszłym swym romansie...

— Na chęciach mi nie brak — odrzekł powieściopisarz, tym samym wesołym tonem—ale hrabianka ma charakter zbyt skomplikowany, zbyt trudny do obserwacji... Trzeba mieć pędzel Vinciego, by odmalować Jokondę...

Mówiąc to, zwrócił się do Lincolna Maitlanda, a komplement ten mile połechtął miłość własną artysty amerykańskiego. Roześmiawszy się głośno, śmiechem szczęśliwego atlety, odrzekł, zwracając się do swej kochanki:

— Chciałem go odmalować już od dość dawna... Prawda, że dobrzeby wyglądał w tonie oliwkowym, prawie zielonkowatym?... Ale nigdy nie chciał się na to zgodzić... Powinnaś go pani zmusić, by pojechał z nami do Pieve...

— Śliczna myśl!—zawołała hrabina.—Zgadzasz się pan na nią, panie Dorsenne?

I spojrzała na Juliana swemi ślicznemi, turkusowemi oczami, błyszczącemi jedynem pragnieniem zadośćuczynienia temu nowemu kaprynowi kochankowi, wypowiedzianemu tak, bez ogródki.

— Wyjedziemy za tydzień, jeżeli Pan Bóg dozwoli... Odstąpię panu osobny pawilon, gdzie ci nikt nie będzie przeszkadzał i będziesz mógł pisać, ile zechcesz. Jest tam ogromna biblioteka, po mym dziadku, który był przyjacielem Stendhala i lorda Byrona... Co rano i co wieczór wieje wiatr od Adryatyku i gorąco zbyt

nie dokucza. Linco przyrzekł mi, że zabawi do końca lipca. Potem przeniesiemy się wszyscy do Wenecyi do kąpieli. Zobaczysz pan nasze życie miejskie w Veneto...

W godzinę potem, Dorsenne, powracając do domu pieszo przez ulicę Dwudziestego Września, wśród słodkiego blasku księżyca na tem niebie rzymskiem, tak zawsze słodkiem, mówił sobie:

— Malarz zaczyna mnie dziwić; zaprasza mnie na wieś, teraz. Niedługo będzie siadał do stołu naprzeciw hrabiny, jak gospodarz domu. Piękny będzie miała pobyt przez lato w tem Piove, ma droga Alba. Widocznem jest, że matka ma ochotę, bym z nimi pojechał. Czyżby uważała mnie za odpowiedniego dla Alby męża?... Dość tego! czas już wielki, bym poszedł śladem dziesięciu tysięcy greków i wsławił się odwrotem... tylko wprzód muszę się dowiedzieć o rezultacie rozmowy dwóch tych biedaczek... Jak one będą patrzyły na siebie? O czem będą mówiły?... Rozmowa będzie ze wszech miar godną zapisania jej na pamiątkę, ale niestety, tego rodzaju rozmowy nie znoszą świadków. My, powieściopisarze, musimy je wymyślać i dlatego to sztuka zawsze jest niższą od życia...

W rzeczy samej rozmowa ta odbyła się nazajutrz, mniej niż w dwadzieścia cztery godzin po tem, jak powieściopisarz wyraził żal, że nie może być przy niej obecnym. Mylił się tylko co do jej treści, co dowodzi, że bystrość umysłowa nie

jest w stanie zrozumieć prostoty serca. Tragedye moralne najboleśniejsze zawiązują się i rozwiązują najczęściej w milczeniu. Około godziny szóstej po południu służący zaanonsował pannę Hafner hrabiance, zajętej odczytywaniem po raz dziesiąty złudnych „Sielanek światowych“ Dorsenne'a. Gdy Fanny weszła do pokoju, Alba spostrzegła, jakich musiała doznać cierpień ta, w przeszłym tygodniu jeszcze tak piękna panna. Twarz jej pobladła i pomarszczyła się. Wzięła ją za rękę, nie mówiąc, jakby nie wiedziała o powodach cierpienia przyjaciółki, rzekła:

— Jakże się cieszę, że cię widzę. Jesteś już zdrowa?

— Nie chorowałam wcale—odpowiedziała Fanny, która nie umiała kłamać—miałam tylko zmartwienia.

I spojrzawszy na Albę, jakby ją błagała, by nie pytała o wyjaśnienia, dodała:

— Przyszłam się z tobą pożegnać...

— Wyjeżdżasz?—zapytała hrabianka.

— Tak. Mam zamiar przepędzić lato w jednym z naszych majątków w Styryi.

Poczem głosem cichym dodała:

— Czy matka powiedziała ci, że małżeństwo moje zerwane?

— Tak!—odrzekła Alba i obie znowu umilkły. Po chwili Fanny zapytała:

— A ty, jak zamysłasz przepędzić lato?

— Jedziemy do Piove, jak zwykle — odrzekła Alba.—Prawdopodobnie pojedzie z nami Dorsenne, no... i oczywiście, Maitlandowie...

Znowu, po raz trzeci, umilkły. Spojrzały na siebie i nie mówiąc nic, czytały we własnych sercach. Cierpienia, jakich doznawały, były tak do siebie podobne, wiedziały o tem, że są podobne, że nawzajem uczuły dla siebie litość. Zmuszone do bezwzględnego potępienia, jedna ojca, druga matki, pociągnięte wspólną niedolą, mimowolnie rzuciły się sobie w ramiona i załżały rzeźnemi łzami.

## XI.

### Jeziro Porto.

Te łyzy przyjaciółki zrobiły ulgę Albie, dopóki ją trzymała w swych objęciach, drżącą z boleści i współczucia. Ale gdy Fanny odjechała i gdy córka pani Steno znalazła się samą, wobec swych myśli, ogarnęło ją straszliwe zniechęcenie. To współczucie, jakie jej okazała towarzyszka niedoli, czyż nie było jednym więcej dowodem, że miała rację, nie wierząc swej matce? Ani jej własne obserwacye nad zachowaniem się hrabiny, ani denuncyacya listu bezimiennego, ani pojedynek Bolesława i list Maudy, ani ich odjazd wiele znaczący, nie przekonały jej, nie miały dla niej pewności... Między oczywistością zupełną a pół oczywistością hipotez nawet najprawdopodobniejszych, ileż to zmian się mieści! Alba przeszła je wszystkie i każde nowe zdarzenie, truło ją nowemi podejrzeniami. To, co dostrzegła po przez łyzy Fanny Hafner, zwiększyło tylko jej zgryzoty. Co było wiadomem tej niedawnej a już tak drogiej przyjaciółce? Odpowiedź na to pytanie była zbyt wyraźna i dla Alby tak straszna,

że przycisnęła ręką serce, jak gdyby chciała wyrwać z łona ten niewidzialny koniec szpilki, który ją ranił i wołała boleśnie:

— O! jeżeli się myślę, to niechże wiem o tem, jak również, jeżeli się nie myślę wcale!... Cierpiałybym o wiele mniej.

Niestety! biedna dziewczyna, rzucając to wyzwanie rozpaczliwe losowi, nie wiedziała o tem, że był ktoś w Rzymie, w jej otoczeniu bezpośrednim, zajęty urzeczywistnieniem tego życzenia. A była to ta sama osoba, która nie cofnęła się przed niegodziwością listu bezimiennego, była to ta śliczna i posępna Lilya Maitland, ta przebiegła, milcząca młoda kobieta, o dużych oczach piwnych, zawsze uśmiechniętych, zawsze spokojna, ze swą cerą bladą i matową, której zdawało się, żadne wzruszenie w świecie nie jest w stanie zaróżowić. Niepowodzenie pierwszych usiłowań rozdrażniło jej nienawiść do męża i hrabiny prawie do wściekłości, ale wściekłości skoncentrowanej, ukrytej, czychającej na nową sposobność do uderzenia przez całe tygodnie cierpliwie i skrycie. Zdawało jej się, że jest już pomszczoną z chwilą powrotu Gorskiego, a jednak na cóż się to przydało? Na to tylko, że Lincoln pozbył się rywala niebezpiecznego, a życie najdroższej dla niej istoty, było wystawione na niebezpieczeństwo! Przepędzała ona długie godziny u wezglowia brata, o którego była namiętnie zazdrosna, z poświęceniem bardzo podniosłem, gdy-



by nie podsycalo ono w niej nienawisci. Przekonala sie znouwu tutaj w tym pokoju chorego, w kazdej godzinie, w kazdej prawie chwili, o glębokości przyjaźni, jaką raniony żywił dlatego, za którego się pojedynekował. Florenty był wdzięczny Lincolnowi za to, że mógł dlań zaryzykować życie! Gdy Lidya uwiadomiła go o odjeździe Gorskiego, jakież blask radości zajaśniał mu w oczach! Jakież blask tam się pojawił, gdy hrabina powiedziała im o projekcie długiego pobytu w Piove, a potem w Wenecyi, w końcu lata! Ten pobyt na wsi, u kochanki męża, rozdrażnił do ostatka gniew tajony w Lidyi. Cierpiała jak zwierzę dzikie, zamknięte w klatce, dręcząc się obrazami szczęścia, jakiego dwoje kochanków będzie kosztowało w poufałym życiu wiejskiem, na tle przepysznych pejzaży weneckich. Lincoln opisywał jej te pejzaże z dokładnością malarza, według obrazów Giorgiona, Tycyana i Bonifacya, pełnych poezyi; tę bujną zieleń, miękie i łagodne spadki, dal błękitną. W pracowni jego była dawna kopia uroczystości wiejskiej, przypisywana jednemu z tych trzech mistrzów. Widać tam było nagą kobietę przy studni, z piersią przepyszną, z ruchem leniwym, z włosami jasnymi, strojnymi w perły, z ustami wilgotnymi i zmysłowemi, która wiotką kibicią i szerokimi biodrami przypominała Katarzynę Steno. Obok tej istoty rozkoszy jakiś jegomość, grający na wioli, przypominał przez swą tęgą postać plastyczne kształty

amerykanina! Lidya, nerwowa i sucha, ilekroć patrzała na to płótno, mówiące, zda się, o tem, co się dzieć będzie na wsi, czuła wzbierającą w sobie falę gniewu. Jakiej broni ma się teraz chwycić, co mają zrobić jej ręce, te ręce, które nie lękały się szańbic pracą nad listami bezimiennymi? Czy ma znowu to samo czynić? I na co? Po pojedynku wysłała jeden do weneccyanki, a ta głośno szydziła z tej niegodziwości z bezczelną wesołością siły, której nigdy niepokój zakłócić nie jest w stanie. Cóż zyskała na tem, że uwiadomiła Albę? Wszak hrabianka po dawnemu pokrywa sobą i swą niewinnością nierząd matki. Wprawdzie zdradzona małżonka mogła wywołać skandal i zażądać rozwodu, na mocy niezaprzeoczonych dowodów, które pokazała Maudzie. Dość było zanieść do jakiego adwokata listy leżące w kantorku hiszpańskim. Ale cóż z tego? Tym sposobem nie zemści się wcale na mężu, dla którego rozwód ten będzie rzeczą obojętną teraz, gdy zarabia tyle, ile chce pieniędzy. Straci tylko brata. Choćbowiem występki Lincolna był widoczny, była jednak pewną, że Florentyn przełoży go nad nią, i ta to okoliczność właśnie budziła w niej gniew szalony. Rozmyślała o wszystkich osobach i środkach, i instynkt, ten rodzaj podwójnego widzenia zwierzęcego, zawsze kierował jej myśli na Albę. W czasie niekończących się nigdy seansów, które zapal malarza, pragnącego wykończyć swe dzieło, ciągle prze-

dłużał, studyowała ona także bladą i delikatną twarzyczkę dziewczęcia. Odgadywała w jej oczach błękitnych, o powiekach drżących nerwowo, nieokreśloną tajemnicę buntu. Badała te usta, napół otwarte, których kąty gorzko się zginały. Ściagała wzrokiem to widoczne trawienie się młodości jakąś myślą ciągłą. Nie, to nie była postawa, ani maska współniczki, jak również nie był to wygląd osoby, wiedzącej o wszystkim. Napróżno Lidya mówiła sobie, że Alba została ostrzeżoną przez jej list o prowadzeniu się pani Steno, że nie może mieć zatem pod tym względem żadnych wątpliwości — przekonywała się co chwila z tysiącnych drobnych oznak, że hrabianka wątpiła. Widząc to Lidya, mówiła sobie:

— To tu trzeba uderzyć... ale jak?

Jak? Ta wążka kobieta, pod pozorem światowości kryła na posługi swej nienawiści, energię mężką w postanowieniach, jaką znajdujemy we wszystkich rodzinach pochodzenia wojskowego. Krew pułkownika Chaprona wrzała w niej i popychała ją do czynu. Wreszcie cóż ryzykowała, zwracając się ku Albie? Jeżeli dziewczyna wiedziała o prowadzeniu się matki, to jeden dowód więcej nic jej nowego nie powie i nie było żadnego ryzyka, dając jej ten dowód. Jeżeli zaś przeciwnie hrabianka nie miała dotąd żadnej pewności, ten dowód nowy i stanowczy, może spowodować wybuch. Jakkolwiek weneccyanka była bardzo zuchwałą, jednakże trudno jej będzie spro-

wadzić do Piove córkę i kochanka, gdy w oczach tej córki uchodzić będzie za metresę tego kochanka. Rozbierając na wszystkie strony tę myśl, Lidya utworzyła plan pełen prostoty piekielnej, w którym znać było geniusz złego, że tak powiemy, tak był jasny w zarysach i zbrodniczy w wykonaniu.

Powiedziała sobie, że na to wykonanie nie potrzeba innej sceny, jak pracownia. Znała ona bardzo dobrze żar miłości, jaki opętał panią Steno i nie wątpiła, że jak tylko zostanie sama z Lincolnem, okryje go szalonymi pocałunkami, o których mówiły jej listy. Sidła takie łatwo było zastawić. Dość było, by Alba i Lidya znalazły się na stanowisku, z którego będą mogły widzieć kochanków, przekonanych, że są sami, choćby na jedną tylko chwilę. Położenie miejsca pozwoliło strasznej tej kobiecie wynaleźć taki punkt szpiegowski, a zarazem bezpieczny. Pracownia mieściła się na dwóch piętrach i zajmowała połowę szerokości domu. Mur, oddzielający ją od mieszkania, kończył się przepierzeniem ze szkiele kolorowych, przez które nic nie było widać. Szyby te słabo oświecały korytarz, zupełnie ciemny, prowadzący do garderoby. Lidya strawiła mnóstwo godzin dnia i nocy na wycięcie dyamentem z pierścienia, otworu wielkości sztuki pięćdziesięciocentimowej w jednej z tych szyb. Starła się wykonać to dzieło, godne złodzieja, stojąc na krzeselku, tak że gdyby nawet

odkryto ten otwór, to niktby jej posadzić o to nie mógł, gdyż jej wzrost mały nie pozwalał na osiągnięcie takiej wysokości. Jednakże podnosząc się na palcach mogła patrzeć do pracowni, gdyż trzeba było, żeby i ona w chwili stanowiącej mogła tam zajrzeć. Wszystko szeregółowo obrachowała i gdy przygotowania już ukończyła, przez kilka dni, mimo dręczącej ją niechęci, wahała się z użyciem tego środka, tyle było dzikiego okrucieństwa w zamiarze popchnięcia córki do szpiegowania matki. Sama jednak Alba przyczyniła się do tego, że stłumiła ostatni błysk ludzkości w tem posępnem sumieniu, dzięki najniewinniej wypowiedzianym słowom.

Było to wieczorem tego samego dnia, w którym tak smutno pożegnała się z Fanny Hafner. Dnia tego była bardziej niż zwykle zdenerwowana i rozmawiała z Dorsennem w kącie salonu pałacu Steno, świadku tylu podobnych rozmów, jedynej pociechy w jej zgryzotach. Osób w tej chwili było bardzo niewiele w salonie i z początku młodzi ludzie mówili dość cicho, tak że ich nikt nie mógł usłyszeć. Później, jak to zwykle bywa, niepostrzeżenie przybrali ton zwykły. Powoli, zajęci swą rozmową, nie zauważyli, że Lidya zbliżyła się do nich, zmieniając fotel, co pozwoliło jej podsłuchiwać hrabiankę, udając współcześnie, że prowadzi zajmującą rozmowę z jednym z gości. Od kilku tygodni szpiegowała ona te same na sam dwojga ludzi, popychana przez ten sam

instynkt, który jej kazał czytać wszelkie listy, jakie jej wpadły w rękę, wypytywać się służących, szpiegować wreszcie wszędzie i zawsze. Jakoż podchwyciła zdanie, wygłoszone przez biedną Albę ze szczerością. Mówiła z goryczą o człowieku, którego obraz ściśle był złączony z miłością jej najgorszego kata. Tym człowiekiem był Florentyn Chapron i na pochwały, wygłoszone o nim przez Dorsenne'a, odrzekła:

— Cóżem ja temu winna? Prawda, że czuję do niego wstręt... Jest to istota jakaś nieokreślona dla mnie... ta jego przyjaźń dla szwagra, jest w rzeczy samej bardzo piękną, bardzo rozczulającą... ale, mnie się nie podoba. Takie poświęcenie nie jest ludzkim... jest ono zbyt instynktowne i zbyt ślepe... Zresztą, może się mylę... Są przesady rasowe, których podobno nigdy w zupełności się nie pozbędzie...

W tej chwili Dorsenne dotknął się jej ręki pod pozorem wzięcia od niej wachlarza, a w rzeczy samej, by ją ostrzedz i szepnął do niej:

— Odejdźmy nieco dalej, Lidya Maitland zbyt blisko siedzi...

Zdawało mu się, że dostrzegł lekki dreszcz w siostrze Florentyna, na którą rzucił wzrokiem wypadkiem w chwili, gdy Alba zajęta była rozmową i wygłaszała swe zdanie. Ale śliczny, wesóły śmiech Lidyi rozległ się w tej chwili i nieroztropna Alba odrzekła:

— Szczerściem nie nie słyszała. Jakto łatwo można przykrość komu zrobić mimowolnie!... Jestem niesprawiedliwa—mówiła dalej—gdyż to nie jest winą tak Florentyna, jak i jej że mają w żyłach trochę krwi czarnej, zwłaszcza, że ją uszlachetnili krwią bohatera i oboje są dobrze wychowani, a co większa, są bardzo poczciwi. Zresztą wiem dobrze, iż największą ideą tego wieku jest idea braterstwa ludzi... ale jestem dziś taka zdenerwowana... Zmartwienie Fanny zbyt silne na mnie wywarło wrażenie, a w takich razach człowiek staje się złośliwym... Ale mówmy o czem innym, dobrze? naprzykład o pańskim przyjacielu Montfanonie, którego takbym pragnęła poznać. Czy przebaczył już sobie, że sekundował w tym pojedynku? i czy przebaczy także biednej Fanny obecnie, gdy to małżeństwo zostało zerwane?..

Mówiła teraz głosem stłumionym, ale już było za późno. Zresztą choćby nawet siostra Florentyna słyszała te ostatnie słowa, to nie ułagodziłyby to wcale rany, jaką jej zadały poprzednie, w miejsce najdrażliwszej jej miłości własnej.

— I ja się wahałam! — szeptała — chciałam oszczędzić jej zgryzot!..

To pozbycie się wyrzutów sumienia było chwilą stanowczą dla tej duszy okrutnej, która posiadała niektóre przymioty właściwe wielkim intrygantom politycznym. Nie czekała nawet dwudziestu czterech godzin z wykonaniem swego strasznego pomysłu, który miał rzucić na pa-

stwę nieszczęścia biedne, bezbronne dziecko. Na-  
zajutrz, koło południa, znalazła się ona w praco-  
wni i siadła koło pani Steno, podczas gdy Lin-  
coln pracował nad portretem, prawie już skoń-  
czonym, któremu dawał ostatnie dotknięcia zbyt  
wymagającego pendzla, a Alba pozowała na fo-  
telu, pogrążona w myślach i blada jak zwykle.  
Florentyn Chapron bawił tu także przez chwilę  
i odszedł wsparty na kuli, której przez ostroż-  
ność ciągle używał jeszcze. Odejście to wydało  
się chwilą najstosowniejszą dla Lidy, tak, że po-  
stanowiła skorzystać ze sposobności i jak gdyby  
fatalność jaka chciała jej ułatwić dzieło hańby,  
pani Steno dopomogła jej, przerywając nagle  
pracę malarza, który, malując w milezeniu przez  
pół godziny, zatrzymał się i ocierał pot z czoła,  
tak dalece wkładał on w swe dzieło całą swą  
stność.

— No, no, mój Lineo—rzekła z czułą troskli-  
wością kochanki starszej—trzeba, żebyś odpoczął.  
Od dwóch godzin malujesz ciągle i do tego tak  
usilnie... Ja, choć tylko patrzę na ciebie jak  
sybarytka, a czuję się zmęczoną...

— Ja zaś wcale nie jestem zmęczony—odrzekł  
Maitland, kładąc jednak paletę i pendzel i począł  
zwijać papierosa.

Zapalił go i mówił dalej z dumnym uśmiechem:

— My się wcale nie męczymy; my, amerykanie,  
posiadamy zdolność pilności, jakiej świat stary  
niema już wcale... Dlatego też są rzemiosła,



w których nikt nie jest w stanie nam dorównać... Może dla zmęczenia się większego, a zarazem dla rozerwania, posłuchać pani raczysz historii życia doktora Peyton, dentysty z ulicy Condotti?... Wyobraź pani sobie, że posiada on także gabinet w Londynie, w którym przyjmuje od dnia 1 czerwca od godziny 10-ej rano, a który zamyka 31 października, jak najpunctualniej o czwartej po południu... A może pani nie wiesz o tem, że gabinet swój w Rzymie zamyka on także jak najpunctualniej dnia 28 maja o godzinie czwartej i otwiera go d. 4 listopada o dziesiątej. I od lat dwudziestu dwóch ani razu się nie spóźnił. Podróż, to jego wakacye!... Ale to nic. Każe sobie za kwadrans płacić pięć dolarów i zdarza się dość często, że na dzień zarabia pięćset dolarów. Policz pani, ile to godzin i jakiej pracy potrzeba... pracy zegarmistrza, naprawiającego żywe zegary!... Zgadnij pani, co mi odpowiedział, gdym go żałował, że życie swoje poświęca na to, by regulować chore usta Wielkiej Brytanii i Włoch: *I like my work*, kocham moją pracę!... Wskaż mi pani choć jednego europejczyka, któryby był zdolny do takiego wysiłku...

— Wszystko to jest piękne—odrzekła Lidya— ale bierzesz Albę za bostonkę, lub mieszkankę Nowego-Jorku i każesz jej pozować tak długo, że aż zbladła... Trzeba ją rozerwać i wyprostować... Chodź ze mną, moja droga. Chcę ci pokazać kostium, który mi przysłano z Paryża

i który włożę dziś po południu na zabawę u ambasadorowej angielskiej. Chcę ci się poradzić przytem w pewnej kwestyi...

Zmusiła Albę do powstania z fotelu, a mówiąc te słowa, objęła ją w pól i ucałowała. Jeżeli kiedy jakikolwiek pocałunek mógł być porównany z niegodnym pocałunkiem Iskaryoty, to ten był takim, i biedne dziewczę mogło śmiało wyrzec te podniosłe słowa: „Przyjacielu, pocałowaniem wydajesz Syna człowieczego“... Niestety! uwierzyła w ten dowód przywiązania i oddała pocałunek fałszywej przyjaciółce z wdzięcznością, która nie wzruszyła tej duszy nasyconej nienawiścią, gdyż nie upłynęło i pięciu minut nawet, a już Lidya spełniła swój pomysł ohydny. Pod pozorem prędszego dostania się do garderoby, udała się schodami bocznymi, które wychodziły na ów korytarz oszklony, gdzie znajdował się otwór, przeznaczony do szpiegowania tego, co się dzieje w pracowni.

— A to dziwne—rzekła, zatrzymując się nagle.

I pokazując swej niespodziewającej się niczego towarzysze mały otwór okrągły, widoczny w całości przepierzenia, dodała:

— To z pewnością któryś ze służących zrobił dla szpiegowania... ale jak?... Jesteś większa odemnie, zobacz z łaski swej, w jaki sposób ten otwór został zrobiony? Jeżeli został on umyślnie wycięty, dowiem się, czyje to dzieło, choćbym miała wszystką służbę wypędzić...

Alba zadość uczyniła bez zastanowienia się e-  
mu zdradzieckiemu żądaniu i przyłożyła oko do  
otworu w szybie. Autorka listów bezimiennych  
dobrze wybrała chwilę. Jak tylko drzwi prace-  
wni się zamknęły, hrabina powstała, żeby się  
zbliżyć do Lincolna. Objęła szyję młodego czło-  
wieka ramionami, przeglądającemi nagością pod  
przejrzystym rękawem sukni letniej, i zaczęła ob-  
sypywać ognistemi pocałunkami jego oczy i usta.  
Lidya, trzymając w swym ręku dłoń Alby, uczu-  
ła, jak ta zadrżała konwulsyjnie. Myśliwy na  
stanowisku, słyszący szelest liści w gęstwinie,  
z której ma wyjść łup, na który czatuje, nie do-  
znaje silniejszej radości. Zasadzka się udała.  
Rzekła do swej biednej ofiary:

— Ale co ci jest? dlaczego tak drżysz?...

I chciała ją usunąć, żeby stanąć na jej miej-  
scu. Alba, którą widok matki, obsypującej Lin-  
colna namiętnemi pocałunkami, wstrząsnął strasz-  
liwie, była jednak na tyle przytomna, że zrozu-  
miała niebezpieczeństwo grożące tej matce, schwy-  
tanej, że tak powiemy, w ten sposób na gorą-  
cym uczynku ściskania kochanka... i kogo?...  
męża kobiety przy niej stojącej, pytającej się jej,  
dlaczego drży i chcącej patrzeć przez ten otwór  
zdradziecki! Dla przeszkodzenia temu, by Lidya  
nie ujrzała tego, o czem, jak sądziła, zupełnie  
niewiedziała, odważne dziecko powzięło rozpacz-  
liwe postanowienie, natchnione przez niebezpie-  
czeństwo bezpośrednie. Wolną ręką uderzyła tak

silnie w szybę, że ta pękła z trzaskiem, kalecząc jej palce i dłoń. Potem rzuciła się w tył z krzykiem boleści. Czy ten jęk wywołany był przez ranę ręki, czy też wydało go serce przebite straszny widokiem? Ale towarzyszka zawołała z gniewem:

— Zrobiłaś to naumyślnie, ty... szkaradnico!..

I dzikie to stworzenie rzuciło się po tych słowach ku szerokiemu otworowi w szybie—ale już było za późno! Ujrzała tylko Lincolna, stojącego na środku pracowni i patrzącego w górę na oszklenie stłuczone, hrabina zaś, stojąc także o kilka kroków od niego, wołała:

— Moja córka! co się stało mej córce?... Poznałam ją po głosie!..

— Uspokój się pani — odrzekła Lidya, z dzikiem szyderstwem—Alba umyślnie uderzyła w szybę, żeby panią ostrzedz...

— Ale może się zraniła?...—zapytała matka.

— To nie! — odrzekła tym samym tonem szyderstwa nieubłagana kobieta i zwracając się ku hrabiance, spojrzała na nią z taką wściekłością, że nawet w stanie wzburzenia, w jakim się ta ostatnia znajdowała, wzrok ten oblał ją zimną wodą. Uczuła taki sam dreszcz, jaki ogarnął jej drogą przyjaciółkę Maudę w tej samej pracowni wobec głębi przepaścistej tej duszy ponurej, nagle ukazującej się jej wzrokowi. Zresztą nie miała czasu zastanowić się nad tem wrażeniem bliżej, gdyż matka była już przy niej, obejmując ją

w swych ramionach—w tych samych ramionach, które Alba widziała, jak otaczały szyję kochanką, całując go temi samemi ustami... Cios moralny był tak silny, że biedna dziewczyna zemdlała. Cóżby była dała za to, gdyby z tego omdlenia najwyższej boleści, była przeszła odrazu w krainę śmierci! bo w wieczności musi być także nieubłagana sprawiedliwość, miejsce spoczynku i przebaczenia dla istot takich, jak ona, ofiar występku, popełnionego przez innych, przez tych, którzy nie dźwigali swego krzyża!... Ale nie, przyszła zaraz do siebie. Ujrzała matkę szaloną z niepokoju, tak jak przed chwilą szalała z radości i miłości. Znów ujrzała oczy Lidyi wlepione w nie ohydnie, z wyrażeniem zbyt wyraźnem teraz. A ponieważ dość była przytomną, by uratować tę matkę przestępną, znalazła dość siły w sobie, by uśmiechnąć się do niej, skłamać, ukryć przed nią na zawsze prawdę wstrętnej sceny, jaka się odegrała tu, w tym korytarzu i przed tą szybą stłuczoną:

— Przestraszyłam się widokiem mej krwi—rzekła z wdziękiem — ale sędzę, że to tylko lekkie zadrażnienie. O! patrz. Ruszam ręką i wcale mnie ona nie boli...

Istotnie tak było i gdy lekarz, wezwany na gwałt, przekonał się, że w ranie nie został nawet najdrobniejszy kawałek szkła, hrabina uspokoiła się i odzyskała poprzednią swoją wesołość. Nigdy nie miała lepszego humoru, jak w powo-

zie, który ich odwiózł do pałacu Steno, a później w czasie śniadania, przy którym we dwie tylko siedziały, matka i córka. I biorąc Albę pod rękę, dla wyjścia z sali jadalnej, rzekła do niej ze swobodą starszej siostry:

— Będziesz interesująco wyglądała na zabawie u ambasadorowej...

— Nie pójde tam wcale — odrzekła hrabianka żywo i dodała: to wzruszenie zdenerwowało mnie trochę... Nie mogłabym się bawić, ani też patrzeć na obcych ludzi...

— Jak chcesz — odrzekła pani Steno, wstrząsając, ze śmiechem dźwięcznym, swą złotowłosą głową — i ludzie mówią o dziedziczności!... Ja, ilekroć doznam jakiego niebezpieczeństwa, czuję się podniecona!... Nigdy z taką przyjemnością nie tańczyłam, jak wtedy, gdy o mały włos nie zostałam zabita przy wykolejeniu się pociągu... Opowiadałam ci to, pamiętasz? Między Padwą i Mestre... A jednak śmierć zajrzała mi wtedy w oczy... Ale jak chcesz, nie nalegam. Usposobienia są różne! Znasz moją zasadę: żyć i pozwalać innym żyć!...

Dla duszy, zmuszonej do potępiania kogoś, którego się kocha, największą boleścią jest przekonanie się o zupełnym braku sumienia u tej osoby kochanej i pogody w występku. Ale gdy idzie o matkę, to jest o istotę, której sądzić nie możemy, choćby nawet występnej, bez popełnienia zbrodni ojcobójstwa moralnego, boleść ta zmienia

się w prawdziwą męczarnię. Mając ciągle przed oczami niezatarty widok sceny porannej, Alba byłaby może uniknęła rozpacz, gdyby w przestępczyni była dostrzegła niepokój, walkę. wyrzuty, zgryzoty. Ale jej pogoda, wesołość, zajęcie się nadzieją przyjemnej zabawy, tworzyły zbyt silny kontrast z tragiczną boleścią, jakiej doznawała młoda dziewczyna. Uczuła ciężki smutek, który stał się prawie niepodobnym do zniesienia, gdy koło godziny drugiej, matka ją pożegnała, choć uroczystość w ambasadzie miała się rozpocząć dopiero o piątej.

— Obiecałam biednemu Hafnerowi, że go dziś odwiedzę.. Wiesz zapewne, że zachorował ze zmartwienia... Będę chciała jeszcze raz spróbować, czy to wszystko nie da się jako załagodzić.. Odeślę ci powóz, gdybyś chciała przejechać się trochę. Zatelefonowałam do Lidy, żeby mnie czekała o czwartej. Ona mnie odwiezie.

Wyszczególniając swe popołudniowe zajęcia, miała oczy zbyt błyszczące, uśmiech zbyt szczęśliwy. Wyglądała młodo w swej jasnej toalecie. Nogi jej drżały z nerwowej niecierpliwości w lakierowanych bucikach. Alba czuła, że matka kłamie. Dziecko przeczuwało, że ta wizyta u ojca Fanny była tylko pretekstem. Nie pierwszy to raz hrabina, dla uwolnienia się od niewygodnego nadzoru, używała tego środka odsyłania powozu, co tak w Rzymie, jak i w Paryżu, jest prawdopodobną oznaką przygód tajemnych u kobiet jej

stanowiska. Nie pierwszy to raz Albę owładnęło podejrzenie wobec tajemniczych zniknięć matki. Ale zwykle przeciw tym podejrzeniom stawiała ufność, której teraz, po scenie dzisiejszego poranku wcale wzbudzić w sobie nie mogła. Pobiegła do okna, by zobaczyć odjazd wiktoryi. Konie grzebały kopytami, a weneCYanka, podniósłszy swą śliczną główkę, przesała z pod czerwonej parasolki uśmiech pożegnalny córce. Jakżeby się zdziwiła, gdyby mogła odgadnąć, co wzrok tej córki mówił, tę prozbę nadaremną by pozostała w domu, by uspokoiła swą obecnością gorączkę boleści, by nie szła tam, dokąd szła!... W istocie bowiem miała schadzki z Lincolnem w jego mieszkaniu. Z góry doznawała już rozkoszy nerwowej, gdy konie unosiły ją ku pałacowi Savorelli. Nie zabawi tu więcej nad pięć minut, dość, by wykazać swe alibi. Odeśle ztąd swój powóz, siądzie do pierwszej lepszej dorożki, wstąpi do kościoła, gdzie, mimo wszystko, pomodli się, by Bóg jej przebaczył ten słodki grzech, jaki zamierza popełnić! Myślą już oddawała się oczekiwaniu danej rozkoszy, które u pewnych rzeźkich natur, jaką jej natura była, równa się nieomal samej rozkoszy. Nie przypuszczała, że biedna Alba, jej Alba, to dziecię tak czule, mimo wszystko, kochane, ulegało w tej chwili jednej z najstraszliwszych pokus... Gdy powóz zniknął, oczy jej padły na bruk jasno oświetlony i uczuła nagle chęć gwałtowną, instynktowną, prawie nieprzeła-



maną skończyć raz z cierpieniem moralnem, które ją pożerało... Jest to tak proste! umrzeć, nie więcej nie trzeba... Jeden ruch, niech tylko jeden ruch zrobi, drobny ruch, niech się przechyli za balustradę, o którą była oparta, nieco więcej naprzód i wszystko się raz skończy. Nie ujrzy już więcej nienawistnej twarzy Lincolna, obok twarzy matki. Nie spotka już nigdy wzroku Lidyi Maitland, wzroku, który wie o hańbie tej matki. Nie pojedzie do Piove. Nie będzie tam przepędzała długich tygodni w tem otoczeniu, o którym sama myśl sprawiała jej przykrość, ból fizyczny, aż do kończyn rąk i nóg. Już nieraz doznawała tego pragnienia śmierci, które u dzieci samobójców podnosi głowę z najtajniejszych skrytek duszy. Mają one, jak to powiedział pewien lekarz-filozof, predyspozycję w tym kierunku i szukają niejako sposobności i dziedziczność objawia się w nich przez ten rys osobliwszy; ta myśl śmierci nie jest w nich nagłym wybuchem, nie jest wynikiem długiej pracy rozmyślań. Najlejsza przeciwność budzi w ich duszy ten zamiar, są one zrodzone, że tak powiemy, z raną, zawsze gotową do krwawienia. Ale między tem pragnieniem instynktownem śmierci a wykonaniem, leży, że użyjemy wyrażenia naukowego, przestrzeń psychologiczna, odległość mniej więcej znaczna, której większość tego rodzaju ludzi nie przekracza nigdy, co wnioskować każe, że ten popęd do samobójstwa możliwy jest do wylecze-

nia. Skoro jednakże ta przestrzeń została przebyta, pęd nabiera takiej siły, że staje się fatalnością nagłą jak piorun. Tak samo rzecz miała się z Albą, która w chwili odjazdu matki cierpiała nadzwyczajnie, ale nie myślała jeszcze o śmierci. Teraz, oparta na oknie otwartem, mierzyła oczami wysokość dwóch pięter i czuła, jakby ją coś ciągnęło ku tej pustej przestrzeni, a pociąg ten był żywy, nagły, prawie słodki. Tak, to było bardzo proste... Widziała się już leżącą na tym bruku, tak jasno oświetlonym, z członkami potłamanymi, głową potrzaskaną... umarłą.. oswobodzoną! W tej chwili czuła pewien rodzaj gorączkowej radości, towarzyszącej zwykle tego rodzaju samobójstwu. Wybuchnęła śmiechem nerwowym. Wychyliła się więcej i miała się już rzucić, gdy wzrok jej spostrzegł mężczyznę, idącego chodnikiem. Widok ten zbudził ją z tego uroku, którego dziwaczny powab owładnął nią tak silnie. Cofnęła się, przetarła oczy rękami i, choć nieprzywykła do egzaltacji mistycznej, zawołała:

— O Boże, to Ty mi go przysyłaasz!... Jestem uratowana!

I zadzwoniła na służącego, wydając mu polecenie, że jeżeliby pan Dorsenne pytał się o nią, ma go wprowadzić do małego saloniku pani Steno.

— Nikogo więcej nie przyjmuję—dodała.

W rzeczy samej, był to Julian, którego widziała zbliżającego się do pałacu w tej chwili

właśnie, gdy od przepaści dzieliło ją tylko ostatnie wstąpienie zwierzęce, które budzi się nawet w najbardziej zdecydowanych samobójcach. Czyż nawet szaleńcy nie wybierają sobie rodzaju samobójstwa? Przez jakiś czas stała nieruchoma dla odzyskania zmysłów. Wszystkie siły jej istoty ześrodkowały się w postanowieniu, które pokryło jej ujmującą twarzyczkę, przed chwilą powleczoną chmurą smutku, jeżeli nie pogodą, to przynajmniej wyrazem nadziei. Nie omyliła się sądząc, że młody człowiek do nich idzie. Bardzo często — wychowana według dziwacznych zasad matki — przyjmowała odwiedziny Juliana sam na sam, ale nigdy nie zabraniała nikogo przyjmować; jeżeli to zaś teraz uczyniła, to dlatego, że postanowiła z nim rozmawiać się bardzo poważnie. Gdy jej doniesiono, że czeka na nią w tym saloniku, odpowiednio do jej poleceń, przez chwilę wahała się.

— Nie — rzekła nakoniec — to ratunek, jedyny ratunek. Chcę się przekonać, czy on mnie kocha naprawdę... A jeżeli mnie nie kocha?...

Znów spojrzała na okno, jak gdyby chciała się przekonać, czy w razie, gdyby ta rozmowa skończyła się nie według jej pragnień, sposób tragiczny i prosty, jakiego przed chwilą użyć chciała, istnieje ciągle i czy ją może oswobodzić od tego życia haniebnego, którego dłużej znosić niepodobna. W tej ostatniej godzinie, gdy cała jej istota wewnętrzna drżała gwałtownie, dwie

indywidualności w niej ukryte walczyły ze sobą. Najprzód była to dusza prawdziwego jej ojca, nieszczęśliwego i tragicznego Werekiewa, która ją popchnęła ku oku otwartemu i zachęcała do śmierci. Potem była to dusza energiczna matki, która teraz popchnęła ją do śmiałego kroku, jaki wymyśliła dla wyjścia ze swego położenia inną drogą, niż przez śmierć i ten wpływ dziedziczności macierzyńskiej był tak przeważający w tej chwili, że Dorsenne, wchodząc do małego saloniku po raz pierwszy zauważył, że jest ona nadzwyczajnie podobną do pani Steno. Kto wie, gdyż w chwilach, w których stajemy na rozstajnych drogach naszych przeznaczeń, najdrobniejsze okoliczności wpływają na postanowienie — szrej wahającej się —, kto wie, czy to podobieństwo, nagle się pojawiające, nie było przyczyną odpowiedzi, jaką dał młodej dziewczynie, gdy przemówiła nakoniec do niego z uroczystą powagą duszy zrozpaczonej?... Kto wie, czy mimowolne wspomnienie o złem prowadzeniu się kochanki Lincolna nie splamiło w jego oczach niewinnej i wzniosłej ufności, jaką w nim położyła ta śliczna istota?... Dziś myśl o tem dręczy go nieustannie, bo mogła ona stać się dlań zachwytem w dniach dojrzałości, kwiatem wytwornym i tkliwym, zaszczerpionym na drzewie tak smutnie nagiem jego lat czterdziestu!... O! cóżby dał Julian za to, gdyby mógł znowu rozpocząć tę rozmowę, zrazu sentymentalnie szyderską, a po-

tem zmienioną w dyalog dramatu! Wiedział on dobrze o tem, że idąc do pałacu Steno, będzie miał ostatnią pogawędkę ze swą śliczną i interesującą przyjaciółką. Zdecydował się bowiem odjechać i dla pewności, żeby się już nie cofnąć, zaszedł do biura wagonów sypialnych i zamówił miejsce na wieczór dzisiejszy. Tak, przyszedł się pożegnać, ale nie pożegnać się w ten sposób, nie rozdzielić się z nią tak, jak on się rozdzielił, o czem nigdy, dopóki żyć będzie nie zapomni, jak nie zapomni o tem, że można komuś wiele złego zrobić wśród śmiechu i nie przypuszczając nawet tego. Tak się bawił z miłością, że i teraz żartem rozpoczął rozmowę, gdy chcąc wziąć Albę za rękę i pocałować, spostrzegł, że rączka ta była owiązana chustką.

— Co to się pani stało, hrabianko? Czyżby moje i Florentyna Chaprona laury spać pani nie dały?... widzę panią z ręką owiazaną... co to się stało? gdzie się pani zraniła?

— Oparłam się o ramę oszkloną, która pękła i kawałki szkła poraniły mi palce... — odrzekła Alba i dodała z uśmiechem—ale to nic...

— Jakże to nierozważnie ze strony pani!—zawołał Dorsenne tonem przyjacielskiego wyrzutu—czy pani wiesz, że mogłaś sobie przeciąć arterye i wywołać bardzo poważny wpływ krwi, może nawet śmiertelny?...

— Nie stałoby się przez to żadne nieszczęście — odrzekła Alba, potrząsając swą śliczną

główką, z tak gorzkim wyrazem na twarzy, że młody człowiek przestał się uśmiechać:

— Nie mów pani tak do mnie—odparł—gdyż gotów jestem uwierzyć, że zrobiłaś to naumyślnie...

— Naumyślnie? — powtórzyła — naumyślnie? A pocóżbym miała to zrobić naumyślnie?

Zarumieniła się i zaczęła się śmiać takim samym nerwowym śmiechem, jakim przed kwadransem, gdy była sama i gdy się pochyliła z okna, brzmiała jej pierś. Dorsenne spostrzegł, że cierpi ona bardzo i uczył ścisnienie serca. Niepokój, przeciw któremu walczył w ostatnich dniach, całą energią niepodległego artysty, który oddawna postanowił się nie żenić, znowu go ogarnął. Przyszło mu na myśl, że trzeba koniecznie postawić między sobą i „głupstwem“ stanowcze postanowienie. To też odrzekł ze zwykłą sobie łagodnością, ale tonem stanowczym:

— Znowu panią podrażniłem, hrabianko, i patrzysz pani na mnie takimi oczami, jak zwykle, gdy dysputujemy... Nie trzeba tak na mnie spoglądać... będziesz pani żałowała później, że nie byłaś dziś dla mnie dobrą...

Gdy wyrzekł te słowa zagadkowe, spostrzegła w jego oczach i uśmiechu coś dziwnego i nieokreślonego. Widocznie kochała go bardziej, niż sama przypuszczała, gdyż na chwilę zapomniiała o swych własnych troskach i własnym postanowieniu i zapytała go żywo:

— Masz pan zmartwienie?... cierpisz pan?..  
co się więc stało?

— Nie się nie stało — odrzekł Dorsenne — ale  
godziny upływają, chwile nikną i nie tylko chwile.  
Jest stara śpiewka francuzka, której pani za-  
pewne nie znasz, a która się tak zaczyna:

Czas płynie, czas płynie pani...

Nie czas to wcale, tylko my płyniemy...

Co znaczy, hrabianko, prozą, że to jest zapewne  
ostatnia rozmowa, jaką w tym sezonie będziemy  
mieli ze sobą i że byłoby brzydko, gdybyś mi  
pani zepsuła te ostatnie odwiedziny...

— Czyżby to miało znaczyć, że pan odjeżdżasz? — zapytała Alba. Znała ona doskonale  
sposób mówienia Juliana i wiedziała, że te żarty  
na pół sentymentalne, ukrywały zawsze coś waż-  
nego. Skrzyżowała ręce na piersiach i po krót-  
kiem milezeniu spytała:

— Więc pan odjeżdżasz?

— Tak — odrzekł i z kieszeni kurtki wyciągnął  
do połowy bilet na kolej — postąpiłem jak tchórz,  
który ma się rzucić do wody. Wziąłem już bi-  
let i już nie będę powtarzał sobie, jak to czy-  
nię od miesiąca: panie kacie, jeszcze chwilkę...  
Powiedziała to Du Barry... Zdaje mi się, że opo-  
wiadałem to już pani. W całej tej niedorzeczno-  
ści krwawej, jaką była nasza wielka rewolucya,  
jest to jedyne zdanie, które mnie wzrusza... Jest  
ono szczerel...

— Odjeżdżasz pan?—powtórzyła młoda dziewczyna, nie zwracając uwagi na żart, pod którym Julian ukrył swe własne wzruszenie, na widok wrażenia, jakie ta nagła wiadomość zrobiła—nie zobaczę już pana!... A jednak gdybym pana prosiła, żebyś jeszcze nie odjeżdżał?...—mówiła dalej—mówiłeś pan o swej przyjaźni. Gdybym więc pana prosiła, błagała w imię tej przyjaźni o nieopuszczanie mnie w tej chwili, w której niemam nikogo przy sobie, jestem sama, straszliwie sama, czy mi pan odmówisz?... Mówiłeś mi pan często, że jesteś moim przyjacielem?... Jeżeli tak jest, to nie odjeżdżaj pan. Powtarzam panu, jestem strasznie osamotniona i boję się..

— Posłuchaj mnie, hrabianko — odrzekł Dorsenne, którego to nagłe wzruszenie młodej dziewczyny, zaczynało przestraszać — czyż to jest rzeczą rozsądną wpadać w rozpacz dla tego, że miałaś wczoraj rozmowę smutną z Fanny? A przysięgam ci, że nie mogę w żaden sposób odkładać mego odjazdu. Zmuszasz mnie pani, bym ci wyjaśnił powody, bardzo proste, bardzo kupieckie... Ale moja książka ma wyjść z druku i muszę być na miejscu, żeby ją popchnąć... mówiłem pani o tem... A zresztą, pani także odjeżdżasz. Rozerwiesz się pani na wsi, będziesz otoczona znajomymi z Wenecyi, a w każdym razie będzie przy tobie ta śliczna Lidya Maitland!...

— Nie wymawiaj pan tego imienia—przerwała Alba, której twarz zbladła na to wspomnienie



o pobycie w Piove. — Nie wiesz pan, jaką mi przykreść sprawiasz, ani też jaki to potwór okrucieństwa i zdradliwości jest ta kobieta!... Nie pytaj mnie pan, bo ci nie powiem... Ale...

Tu złożyła swe drobne rączyny, te biedne chude ręce, drżące od wzruszenia:

— Czyż pan nie rozumiesz, że jeżeli mówię do pana w ten sposób, to znaczy, że żyć bez ciebie nie mogę..

I głosem prawie cichym, tak wzruszenie ją dusiło, dodała:

— Kocham pana!

Wszystek wstyd, naturalny u dziecka dwudziestolatniego, wyrzucił na jej twarz palący rumieniec, gdy wyrzekła te słowa:

— Tak, kocham cię! — powtórzyła tonem stłumionym, ale stanowczym. — Przecież na tym straszonym świecie poświęcenie istoty, która chce ci służyć, być ci użyteczną, żyć w twym cieniu, nie jest rzeczą znów tak pospolitą... Jak pan widzisz, nie mam względem ciebie kokieteryi, nie mam dumy... Jeżeli mnie pan nie kochasz, wszystko się dla mnie skończyło i cóż mi przyjdzie z tej dumy? Ale jeżeli mnie kochasz, jeżeli mnie kochasz!...

I przymknęła oczy, jak gdyby ta myśl ból jej sprawiała w zbytku szczęścia.

— ...To zrozumiesz, że dlatego, by mieć prawo oddania ci życia, noszenia twego nazwiska, nazywania się twoją żoną, towarzyszenia ci wszę-

dzie, uczucie to zbyt silnie we mnie się obudziło w chwili, gdy cię mam stracić. Wybacz pan moją nieskromność, ale to ostatni raz... za dużo cierpię...

Umilkła. Nigdy nie ukazała się z większą, jak w tej chwili, siłą, bezwzględna czystość tej istoty uroczej, zrodzonej i wyrosłej w atmosferze zepsucia i mimo to tak czystej, tak szlachetnej, tak szczerej. Cała jej dusza dziewicza i nieszcześliwa streściła się w oczach błagalnie patrzących na Juliana, zawisła na ustach drżących, na czole, nad którym unosiły się, jak aureola, pukle jasnych włosów, poruszonych przez wiatr, wiejący przez otwarte okno. Odważyła się ona na ten krok nadzwyczajny, najśmielszy, na jaki zdobyć się może kobieta, a cóż dopiero młoda panna, i dokonała go z taką prostotą anielską, że w tej chwili Dorsenne nieśmiało się dotknąć nawet ręki tego dziecka, które mu się oddawało tak szalenie i tak lojalnie zarazem. Nie czuła ona żadnego wstydu, choć rumieniec pokrywał ciągle jej twarz. W jej wyznaniu było zbyt wiele prawości; ostateczności tej chwyciła się, jak sama mówiła, ze zbytku cierpienia. A nadewszystko miała nadzieję, miała wiarę w współzucie Juliana, a nawet w jego miłość. Ileż to razy w zimie i tej wiosny myślała o tem, że młody człowiek dlatego tylko nie żąda jej ręki, że jest za zbyt dla niego bogatą. Niestety! wprawdzie doznawał on przy niej wzruszeń najżywszych, do

jakich tylko był zdolny; ale i to jest prawdą, że ta sympatya nie zagarnęła nigdy i nie zagarnie pod swe panowanie strony chłodnej i przezornej jego duszy. Prawda, że mu się ona podobała ze swą pięknością słowianki zitalizowanej, że tak powiemy, tak dalece, że gdyby nie był człowiekiem bardzo, pod pewnym względem, uczciwym, byłby z rozkoszą został jej kochankiem. Ale i to także jest prawdą, że interesował się nią przede wszystkim przez prostą ciekawość, której się już poczynął opierać z obawy, by go zbyt daleko nie zaprowadziła, nie pozbawiła niepodległości umysłowej, tej jedynej rozkoszy dusz wrażliwych i ruchliwych! To też ta rozmowa tak rozrzucająca, w której czuć było rozpacz głęboką i której każde słowo później łyż żalu w nim budziło, w tej chwili zrobiła wrażenie raczej obawy, niż litości. Tak, obawiał się ognia, płonącego w oczach młodej dziewczyny, obawiał się wzruszenia, które nim owładało, obawiał się tej dziwnej siły, jaką nagle rozwinęło to dziecko, obawiał się, by nie uległ mimowoli namiętności zupełnej, wyłącznej i gwałtownej, on, który lubił tylko świat niezdecydowanych półcieni, półszczęścia i półniedoli, wzruszeń łagodnych i sztucznych. Ona milczała i on milczał. Gdy nakoniec przerwał to okrutne milczenie, już sam ton jego głosu przekonał nieszczęśliwą o niepowodzeniu tego ostatecznego odwołania się jej do życia. Chcąc zakłąć ducha samobójstwa, ostatnią swą

nadzieję złożyła w sercu tego człowieka, a to serce zamiast przyjąć ją i przytulić do siebie, uciekało przed nią.

— Uspokój się pani, błagam — mówił. — Nie wątpisz pani zapewne, że jestem bardzo wzruszony i bardzo zdziwiony tem, coś mi powiedziała... Nigdy mi to na myśl nawet nie przyszło... Jakżeś pani wzruszona!... A jednak (mówił to stanowczo) gardziłbym sobą, gdybym kłamał przed panią... Postąpiłaś pani tak znacznie... okażę pani swą wdzięczność, mówiąc wszystko otwarcie... Zaślubić panią? Ależ byłoby to dla mnie spełnieniem najrozkoszniejszego marzenia o szczęściu, gdyby mi uczciwość nie broniła tego marzenia. Chcąc przyjąć ofiarę panny takiej, jak ty, trzeba ze swej strony szczerze i uczciwie mieć możność oddania siebie także, swego życia. A ja takiego przyrzeczenia dać nie mogę, bo go nie dotrzymam. Biedne dziecko! (i głos jego nabrał jakiejś szorstkości). Pani mnie nie znasz, nie wiesz co to jest taki pisarz jak ja—związanie życia twego z mojem byłoby dla pani stokroć większą męczarnią, niż osamotnienie dzisiejsze. Wierz mi pani, przychodziłem tu do ciebie zawsze z radością, dlatego, że byłem wolny; że w każdej chwili mogłem sobie powiedzieć, że więcej tu nie powrócę. Przyznanie to niema w sobie nic romantycznego, ale jest prawdziwem... Niechbym tylko był czem związany, miał jakiegokolwiek obowiązki, ograniczone koło poruszeń, szereg przy-

zwyczajów, któreby mnie kępowały, to starałbym się natychmiast uciec... Związek na całe życie?... nie! nie! nie zniósłbym go. Są dusze wędrowne jak ptaki i moja do nich należy. I sama pani to jutro zrozumiesz, że mówiłem do ciebie jak człowiek honoru i byłbym w rozpacz, gdybym sądził, że zwiększył mimowoli niedolę twej egzystencji, gdy pragnę tylko ją osłodzić... Ach, mój Boże, co robić?—zawołał, widząc, że w oczach młodej dziewczyny zajaśniały dwie łzy, których nie otarła.

Nie był to już płacz wczorajszy, długi i rzuwny, gdy rzuciła się w objęcia Fanny Hafner, towarzyszki niedoli, płacz, będący ulgą w cierpieniu. Nie. Te wielkie i ciężkie łzy, które spływały po jej rozognionej twarzy w cichości, były kroplami potu skonania, były wywołane przez rozpacz zupełną, całkowitą, nieuleczalną. Było to pożegnanie z życiem duszy jeszcze młodej, która nie znalazłszy odgłosu na swój krzyk śmiertelny, płacze po raz ostatni, płacze za tę młodością straconą, za sobą. I gdy Julian zdziwiony powtarzał swoje: co robić? — ona mu odrzekła:

— Odejść ztąd i zostawić mnie samą... Nie mam do pana urazy, owszem, wdzięczną panu jestem, żeś był ze mną otwarty... Ale obecność pańska sprawia mi przykrość... Wstydzę się mego wyznania teraz, skoro wiem, że mnie pan nie kochasz... Dobrze pan robisz, że Rzym opusz-

czas... powinienś pan już dawniej odjechać.. Nie broń się pan — dodała, widząc, że jej chce przerwać — o nie pana nie obwiniam. Zawsześ pan był ze mną szczerzy, nigdy nie dałeś mi prawa sądzić, że czujesz dla mnie coś więcej nad prostą przyjaźń... Byłam szalona... Nie karz mnie pan, zostając tu dłużej... Po rozmowie, jaką mieliśmy ze sobą, honor mój wymaga, żebyśmy się więcej nie widzieli...

— Masz pani słusność — rzekł Julian, po chwilowem milczeniu. Wziął kapelusz, który położył na stole zaraz z początku tych odwiedzin, tak nagle zakończonych, w skutek wybuchu dziwnych, nieoczekiwanych uczuć. Oboje spojrzeli jeszcze raz na siebie. Ileż to razy cdtąd miał ją widzieć w wyobraźni, taką bladą śmiertelnie, z ustami ściśniętymi boleśnie, twarzą wilgotną od łez, które płynąć już nie chciały, surową i tragiczną, w swej sukni jasnej, wiosennej, z rękami skrzyżowanymi na drobnej piersi. widocznie z zamiarem, by dłoni nie podać. On także swej nie wyciągnął; zrozumiał, że biedne dziecko powiedziało mu prawdę. Był mocno zmieszany i rzekł: „a więc do widzenia“... Pochyliła swą jasną główkę w milczeniu. Czy zapomni on kiedy tego widma najśrodszej i najniwinniejszej ofiary?

Drzwi się zamknęły. Alba Steno znów została sama. W pół godziny później, gdy służący przyszedł zapytać jej się o rozkazy względem powozu, który hrabina odesłała, według obietnicy, za-

stał ją stojącą nieruchomie przy oknie, o które się oparła, wyglądając za Dorsennem. Tu znów ją wzięła pokusa samobójstwa—znów uczuła, z siłą nieprzepartą, pociąg magnetyczny ku śmierci. Życie wydało się jej jak coś szkaradnego, coś całkiem nieużytecznego, i nieznośnego. Odtąd nie mogłaby uścisnąć matki bez wstrętu. Z dwóch przyjaciółek, jakie miała, jedna rozdzielona z nią została na zawsze, druga, podobnie jak i ona, jest nieszczęśliwą. Pozostało w niej przykre wrażenie tego, że człowiek, w którym spoczywała ostatnia jej nadzieja, nie miał serca, a przynajmniej nie miał go dla niej. To, co wyczytała w szatańskim wejrzeniu Lidyi czyniło dla niej perspektywę pobytu w Piove tak wstrętną, że sama myśl o tem wstrząsała nią z oburzenia. Skłonność dziedziczna, która się w niej już przed chwilą objawiła, teraz opanowała zupełnie tę duszę, krwawiącą się z rany nieuleczalnej, pod postacią wyrozumowanego postanowienia. Jest to druga chwila najniebezpieczniejsza w rozwoju tej choroby moralnej, jaką jest samobójstwo. Postępuje ona gwałtownie bardzo, jeżeli okoliczności zgadzają się ze skłonnością wrodzoną. Teraz Alba już nie mówiła: „jakże to słodko byłoby umrzeć“, ale „umrzeć muszę“!..

Potem, oparta ciągle o okno, przypomniała sobie dwa zdarzenia. Pewna młoda dziewczyna z Neapolu, jedna z towarzyszek w grze tennis, którą Dorsenne nazywał małą Herodyadką, z po-

wodu podobieństwa do obrazów Luinego, w przystępie gorączki, wyskoczyła w takiż sam sposób z okna ostatniej zimy. Stało się to o godzinie piątej rano. Biedne jej ciało spostrzegli podmiejscy dostawcy, przybywający na targ. Zadzwoniono do sąsiedniego hotelu i ta istota przepysznej piękności, owinięta została w poplamiony obrus restauracyjny. Alba, która kochała to dziecko osiemnastoletnie, przypomniała sobie łyzy, jakie wylewała matka tej nieszczęśliwej—kobieta szlachetna i święta—i ta śmierć na ulicy miała mnóstwo brzydkich szczegółów.

Potem zarysował się w pamięci Alby obraz innej przyjaciółki, baronówny niemieckiej, zamieszkałej we Włoszech, która także przed dwoma laty odebrała sobie życie, rzucając się z łódki do wody niewielkiego jeziora w Kampanii rzymskiej, zwanego Porto. Znaleziono ją pływającą po powierzchni, jak Ofelię, nie uległa jeszcze zepsuciu, uszpięta na łożu ruchliwym fal i dobre jakieś ręce wydobyły ją nie narażając na żadną profanację tej zrozpaczonej i urzeczonej przez urok śmierci pocieszycielki.

Dwa takie wspomnienia wystarczają, gdy szaleństwo samobójstwa owłada duszą, i ostatecznie decyduje się ona do wybrania sposobu śmierci, zwłaszcza, gdy sposób ten jest niejako nakreślony z góry w tajemnicach dziedziczności. W ten sposób wytłomaczyć się daje to zaraziliwe naśladownictwo, które ponurą sławę nadały



pewnym miejscu, jak np. tej budce szyldwacha w obozie Bulońskim, którą cesarz musiał kazać spalić. Wielu żołnierzy zabiło się tam kolejno. Podobne zaczarowanie owładnęło Albą. Powóz miała do rozporządzenia. Przez bramę Portese, wzdłuż Tybru, tak dzielnymi końmi, jak konie hrabiny, można się było w półtorej godziny dostać do małego jeziorka. A przytem miała pozór, który mógł starzyć dla ciekawości służących, gdyż jedna z wielkich dam rzymskich jej znajomych, księżna Torlonia, posiadała willę nad brzegiem tego stawu.

Pobiegła więc co prędzej na górę, by włożyć na głowę kapelusz. I nie napisawszy do nikogo jednego nawet słówka z pożegnaniem, nie rzuciwszy wzrokiem na żaden z tych przedmiotów, wśród których wzrosła i cierpiała — tak dalece tajny urok grobu nią owładnął — zesła szybko ze schodów i powiedziawszy woźnicy nazwisko willi, wołała:

— Jedź prędko—i takem się już spóźniła...

Jezioro Porto, jak to sama nazwa wskazuje, jest przystanią dawnego Tybru — portem, którym chciał cesarz Trajan zastąpić Ostię, już w czasach Augusta całkiem prawie zamuloną. Gościńnic, wychodząc z Transtevere biegnie wzdłuż rzeki, która płynie przez płaszczyznę, posianą ruinami i pogarbioną nagimi wzgórzami. Słone wody rzeki, toczą się mętne, żółte od piasku i błota Apenin. Gdy znikną szczyty kościoła

św. Pawła, zaczyna się pustynia stokroć smutniejsza od tego miejsca, w którym odbył się podwójny pojedynek Gorskiego z Florentynem Charonem i Dorsennem, gdyż tutaj, na skraju horyzontu, rysują się błękitnawe szczyty Apenin i nie ograniczają sobą olbrzymiej płaszczyzny pustej. W tej porze roku trzody przepędzają zwykle na wzgórza z powodu gorączki, która zaczyna panować samowładnie na tym gruncie, przesiąkniętym wilgocią morską i jakby zgniłym od wód stojących, którego najusilniejsza praca nie mogła uzdrowić dotąd. Kępki eukaliptów rozrzucone gdzieśgdzie, kępki jodeł koroniastych wznoszące się z po za ruin, oto cała roślinność, jaką dojrzeć mógł wzrok Alby Steno. Ale widnokrąg ten w sam raz odpowiadał dla tej pustki moralnej, jaką ze sobą niosła, ta ruina i śmierć natury była dla niej najmilszą. A przytem od chwili, gdy powóz posuwać się począł, uczuła w sobie dziwny spokój, prawie pogodę, jaka zwykle towarzyszy samobójstwu, zwłaszcza jeżeli to jest owocem długiej choroby umysłowej, tej melancholii, pełnej niepokoju, jaka przez ciąg całych miesięcy otoczyła nas kołem zaczarowanem jednej myśli. Zdaje się, że dusza wbrew ciału, posiada tylko pewną ograniczoną możność cierpienia i gdy ta granica raz zostanie przekroczoną, dusza staje się martwą tak, że nie odczuwa nawet wielkości ciosu, zmuszającego ją do śmierci. Różne osoby, które brały udział w dra-

macie jej życia i posuwały ją powoli do ostatecznej i tragicznej rezolucyi, ku której niosły ją teraz kłusem konie, przedstawiały się jej wyobraźni jakby w oddali jakiejś mglistej. Jakże daleko był teraz od niej ciężki Lincoln i zdradziecka Lidya Maitland—jak daleko zacna Maud Gorska i pobożna Fanny Hafner! Nawet matka i Dorsenne rozwiewali się w cień jakiś, choć zaledwie parę godzin dzieliło ją od chwili, gdy uderzyli w nią ciosem, będącym tem ziarnkiem, które przeważyło szalę jej nieszczęść. Nie był to sen na jawie, o jakim mówią niektórzy zbrodniarze, ale pewne słodkie wylanie się wewnętrzne, które chwilami na jej usta drżące dotąd, sprawdzało nawet uśmiech łagodny. Poczucie, że zbliża się do niezakłóconej ciszy, do snu nieprzespanego, w którym niema już cierpień, wzrosło w niej, gdy wyszła z powozu i okrążywszy ogród willi Torlonia, znalazła się nad jeziorem, wspinałem w swych drobnych rozmiarach, w skutek dzikości pejzażu — i nieruchoma, zdziwiona w tej ostatecznej chwili, zatrzymała się między krzakami głogu, pokrytymi kwieciem wiatrem, między pogiętymi gałęziami dwóch aloesów, patrząc na te wody, mające być jej grobem.

— Jak tu pięknie!—szepnęła.

W rzeczy samej, powierzchnia jeziora była tak spokojną, że tylko od czasu do czasu zmarszczka leniwa i cicha garbiła wodę czarną, jakby gęstą i ciężką, porośniętą sitowiem i pełną długich liści

roślin wodnych, roztaczających swą ciemną zielenią. I wszędzie, dokoła Alby, był jakby kwiatnik olbrzymi, niby las tych głógów różowych, gdy tam z drugiej strony rysowały się sosny włoskie, rozkładając swe czarne korony na tle lazurowego nieba. Słońce zaczynało już zachodzić, bo była przeszło godzina piąta i mętna mgła bałwanila się po nad jeziorem—mgła, a raczej chmura, para wyiewu, z którego możnaby wycisnąć to wszystko, co zgniła woda ma w sobie metalicznego. Najmniejszy wietrzyk nie poruszał wątlých kwiatków głogu, z po za krzaków którego widać było niezliczone mnóstwo żab, ukrytych w trawie. Niekiedy rzucały się one pojedynczo do wody. Słychać było plusk głuchy, powierzchnia jeziora zadrzała głębszym dreszczem—i znów zwierciadło się wygładzało i przybierało wygląd pełen uroku posępnego. Niekiedy zaś unosiły się kruki z głośnym krzykiem pod niebem. Siadały one na łące z lewej strony, ku której biegła aleja wysadzana różami, przez którą Alba tu przyszła i machinalnie urwała kilka tych kwiatków, które przypięła do piersi, przez ostatni niejako instynkt młodości i zalotności nawet w chwili śmierci!... Ten wieczór tak cichy, to jezioro prawie fantastycznie nieruchome, ten horyzont tragiczny, z jakąś cechą niewzruszoności, rozlaną na wszystkich przedmiotach—całe to otoczenie melancholijne tej ostatniej minuty, dostrajało się tak do myśli młodej dziewczyny, że

sprawiło jej to niesłychaną przyjemność. W powietrzu wilgotnem, które powoli ją przenikało, był jakiś śmiertelny, usypiający urok, któremu się oddała na pół senna. prawie z uczuciem rozkoszy fizycznej, z wolą unieczestwioną, pijąc wszystkimi porami gorączkowe wyziewy tego miejsca, najgroźniejszego w tej porze i o tej godzinie, tak że dreszcz zimny ją przeniknął nagle pod delikatną materją letniej sukni. Ścisnęła ramiona i zęby i to wrażenie chorobliwe było dla niej znakiem niejako do działania. Puściła się inną aleją głogów kwitnących, by dojść do miejsca, pozbawionego roślinności, gdzie widać było łódkę stojącą. Odwiązała ją i wzięwszy do delikatnych swych rąk ciężkie wiosła, popłynęła aż na środek jeziora.

Gdy się znalazła na miejscu, które wydawało się jej najgłębszem i najodpowiedniejszym dla jej zamiarów, przestała wiosłować. Tutaj, przez zbiegłość dziecinną, która na jej usta uśmiech wywołała, ułożyła starannie kapelusz, parasolkę i rękawiczki na jednej z poprzecznych ławek łodzi. Robiąc ciężkimi wiosłami zmęczyła się bardzo, tak, że cała była spocona. Znów ją przebiegł dreszcz, gdy składała powyższe przedmioty, dreszcz tak przenikliwy, zimny i wstrząsający, że zatrzymała się na chwilę. Siedziała nieruchoma, pogrążona w myślach, z oczami wlepionymi w wodę, której fale pluskały, coraz wolniej i leniwiej dokoła łódki. W ostatniej chwili uczuła budzą-

ce się w sobie przywiązanie nie do życia, ale do matki. W myśli widziała wszystkie te drobne fakta i zdarzenia, jakie nastąpią po jej samobójstwie. Widziała się skaczącą do tej wody głębokiej, która się zamknie nad nią. Jej cierpienia skończą się odrazu, ale nie dla pani Steno... Widziała woźnicę zaniepokojonego jej nieobecnością, dzwoniącego do willi Torlonia, służbę szukającą jej. Łódka odwiązana wskaże, gdzie należy jej szukać i opowie to, co ze sobą zrobiła. Hrabina dowie się, że odebrała sobie życie i będzie chciała zapewne dowiedzieć się, co było przyczyną tego kroku rozpaczliwego. Straszliwa twarz Lidyi Maitland zarysowała się przed oczami młodej dziewczyny. Wiedziała ona, że ta kobieta zbyt nienawidzi swą nieprzyjaciółkę, by nie miała jej uwiadomić o okropnych okolicznościach, poprzedzających to samobójstwo. Krzyk tak naturalny i pełen straszliwego znaczenia i dźwięczący dzikością: „umyślnie to zrobiłaś“!... przyszedł na pamięć Albie. Matka dowie się, że jej córka wszystko odgadła, wszystko widziała. A jednak matkę tę tak uwielbiała, była przez nią tak psuta, tak pieszczoną, tak ją jeszcze kochała! Podobnie jak nie mogła znieść myśli dalszej egzystencji poufałej z Maitlandami, potem na co patrzyła własnymi oczami przez otwór w szybie, tak samo nie mogła znieść tych zgryzot, jakie jej samobójstwo, w ten sposób objaśnione, wywoła w sumieniu tej ukochanej matki... W tejsze

chwili przypomniała sobie Dorsenne'a i myśl o tem, czego ten człowiek dozna na wiadomość o jej samobójstwie, dokonaniem zaraz po ich rozmowie, sprawiła jej przykrość. Będzie myślał, że on jest jedyną przyczyną tej śmierci, co przecież nie jest prawdą!...

A gdy po raz trzeci zimny dreszcz przebiegł po niej od stóp do głów, Alba pomyślała, że ma inny sposób, niemniej pewny, pozbawienia się życia, tak, że nikt nie będzie podejrzywał, iż śmierć tę sama sobie zadała. Przypomniała sobie, że znajdowała się w miejscu największe budzącem obawy w Kampanii rzymskiej. Znała przecież osoby, które w kilka dni umarły z gorączki, jaką się zaraziły w podobnych miejscowościach o tej godzinie i w tej porze roku. Jeden z jej przyjaciół najlepszych, jeden z Bonapartych, zamieszkałych w Rzymie, umarł w parę dni po polowaniu w tych okolicach! Gdyby się postarała umyślnie o zarażenie się tą chorobą?... Zaczęła więc znów wiosłować, by się spociec jeszcze bardziej. A gdy uczuła, że czoło ma mokre od tego nowego wysiłku, rozpięła kaftanik i kołnierzyk, odkryła szyję, piersi, łono dziewicze i położyła się na łódce, pozwalając, by ją owiało wilgotne powietrze, by stygła na niem, wdychając w siebie zabójcze wyziewy, upojona tem wszystkim i na pół zemdlona. Jak długo pozostawała w takim stanie półprzytomności, zanurzona niejako w tej atmosferze, przepełniającej się miazmatami coraz

więcej, w miarę, jak słońce kryło się za horyzont? Bieg czasu poznawała po coraz częstszych dreszczach, które w końcu zmieniły się w zimno silne i czuła, z dziwnie posepną i bolesną radością, że życzenie jej zostało spełnione i straszliwa gorączka zaszczepiła w niej swój jad. Krzyk, jaki usłyszała, zmusił ją do podniesienia się i chwycenia za wiosła. Był to woźnica, który, nie mogąc się jej doczekać, zeszedł z kozła i wołał na chybił trafił na łódź. Gdy wyszła na brzeg i gdy ją ujrzał straszliwie bladą, człowiek ten, służący u hrabiny oddawna, nie mógł się powstrzymać, by z poufalością włoskiego sługi nie zawołać:

— Przeziębłaś się hrabianko, a to miejsce jest bardzo niezdrowe...

— Istotnie — odrzekła — mam lekki dreszcz... Ale to nic, wracajmy prędko do domu. Tylko proszę nie mów nikomu, że pływałam łódką. Mama by mnie łajała...



## XII.

### Zakończenie.

.....

— Więc to zaraz po tej rozmowie biedne dziecko wyjechało na ten spacer do Porto, gdzie zarażała się gorączką?...—spytał Montfanon.

— Zaraz—odrzekł Dorsenne—i co jest dla mnie okropnem, to, że nie wątpię, iż pojechała tam naumyślnie... Byłem tak wzburzony tą rozmową, że nie mogłem się zdobyć na wyjazd z Rzymu tego wieczoru, jakem to jej powiedział... Po długim wahaniu—zrozumiałem dla pana teraz, gdy mi ci już wszystko opowiedział—powróciłem do willi Steno około godziny szóstej. Chciałem z nią jeszcze raz pomówić, ale o czem? Sam nie wiedziałem... Było to dość głupio. Jej wyznanie niewinne wymagało tylko dwóch odpowiedzi, albo takiej, jaką jej dałem, albo też zażądania jej ręki... Jednakże nie rozumowałem w ten sposób. Bałem się... Sam nie wiedziałem czego chcę... Przybywam więc do pałacu i zastaję hrabinę wesołą i uradowaną jak zwykle, w towarzystwie amerykańkiny. „Widzisz pan, jaką ja mam cór-

kę—rzekła do mnie na pierwsze me słowa—nie chciała pojechać ze mną do ambasady angielskiej, gdzieby się była wybornie zabawiła, a pojechała sobie sama na spacer, marzyć po polach... Może pan na nią zaczekaasz?... Jakoż czekałem na nią aż do godziny siódmej, gwarząc jak zwykły gość, choć aż mnie coś podnosiło, by zawołać na tę matkę niesumienną, która nie spostrzegła tego, że czas płynie: „ależ kobieto, dziecko twe cierpi przez ciebie i twego kochanka... ucieka z domu przed tobą, a ty na to nie zwracasz uwagi“! Nakoniec i ona poczęła się niepokoić, ja zaś widząc, że nikt nie przychodzi, pożegnałem się z sercem tak ściśniętem, jakbym coś przeżuwał... W chwili, gdym wychodził, powóz Alby zatrzymał się właśnie przed pałacem... Była ona blada, straszliwie blada, prawie zielona, tak że mimowoli zapytałem jej: „zkaąd pani wracasz“?... jak gdybym miał jakie prawo zadawania jej takich pytań. Jej usta bezbarwne poruszyły się, by mi dać odpowiedź. Gdym się dowiedział, gdzie przepędziła czas zachodu słońca, że przy owem jeziorze, najniezdrowszem może w całej okolicy, zawołałem: „cóż za nierozsądek“! Ale w tej chwili spojrzała na mnie tak, że nigdy tego nie zapomnę i odrzekła: „powiedz pan raczej rozsądek i życz mi, bym się zaraziła gorączką i bym prędzej umarła“... Resztę pan wiesz, w jaki sposób jej życzenie się spełniło. Dostała w rzeczy samej tej gorączki i tak ostrej, że umar-

ła w ciągu sześciu dni... I po jej ostatnich słowach, nie mogę mieć żadnej wątpliwości. To było samobójstwo. Przed śmiercią odwołała się do mnie po raz ostatni... Nie zrozumiałem tego i chwyciła się jedyne sposobu odebrania sobie życia, tak że nikt ją nie mógł podejrzewać, nawet matka... Mogłem temu przeszkodzić i nie przeszkodziłem...

— A matka? — spytał Montfanon — czy nakoniec zrozumiała?

— Wcale nie — odrzekł Dorsenne. — Jest to trudnem do pojęcia, ale tak jest. O! to naprawdę godna przyjaciółka tego rozbójnika Hafnera, który po zerwaniu małżeństwa swej córki, nie stracił głowy, pomimo niepowodzenia. Zapomniałem panu powiedzieć, że właśnie co sprzedał pałac Castagna towarzystwu bezimiennemu, które zamierza tam urządzić hotel... Śmieję się (dodał z goryczą), żeby nie płakać, gdyż chcę panu opowiedzieć fakta najboleśniej sze... Czy wiesz pan, gdzie widział po raz ostatni tę śliczną twarzyczkę Alby Steno? Przed trzema dniami, nazajutrz po śmierci, o tym mniej więcej czasie. Poszedłem dowiedzieć się co słyhać u hrabiny. Przyjmowała jak zwykle!... „Chcesz się pan z nią pożegnać“? — spytała mi się. „Ten dobry Lincoln zajęty jest robotą odcisku jej twarzy dla mnie na pamiątkę“. Poszedłem więc do pokoju, gdzie zmarła leżała. Miała oczy zamknięte, twarz pomarszczoną i wyciągniętą, nos tak niegdyś pięk-

ny, zaostrzony, a koło czoła i w kątach ust pewną mieszaninę troski i pogody, której nie jestem wstanie opisać. Straszne myśli mi przychodziły do głowy. Mówiłem sobie: „gdybyś był chciał, przed sześciu zaledwie dniami, toby była żyła, uśmiechała się, kochała ciebie“! Amerykanin siedział obok łóżka i rozrabiał gips, Florentyn Chapon, zawsze wierny, przygotowywał oliwę dla natarcia nią twarzy zmarłej, złowroga zaś Lidya Maitland patrzyła na tę scenę oczami, które dreszczem mnie przejęły, gdym sobie przypominał to, com odgadł w czasie ostatniej mej rozmowy z Albą... Jeżeli ona nie odegra roli Nemezys starożytnej i nie uwiadomi o wszystkim hrabiny, to nie znam się na fizyognomicie!... W tej chwili milczała i zgadnij pan, co powiedziała matka, gdy kochanek, ten sam, z powodu którego córka tyle ucierpiała, zbliżył się do wspólnej ich ofiary: „Tylko nie połam pan jej rzes przeslicznych“!... Prawda, że to okropne!..

Młody człowiek padł na ławkę, wypowiedziałszy te słowa rozpaczy i zgryzoty, które Montfanon powtórzył machinalnie, jakby pociągnięty tragicznem zwierzaniem, które usłyszał:

— Tak, to okropne!

Rozmowa ta, tak różna od tej, jaką prowadzili przed kilku tygodniami w piękny poranek majowy na rogu ulicy Borgognona i Placu Hiszpańskiego, toczyła się w odosobnionej alei ogrodów watykańskich. Montfanon, u którego dziś rano

e, zamierzający stanowczo teraz wróżyć, zauważył w powieściopisarzu taki skutek, że go zatrzymał u siebie na noc i towarzyszył mu w jego biega- resami, wreszcie zaprowadził go tu- że odosobnione i gdzie trudno bardzo w nadziei, że zdoła go zbudzić z tej i naprawdę przerażającej, przez po- tych miejsc. W zimie bowiem Julian dwadzieścia razy prosił o to i zaw- naw, który w skutek swych stosun- m papieżkim mógł odwiedzać te ogro- u się podobało, nie chciał brać na sie- zialności za wprowadzenie tu obcego. orzucił swe skrupuły, to musiał z jed- ardzko kochać Dorsenne'a, z drugiej o niego niespokojnym. Przechadzka iała tylko ten rezultat, że dowiedział ch szczegółów śmierci Alby Steno, ne były jedynie powieściopisarzowi, ylko część rzeczywistości obejmowa- ały jednak, by dzielne i tklive za- starego szlacheica doznało głębokie- a. Chciał pocieszyć swego przyja- cół mu powiedzieć, kiedy widział że tak nierozważnie bawił się, przez entymentalny, z chorą duszą biednej ytem jego sumienie gorliwego chrze- mogło mu darować roli, jaką ode- lynku między Gorskim i Chapronem.

Odczuwał, że pojedynek ten, przyspieszając wyjazd Bolestawa i jego żony, przyczynił się do objaśnienia córki pani Steno, tak że i on, Montfanon, w części niezmiernie małej, ale bądź co bądź dołożył ręki do tego samobójstwa. Więc mileżał. A może tak jeden jak i drugi, wierzący i niedowiarek, o władnięci zostali smutną atmosferą miejsca, gdzie w rozmowie wywołali widmo strasznego rozwiązania tragedii, w której obadwa byli czynnikami w rolach rozmaitych. Gęstwina ciemnej zieleni dębów, objętych kręgiem ogromnych bukszpanów strzyżonych jednostajnie, szemrała dokoła. Żaden inny szelest, prócz szmeru liści, pomieszanego z monotonną skargą pobliskiej fontanny, nie przerywał ciszy tego kąci-ka, ograniczonego z jednej strony przez dawne mury rzymskie, a z drugiej przez nieruchomą kopułę Św. Piotra. Jedynymi gośćmi ogrodu papieżkiego zdawali się być, wraz z Montfanonem i Dorsennem, bożkowie marmurowi, rozrzućeni wśród gęstwiny, szczątki sztuki pogańskiej, ukrytej tu w cieniu Bazyliki, w skutek fantazyi papieżów Odrodzenia, może na rozkaz Leona X, który w tych ogrodach bawił się w gronie wytwornych poetów i sławnych artystów. Pod przeczystym i skwarnym już lazurem dnia czerwcowe owe szeregi białych posągów nadawały tej samotności jakiś rys uroczysty, przypominający przeszłość wspaniałą i upadłą już teraz. Czyż te wizerunki bogów nie patrzyły niegdyś na upadek

ich Olimpu i czei własnej, by dziś patrzeć w milczącej zadumie, na wywłaszczenie przedstawiciela Tego, który ich obalił? Na zakrętach alei olbrzymie kielichy marmurowe, rysowały swe wdzięczne kształty. Rosły na nich zioła, chwiejące się pod naciskiem powietrza, odznaczając się swą żywą zielonością na tle jakby martwym nieprzejrzaną zieleni bukszpanów i dębów. Młode te roślinki zdawały się drzeć i cierpieć nad tem, że są uwięzione w tej przestrzeni, będącej w rzeczy samej więzieniem—dobrowolnem, ale właśnie przez to surowem i stanowczem — w tym ostatnim kawałku ziemi i przyrody, zostawionym dostojnemu zwyciężonemu Watykanu. Nigdy Montfanon nie przejęty był tak, jak dzisiaj poezją tych ogrodów, jedynych w świecie, ale zarazem ogarniającym wszystko smutkiem, jaki unosi się z tych milczących alei, z ciasnych kwater kwiatowych, nawet z fontan i tarasów, z których widać tylko mur okalający i niezliczone kominy fabryk, ten symbol brutalny zwyciężkiej działalności nowoczesnej!... Człowiek tak energiczny i szczery, jakim był „stary szuan“ nie mógł dłużej znieść tego wrażenia przygnębiającego, i nagle, potrząsnąwszy kilkakrotnie swą szpakowatą głową, jakby nad czemś się zastanawiał, zmusił Dorsenne'a do powstania i zawołał:

— Cóż Julianie? Nie będziemy tu przecie godzinami marzyć i wzdychać jak kobiety?... Dziecko to umarło. Nie przywrócisz jej życia swoją

rozpaczą, ani mojem współczuciem. Lepiej zrobimy, gdy spojrzymy wprost w oczy odpowiedzialności, jaka na nas ciąży z powodu tej smutnej przygody i odpokutujemy za nią...

— Odpowiedzialności, jaka na nas ciąży?—zapytał Julian—jeszcze ja w ostateczności mogę ją mieć na sobie, lubo nie mogłem przewidzieć następstw mej odmowy, ale pan?...

— Tak dobrze ja, jak i ty — odrzekł Montfannon—nie jestem wcale sofistą i nie mam zwyczajem układać się z własnem sumieniem.

I w tonie zwykłego sobie podniecenia, zawołał:

— Czyż nie pojechałem z katakumb dla urzędzenia tego nieszczęśliwego pojedynku? Czy nie dałem się owładnąć gniewowi, który mi pomieszał w głowie od chwili, gdym się dowiedział o haniebnem małżeństwie Ardei i gdym się znalazł wobec tego łotra Hafnera? Czyż ten pojedynek nie uwiadomił pani Gorskiej o postępowaniu jej męża, a panny Steno o postępowaniu matki? Wszak sam mówiłeś o wzrastającym w niej niepokoju od chwili tej awantury?... I jeżeli się zgryzł się straszliwie wiadomością o tem samobójstwie, to dlatego tylko, że głos wewnętrzny mi mówi: „na twych rękach jest kilka łez tej umarłej“!...

— Ależ kochany przyjacielu — przerwał mu Dorsenne—zkaż ci przyszło wyciągać takie wnioski? Gdyby tak patrzeć na wszystko, to życie byłoby wprost niemożliwem. My możemy odpo-



wiadać tylko za to, czegośmy istotnie chcieli, wyraźnie i jasno...

— Byłoby to bardzo wygodnem—odparł margrabia z żywością—ale najlepszym dowodem, że tak nie jest, jesteś ty sam. Wszak dręczą cię zgryzoty, żeś nie oszczędzał duszy tak słabej, jak owego dziecka bezbronnego... Ja nie ukrywam prawdy i nie ukryję jej wcale przed tobą... Pamiętasz ów poranek, w którym byłeś taki wesoły, gdyś mi wykladał swą teorię kosmopolityzmu? Bawiło cię to, jako dyletanta skończonego, żeś patrzył na jeden z tych dramatów rasowych, w którym występują na scenę osoby przybyłe ze wszystkich stron świata i historii, i nakreśliłeś mi program tego dramatu tak dobrze, że wypadki w zupełności go urzeczywistniły. Pani Steno zachowała się w rzeczy samej wobec dwóch swych kochanków jak wenejanka dawna, Chapron postępował z poświęceniem ślepem potomka rasy uciemionej, siostra jego z dziką zbrodniczością buntownicy, zrzucającej nakoniec jarzmo. Wszak utrzymujesz, że ona pisała listy bezimiennie. Hafner i Ardea obnażyli zupełnie swe dusze niegodne, pierwszy jako obrzydliwy lichwiarz, na pół niemiecki a na pół holenderski, drugi jako szlachcic upadły, w którym odżył dawny kondotyer. Gorski był waleczny i nierozsądny, żona jego nieubłagana i prawa jak Anglia. Maitland był zawsze pozytywny, nieczuły i swobodny wśród tego wszystkiego, jak

Ameryka. A biedna Alba skończyła, jak jej ojciec prawdziwy. Nie mówię nic o córce barona Hafnera...

Tu zdjął kapelusz i mówił dalej głosem wzburzonym:

— To święta, co do której się omyliłem. Ma ona w sobie krew żydowską, tę krew ludu wybranego przez Boga. Powinienem pamiętać o ślicznej legendzie średniowiecznej: „Kobiety żydowskie będą zbawione, bo płakały skrycie nad Panem Jezusem“... Scenariusz tego dramatu, do którego zostaliśmy wmieszani, nakreśliłeś mi z góry... Czy pamiętasz to, com ci powiedział? „czy niema tam nikogo, któremubys mógł dopomódz“? Roześmiałeś mi się wtedy w oczy. Gdybyś był mniej grzeczny, byłbyś mnie nazwał starym osłem, filistynem, szlafmycą... Chciałeś być tylko widzem sztuki, panem z łoży, który obciera szkła swej lornetki, żeby nie stracić z komedyi. A jednakże nie zdołałeś utrzymać się na tem stanowisku. Człowiekowi nie pozwolono odgrywać takiej roli. Musi działać i działa ciągle, nawet wtedy, gdy myśli, że tylko przypatruje się, nawet gdy ręce myje, jak Piłat Pontski, ten dyletant także, który wygłosił słowa waszych mistrzów: „cóż to jest prawda“?... To jest prawda, że zawsze i wszędzie są obowiązki do spełnienia. Moim obowiązkiem było przeszkodzić temu zbrodniczemu pojedynkowi; twoim zaś nie zajmować się tą dziewczyną, jeśliś jej nie kochał,

a jeśliś kochał, to powinieneś zaślubić ją i wy dobyć ze szkaradnego otoczenia, w którym żyła. Nie spełniliśmy obaj tej powinności i jakżeśmy ciężko za to zapłacili!...

— Surowy, bardzo surowy jesteś — odrzekł młody człowiek — ale choćbyś nawet miał rację, to czyż Alba przez to wróci do życia? Na co się mi przyda teraz, że będę wiedział, co powinienem być zrobić?... czyż nie za późno już na to?...

— Na to ci się przyda — odparł margrabia — byś drugi raz tak samo nie robił, a potem byś osądził siebie samego i swe życie... Kocham cię, Dorsenne, wiesz o tem, i może to po raz ostatni mówię do ciebie poważnie, bardzo poważnie... Tak, po raz ostatni. Nie będę już zapewne żył długo, a wątpię, byś ty kiedy powrócił do Rzymu na to, by spotkać tu widmo swych wspomnień... Kiedym ci mówił, że nienawidzę tych kosmopolitów, którymi się zachwycasz, tom się źle wyraził. Stary żołnierz nie jest filozofem. Nienawidziłem w nich i nienawidzę zawsze tego, że oni, odcięci od pnia macierzystego, są zwykle ostatnią odroślą rasy, pożeraczami dziedzictwa sił zdobytych przez innych, burzycielami dobra, którego używają, nie zwiększając go wcale. Ojcowie ich pracowali ciężko, pracą, która dodaje zarobek synów do zarobku ojców. Ta to praca tworzy rodzinę, a rodzina tworzy naród i rasę... Twój kosmopolita nie tworzą, nie nie sieją, niczego nie użyzniają. Oni tylko używają... Jeszcze

pół biedy, jeżeli to używanie ogranicza się na zmysłach i uczuciach, ale gdy sięga myśli, jak u ciebie, jak u wszystkich dyletantów twej szkoły, to już jest wielki grzech umysłowy, jeden z tych, o których w Piśmie stoi, że wybaczone nie będą... Doskonale cię zbadałem i powiem ci, że modliłem się za ciebie często od chwili, gdy cię dobrze poznałem. Oburzałeś się przed chwilą bardzo słusznie na wyrażenie cyniczne tej matki niesumiennej wobec zwłok córki: „nie połam jej pan pięknych rzesów“... A ty czy robisz co innego z duszą ludzką? Czyż nie zdejmujesz z niej ciągle maski gipsowej, trochę przez próżność autorską, choć niewiele, gdyż niewiele ci idzie o powodzenie, trzeba ci to przyznać, ale za to dbasz o rozkosz umysłową... I ta rozkosz dla ciebie jest jedynym powodem i jedynym celem twego istnienia i wszelkich istnień, granicą i końcem świata całego. Tysiące pokoleń cierpiało, płakało, walczyło, wytępiało się dlatego tylko, by twoja myśl doznała dreszczu rozkoszy. Dla tego dreszczu, dla tych spazmów mózgowych, poświęciłeś Albę, gotów jesteś poświęcić najlepszego przyjaciela, matkę, ojca, gdyby jeszcze żył. Dobre i złe, boleść i radość, wszystko jest materialem dla ciebie, dla tej zabawy twego umysłu, która mi się wydaje równie potworną, jak zabawa Nerona, palącego Rzym. Jest to nadużycie daru świętego, z którego będziesz musiał zdać straszny rachunek. Bo ze wszystkich ego-

izmów ten jest najgorszy, gdyż obniża podniosłą moc ducha, czyniąc zeń narzędzie rozkoszy bezpłodnych i nieludzkich...

— Jest trochę prawdy w tem, co pan mówisz — odrzekł Dorsenne — ale mylisz się, jeżeli sądzisz, że najtęższe umysły naszego wieku nie cierpiały nad tem nadużyciem myśli... Ale niestety! cóż robić? Jest to choroba wieku zbyt wyrafinowanego i na to niema lekarstwa...

— Jest lekarstwo — zawołał Montfanon — ale wy nie chcecie go widzieć... Nie zaprzeczysz temu, że Balzac był najśmielszym z pisarzy nowożytnych i muszę ja, nieuk, zacytować tobie, mandarynowi z najwyższą gałką, zdanie przebijające się w jego dziełach: że „myśl, przyczyna cierpień i rozkoszy, tylko przez religię może być urobioną, opanowaną i kierowaną“? Patrz — zawołał, chwytając nagle towarzysza za ramię i wskazując mu aleję przekątnią — oto lekarz, który posiada lekarstwo na tę chorobę ducha, jak i na wszystkie inne... Nie pokazuj się... Zapomniano, że tu jesteście... Ale patrz, patrz... Ach, cóż za spotkanie!...

Osobą, która się nagle ukazała na tle tego melancholicznego ogrodu pustego, w sposób niejako nadprzyrodzony, gdyż obecność jej była żyjącym komentarzem do słów rozdrażnionego szlacheica, był Ojciec Święty, udający się do powozu dla zwykłej przechadzki... Dorsenne znał Leona XIII tylko z portretów i zobaczył starca zgarbionego,

złamanego, w sutannie białej, błyszczącej jasno z pod płaszcza czerwonego. Szedł, opierając się z jednej strony na ramieniu prałata ze swego dworu, z drugiej na oficerze. Dorsenne, starając się ukryć, jak mu to zalecił Montfanon, żeby nie spowodować nagany dla straży, mógł przypatrzyć się dobrze delikatnemu profilowi Najwyższego Arcykapłana, który zatrzymał się przed klombem róż i rozmawiał poufale z kłęczącym przed nim ogrodnikiem. Ujrzał uśmiech nieskończenie pobłażliwy, zawieszony na tych ustach pełnych uduchowania jakiegoś; widział blask tych oczów, które zdawały się urzeczywistniać *lumen in coelo*, o którym sławne proroctwo mówi, że posiadać go będą wszyscy następcy Piusa IX. Ujrzał rękę, tę bladą, prawie przezroczystą rękę, która podnosi się z takim majestatem przy dawaniu błogosławieństwa, jak wyciągnęła się do przepysznej róży żółtej i palce uwolnione z białej rękawiczki pochyliły kwiat, nie urywając go wcale, jak gdyby nie chciały niszczyć wątłego tworu Bożego. Stary papież powąchał różę żółtą i ruszył dalej ku powozowi, którego kształty rysowały się mętnie nieco na tle dębów zielonych. Konie kare ruszyły szybkim kłusem i Dorsenne zwróciwszy się do Montfanona, spostrzegł dwie lzy zwieszające się na rzęsach starego żuawa, który, zapominając o rozmowie przed chwilą toczonej, rzekł z westchnieniem:

-- Jest to jedyna rozrywka następcy pierwszych apostołów. Wącha kwiaty i przejeżdża się w powozie jak można najszybciej!... Urządzono mu cztery mizerne kilometry drogi kołowej, która się kręci dokoła tarasu, na którym niedawno siedzieliśmy... Jeździ więc po niej i ma złudzenie wielkiej przestrzeni, jaką mu odebrano... Widziałem w mem życiu dużo obrazów tragicznych, byłem na wojnie i przepędziłem raz całą noc ciężko raniony na pobojowisku, pokrytem śniegiem, między trupami, wsłuchując się w turkot defilującej artylerii zwycięzców, którzy śpiewali... A jednak nigdy nie byłem tak wzruszony, jak na widok przechadzki tego starca, który się nie skarży i którego całym mieniem jest ten kawałek ziemi, na którym poruszać mu się wolno... Ale jest wspaniałe zdanie, które ten święty człowiek napisał własnoręcznie pod swym portretem, przesłany jakiemuś misjonarzowi. Jest to wyjątek z Tertuliana. To zdanie zawiera całe jego życie: *Debitricem martyrii fidem*, wiara wymaga męczeństwa.

— *Debitricem martyrii fidem*—powtórzył Dorsenne—piękne zdanie, w rzeczy samej.

I głosem stłumionym dodał:

— Zgromiłeś pan przed chwilą surowo dyletantów i sceptyków. Ale czy sądzisz pan, że jest choć jeden między nimi, któryby odrzucił męczeństwo, gdyby miał wiarę?...

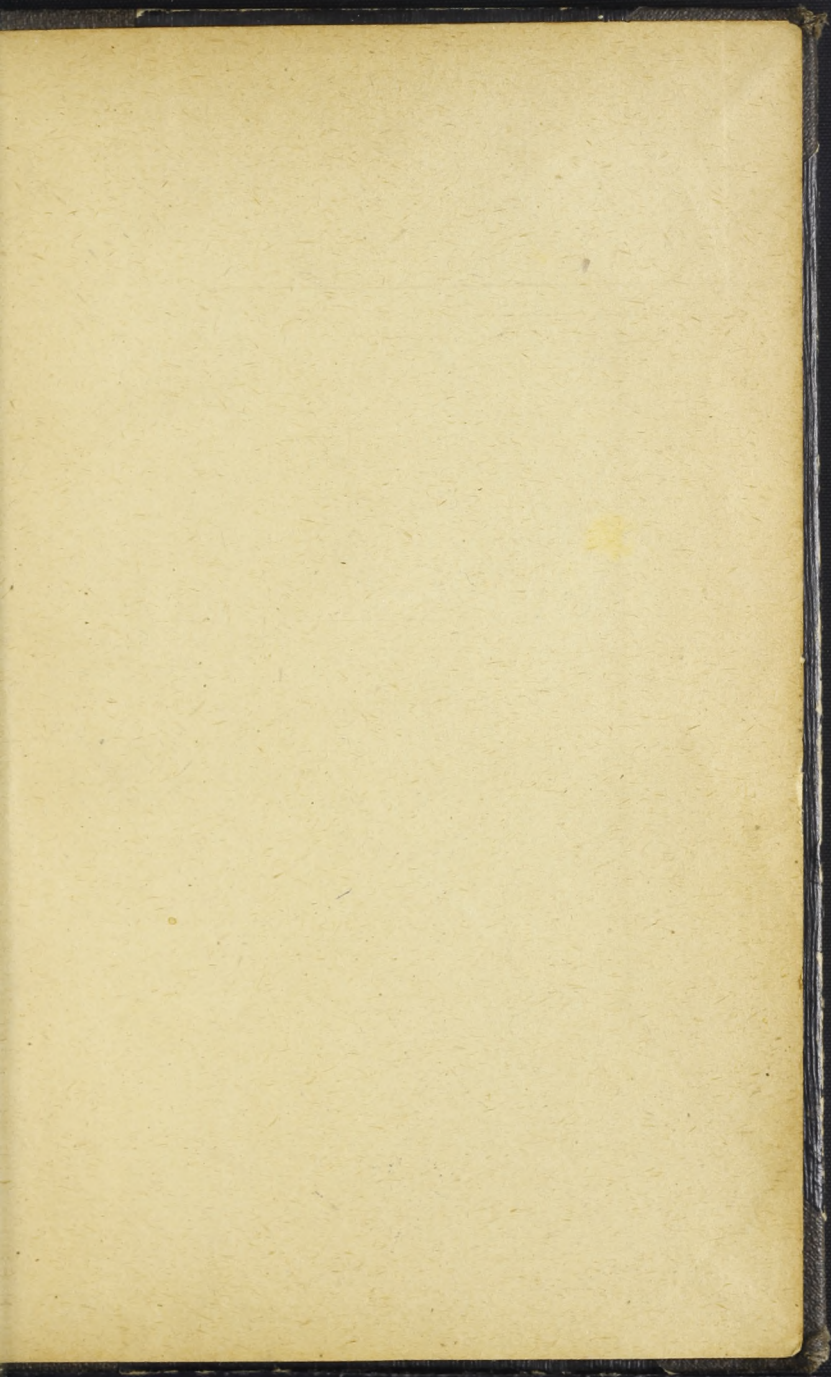
Nigdy jeszcze Montfanon nie słyszał młodego człowieka, przemawiającego tym tonem. Przypomnił sobie Dorsenne'a wierepiętę i panicza, dandysa literackiego, wesołego sofistę i szydercę, dla którego starożytny i czcigodny Rzym był tylko miastem przyjemności, dziwaczniejszym kosmopolisem niż Florencya, Nicea, Biarritz, Saint-Moritz i tyle innych miast, międzynarodowych zbiegowisk w zimie, lub lecie. Spostrzegł, że pierwszy raz dusza ta wstrząsła się w swych głębinach. Tragiczna śmierć biednej Alby miała się stać w sumieniu powieściopisarza tym punktem wyjścia, który zmieni życie moralne tego człowieka wyższego, ale niezupełnego, wyganego z koła ludzkości w skutek niepokonanej pychy umysłowej. Ponieważ Montfanon, będąc chrześcianinem gorliwym, był zarazem wiernym przyjacielem, spostrzegł więc, że nowa rozmowa rozdrażniłaby jeszcze bardziej to serce zranione. Żałował nawet, że go gromił zbyt surowo. Nie mówiąc więc nic, wziął pod ramię młodego człowieka i przycisnął je do siebie po cichu, wlewając w ten uścisk mężki całe współczucie gorące i tkliwe starszego brata.

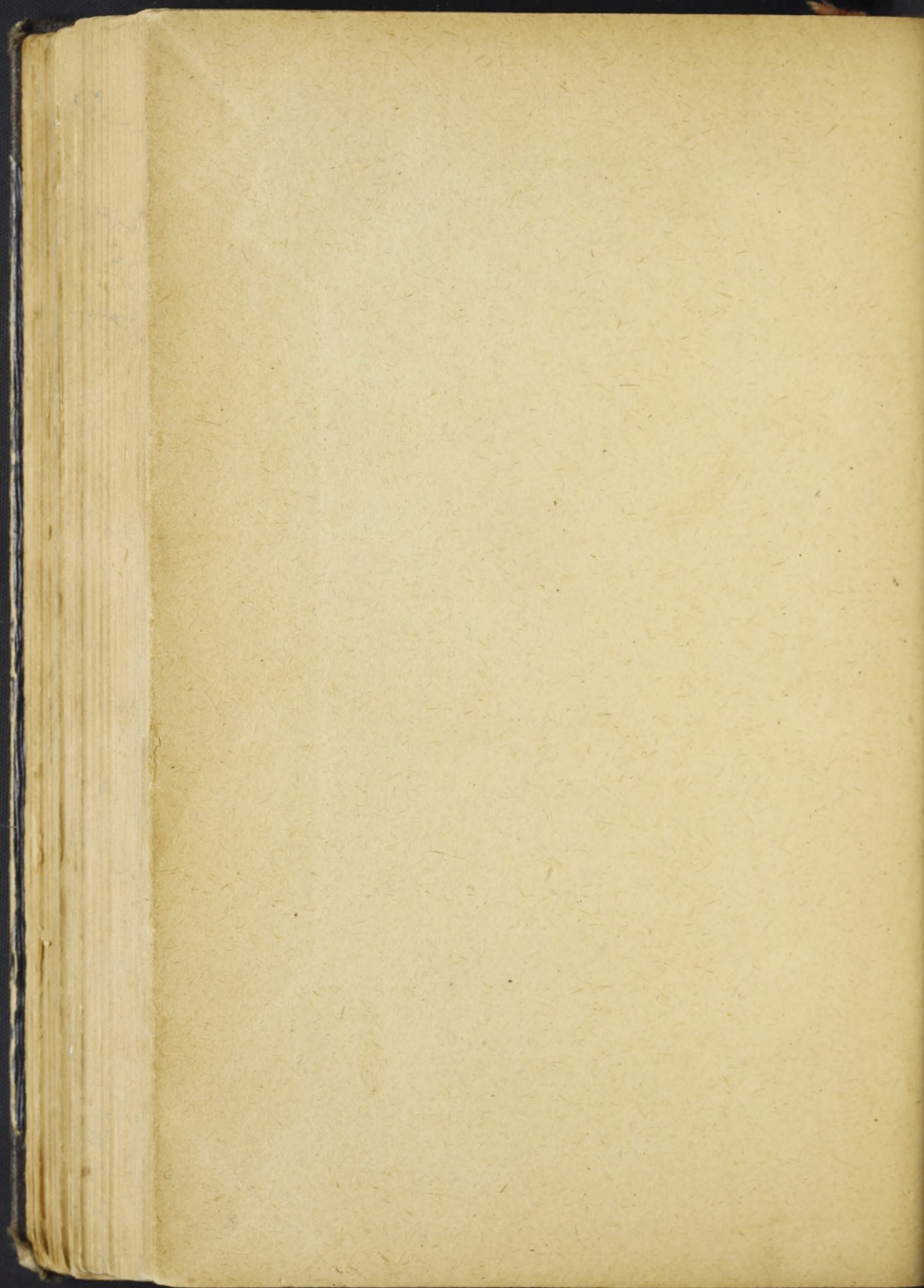
*Sienna—Paryż. Maj—Październik 1892.*

K O N I E C .









M. Woreksho

23 11 53



126460

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001003642321